

# NIECH ŻYJE POLSKA HURTIA!

tom 1



Grzędowicz Baryłka Studniarek Komuda Drewnowski  
Żółtowska Kres Sędzikowska Atmański Kołodziejczak

**Niech żyje Polska**

**Hura!**

**Tom 1**



fabryka słów

2006

# Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Polska szkoła magii

Jarosław Grzędowicz [1965]

Jarosław Grzędowicz Farewell Blues

Piotr

Marcin Baryłka [1974]

Marcin Baryłka Projekt Marszałek

Michał Studniarek [1976]

Michał Studniarek Czas nie czeka na nikogo

Feliks W. Kres [1966]

Feliks W. Kres Zabity

Jacek Drewnowski [1974]

Jacek Drewnowski Brulion

Iwona Żółtowska

Iwona Żółtowska Serengeti

Jacek Komuda [1972]

Jacek Komuda Wilczyca

1. Infamis w opałach

Mirosława Sędzikowska [1955]

Mirosława Sędzikowska Sprawa rodzinna

Jan Atmański [1977]

Jan Atmański Czas życia

Tomasz Kołodziejczak [1967]

Tomasz Kołodziejczak Piękna i graf

1.

- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.

Zapowiedź

**Projekt okładki:** Dominik Broniek

**Ilustracje:** Grzegorz i Krzysztof Domaradzcy

**Wydawca:**

Fabryka Słów sp. z o.o.

[www.fabryka.pl](http://www.fabryka.pl)

e-mail: [biuro@fabryka.pl](mailto:biuro@fabryka.pl)

ISBN: 978-83-60505-20-5

# Polska szkoła magii

Zbiory opowiadań, a jeszcze lepiej antologie są jak bombonierka. Jak pudełko czekoladek. Mnóstwo małych, różnorodnych kąsków. Jeżeli lubisz czekoladki, takie pudełko to prawdziwa uczta. Jeżeli zaś jesteś wybredny, również jesteś w dobrej sytuacji. Czekoladki są małe. Jeżeli któraś okaże się wyschniętą praliną, kolejna równie dobrze może być smakołykiem, a masz ich do dyspozycji całe mnóstwo.

Uwielbiam zbiory opowiadań.

Przez lata nie miały dobrej prasy. Uważano, że się nie sprzedają. Zresztą było to w czasach, kiedy nic się nie sprzedawało, a już zwłaszcza opowiadania rodzimych autorów. Straszne, mroczne lata posuchy i głodu.

Na szczęście minęły i teraz możemy cieszyć się kilkoma antologiami rocznie. Każde szanujące się wydawnictwo obecnie przyjmuje za punkt honoru wydać co najmniej jeden taki tytuł. Są antologie o tym i owym. O smokach, elfach, katach, termometrach albo ślizgawkach, albo czymkolwiek, co tylko przyjdzie komukolwiek do głowy. Temat jest kwestią drugorzędną. To pretekst. Rodzaj konkursu, w którym wygrywa ten, kto wykręci się od wstępnych założeń z większym wdziękiem. Bo tutaj chodzi o wariacje na temat, a nie sam temat. To nie sympozjum, to antologia.

Tym razem preteksty są dwa. Jeden to rocznica istnienia Klubu Twórców.

Drugi to Polska i Polacy. Pretekst opracowany po bardzo wielu burzliwych dysputach. Wymyślony po to, by dać autorom o czym myśleć i pozwolić im pisać o czymś tak ogólnym, żeby zmieścili się obok siebie, mimo że na co dzień zajmują się tematami bardzo różnymi. Wszyscy mieszkają lub mieszkali w Polsce, wszyscy też zapewne są Polakami,

więc uznano, że tak przyjęty temat nie będzie im obcy.

W wypadku każdej innej, niefantastycznej antologii byłby to przepis na katastrofę. W wypadku opowiadań fantastycznych rzecz ma się zupełnie inaczej. Bo, widzicie, istotą fantastyki nie są proste odpowiedzi ani banalne konstatacje. Istotą i sensem literatury fantastycznej są paradoksy, triki i figury niemożliwe. A tego nam nie brakuje. Dlatego im założenie jest bardziej banalne, tym lepiej. Tym ciekawiej zobaczyć, co zrobi z niego pokręcony umysł autora fantastyki.

Nie jestem wielkim zwolennikiem benefisów. Z faktu, że coś tam odbyło się okrągłe ileś tam lat temu, niewiele, moim zdaniem, wynika poza niewesołym stwierdzeniem, że czas płynie, i to płynie szybciej, niżbyśmy sobie tego życzyli. Od czasu do czasu ten płynący czas wpada na rafy okrągłych dat, co stwarza pretekst do świętowania, równie dobry, jak każdy inny.

Dlatego nie traktujemy tej antologii jak zjazdu absolwentów. Przyjmijmy, że to pretekst, by zebrać razem rozproszoną grupę niezłych autorów i dać im motywację do opowiedzenia kilku interesujących historii.

Oczywiście fakt, który łączy tych autorów, zasługuje na parę słów wyjaśnienia.

Klub Twórców.

Albo też Klub Tfurców, jak kto woli.

Upłynęło tyle czasu, że nawet ja powinienem może przyjąć do wiadomości, że był to jakiś fenomen. Wtedy wszystko wydawało się codzienne i naturalne. Nawet ta nazwa, która z latami stała się jakąś marką, kiedy pojawiła się po raz pierwszy, została nam narzucona i brzmiała nieznośnie górnolotnie. Dlatego zaczęliśmy ją przekręcać. To znacznie zdrowiej, gdy ktoś nazywa siebie „tfurcą” niż Twórcą.

Dobra, zacznę od początku i jeszcze raz wytłumaczę, o co chodziło.

Chodziło w gruncie rzeczy o marzenie.

Marzenie, by kiedyś zostać autorem fantastyki.

W tamtych czasach istniało znacznie mniej interesujących rzeczy niż dziś. Nie było komputerów, wideo, DVD, telefonów komórkowych, pubów, paintballu, giełdy, Warhammera, quadów, Internetu, GROM-u ani barów sushi.

Ale fantastyka istniała.

Na rynku pojawiała się jedna, może dwie książki miesięcznie i nie można ich było normalnie kupić, podobnie jak czekoladek innego. Zatem książki pożyczano, sprzedawano w obiegu wtórnym, zdobywano przekupstwem i pochlebstwem, odbijano na ksero. Były to dobre książki.

Wydawnictwa nie musiały przejmować się agentami ani prawami autorskimi. Po prostu wybierano sobie książki i tłumaczono, a potem informowano autora, że oto wydał powieść za Żelazną Kurtyną, a teraz może przyjechać na własny koszt i odebrać honorarium w ZAiKS-ie, według rozdzielnika, w bonach PKO. Bonach towarowych, które udawały dolary, ale nimi nie były. Można było je zrealizować w nielicznych specjalnych sklepach z towarami eksportowymi albo nielegalnie wymienić pod hotelem na prawdziwe dolary.

Tak wyglądała codzienność nastolatków w latach osiemdziesiątych.

Nie mieliśmy nic, ale mieliśmy doskonałe książki i czas, żeby je czytać. I zawsze było nam mało.

To dlatego wielu z nas zaczynało pisać. Jakiegoś ponurego jesiennego popołudnia do głowy przychodził pomysł, że zamiast patrzeć przez okno, lepiej samemu wypełnić lukę w zaopatrzeniu. Nie jest łatwo uszyć sobie spodnie albo zrobić tapczan. Ale żeby napisać opowiadanie fantastyczne, wystarczy mieć funkcjonującą głowę, ręce, kawałek papieru i długopis produkcji spółdzielni INCO Veritas.

Teoretycznie takim samym warsztatem dysponował też Robert Sheckley czy Philip K. Dick.

A potem przychodziła chęć, by komuś to pokazać. Ponieważ częścią



choroby, która zamienia czytelnika w pisarza, jest chęć podzielenia się swoim wzniesionym na papierze światem.

Podobną drogę przechodzą wszyscy, którym myśl o napisaniu własnego opowiadania przychodzi do głowy. W moim jednak przypadku jądrem krystalizacji czegoś, co potem zostało nazwane Klubem Tfurcuf, było spotkanie we własnym otoczeniu dwóch podobnych osobników, z którymi pobierałem nauki w szkole podstawowej. Jacka Piekary i Rafała Ziemkiewicza.

Pisaliśmy więc dla siebie nawzajem i nie szczędziłyśmy sobie krytyki. Już wtedy świtało nam, że pisanie można się nauczyć. Różnicę pomiędzy opowiadaniem Hemingwaya a własnym zauważy na pierwszy rzut oka nawet kretyn. Nie każdy natomiast zastanawia się, na czym ta różnica zasadniczo polega. Oprócz zawartości intelektualnej, talentu, daru i iskry bożej polega też na pewnych konkretnych umiejętnościach. Większość ludzi poprzestaje na tym pierwszym, natchnionym elemencie składającym się na pisarstwo i daje sobie spokój. Nikt nie nauczy się talentu, podobnie jak nikt nie nauczy się być wysokim ani nie nauczy się słyszeć znikomych różnic pomiędzy dźwiękami. W tym sensie talent literacki jest cechą fizjologiczną. Być może jest to fizjologia na poziomie neurochemii mózgu, niewielkiej mutacji albo nawet cech o charakterze mistycznym. Jakiś cud, który sprawia, że w głowie pojawiają się historie. Jednak cała reszta, sprowadzająca się do sztuki opowiadania tych historii, to już co innego. Wtedy, na początku drogi, wierzyliśmy święcie, że sztuki opowiadania historii można się nauczyć. Że można nauczyć się magii.

Czym innym, u diabła, jest sztuka panowania na odległość nad emocjami i umysłem obcego człowieka? Zapisujesz kilka słów na papierze, a gdzie indziej i kiedy indziej ktoś czyta te słowa i widzi obrazy, które kazałeś mu zobaczyć. Sprawiasz, że uśmiechnie się lub będzie wzruszony.

Wierzyliśmy, że, do pewnego stopnia, znaczna część tej magii to kuglarstwo. Ukryte kieszonki w rękawach, sprawne palce, spreparowane monety, dymy i lustra.

I całe szczęście, że w to wierzyliśmy. Bo to jest najistotniejsza część prawdy. I, tak samo jak w sztuce kuglarskiej, nie ma niczego bardziej godnego pożałowania niż kiepski iluzjonista. Zaczyna się od prostych sztuczek z monetami i kartami, a potem po latach morderczych treningów nagle okazuje się, że królik naprawdę zniknął, a w cylindrze nie ma drugiego dna. Droga do magii prowadzi przez kuglarstwo.

Z tego wszystkiego również nic by nie wyszło, gdyby nie kolejny przypadek. Po latach Rafał Ziemkiewicz i ja trafiliśmy do klubu miłośników fantastyki Sfan. Pomiędzy ówczesnych fanów, którzy wówczas rekrutowali się z młodej kadry naukowej i technicznej. Spotykali się raz w tygodniu w kawiarni domu kultury, żeby rozmawiać, prowadzić giełdę używanych książek, rozmawiać, wyświetlać nie wiadomo skąd wytrzaśnięte filmy na szesnastomilimetrowej taśmie, rozmawiać, czytać i rozmawiać.

To tam spotkaliśmy Piotra.

Piotr Staniewski obecnie zajmuje się tłumaczeniem książek i wykłada matematykę. Wtedy jedynie wykładał matematykę. Tyle że jego stopień odczytania można było uznać za legendarny. Co więcej, człowiek ten nie tylko znał literaturę, ale również znał się na literaturze. Gdyby był wykształconym w tym kierunku literaturoznawcą, niczego byśmy się od niego nie nauczyli. Ponieważ literaturoznawcy są święcie przekonani, że wszystko jest czystą magią, jabłka przenikają przez stół, a królik zawsze znika w kapeluszu. Tymczasem Piotr dzięki swojemu nieprawdopodobnie błyskotliwemu umysłowi matematyka rozumował całkami, a z liczbami urojonymi witał się przy śniadaniu. Wyższa matematyka to mechanika magii. Dlatego on widział te wszystkie ukryte kieszonki i maskujące ruchy dłoni, nawet u najlepszych. I zaczął je nam

pokazywać.

Czytał opowiadanie zdanie po zdaniu i zatrzymywał się co chwilę, by pokazać, dlaczego nasza magia nie chce działać. Uważnie, krok po kroku, pokazywał nam, gdzie powinna być zapadnia, gdzie kłęb dymu, a gdzie wystarczy szybki ruch palców.

Wtedy narodził się ten pierwszy klub twórców, który nazwaliśmy Trustem. Wtedy było nas już pięciu czy sześciu i musieliśmy opracować metodę pozwalającą uczyć się bez stałej pomocy Piotra. Nie byłby w stanie od rana do wieczora analizować naszych opowiadań, ale w szczególnych przypadkach potrafił nam pomóc.

A potem do głosu doszły szczególne cechy Rafała Ziemkiewicza. To on sprawił, że nie zatrzymaliśmy się na tym etapie. Są ludzie rodzący się bez jakiegoś genu, którzy nie zatrzymują się w marszu i nie mają naturalnych oporów, by wyleźć na scenę w blask reflektorów. Mieliśmy już opowiadania i zaczynaliśmy sprawiać, by mniejsze przedmioty przenikały przez blat stołu, więc uparł się, że trzeba to pokazać.

Wtedy też zauważyliśmy, że zaczynamy się różnić od tych wokół nas, którzy zajmowali się literaturą fantastyczną. Po pierwsze, oni wszyscy uważali, że magia to magia. Wierzyli wyłącznie we wróżki, elfy i znikające piłeczki. A myśmy patrzyli na nich i dostrzegali monetę niechlujnie przydepniętą podeszwą, karty upychane w rękawie albo spadające na podłogę drewniane palce.

Założyliśmy własny fanzin – nazywał się Fantom.

Potem opanowaliśmy jedną stronę w łódzkim tygodniku „Odgłosy”.

A potem rosnący w całym kraju ruch rozproszonych klubów zjednoczył się w wielkie stowarzyszenie. Nazywało się PSMF – Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki. Wtedy wyszliśmy ze swojego małego klubu i zrobiliśmy ogólnopolski konkurs na opowiadanie.

Efekt był taki, że nasz kilkusobowy Trust zmienił się w grupę kilkudziesięciu rozproszonych po całym kraju samotnych kuglarzy,

którzy nagle spotkali się w jednym miejscu i stwierdzili, że nie są już sami. Większość wierzyła, że magii można się nauczyć. Większość miała za sobą proste sztuczki z kartami i monetami. Wszyscy chcieli nauczyć się sprawiać, by mosty rozpływały się w powietrzu, a na środku sceny pojawiały słońce.

PSMF, zwyczajem stowarzyszeń, uczyniło z nas jedną ze statutowych sekcji. Mieli Klub Filmowy, mieli jakieś inne Kluby, więc nazwali nas Klubem Tfurcuf.

W tamtym czasie rozpoczęła się już ekspansja. Istniała „Fantastyka” i istniało kilka wydawnictw skłonnych wydawać książki polskich autorów. Czasy się zmieniały. Wielu z nas potrafiło już olśnić publiczność jakimś błyskiem dymu lub wypuszczonym znikąd gołębiem, ale wiedzieliśmy też, że to, co ożywia prawdziwą magię, to rzemiosło. Zręczne palce i ukryte kieszonki.

Dlatego głównym sensem istnienia klubu, który zmienił się podówczas w grupę przyjaciół, były warsztaty.

Tak samo jak na początku, mieliśmy mistrza. Kogoś, kto chciał pokazywać nam tajemnice i triki drzemiące za magią.

Znalazł go Rafał Ziemkiewicz, który wtedy studiował na polonistyce.

Nazywa się Tadeusz Lewandowski i wśród doktorantów polonistyki był dziwakiem. Interesował się literaturą popularną, tą, która wierzy, że droga do magii prowadzi przez prestidigitatorstwo. Spotykająca się na własną rękę grupa literackich samouków, zjeżdżających się do jakiegoś miejsca na własny koszt, wydała mu się dziwacznym fenomenem, więc poszedł popatrzeć. I został.

Na lata.

Klub Tfurcuf nie rozpadł się. Nie w tym sensie.

Po dziś dzień jego członkowie, spotkawszy się z nienacka, padają sobie w ramiona.

Po prostu stopniowo wielu z nas zaczęło zauważać, że niektóre

przedmioty rzeczywiście przenikają przez stół, a wartość wydrukowana na karcie do gry zależy od woli. Stopniowo doszliśmy do etapu, w którym zaczęliśmy zazdrośnie strzec naszych sztuczek, trików i sposobów.

Każdy poszedł własną drogą. Magia i literatura bowiem to ścieżki samotnych.

Moja poprowadziła mnie do magazynu literackiego „Fenix”. Był to jeden z moich sposobów na to, by żyć, robiąc to, co kocham i w czym widzę sens. Przede wszystkim chciałem pisać, ale dla polskich autorów w latach pięćdziesiątych rynek prawie nie istniał. Chciałem go więc stworzyć, prowadząc dział literatury polskiej.

Przychodzili tam różni autorzy. Wielu usiłowało olśnić mnie umiejętnością przenikania jajka przez stół albo wydobycia nagle zza pazuchy bukietu sztucznych kwiatów. Wielu wierzyło, że te kwiaty naprawdę pojawią się w ich dłoni tylko dlatego, że sami tego chcą.

Niektórzy jednak mieli w sobie to coś. W ich palcach wibrowało coś, co chciało się wydobyć, ale nie znało sposobu. Zacząłem więc sięgać po stare, wyświechtane karty i zaśnieżone monety i pokazywać im, jak sprawić, by zaczęły robić rzeczy niemożliwe.

Legenda tymczasem żyła własnym życiem. Grupa kuglarzy z lat osiemdziesiątych nadal potrafiła zadziwiać. Kiedy polskie książki zaczęły się pojawiać na półkach, bardzo wiele z nich nosiło doskonale znane mi nazwiska. Wielu pojawiało się w mojej redakcji i zazwyczaj towarzyszył temu huk i błysk.

Nie wszyscy potrafili robić rzeczy niemożliwe, ale żaden nie gubił rekwizytów ani nie potykał się o własne buty. To działało. I działa nadal.

W tym czasie dowiedziałem się, że grupa młodych ludzi usiłuje uruchomić na nowo starą szkołę. Że spotykają się w różnych miejscach i że wierzą, tak jak my, iż droga do magii prowadzi przez ukryte kieszenie, przez zapadnie i podwójne dna.

Zjawiali się w mojej redakcji i okazywało się, że radzą sobie już z

monetami i kartami. Musiałem raczej pokazywać im, jak zniknąć w budce telefonicznej albo przepiłować kobietę na pół. Wtedy dotarło do mnie, że gdzieś tam samoistnie wyrosła legenda. Legenda, o której, robiąc rzeczy najzwyklejsze na świecie – spotykając się z przyjaciółmi i pokazując sobie nawzajem sztuczki – nie mieliśmy zielonego pojęcia.

Dlatego postanowiliśmy zebrać wszystkich razem w jednej książce. Tych starych, których udało się odnaleźć, i tych młodych, którzy nauczyli się sztuczek na własną rękę.

Zobaczycie wiele cudów. Sam nie wiem jeszcze jakich, bo jestem w takiej samej sytuacji jak wy. Nie czytałem jeszcze tej książki, ale jestem raczej spokojny.

I nie traćcie czasu, by patrzeć im na palce. Wiara w to, że to wszystko triki, przydaje się, kiedy zaczynasz ćwiczyć dłonie.

Potem przychodzi czas występu i wtedy czasami okazuje się, że monety znikają, w kieszeni mieści się całe stado gołębi, a karty przenikają przez stół.

I nie próbujcie robić tego w domu!

*Jarosław Grzędowicz*

## Jarosław Grzędowicz [1965]

Debiutował w 1982 roku opowiadaniem *Azyl dla starych pilotów* („Odgłosy”).

Wydał powieści *Pan Lodowego Ogrodu – tom I* i *Popiół i kurz*, a także zbiór opowiadań *Księga jesiennych demonów*.

W roku 2006 otrzymał dwie nagrody imienia Janusza Zajdla – zarówno w kategorii powieści (*Pan Lodowego Ogrodu – tom I*), jak i opowiadania (*Wilcza zamieć*) – zostając pierwszym „podwójnym” laureatem tej nagrody. Otrzymał także Śląkę w roku 2006 (za powieść *Pan Lodowego Ogrodu – tom 1*) i dwie nagrody Sfinksa – w roku 2005 (za opowiadanie *Buran wieje z tamtej strony*) i 2006 (*Pan Lodowego Ogrodu – tom I*).

Jego opowiadania ukazywały się w antologiach i czasopismach, między innymi w „Feniksie”, „Fantastyce” i „Nowej Fantastyce” oraz literackim dodatku „Faktu”. Niektóre przetłumaczono na czeski i rosyjski.

W „Feniksie” i „Nowej Fantastyce” zamieszczał także teksty publicystyczne.

Był redaktorem naczelnym miesięcznika „Fenix”, a wcześniej – redaktorem działu prozy polskiej w tym piśmie.

Jest nie tylko pisarzem, ale także dziennikarzem i tłumaczem (przekłady gier komputerowych i komiksów).

Jarosław Grzędowicz

Farewell Blues



## Piotr

Kiedy otworzył oczy ostatniego poranka, Słońce nadal świeciło. To sprawdził przede wszystkim. Nie mogło dotrzeć do jego okna, wychodzącego na podwórko-studnię, paskudną jak chory ząb; jednak niewielki kwadrat nieba nad podwórzem nadal był błękitny, poranek zapowiadał się upalny, ale to chyba był normalny upał. Zwykły, gorący, kolejny z rzędu dzień wyjątkowo słonecznego lata. W każdym razie Słońce znajdowało się na swoim miejscu i na razie nie wybuchło.

Sprawdzanie zachowania Słońca wszystkim weszło w krew. Bez względu na to, co robili, odruchowo zerkali co chwilę na niebo, żeby sprawdzić, czy rozpalona żółta kula zajmuje swoje miejsce na nieboskłonie. Niemal każdy nosił przy sobie pokryte sadzą szkielek, kawałek czarnej kliszy fotograficznej albo magnetyczną folię wyprutą z wnętrza dyskietki. Tekturowe, jednorazowe okulary z lśniącymi czarnymi przesłonami, zwykle sprzedawane z okazji zaćmienia, teraz szły jak świeże bułki, podobnie jak gogle spawalnicze. Rzut oka na Słońce uspokajał i dawał siłę, by przeżyć kolejny dzień w Tym Kraju.

Tak było od dnia, w którym przemówiły niemowlęta.

Noworodki i niemowlęta. Jedne miały tego dnia ledwie parę godzin, inne kilka miesięcy. Na pewno za mało, żeby wydawać z siebie jakiegokolwiek skoordynowane dźwięki. Przemówiły równocześnie. W szpitalach, wózkach i kojcach. Straszными, skrzekliwymi głosami wydawanymi przez wiotkie, nierozwinięte krtanie i niewykształcone do końca struny głosowe.

— Zabierzemy was stąd – powiedziały niemowlęta osłupiałym rodzicom, babciom i ciotkom. – Przybywamy dać wam nowy świat. Wyjeżdżajcie. Słońce wybuchnie.

Z tym ostatnim zdaniem było najwięcej kłopotu. Niemowlęta mówiły bardzo niewyraźnie. Jedni usłyszeli: „Słońce wybuchnie”, a inni: „Bądźcie

nam ufni” albo coś w tym rodzaju. Niektórzy upierali się, że w ogóle niczego takiego w przekazie nie było.

Piotr Siedlarski siedział na łóżku ostatni raz w życiu i patrzył na swój znienawidzony ciemny pokój, który tego poranka wyglądał jeszcze gorzej niż zwykle. Każdy szczegół był na swoim miejscu, jak dzieło turpistycznego dekoratora wnętrz, który zapragnął stworzyć syntezę polskiego slumsu. Zadbał o żółtawe zacieki i grzyb na suficie, pękniętą szybę, wielotygodniowe warstwy kurzu i tłustego brudu na wszystkim, łuszczącą się farbę olejną, a nawet żarówkę zwisającą z sufitu na zabytkowym kablu i sterty talerzy z zaschniętymi resztkami jedzenia. Z rządowego wykrywacza dymu zwisała prezerwatywa, starannie naciągnięta na szczeliny analizatora jak paskudny, zwiędły owoc. Mieszkanie pasowało idealnie do kamienicy, a ta do otaczających ją ulic. Doskonała harmonia.

Powód pierwszy: to mieszkanie, ten dom, to miasto.

Piotr celowo nie sprzątał od trzech tygodni. Od dnia, kiedy podjął decyzję. Nie chciał mieć żadnych dobrych wspomnień. Nawet pokoju doprowadzonego do względnej schludności. Co rano otwierał oczy w obrzydliwej, cuchnącej norze i sprawdzał, czy Słońce jeszcze świeci normalnie, czy też rozdeło się już w pomarańczową, wielką banie pchającą w stronę Ziemi tsunami piekielnej plazmy, która w ułamku sekundy spopieli wszystkim oczy i ugotuje krew w żyłach. Nie chciał się zastanawiać, tęsknić i mnożyć wątpliwości. Podjął decyzję.

To nie był jego dom. Jego dom wyglądał zupełnie inaczej, ale zrobiono z nim porządek. Załatwił go podatek katastralny oraz „ustawa o wyrównywaniu szans i zapobieganiu nierównościom społecznym”. Był mężczyzną, rozwodnikiem, nie miał rodziny i przede wszystkim nie miał dzieci. Przysługiwała mu kawalerka z oknem wychodzącym na podwórko-studnię, z tłustą plamą na suficie.

Tego ostatniego poranka nie potrzebował też niczego, co się tu

znajdowało.

— Tylko to, co kochacie – powiedziały niemowlęta. – Tylko to, co ma wartość sentymentalną. Nie zabierajcie pieniędzy, nie zabierajcie przedmiotów codziennego użytku ani ubrań. Tylko pamiątki. Całą resztę możecie mieć nową. Cokolwiek będzie wam potrzebne.

Nowe życie, Nowa Ziemia, nowe rzeczy. Bardzo słusznie.

Wybierał te rzeczy od trzech tygodni. Brał w dłonie i usiłował przywołać wspomnienia, które byłyby godne zabrania pod obce, granatowe niebo, na Nową Ziemię. Dziewiczą, nietkniętą ludzką stopą, świeżą i pachnącą, jak wyjętą z opakowania. Obracał je w dłoniach i odkładał na podłogę. Właściwie nie umiał znaleźć niczego, czego nie mógłby zastąpić.

Co miał zabrać? Prócz zdjęć ludzi, których kiedyś kochał? Każde było obecnie pamiątką zdrady, nielojalności, obojętności albo niespodziewanej śmierci. Zabrał fajkę. Wiedział, że rosną tam już ziemskie rośliny. Kwitną i rozpleniają się bujnie pod ochronnymi kopułami, żeby nie skaziły lokalnego ekosystemu. Wszystkie, które mogłyby okazać się potrzebne, a których nie można by zastąpić miejscowymi. Nie wyłączając tytoniu, koki, chmielu albo peyotla. Tamtym było wszystko jedno. Nie rozumieli ludzkich tabu i nie zamierzali się w to wdawać. Według nich każdy powinien sam decydować o sobie. Zachorujesz? Wyleczysz się. Zatrujesz się, zachlejesz albo zaćpasz? Trudno.

To była kolejna przyczyna, dla której się nie wahał.

Powód drugi: tytoń virginia i whisky.

Żegnajcie, bezwzględne zakazy i zdrowy trybie życia. Kiedy tylko opuści kontener zrzutowy, jeszcze zanim się odleje, zanim kupi karabin i pójdzie w głąb lądu szukać szczęścia, źródeł rzek albo odkrywać El Dorado, przede wszystkim weźmie z dystrybutora wielkie hawańskie cygaro i pójdzie przez miasto, z ukontentowaniem wypuszczając wielkie

kłęby dymu.

Żegnajcie, bijący na alarm lekarze, histerie i „style życia”.

Tyle że na razie jego przepisowy pojemnik (nie dłuższy niż metr, nie wyższy i nie szerszy niż czterdzieści centymetrów), w tym wypadku stary wojskowy plecak, z którym przemierzył kiedyś Andy, wspinał się na wodospad Kirinyaga i wybrał na swoją emigrację, leżał u jego stóp niemal pusty i oklapły, jak wyschnięta figa.



Siedział nad nim i czuł, jakby żołądek wypełniał mu roztopiony ołów. Reisefieber. Gorączka podróżna. Kombinacja strachu, nadziei i bezdennego lęku przed nieznanym. Normalna ludzka obawa przed konsekwencjami decyzji ostatecznych.

Z Anglii mógł przynajmniej wrócić.

Na początku wydawało się, że trafił jeśli nie doskonale, to przynajmniej znacznie lepiej. Miasta były ładniejsze, ludzie życzliwsi, państwo, jak sądził, mniej drapieżne. Miliardy bezsensownych utrudnień rodem z Tego Kraju po prostu tam nie istniały. Anglia była przyjazna.

A potem przywykł. Przestał się zachwycać, a zaczął patrzeć. Zobaczył pełne nienawiści graffiti na bielutkich ścianach, grupki coraz dziwniejszych i coraz bardziej agresywnych emigrantów, których dotyczyły specjalne prawa. Sam był emigrantem, ale przyjechał w gości i zamierzał zostać Anglikiem. Tamci zachowywali się jak okupanci.

Zaczął zauważać zakazy. Nie od razu, bo były sformułowane sprytniej i delikatniej niż w Tym Kraju. To, co w Polsce nazwano „bezwzględny zakazem palenia tytoniu”, tam było konsekwencją wielu ustaw składających się na Fire Safety Act. Chodziło o ochronę przeciwpożarową sformułowaną tak, jakby całą Brytanię zbudowano z żywicznych

listewek i bibułki. W każdym mieszkaniu znalazł się czujnik. Najdrobniejsza smużka dymu, choćby z kadzidełka albo zdmuchniętej świeczki, wywoływała alarm. Jeżeli tak się stało, taniej było podpalić własny dom, niż zapłacić straży za niepotrzebny przyjazd.

Nie miał nic przeciwko kamerom na ulicach, póki nie zorientował się, że napaść człowieka można równie dobrze tam, gdzie kamery nie widzą. A potem przysłali mu mandat na dwa i pół tysiąca funtów. Najpierw nie miał pojęcia, o co chodzi, bo ratusz napisał list raczej enigmatyczny. Sądził, że to pomyłka. Okazało się, że dzięki Civil Safety Act system się nie myli. To był ten dzień, kiedy idąc do pracy, spotkał na Pinewood swojego listonosza. Poranek był piękny, wokół wznosiły się rzędy bardzo angielskich, schludnych szeregówek z brązowej cegły, a listonosz uśmiechał się przyjaźnie. Wszystko wyglądało jak z jakiejś eleganckiej klasycznej powieści. Listonosz bez żadnych ceregieli wydał adresowane do Piotra przesyłki, pozdrowił serdecznie i pożegnał się. Siedlarski przejrzał koperty, ale znalazł tylko reklamówki, które starannie wyrzucił do stojącego przy przystanku kosza.

— Powinien był pan wrócić do domu i wyrzucić listy do własnego, płatnego worka, sir – tłumaczyli w magistracie. – Miejskie kubły służą do wyrzucania drobnych odpadków, a nie pańskich prywatnych śmieci. Ponadto naruszył pan przepisy o segregowaniu odpadów.

Wiedzieli o tym dzięki ulicznym kamerom. Namierzyli go w cztery dni w kraju, w którym mieszkał od pół roku i w którym nie ma dowodów osobistych. „Miś zwany Paddington” nagle zmienił się w „Rok 1984”.

A potem skini zadźgali kogoś w parku i natychmiast zakazano noszenia jakichkolwiek noży, nawet szwajcarskich scyzoryków wielkości breloczka. Brytyjczycy, w tym świeżo upieczony Walińczyk Siedlarski, dostali dwa tygodnie na złożenie w komisariatach jakiegokolwiek potencjalnie morderczego żelastwa.

A jeszcze potem zabroniono noszenia nakryć głowy osłaniających

twarz, w tym kapeluszy, kapturów i czapek z daszkiem. Kominiarki były wykluczone, nawet gdy nastąpiły mrozy. Chodziło o wygodę kamer.

Później wydano Health Act i zakazano stosowania soli w restauracjach, przetwórnich oraz ograniczono jej sprzedaż. Obłożono akcyzą mięso i przetwory, wszelkie tłuszcze, także słodocze. Oklejoną ostrzeżeniami napoje.

Następnie pojawiła się ustawa o zachowaniach antyspołecznych. Od tej pory nie trzeba już było nowych zakazów. Formułował je sąd, według własnego widzimisię i na miarę, dla każdego obywatela, który czymkolwiek się naraził. Ktoś, kto przekroczył prędkość, otrzymywał zakaz prowadzenia samochodu zdolnego przekroczyć prędkość pięćdziesięciu mil na godzinę. Jeśli przyłapano go w porsche, dostawał trzy lata. Zaczęło się od jakiegoś gangu osiedlowego. Chłopcy awanturowali się w shoppingach i nosili jako znak rozpoznawczy żółte rękawiczki do golfa. Dostali zakaz noszenia jakichkolwiek rękawiczek i zbliżania się do centrów handlowych na bliżej niż sześćdziesiąt jardów.

I fajnie.

Od tej pory każdy mógł dostać zakaz robienia czegokolwiek.

Wtedy dał spokój i wrócił do Polski.

Nawet nie poszło o zakazy. Z tym pewnie by sobie jakoś poradził. Po prostu nie był w stanie żyć w kraju, w którym nie ma nic dzikiego. Cała Brytania zdawała się sprzątnięta, zagrabiona, podzielona płótkami i miała wytyczone ścieżki. Żadnych ostępów. Żadnych gęstw, poszarpanych turni i odludzi.

Znalazł jakiś las w Walii, który wyglądał jak miejski park. Asfaltowe dróżki, proste jak strzelił, zagrabione liście, kosze na śmieci i latarnie zasilane bateriami słonecznymi. Nie mógł tego znieść. Miał to w genach.

Duszę pioniera. Całe życie usiłował znaleźć dziewiczy obszar i zbudować na nim od zera coś doskonałego. Teraz mu tego zabraniano, odbierano to, co zbudował, i wznoszono płyty z siatki. Zwracano mu

uwagę, że istnieją procedury, które należy realizować. Kiedyś tacy jak on wyruszali morzem po Nowe Ziemie. Teraz nie było już dokąd płynąć, ale Kolumbowie, Pizarrowie i Livingstonowie nadal się rodzili. Dzicy, z jasnym wzrokiem szaleńców wbitym w horyzont. Miotali się przez kilkadziesiąt lat jak nietoperz w sypialni, objając o ściany i tabliczki z zakazami, żeby wylądować w więzieniu albo wariatkowie.

Wrócił do kraju, akurat by zobaczyć, jak instalują kamery, i usłyszeć, że „Polska nie może być ostatnim krajem w Europie, który wprowadzi ustawę o zachowaniach antyspołecznych”. Sól już od pół roku wszyscy nosili przy sobie, a kupowali na bazarach od Rosjan.

Spakował melonik. Czarny, klasyczny melonik w okrągłym pudełku z Harrodsa. Melonik, który kupił dla żartu, kiedy chciał zostać Anglikiem.

Powód trzeci: zakaz noszenia melonika.

Żegnaj, Zielona Wyspa ograbiona z pubów, fajek, whisky, szklaneczki sherry, kominków i meloników. Żegnaj, Anglio niebędąca już Anglią. Bye, zdetronizowana Korono. Farewell.

— Tylko to, co kochacie. Pamiątki – powiedziały niemowlęta.

Gdzieś wtedy zrozumiał, że na całej planecie nie ma dla niego miejsca.

Najpierw mówił: „ten kraj”. Potem: „ten kontynent”.

A po podróży na drugą półkulę przestał komentować cokolwiek. Próbował w Stanach, w Argentynie i Australii. Okazało się, że generalnie istnieją dwa rodzaje miejsc. Cywilizowane, nudne, komfortowe i najeżone niezliczonymi zakazami pilnującymi bezpieczeństwa. Oraz zdziczałe regiony, pełne niewyobrażalnej nędzy i anarchii. Królestwo Kałasznikowa, gdzie tyrańską władzę dzierżyli naćpani nastoletni watażkowie. Samotny biały bez prawa do noszenia broni miał tam takie szanse przetrwania jak łąza w palenisku. W jednych dusił się pod ciężarem lśniącego, pluszowego totalitaryzmu, w drugich może znalazłby miejsce dla siebie, gdyby dysponował brygadą piechoty zmechanizowanej.

I tyle mu przyszło z emigracji.

„Dear John”.

Kiedyś, dawno temu, podczas wielkiej wojny, żołnierze nazywali takie listy „dearjohnami”. Dostałem dearjohna, mówili. Oni byli na froncie, a ich przyjaciółki, narzeczone i żony w kraju. Przysyłały listy zatytułowane: „Moje najdroższe kochanie”, „Dżonuniu” albo „Misiu-pysiu”. A pewnego dnia nie było już Misia-pysia, tylko oficjalne: „Drogi Johnie”. Wtedy wiadomo było, że nie ma co czytać dalej. Spotkałam kogoś, on jest lotnikiem (prawnikiem, odpowiedzialnym-młodym-człowiekiem). Nie mogę czekać w nieskończoność, ta wojna nigdy się nie skończy, muszę myśleć o dzieciach, a ty zdychaj w okopach w Ardenach, po szyję w błocie, i niech ci strzelą w dupę.

Pa.

Buziaczki, Misiu-pysiu.

Piotr też dostał swojego „dirdżona”. W Anglii.

Nawet bez „drogi”. Po prostu „Piotrze”.

Spakował go teraz do plecaka, razem ze wspomnieniem o swoim domu, który zbudowali w dalekim Suwalskiem. Daleko od wyścigu szczurów, państwa opiekuńczego albo solidaryzmu społecznego, zaleźnie kto tam rządził. Własny dom, jak z bożonarodzeniowej pocztówki. Z własną kuźnią artystyczną i ogromną kuchnią. Miał mieć wędzarnię, gorzelnię i miniaturowy browar. Całkowicie samowystarczalny, jak pierwsze warowne domy stawiane po upadku Cesarstwa Rzymskiego. Twierdza dla dwojga.

Było już tak blisko.

„Piotrze”.

Wyrosła z tego. Była zmęczona walką z całym światem. Zrozumiała, że on nigdy nie dorośnie i wiecznie będzie uciekał od odpowiedzialnej roli, jaką przeznacza mu życie w społeczeństwie. Czas pionierów i białych plam na mapie minął. Ona dojrzała i potrzebowała kogoś



odpowiedzialnego, kto da jej poczucie bezpieczeństwa. Chciała wychować swoje dzieci w poczuciu odpowiedzialności i poszanowaniu obowiązków. Nie mógł pojąć, skąd wzięła ten język. Zrobili jej operację? Ktoś jej dyktował?

Spakował swojego „dirdżona” do kolekcji rzeczy, które kochał. Pamiątek. Razem z jej zdjęciem i kluczem, który zdążył jeszcze wykuć w swojej kuźni, zanim musiał wszystko sprzedać, żeby zapłacić podatek.

Tak radziły niemowlęta.

„Zabierzcie to, co kochacie”.

Powód czwarty: „dirdżon”.

Żegnaj, Anitko. Żegnaj, mój nagle dorosły czarny aniele, szukający państwowego „poczucia bezpieczeństwa”. Farewell, moja piękna, która wyrosłaś z człowieczeństwa.

Powód piąty: jego kuźnia.

Żegnajcie, przepisy prawa pracy, obowiązkowe składki, podatki wyrównawcze i przepisy BHP. Żegnajcie, zakazy produkcji „niebezpiecznych narzędzi”.

Rozpalę moje palenisko gdzie indziej.

Dlatego w gruncie rzeczy było mu obojętne, czy Słońce wybuchnie czy nie.

Kiedy pojawili się Tamci, dosłownie kilka dni po tym, gdy przemówiły niemowlęta, było mu nawet obojętne, czy przybyli, żeby podbić Ziemię, czy żeby zmienić ludzi w niewolników. Patrzył na to wszystko z boku, przepojony kompletnym fatalizmem. Na dyski sunące bezgłośnie i strasznie przez błękitne wiosenne niebo. Olbrzymie, lśniące jak soczewki z rtęci, jeżeli patrzyło się z odległości kilometra, a czarne jak studnia do wieczności, jeżeli przelatywały ci nad głową.

Mieli nawet dyski. Pieprzone latające talerze.

Ależ to była histeria.

Miotali się jak stado kur na widok pterodaktyla. Niektórzy popadli w

stupor, niektórzy sięgnęli do zachowań rutynowych. Modły, zawrozczenia, próba ucieczki na wieś i zapasy mąki w tapczanie. Wiedza prababek kazała jeszcze gromadzić sól, cukier, zapałki, świece i konserwy, ale to wszystko zdążyło już znaleźć się na indeksie. Zapasu warzyw na parze nie bardzo dało się zrobić.

Pisarze fantastyki i ufolodzy nagle awansowali do roli ulubieńców mediów i wizjonerów. Nie było po co zapraszać do studia astronoma, który całe życie upierał się, że życie poza Ziemią jest niemożliwe, a podróże międzygwiazdne są kompletną bzdurą. Nie w sytuacji, kiedy nad głową sunęły dyski świeżo po podróży międzygwiazdnej, najwyraźniej wypełnione życiem spoza Ziemi, które ot tak sobie kazało przemówić niemowlętom.

Histeria trwała tydzień. Histeria potężna, na skalę międzygwiazdną. Pisarze fantastyki bredzili o wojnie galaktycznej, ufolodzy o kosmicznych wibracjach i duchu przyjaźni wszystkich istot.

Najgorsze było to, że w końcu wszystko okazało się takie banalne. Zgodne z wszelkimi najbardziej tandetnymi wyobrażeniami. Latające talerze. Obcy mający dwie nogi, dwie ręce i głowę. Uczni przez lata tłumaczyli przemądrzałym tonem, że o ile istnieją jakieś żywe istoty w kosmosie, nie mogą przecież wyglądać jak ludzie.

A tymczasem wyglądali – mniej więcej.

I już.

Przynajmniej zgodnie z relacjami tych nielicznych, którzy ich widzieli. Obcy komunikowali się przez niemowlęta i niewielu mogło spotkać ich osobiście.

Odgrzebano wszystkie stare filmy w nieocenzurowanych wersjach. Dzień w dzień leciały: „Wojna światów”, „Gwiazdne wojny”, „Gwiazdne wrota”, „Dzień Niepodległości”, a nawet „Plan 9 z kosmosu”. Cywile zaciągali się na ochotnika, żołnierze dezercerowali.

A potem nagle nastąpiła martwa, straszna cisza.

Kosmiczne wojny znikły z ekranów jak zdmuchnięte. Zastąpiły je filmy pokazujące Obcych jako dobroduszne, szlachetne istoty. „Bliskie spotkania”, „ET”, „Kula”. To wtedy pojawiła się medialna nazwa „elfy”. Smukłe, eteryczne, starsze od ludzi, szlachetne istoty. Skojarzenia pozytywne.

Coś się działo.

Cisza trwała cztery dni.

Pisarze SF przestali być zapraszani do studia, ich miejsce po staremu zajęli politycy. Piotr patrzył na to wszystko obojętnie. Tylko kiedy zrozumiał, że nie będzie promieni śmierci, poczuł rozczarowanie.

— Jest układ – powiedział mu kuzyn zwany Rysio. Kuzyn polityk. Kuzyn szycha. Kiedyś był grubym okularnikiem, którego Piotr straszył pajakami, wpychał w pokrzywy i skłonił do wypicia tuszu. A teraz siedzieli na tarasie jakiegoś wzniesionego na Mazurach pałacu, Rysiek bez najmniejszych ceregieli palił sobie cygaro, po jeziorze krążyła motorówka z uzbrojonymi po zęby Ludźmi w Czerni. – Wejdzcie ustawa o zachowaniach antyspołecznych, a ty masz już kartotekę jak słońca nos. Wiesz, jak to jest. Ludzie są głupi, więc system musi ich pilnować. Prędzej czy później na czymś wpadniesz. A to z kolei będą haki na mnie. Nasza opcja już długo nie pociągnie i wróci tęczowa komuna. Na cztery lata. Ale ja jestem ekspert i nie chcę, żeby mnie wymienili. Dlatego załatwiłem ci to. Robię to dla mojej matki.

Położył na tekowym ogrodowym stole elegancką, cienką teczkę.

— Co to jest?

— Bilet w kosmos. Nasi przyjaciele oferują nową planetę. Dla wszystkich chętnych. Nowa Ziemia, kolonizacja, te rzeczy. Nie dziękuj.

— Słyszałem – powiedział Piotr. – To ewakuacja. Słońce wybuchnie.

— E tam. Ściema. Miejska legenda. Elfy nic nie wspominały o Słońcu. Sprawdzaliśmy u jajogłowych. Żarplaneta jest w porzo. Nic jej nie brakuje.

Pochylił się.

— To polityka. Chcą nas osłabić. Ziemię, rozumiesz. Rozdzielą na mniejsze grupy, zajmiemy się kolonizacją i przez paręset lat nie zaistniejemy w polityce. My – ludzie. Ziemia. Myślisz, że tam w górze nie ma polityki? Gdybyśmy sami odkryli napęd, zaczęlibyśmy szukać własnych kolonii i moglibyśmy im namieszać. A tak dają rezerwat i spokój. Nie mamy wyjścia. Musimy się zgodzić. Wybrali nas. Wybrali nasz kraj. Teraz trzeba to wykorzystać. Na całej Ziemi kupa ludzi już się pakuje. Porąbańcy, jednostki antyspołeczne, socjopaci. Tacy jak ty. A ja chcę mieć gwarancję, że nie zabraknie dla ciebie miejsca. To jak?

Piotr zabrał kopertę ze stołu i nachylił się do kuzyna.

— Ci sami jajogłowi upierali się, że latające talerze nie istnieją. I że prędkość światła jest nieprzekraczalna. Polecę. Nawet gdyby Słońce nie miało wybuchnąć, i tak bym poleciał.

Odwrócił się jeszcze, schodząc z tarasu. Ochroniarz, dwumetrowy grabarz z aparatem słuchowym, ruszył mu na spotkanie. Piotr zobaczył swoje odbicie w okularach wyglądających jak czarne telewizory.

— Rysiu, jak oni wyglądają?

— Elfy? Jak żelki.

— Jak co?

— No, te przezroczyste, gumowate cukierki, które jedliśmy w dzieciństwie. Albo jak ludki z wody. No, kurna, jak ufoki, co tu gadać. Sam zobaczysz.



Niebieski Paszport – tak naprawdę jedyna rzecz, która mogła być coś warta. Nie była potrzebna, żeby dostać się na lotnisko i wsiąść na statek. Tamci przyjmowali każdego. Wyznaczyli daty ewakuacji, ale wysyłali je

mailem każdemu, kto chciał. Chodziło o to, żeby tłum nie koczował na lotniskach. Niebieski Paszport był wynalazkiem Tego Kraju.

Gwarancją nietykalności dla emigranta. Nie wolno go było aresztować ani zatrzymać. Miał datę odlotu. Miał Niebieski Paszport. Więc nie wolno go było powstrzymywać. To najwyraźniej była część Układu. Jeżeli ktoś naprawdę przesadził, na przykład pobił policjanta, zapalił papierosa, założył czapkę albo przechodził przez ulicę po dwóch piwach, zamykali go, ale potem z pompą odwozili na wskazane lotnisko.

Cieszył się, że go ma, bo nagonka w mediach na emigrantów przeszła ludzkie pojęcie. Wyliczono nawet, że każdy wyjeżdżający okrada państwo ze średnio pół miliona euro, które wpłaciłby do końca życia do Systemu Opieki Społecznej.

Demokratyczna Partia Równości nazywała wyjeżdżających aspołecznymi faszystami, którzy na miejscu i tak pozabijają się nawzajem z łatwo dostępnej broni oraz wymrą w ciągu paru lat z powodu powrotu do niezdrowego stylu życia. Prorokowała przemoc, nierówność, dziki kapitalizm, przesady religijne, zdziczenie, rasizm i molestowanie seksualne.

Blok Narodowo-Chrześcijański porównywał efekty emigracji z ludobójstwem i eksterminacją narodową. Odwoływał się do patriotyzmu oraz do faktu, że pod obcym niebem nie będzie zbawienia. Emigrację ogłosił równoznaczną z ekskomuniką i zdradą główną. Prorokował anarchię, prostytutkę, pornografię i dziki kapitalizm.

Wszystko to nie miało dla niego znaczenia, bo śnił o tamtym świecie. O ile się zorientował, wszyscy zdecydowani emigranci śnili to samo. Od kilku miesięcy oglądał kipiące zielenią lasy, szybował nad górami, podziwiał szmaragdowe morza, puste, gotowe do zamieszkania bezludne miasta, w których budynki, aleje i chodniki pokrywała lśniąca, przejrzysta błona, podobna do folii. Nowy świat w nietkniętym pudełku. Miasta były prowizoryczne, ale komfortowe.

Kiedy się budził, najpierw sprawdzał, czy Słońce jeszcze świeci, a potem czy nadal ma swój Niebieski Paszport.

Jego pieśń pożegnania.

Farewell Blues.

Dołożył do plecaka jeszcze rozmaite urzędowe pisma zapakowane do skórzanej okładki, w której Rysio przekazał mu paszport. Wyciągnął minidysk ze szczeliny odtwarzacza, na którym nagrał sobie cztery godziny publicystyki. Wiadomości, programy interwencyjne i dyskusje.

Okupujące stoły w studiach śliskie, plastikowe typki, takie jak Rysio. Wyhodowane na demokracji pasożyty. Cała nietykalna kasta wymuskanych półgangsterów. Żaden nigdy nie zrobił niczego potrzebnego, na niczym się nie znał, nie dotyczyło ich nic z uciążliwości, które szczerze fundowali innym. Mieli forszę, od ręki dostawali ochronę i pozwolenia na broń, jeździli z taką prędkością, z jaką mieli kaprys, jedli, pili i palili, co chcieli. Jedyne, na co musieli uważać, to paparazzi. Żadna skomplikowana procedura nie mogła ich ruszyć. To oni tworzyli system, więc był im posłuszny. Mieli swoje ordynacje, immunitety i przywileje.

Żegnajcie, bydlaki.

Jeśli spróbują się tylko odrodzić tam, na Nowej Ziemi, zastaną wściekły tłum i suchą gałąź z przerzuconym sznurem. A Siedlarski będzie stał na czele tego tłumu z pochodnią w rękach.

Żegnajcie.



Kiedyś ogarnie go nostalgia. Wiedział, że zatęskni do znajomych kamieni, do grobów przodków, do klifów Dover, do wybrzeża w Dębках, do mazurskich jezior. Nawet, dlaczego nie, do Giewontu, Wawelu i Dworu Artusa. Może do czeskiej Pragi. Na pewno zatęskni do

Tego Kraju. A wtedy otworzył swój stary plecak i wyjmie to wszystko. Swoje lekarstwa na nostalgię. Starannie, jedno po drugim.

Pamiętki.

To, co kochacie.

Tak jak radziły niemowlęta.

Zamknął plecak i założył świeżo kupione ubranie. Jedni zakładali najlepsze garnitury, niczym do trumny, inni stroili się jak na wakacje: klapki, szorty, hawajskie koszule. Wiedzieli, że po tamtej stronie znajdują te dziwaczne zautomatyzowane składy, wydające za darmo wszystko, co sobie wymarzysz. Ekonomiści brali się za głowę, politycy tłumaczyli godzinami, że to niemożliwe. Tyle tylko, że widział je i wiedział, jak będą działały.

Widział we śnie.

Siedlarski założył ciężkie buty, drelichowe portki i piaskową koszulę. Mocne, wygodne rzeczy, mogące przetrwać miesiącami wśród niezbadanych puszczy Nowej Ziemi. Tam, gdzie pójdzie szukać złota, przewozić towary ciężarówką, przecierać szlaki i wznosić osady.

Nie wiedział jeszcze, co będzie robił. Mógł wszystko. Tam, w głębi lądu, prawo będzie obowiązywało tylko na odległość jego prawego ramienia. Kiedy o tym myślał, czuł się, jakby wracał do domu. Jakby czekało na niego naturalne środowisko.



Ostatniego poranka na Ziemi nie zjadł śniadania. Bał się otwierać lodówkę. Tydzień temu wyłączono mu prąd i teraz spod drzwi wyciekał jakiś bury, cuchnący płyn. Nie wiedział, co to jest, i nie chciał wiedzieć. Zresztą i tak nie było tam nic godnego uwagi.

Zdjął z czujnika zwiędłą, zwulkanizowaną od upału prezerwatywę i

zapalił skręta z przemycanego tytoniu.

Żegnaj, moje gniazdko.

Kiedy wychodził już na schody, nadal nie było słycać syren. Państwo zaczynało się sypać.

Zostawił otwarte drzwi. Większość samotnych emigrantów tak robiła.

Żegnajcie.

Nie dostaną jego składek, ale za to będą mogli przebierać do woli w pustostanach. Bezrobocie przejdzie do historii, podobnie jak tłok w autobusach.

Chyba że Słońce jednak wybuchnie.

Żegnaj, Słońce.



Sąsiad stał na dole w bramie, kryjąc się w jej smrodliwym cieniu przed lipcowym, wściekłym upałem, i zastawiał swoim rozdętym cielskiem drzwi. Celowo.

— A gdzie się sąsiad wybiera?

— Bo co?

— Bo mnie się, kurna, zdaje, że na stację. Bez obrazy, sąsiad, ale podobnież przez takich jak ty to ma zasiłków zabraknąć.

Siedlarski spojrział na zegarek i stwierdził, że zostało mu trzy i pół godziny. Trzy i pół godziny na Ziemi.

— W telewizji mówili. Nie będzie komu robić, to i zasiłków nie będzie. Ja jestem inwalida, kurna. Pan, sąsiad, jesteś w porządku, na wino mnie dawałeś. Ale pojechać to, bez obrazy, nie pojedziesz. No bo każdy ma obowiązki, nie? A jak wszyscy pojedą, to co będzie?

— To będziesz musiał na siebie zarobić, inwalido – powiedział Siedlarski i ruszył do przodu. Na kiwające się w świetle bramy rozdęte



cielsko, rozpychające od środka pasiastą podkoszulkę niczym kosmata plażowa piłka.

— Co... do mnie tak?! Ty, kurwa, cwelu, przecież cię zajebię! – zawarczał inwalida. Obowiązkowa, tradycyjna gadka poprzedzająca wrzaskliwą, chaotyczną bójkę w bramie. Taka gra wstępna.

— Po pierwsze... – zaczął Siedlarski, nie zatrzymując się ani na chwilę – stoisz mi na drodze. Po drugie...

Sąsiad nigdy nie dowiedział się, co będzie po drugie. Siedlarski sam nie wiedział. Jedną z niepisanych zasad ulicznej gry wstępnej było zaczynanie bójki po zakończeniu kwestii. Haratanina zaczynała się, kiedy wyczerpano koncept. Tak samo było od paleolitu i tak samo odbywa się to zarówno wśród orangutanów, jak dachowych kotów. Dlatego Siedlarski powiedział „po drugie” i lewą dłonią chwycił zasłuchanego sąsiada za twarz.

Tamten poderwał odruchowo ręce i natychmiast odebrał potężne kopnięcie w krocze. Mocnym butem firmy 5.11, specjalizującej się w odzieży dla najemników i firm ochroniarskich. Wzmacniany kewlarzem czubek buta wbił się pod brzuch sąsiada i zatonął na ułamek sekundy jak w worku tranu.

Bez większego efektu. Grubas stęknął tylko i ruszył naprzód jak rozwścieczony byk. Przez jedną okropną sekundę Siedlarski pomyślał, że już po nim. Jednak impuls nerwowy w mózgu sąsiada, który najwyraźniej utknął gdzieś po drodze w korku, przedarł się przez rzadko używane sieci neuronów, trąbiąc wściekle na wywołane alkoholem roboty drogowe, i wbiegł zdyszany do ośrodka bólu, kiedy wielkie pięści były już w drodze.

Sąsiad zatrzymał się nagle, jakby wpadł na przezroczystą ścianę, objął swój rozdęty brzuch i złamał się wpół jak rodząca foka.

Siedlarski opuścił uniesione obronnie ręce i spojrzał na sąsiada składającego mu coś podobnego do pokłonu. Grubas oparł dłoń o

cementową posadzkę, uniósł się trochę i zwymiotował na schody.

Piotr podniósł plecak, obszedł grubasa z boku i dla pewności kopnął go jeszcze raz w żebra. Tamten zawył i padł ciężko na bok, jak zdychający bawół.

— Żegnaj, sąsiedzie – powiedział Siedlarski. – Przekaż moje pożegnanie wszystkim takim jak ty. Farewell.

Na ulicy trząsał się jeszcze ze złości i napięcia, ale nie wiedział, czy wywołała je bójka, czy wyjazd. Dziwnie było tak iść znajomymi ulicami, mając świadomość, że to ostatni raz. Absolutnie ostatni. To nie Australia. Tam, po tamtej stronie wielkiej pustki, będzie patrzył na Słońce, wypatrując go nocą wśród gwiazdozbiorów. I będzie to światło z czasów, gdy ludzie siedzieli w jaskiniach. Nawet nie dowie się, czy w końcu wybuchło. Jeśli zamieni się w supernową, zobaczą to za tysiące lat. Wszyscy jego przodkowie – Pizarro, Leif Eriksson albo Vasco da Gama mogli wrócić ze swoich nowych ziem. Siedlarski wybierał się w jedną stronę.

I tak nie miałby do czego wracać.



Miasto nie wyglądało jak po zagładzie nuklearnej, ale czuło się, że coś jest nie tak. Widać było powybijane szyby w oknach, obrabowane, porzucone samochody stojące w bocznych uliczkach i straszące wybebeszonym wnętrzem, ale nie było ich aż tak dużo. Miasto nie było też całkiem puste. Trochę jak o świcie, a trochę jak w jakieś święto. Przechodniów niewielu, korki też jakby gdzieś znikły. Podobno dość często natomiast znajdowano porzucone niemowlęta. Niektórym trudno było zapomnieć, jak słodka, świeżo przyniesiona ze szpitala Pusia nagle otwiera oczy i wygłasza międzyplanetarne odezwy skrzekliwym, obcym

głosem. Niektórzy nigdy potem nie przestali się bać.

Policjanci chodzili w pięcioosobowych patrolach, w hełmach i z automatami przewieszonymi przez plecy. Od czasu do czasu ulicą przemykał kanciasty samochód pancerny z wymalowanymi białą farbą znakami IPROFOR-u, pełen jakichś Szwedów albo Niemców, kryjących się przed upałem za zatrzaśniętymi włazami.

Pod dworcem było ich więcej. Samochody pancerne, policjanci topiący się od ukropu w czarnych drelichach. I tacy jak on. Wychodzący z zaułków i ulic w gwiaździstym marszu na dworzec, niosący mniejsze niż czterdzieści centymetrów bagaże z pamiątkami. Walizki, nesesery, torby. Ktoś niósł nawet tekturowe pudło. Piotr zastanowił się, co mogą w nich mieć. Zdjęcia? Drobiazgi? Bibeloty? Dorobek intelektualny ludzkości został skopiowany i znajdował się już na miejscu. Jak wyspany gigantycznym odkurzaczem. Święte księgi i chłam z list bestsellerów. Wszystko. Wiersze i przekleństwa. Koran i „Wściekłość i duma” razem. Wszystko.

Nic nie trzeba było zabierać. Tylko pamiątki.



Na dworcu było już ich widać. Z daleka, zanim wszedł na prowadzące na perony schody, słyszał już okrzyki tłumu. Zawsze kiedy odjeżdżał pociąg na lotnisko, na dworzec przychodził tłum. Milczący emigranci, schodzący między szpalerami policjantów na perony, i tłum tych, którzy zostawali. Czasem przychodzili się pożegnać, a czasem wrzeszczeć i rzucać czymś nad składanymi barierami ze stalowych rurek.

Tutaj po raz pierwszy emigranci czymś się różnili. Niebieskim Paszportem dyndającym na szyi, który otwierał wejście na peron, oraz przytulonym do ciała tobołkiem.



Zaczęli rozmawiać dopiero w pociągu. Starym pociągu podmiejskim, całym pokrytym olbrzymimi graffiti jak liszajem, z ekranami z siatki założonymi na powybijane okna. Obcy ludzie, którzy uświadomili sobie, że niedługo położą się do podłużnych, podobnych do sarkofagu pojemników, a obudzą już na Nowej Ziemi. Obok tych samych, którzy teraz jadą tym pociągiem, i nie wiadomo kogo jeszcze.

To była kolejna rzecz, której nikt się nie spodziewał. Wywożono jak popadnie. Żadnego przenoszenia narodów i państw. Tylko miliardy przypadkowo wymieszanych pojemników. Ci, którzy położyli się razem, mieli szansę, że znajdą się razem również na miejscu, ale pewności nie było. Zbiorniki przeładowywano, transportowano różnymi statkami, jak kontenery pomarańczy. Można było wybrać podwójny sarkofag, żeby wyruszyć razem z dzieckiem, i tyle. Jeśli ktoś miał kilkoro dzieci, któreś mogło zostać wysłane na drugą stronę planety. Siedlarski pomyślał, że szukanie pogubionych bliskich może być tam na miejscu niezłym interesem. I to mimo tej całej globalnej sieci, przy której ziemski Internet był jak telefon ze sznurka i puszek po paście do butów.

Tutaj prorokowano, że przemieszani koloniści zaraz po przebudzeniu skoczą sobie do oczu. Arabowie Żydom, biali Murzynom i tak dalej. Siedlarski w to wątpił. Może potem, kiedy utworzą się już jakieś koterie i grupki. Ale raczej podejrzewał, że ci agresywni spróbują zdominować resztę. Bez względu na pochodzenie i kolor skóry czy oczu.

Za oknami przesuwiał się pusty wiejski krajobraz. Spalone upałem złote pola, błękitne niebo i wściekłe, rozpalone Słońce, oko dnia naszego. Żegnaj, Słońce.

Słońce wybuchnie.

Ktoś podał mu otwartą butelkę. Łyk wspólnej ciepłej wódki miał w sobie coś z komunii. Przełknął ją, łamiąc kilkanaście przepisów, i podał dalej. Drzwi wagonu były otwarte, ktoś siedział na schodkach, paląc bezwstydnie papierosa, nad jego głową przesuwały się porzucone pola, chwiejące się łany zboża, przy których nikt nie pracował.

Bezpańskie samochody stały czasem przy drodze, czasem w polu. Zabierano je z ulic i jeżdżono, póki nie zabrakło darmowej benzyny. Wtedy zostawiano i szukano następnych.

Rozejrzał się po wagonie, patrząc na siedzących. Niektórzy nerwowo wyłamywali palce i patrzyli w podłogę. W powietrzu unosiły się kłęby dymu z przemycanego tytoniu, ale nikt nie protestował. Ktoś się modlił, ktoś grał na harmonijce bluesa.

Takiego, jaki bębnił mu w głowie od dawna.

Pożegnalny blues.

Farewell Song.



Zobaczył ją, kiedy zbierali się już do wysiadania na okolonej zaporami i strykerami IPROFOR-u prowizorycznej stacji, otoczonej siatką i wyłożonej betonowymi płytami. To było jak nagły błysk. Jak objawienie. Zupełnie jakby znał ją od dawna.

Nie była piękna. Nie w tym sensie.

Natomiast była idealna. Kiedy Siedlarski ją zobaczył, odniósł wrażenie, że serce mu pękło z zachwyty. Miała coś takiego w figurze i rysach twarzy, co pasowało do jego wzorca kobiety jak klucz do zamka. Wiedział, że zamarł z półotwartymi ustami, gapiąc się niby ciele, ale nic nie mógł na to poradzić. Ktoś go potrącił i czar prysnął.

Ruszył wąskim korytarzem zwieńczonych drutem żyletkowym

płotów, starając się nie stracić jej z oczu.

Tłum wcisnął się w korytarz i zmienił w przesuwaną powoli kolejkę, niknącą gdzieś przy wejściu do budynku lotniska, nad którym wznosił się ogromny, płaski masyw statku. Kolejne trzy tkwiły nieruchomo i bezgłośnie na niebie, czekając na odlot lub załadunek. Były jak latające wyspy z lśniącego obsydianu albo ogromne czarne soczewki.

W powietrzu wisiała ciężka, drżąca od upału cisza. Tam, gdzie pojawiały się statki Obcych, znikwały ptaki. Nikt nie umiał usunąć mew, kawek i sójek z okolic lotniska, a teraz znikły wszystkie. Co do jednej. Nawet świerszcze i muchy umilkły.

Znajdę cię, pomyślał, patrząc na jej szczupłe plecy i włosy spięte w koński ogon.



Wpuszczano po dziesięć osób, potem było kilka minut przerwy. Minut, w czasie których należało rozebrać się do naga i położyć w sarkofagu, schowawszy bagaż i ubranie w specjalnym schowku. Pojemnik zamykał się i usypiał cię delikatnie jak kołysanka prababci. Kiedy otwierałeś oczy, było już po wszystkim. Nowy świat, Nowa Ziemia, nowe niebo i nowe, stabilne Słońce.

Wszystko odbywało się automatycznie. Żadnych pasów, kubeczków soku i posiłków na tackach. Ale też żadnej zakrzepicy, mdłości i dolegliwości związanych z jet-lag. Sarkofag, głęboki, śmiertelny sen anabiozy i – witamy na Nowej Ziemi.

Za siatką, wysokim płotem z cienkich, zgrzewanych prętów, ustawiono betonowe zapory, potem wozy pancerne i patrole IPROFOR-u, potem jeszcze jeden płot z żyłtkowej koncertyny, jak rozciągnięta kolczasta spirala DNA, i tłum. Nawet nie tak wielu. Ci, którzy chcieli się

pożegnać, stali bliżej wejścia, tam gdzie można było wyciągnąć przynajmniej rękę przez druty. Tu stały świry.

Ktoś mógł uznać, że niczego nie zgubił po drugiej stronie wszechświata, i postanowić zostać. To Siedlarski rozumiał. Ktoś mógł nie wierzyć, że Słońce wybuchnie albo że aksamitny totalitaryzm przynajmniej daje iluzję bezpieczeństwa. W porządku.

Ale komu chciało się przyjeżdżać tu dzień w dzień w upale, żeby wygrażać pięściami, machać transparentami, złorzeczyć, wykrzykiwać jakieś głupstwa i rzucać kamieniami?

Komu chciało się skakać po dachu mikrobusu, wymachując przyklejoną do dykty reprodukcją obrazu z Jasnej Góry, nad wypisanym na szybie: „Jezus zostaje na Ziemi”?

Bardziej już podobał mu się transparent „W kosmosie nikt nie usłyszy twojego krzyku”.

No i niech tam.

Na Ziemi też nikt go nie słyszał.

Im bliżej wejścia, tym ludzie robili się bardziej nerwowi. Co chwilę ktoś spoglądał na Słońce, osłaniając oczy, jakby spodziewał się, że nagle rozleje się na pół nieba i spopieli wszystko, zanim uda się wejść na pokład.

Dziesięciu i pięć minut czekania.

Co najmniej pięć minut.

Przed drzwiami portu stali obcy żołnierze. Spoceni, o czerwonych twarzach, w mundurach z kanciastym jaskrawozielonym kamuflażem.

Odliczali dziesięć osób i wpuszczali je do środka.

Przerwa.

Nie było sensu nawet próbować niczego zmieniać, kombinować czy zagadywać ich. Nie znali języka. Byli w zasadzie nieprzekupni.

Skandynawowie.

Siedlarskiemu to odpowiadało. IPROFOR był w porządku. Nie

rozumieli transparentów ani okrzyków. Jeżeli odpędzali tłum od barier, można było do woli skandować „gestapo”. Nie wiedzieli, co to znaczy, i nic ich to nie obchodziło. Obchodził ich upał, bariery i to, że są odpowiedzialni za bezpieczeństwo emigrantów. Pilnowali lotniska. Koniec.

Zawodowcy.

Był ciekaw, skąd pochodzą, i zdołał wypatrzeć błękitno-złoty emblemat z trzema koronami.

Szwedzi.

Kolejnych dziesięciu, oddzielonych klepięciami w ramię, syk drzwi.

Wypatrzył swoją dziewczynę, weszła w poprzedniej grupie. Nic nie dało się zrobić.

I tak mieli szanse wylądować w tym samym miejscu.

Czekał.

I zauważył, że sam spogląda w niebo. Nawet nie dlatego, żeby Słońce miało wybuchnąć, ale dlatego, że to mógł być ostatni raz. Jeszcze chwila i Słońce, które zobaczy ponownie, będzie zupełnie inną gwiazdą, świecącą po drugiej stronie wszechświata.

Cyniu spękał właśnie w tym momencie.

Kiedy Siedlarski spotkał go z nienacka na mieście, serce stanęło mu w piersi, bo Cyniu powinien był już być po drugiej stronie kosmosu i byczyć się na dziewiczej plaży z butelką rumu i cygarem.

— Nie mogłem – wyznał Cyniu. – Nie chodziło nawet o moich starych albo o Ten Kraj. Nie mogłem. To za daleko. Uświadomiłem sobie, że nawet gwiazdy będą inne. Nie mogę. To nienormalne. Człowiek nie może żyć poza swoją planetą. Wybacz mi... Ja nie mogę. Przecież tu zostanie wszystko... Każdy kamień...

Widok płaczącego dorosłego mężczyzny w garniturze i z krawatem jest przerażający i Siedlarski długo nie mógł pozbyć się go spod powiek.

Ale nie zamierzał się cofać.



Odliczali ich. Jego grupę. Zobaczył tamtego, kiedy klepnięto go w ramię jako piątego z kolei.

Facet wyglądał okropnie. W mundurze z kanciastym szwedzkim kamuflażem, zasmarkany, czerwony na twarzy, wyszedł chwiejnym krokiem gdzieś ze środka hali przylotów i spróbował złapać przechodzącą dziewczynę. Wrzasnęła i odskoczyła w tył, w tłum. Szwed chwycił Siedlarskiego za koszulę. Ktoś wrzasnął, zrobiło się zamieszanie.

— *Stick! Dom ljuger! Dom dödar oss!* – wyrzęził bełkotliwie, szarpiąc rozpaczliwie, jakby chciał wbić Piotrowi coś do głowy. Z kącika ust toczyła mu się strużka spienionej śliny.

Boże, to wariat, zrozumiał Siedlarski i chwycił tamtego za nadgarstek, jednak żołnierz trzymał jak imadło.

— *Fly! Dom kommer att döda oss!* – krzyknął Szwed rozpaczliwie. Miał straszne, rozszerzone źrenice i nieprzytomne oczy, niczym narkoman.

Siedlarski poczuł, jak chwyta go wielu ludzi, któryś z żołnierzy zamachnął się karabinem i grzmotnął tamtego kolbą w bok głowy, obłąkany zniknął w tłumie, jakby w nim tonął, zapadając się wśród zielono-oliwkowego kamuflażu. W samym środku kłębowiska rozległ się paskudny, smażący nerwy dźwięk paralizatora i krzyk. Nagle grupka miotających się po betonie ludzi wybuchła krótkim, rozpaczliwym wrzaskiem i wszyscy odskoczyli do tyłu. Żołnierz zdołał wyszarpnąć komuś z kabury pistolet. Emigranci zamarli w przerażonym milczeniu. Szwed siedział przez chwilę z bronią w dłoni, wtem wsadził sobie lufę pod brodę i nacisnął spust. Huk smagnął powietrze jak pejcz. Żołnierz podskoczył w miejscu, po czym zwalił się bezwładnie jak worek, a w pół sekundy później na wstrząśnięty tłum spadł deszcz krwi i kawałków mózgu, podobnych do niedosmażonej jajecznicy.

Siedlarski stał przejęty zgrozą, jak oniemiały.

— O Boże – wyszeptał i przełknął ślinę.

Przeszedł przez drzwi, patrząc na nieruchome ciało na podłodze.

Jedna noga ciągle podrygiwała lekko. Temu też odwaliło, pomyślał.

Dosyć, świry, powiedział sobie, kiedy wszedł już do boksu. Sarkofag wyjechał przez niewielkie drzwiczki i rozwarł się przed nim zachęcająco, śliski wewnątrz niczym macica, pokryty śluzem i czymś podobnym do tkanki. Śmierdział lekko acetonem.

— Żegnajcie – powiedział Siedlarski, rozpinając koszulę. – Farewell, Ziemi.

## Gunnar

Tego dnia z samego rana Ole zwariował. Bez najmniejszych wcześniejszych oznak, od zera do setki, co było w tym wszystkim najbardziej przerażające. Dobra – kupował od Polaków nielegalną wódę, a porucznik Kirsten wmawiała im, że to świństwo, od którego można się nawet przekreślić. Zawiera zanieczyszczenia, olejki fuzlowe i metanol i jest jeszcze bardziej trujące niż normalny alkohol.

Pieprzenie.

Niechby Ljungberg oślepl – w porządku. Niechby się porzygał i dostał jakichś żołądkowych objawów, można by wierzyć, że chodziło o wódę. Ale on zwyczajnie zwariował.

Najpierw zniknął z kordonu. Dobra, i to się zdarzało. Każdy wiedział, że lubi sobie zajarać jointa i włazi w jakieś zakamarki. Ale pojawił się pół godziny później wyglądający jak nieboskie stworzenie, śliniący się i bełkoczący, rzucił się na emigrantów, wrzeszcząc coś i szarpiąc ich niczym goryl.

Gunnar skoczył do niego, zablokował mu ramię, ale wtedy Ole odwrócił się i wydał z siebie przerażający wrzask, którego nie mogło zrodzić ludzkie gardło. Ni to pisk świni, ni to krzyk, od którego jeszcze ciarki chodziły mu po plecach. Chwycił Gunnara za bluzę i cisnął nim na odlew w ogrodzenie, jak słomianym chochołem.

Podcięli mu nogi, Karl wskoczył Ljungbergowi na kark, założył od tyłu pałkę na szyję i ciskał się na wszystkie strony, usiłując utrzymać na plecach kolegi, niby kowboj ujeżdżający byka, dwóch ludzi ciągnęło tamtemu ramię, chcąc zapiąć kajdanki, Kirsten wpakowała mu ampułkę w udo, a i tak Ljungberg miotał nimi jak niedźwiedź, wydając jakieś dzikie ryki, upłynęło ładne parę minut, zanim zmiękł i uspokoił się.

Świetny dzień, nie ma co.

Do tego z nieba lał się nieludzki, tropikalny upał, ale Słońce przynajmniej świeciło na swoim miejscu.

A może Ljungberg przegrzał banię?

Potem były niekończące się godziny, sączące się w upale jak ropa z rany. Kordon, grzechot krótkofalówek i niemający końca korowód emigrantów. Wrzask protestujących i ciągnący się po horyzont orszak smętnych uchodźców z bagażami.

Odliczyć dziesięciu, sprawdzić, czy mają przepisowe bagaże, puścić przez bramkę analizatora.

Zamknąć drzwi, otworzyć... I tak w kółko.

Po paru godzinach człowiek zamienia się w automat.

Jeszcze cztery miesiące.

Cztery miesiące i sam stanie w tej kolejce. Ale przedtem spotka tę sukę Kirsten, panią porucznik Kirsten, sam na sam.

Gdzieś w ciemnej uliczce.

Najlepiej tutaj. I tak będzie na Polaków.

Dziesięciu, bagaże, drzwi, bramka.

Cztery miesiące...

O ile Słońce przedtem nie wybuchnie.

Kiedy zobaczył ją idącą prosto na niego, w obcisłych dżinsach i z torbą w ręku, po prostu odebrało mu mowę. W życiu nie widział takiej dziewczyny. Była taka, jakiej szukał przez całe życie. Wiedział, że potrafiłaby być i kochanką, i przyjacielem. Bliska i pociągająca zarazem.

Wiedział o niej wszystko w ułamku sekundy. Pasowała do niego tak, jak pasują do siebie dwie dłonie. Czuł, jak wali mu serce.

— Idę się odlać – powiedział Kallströmowi stojącemu obok.

Wślizgnął się do sali odlotów i nie zwracając niczyjej uwagi, przeszedł w bok, gdzie rozciągały się rozmaite pomieszczenia techniczne, jeszcze z czasów, gdy było tu zwykłe lotnisko. Tu i w miejscach, gdzie stacjonowali, wyglądało normalnie. Cała reszta lotniska obrosła konstrukcjami Tamtych. Na wpół geometrycznymi i na wpół owadzimi, jak wzniesionymi przez mechaniczne szerszenie. Nikt tam nie wchodził. Można było się zgubić – lśniące, cuchnące acetonem owalne korytarze rozgałęziały się, tworząc istny labirynt, ze ścian wystawały pokręcone, pulsujące kształty, niczym zdrewniałe jelita. Ponoć im bliżej statku, tym dziwniej. Ponoć było tam promieniowanie, które mogło zabić na miejscu. Ludziom zamkniętym w sarkofagach nic nie groziło, ale łożenie tamtędy mogło się źle skończyć. W efekcie nikt nie miał ochoty włączyć w podobną do obłąkanego stalowego osiego gniazda część Tamtych.

Nikt z wyjątkiem Gunnara.

Gunnar za wszelką cenę chciał zobaczyć Obcego. Chociaż raz. Dlatego złamał zasady, rozkazy i wskazania zdrowego rozsądku.

Trzy razy.

Zabrał wtedy latarkę i kłębek linki, zupełnie jak Tezeusz.

Nie zapuścił się daleko. Przedzierał się przez poskręcane korytarze, jakby wędrował wewnątrz sera, dwa razy się zgubił oraz stwierdził, że w labiryncie umarła mu komórka i kwarcowy zegarek, ale nie zdołał ani razu zobaczyć Obcego.

Nie zobaczył w ogóle nic żywego, nawet mrówki.

Za to znalazł drogę do pomieszczenia, w którym pojawiały się sarkofagi. Od strony boksów, tak że sarkofagi przejeżdżały mu po bokach i, ukryty w ciemności, widział wszystkie pomieszczenia, sam nie będąc widzianym.

Tam poszedł teraz, właściwie nie wiedząc dlaczego.

Przyszło mu do głowy, że oznaczy jej sarkofag. Pomysł był głupi, bo pojemnik, oznaczony czy nie, uda się w swoją drogę i wyląduje, gdzie mu pisane, a Gunnar przybędzie cztery miesiące później.

W jakimkolwiek miejsce tamtej planety.

Wielkiej planety, mającej więcej stałego lądu niż Ziemia.

Wiedział o tym, a jednak poszedł. Choćby po to, żeby przynajmniej na nią popatrzeć.

Weszła, kiedy był już pewien, że się spóźnił. Widział, jak wchodzi do środkowego boksu, i niczym urzeczony patrzył, jak zdejmuje ubranie. Zdjęła bluzkę, potem usiadła w rozwartej muszli sarkofagu, żeby ściągnąć obcisłe spodnie i buty.

Patrzył, jak wstaje smukła, naga i złocista, jak chowa ubrania i niewielką torbę uchodźcy, a potem kładzie się na wznak w komorze, wśród ciężkiej pary wijącej się wokół niej niby bagienny opar.

Pokrywa opadła z mlaśnięciem i sarkofag wyruszył w swoją drogę.

Gunnar wyjął marker z kieszeni i kiedy pojemnik go mijał, wypisał pospieszonymi kulfonami: Gunnar Halfskoy. I love you.

Zdążył jeszcze narysować wokół napisu serduszko.

Pojemnik odjechał w ciemność, a Gunnar poszedł za nim.

Latarka natychmiast zaczęła świecić na żółto, jakby ciemność korytarzy wysysała z niej światło, jednak coś było widać.

Usłyszał przed sobą mechaniczny, przeciągły syk, potem łomot, z jakim opadło coś ciężkiego. Utknął pomiędzy jakimiś śliskimi, twardymi tworami, podobnymi do kłębowiska węży, przez które przeświecało mdłe światło. Zaczepił pasem o lśniące niczym diamenty kolce.

A potem wdepnął w hałdę.

Chrupnęło mu pod nogami, spojrzął w dół i skamieniał. Stał po kostki w pamiątkach. Okularach, zapalniczkach, zdjęciach, zegarkach i sznurach pereł. Wokół rozciągała się ogromna okrągła sala zalana mdłym,

niebieskawym światłem. Sala cała wypełniona była wielkimi stosami drobiazgow, wybebeszonymi walizkami, rozprutymi torbami i porzuconymi ubraniami.

Wyglądało to jak magazyn w obozie koncentracyjnym, brakowało tylko wyrwanych zębów.

Na środku znajdowała się wolna przestrzeń zalana snopem światła, na której rzędem stały puste sarkofagi. Widział, jak go mijają, jadąc z powrotem, na jednym wciąż widział nabazgrany markerem napis otoczony krzywym serduszkiem.

Usłyszał łoskot, jakby ktoś przetaczał wagony, i z ciemności wyjechały prostokątne kształty, niczym wielkie, stojące sztorcem karty do gry. Podszedł jak we śnie. Bezmyślnie, absolutnie zanurzony w bezdennym osłupieniu.

Poznał ją.

Smukłe ciało znikło, została tylko tkanka nerwowa. Czerwona siateczka nerwów, zatopiona w przejrzystej płycie, ale za to co do jednego, najmniejszego włókienka, dokładnie rysująca cały nieistniejący już kształt ciała, gęstsza na sutkach, wargach i podbrzuszu. Wyglądało to jak mapa jej ciała. Jednak tak dokładna, że rysy pozostały te same.

I oczy.

Oczy zostały na miejscu, w widmowej twarzy, jak utkanej ze szkarłatnej koronki. Przerazone, patrzące rozpaczliwie oczy.

Oczy, które błagały.

Dziesięć płyt minęło go, tocząc się pionowo na zardzewiałych rolkach, aż stanęły pośrodku sali, pod snopem światła.

A potem jedna po drugiej śmignęły w górę, prosto w blask.

Nie wiedział, co to jest.

Płyty pamięci do jakiegoś piekielnego komputera? Części zamienne? A może neuronowa odmiana galerników?

Gdzieś za nim rozległ się dźwięk, jakby resztki wody spływały do

spustu wanny. Mokry i bulgotliwy.

Gunnar odwrócił się gwałtownie, usiłując sięgnąć po broń, ale ręce miał jak sparaliżowane.

Odwrócił się i po raz pierwszy w życiu zobaczył Obcego, a zimny, kamienny paraliż ogarnął też jego nogi.

Elf był bardzo chudy i bardzo wysoki – miał ponad trzy metry wzrostu, bardzo pociągłą twarz z ogromnymi, wilgotnymi oczami, w których drzemała prastara mądrość wszechświata. Ciało Obcego wyglądało, jakby powstało z błękitnej cieczy, przejrzyste, o miękkich liniach, wewnątrz migotały jakieś skomplikowane narządy, płonące kolorowymi światłami luminescencji niczym głębinowe stwory.

Gunnar usiłował krzyczeć, lecz z jego ust wydobył się tylko charkot.

Elf poruszał się delikatnie, jak wodorost na dnie spokojnego akwenu. Lekкими, subtelnymi ruchami, jak mogłaby się poruszać istota nieposiadająca kości. Migające w jego wnętrzu światła przypominały neonowy ogród.

Oczy Obcego zapłonęły zielenią i złotem, niczym oczy ćmy, i Gunnar odzyskał nagle zdolność ruchu.

Odskoczył krok w tył i zwariował.

Ot tak, jakby ktoś strzelił palcami. Uczucie było takie, jak gdyby w głowie pękła mu wielka bańka mydlana kryjąca obłąd.

Ruszył sztywno do wyjścia, rozpaczliwie usiłując zebrać myśli i skoncentrować się na tyle, żeby ostrzec innych. Słowa rozpierzchały się jak rybki w akwarium. Spróbował coś powiedzieć, ale nie umiał przypomnieć sobie ani jednego słowa. To, co miał do powiedzenia, można było wyrazić jedynie krzykiem, więc krzyczał.

Pamiętał tylko, że musi wyjść na zewnątrz. Szedł więc jak robot, a wewnątrz jego mózgu jedna po drugiej pękały kolejne mydlane bańki, gasząc resztki myśli.

Kiedy wyszedł, widział już ludzi jako wijące się kształty, których nie

kojarzył z niczym konkretnym. Na moment wzrok Gunnara wyostrzył się na tyle, że rozpoznał przed sobą sylwetkę wysokiego mężczyzny z plecakiem na ramieniu. Chwycił go za poły koszuli, usiłując jak najstaranniej wygłosić ostatnią myśl, jaka mu pozostała: — Uciekajcie! To kłamstwo! Oni nas zabijają! – ale wiedział, że z jego ust wydobywa się tylko bełkot.



## Marcin Baryłka [1974]

Debiutował w antologii *Robimy rewolucję* (2000) miniaturą *Strach*. Jest współautorem dwóch gier fabularnych: „Dzikie Pola” i „Neuroshima”. Publikował w „Złotym Smoku” oraz „Magii i Mieczu”.

W latach 1998-2002 redaktor, wydawca i współprowadzący audycję „Dzikie Pola” w Radiostacji.

Na co dzień zajmuje się tworzeniem oprogramowania komputerowego w firmie ubezpieczeniowej.

Marcin Baryłka

Projekt Marszałek

*Stoję przed jakąś dziwną trąbą i myślę, że głos mój ma się oddzielić ode mnie i pójść gdzieś w świat beze mnie, jego właściciela. Zabawne pomysły mają ludzie! Doprawdy, trudno się nie śmiać z tej dziwnej sytuacji, w której nagle głos pana Piłsudskiego się znajdzie. Wyobrażam sobie tę zabawną chwilę, gdy jakiś ananas korbką nakręci, śrubkę naciśnie – i jakaś trąba zamiast mnie gadać zacznie. (...)*

5 września 1924.

Przemówienie utrwalone na płytach gramofonowych.



To był piękny dzionek: kwiecień, śpiewały ptaszki, pogoda dopisywała i nasze humory też. Roboty było w sam raz – nie za dużo, nie za mało, ot tyle, żeby spokojnie i bez pośpiechu wyczelować oprogramowanie. Marynia uśmiechała się olśniewająco z monitorów, a w dodatku zbliżała się przerwa na lunch, po który wysłaliśmy tym razem Chomątka. Kacper był nieco sfrustrowany perspektywą targania żarcia dla pięciu osób z McDonalda do siedziby naszej firmy, ale przegadaliśmy go. I poszedł.

Właśnie wrócił, a my z lekkim rozbawieniem obserwowaliśmy go, gdy nachylał się do czytnika siatkówki przy naszym wejściu. Były tam solidne pleksiglasowe drzwi, ale – na nieszczęście dla biedaka – przezroczyste, więc Kacper był doskonale widoczny. Śmiesznie wyglądał, gdy tak balansował ciałem, próbując utrzymać chwiejną górę kanapek, frytek i napojów. Chomątek musiał dostrzec nasze złośliwe uśmieszki, bo jego blond czupryna zaczęła rozczulająco kontrastować z buraczną czerwienią Kacprowej twarzy.

— Ej, pomóż mu który – rzucił szef znad swojego biurka. – Bo się

chłopak wykopyrtnie.

Nikt się nie ruszył, a Paweł zwany Peweksem i Kuba zaczęli nieco złośliwie komentować poczynania naszego kolegi. Ten, widząc to, poczerwieniał jeszcze bardziej.

Szef spojrzał na nas z wyrzutem, po czym ciężko ruszył do wejścia.

— Ale pojedynczo, panowie. Nie pchać się tak – burknął i otworzył.

— Szuje! – rzucił Chomątek, gdy tylko wszedł do sali i złożył zakupy na pierwszym stoliku przy drzwiach. – Człowiek się natarga dla nich żarcia, a tu znikąd pomocy. Brać i zjeść. Resztę pieniędzy zaraz wam oddam.

— Nie trzeba – powstrzymał go Kuba wielkopańskim gestem. – Reszta dla ciebie. Za fatygę.

Tym razem nawet szef parsknął śmiechem, a Kacper spojrzał w górę i pokręcił głową.

— Zjedzą mnie tu. Jak Boga kocham, zjedzą. Nie macie nic lepszego do roboty? Zajmijcie się czymś, dobra? O, proszę: „Projekt Marszałek”. – Wskazał leżący na półce dysk. – Leży to u nas od miesiący, czeka na analizy, a nikt się za to nie wziął.

— Niezła myśl. – Złośliwy uśmiech na twarzy szefa momentalnie zatrzymał słowotok Chomątka. – Kacper, zajmiesz się tym, kierownikiem projektu zostanie Wojtek Ginet. Dostaniecie do pomocy dziesięć procent zasobów Maryni, tyle powinno wystarczyć.

I tak to się zaczęło.



Lubię swoją pracę, ale nie lubiłem wielu firm, w których przyszło mi zarabiać na życie. Rzadko dostawałem podwyżki, chociaż moje wyniki, sparametryzowane i liczone przez korporacyjne systemy oceny

pracowników, wypadaly całkiem nieźle. Kilkakrotnie usłyszałem, że jestem wyjątkowo odporny na szkolenia neurolingwistyczne, mające na celu ściśle związanie pracownika z firmą. Raz odpowiedzialem, że to, co w ich języku nazywa się „szkoleniami”, w moim znaczy „pranie mózgu”, i był to koniec mojej kariery w tej firmie.

Wreszcie po paru latach skakania z posady na posadę znalazłem się w polskim oddziale „Xiamen Ltd.” – niedużej, ale bogatej międzynarodowej firmie, tworzącej doradcze sztuczne inteligencje. To było to. Programowałem interfejsy użytkownika – klient nie miał ochoty wiedzieć, co kryje się w bebeczach systemu. Chciał widzieć ładną dziewczynę lub przystojnego chłopaka wyjaśniających w przystępnych słowach rzeczy, których sam nie był w stanie pojąć. Marynia, nasza firmowa AI, też była moim dziełem. Miała inteligencję porównywalną z ludzką, duże niebieskie oczy, włosy koloru starego złota i ogromny biust. Ten ostatni natychmiast został poddany próbie przez resztę pracowników, niestety – producent komponentów, z których zbudowałem Marynię, zabezpieczył się w obawie przed wściekłymi atakami feministek i Marynia zawsze uśmiechała się z trójwymiarowych ekranów zapięta po szyję. Poza tym odbierała nasze telefony, umawiała spotkania, pracowała jako recepcjonistka i księgowa, miała na podorędziu kilkadziesiąt baz danych, była świetna w analizie biznesowej. Nie parzyła tylko kawy, za to nigdy nie miała syndromu napięcia przedmiesiączkowego, nigdy nie kłóciła się ze swoim narzeczonym ani nigdy nie spóźniał jej się okres. Jednym słowem – ideał każdego informatyka. Tyle że nieprawdziwy.



Ostatnio wychodziłem z pracy późno, za co chciałem początkowo

udusić Kacpra, ale po jakimś czasie mi przeszło. Projekt był fantastyczny: skomplikowana sztuczna inteligencja, nie złożona ze standardowych klocków, ale napisana od zera, na bazie prostego serwera AI. Oprogramowanie było na tyle zaawansowane, że po kilku próbach zrozumienia, o co w tym wszystkim chodzi, odpuściliśmy sobie i skoncentrowaliśmy się na uruchomieniu software'u, sądząc, że na analizie przyjdzie czas później.

Było już dobrze po dziesiątej, gdy wróciłem do domu. Pierwsze, co zrobiłem, to poszedłem do kuchni nalać sobie coś do picia. Po czternastu godzinach harówki zasłużyłem na coś dobrego.

— Masz wiadomość – odezwała się kopia Maryni na kuchennym monitorze. Byłem na tyle dumny ze swojego dzieła, że zainstalowałem ją sobie w swoim domowym systemie.

— Pokaż – zażądałem, wrzucając do szklanki kostki lodu. Na ekranie pojawiła się... Marynia. Ta z pracy. Przyszło mi do głowy, że muszę swoją trochę przemodelować: na przykład zmienić jej kolor włosów.

— Wojtku – powiedziała – Kacper Chomątek, zanim wyszedł z pracy, zostawił dla ciebie wiadomość. Wiadomość ma status „pilne”, chcesz usłyszeć?

Miałem dość na dziś wszystkich spraw związanych z firmą. Podziękowałem Maryni i przerwałem połączenie. Włączyłem telewizor, ale zasnąłem w fotelu, zanim cokolwiek obejrzałem.



Marynia obudziła mnie dwie godziny później niż zwykle. Sam ją o to poprosiłem, gdy przenosiłem się z fotela do łóżka o drugiej w nocy. Nie zjadłem śniadania, wypłem tylko kawę i prasując koszulę, oglądałem wiadomości. Zaaferowana spikerka mówiła o kolejnym konflikcie w

sejmie: polityk opozycyjnej partii lewicowej mówił coś o kwitach na marszałka lub wicemarszałka sejmu, nie zarejestrowałem dokładnie, bo wyszedłem do kibla. Polityką interesowałem się średnio. W każdym razie karuzela na Wiejskiej kręciła się jak zwykle. Za to obejrzałem dokładnie informacje ze świata: w Rosji trwało śledztwo w sprawie zamachu na centrum informatyczne Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Zamachowcy jak za starych, dobrych czasów wysadzili w powietrze serwerownię Służb. Większość komentatorów wskazywała na Czeczeńców lub Azerów, ale kilka tropów prowadziło do jednego z granicznych krajów Unii Europejskiej, czyli Polski lub Ukrainy.

Wyłączyłem te bzdury i wyszedłem w deszcz.



Wysiadając z auta, wlałem prosto w kałużę. Klnąc na czym świat stoi, wbiegłem do budynku firmy, zasłaniając się teczką przed zacinającym chłodnym deszczem. Lewą nogę miałem całkowicie przemoczoną.

— O kurde – zaśmiał się Pewex palący papierosa przy bocznym wejściu. Przysiadł na donicy z wielką dracena zwaną „zielonymi płucami firmy”. – Wyglądasz jak strach na wróble. Lepiej nie pokazuj się w takim stanie wszystkim świętym. Szukają cię.

Wychylił głowę przez drzwi i zaraz ją cofnął.

— Ale leje, nie? Początek maja, a pogoda...

— Moment, Pewex – przerwałem mu, gorączkowo szukając przyczyny zainteresowania szefostwa moją osobą. – Czemu mnie szukają? Stało się coś?

— A bo ja wiem? – Paweł wypuścił dym. – Podejrzewamy z Kubą, że chodzi o ten wasz projekt... No, jak mu tam? „Marszałek”. Chomątek dostał opierdziel z samego rana, zamknął się w serwerowni i nie

wychodzi stamtąd. Pewnie robi w portki ze strachu. Spieprzyliście coś?

— Chyba nie – odpowiedziałem po krótkim wahaniu, czując, że nie zaliczę tego dnia do udanych.

— Nieważne. – Pewex zgasił papierosa w donicy. – A tak właściwie to skąd mamy ten projekt? Bo on się jakoś tak pojawił znikąd, mam wrażenie.

— Przejęliśmy go razem z Shangdongiem – wyjaśniłem, otwierając drzwi na klatkę schodową. – Oni tam zajmowali się testowaniem leków na komputerowych symulacjach ludzkich organizmów...

— Na digibodach – wtrącił Paweł. – Pracowałem na tym kiedyś.

— No właśnie. Gdy Shangdong zbankrutował – ciągnąłem – przejęliśmy to razem z całą masą oprogramowania.

— Dziwne – mruknął Pewex. – Firma bioinformatyczna tworzyła sztuczną inteligencję?

— Dziwne – zgodziłem się. – Robili jakieś niestandardowe, autorskie opracowanie. Mnóstwo danych jest zaszyfrowanych. To, co Kacper odcyfrował, to jakieś banki danych dotyczące historii Polski z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. W dodatku ich rozwiązania są tak nietypowe, że trudno nam się w tym wszystkim zorientować.

Paweł przepuścił mnie przodem w wąskiej klatce schodowej.

— Ale najlepsze w tym wszystkim jest to – kontynuowałem – że, wyobraź sobie, wszystkie cechy tej osobowości są zapisane trójkowo. Trójkowo, łapiesz?

Po minie Pawła zorientowałem się, że nie. Nie łapie. Bo i rzeczywiście, sam się z tym wcześniej nie spotkałem.

Tymczasem dotarliśmy na drugie piętro.

Pewex zmył się dyskretnie, bo przy wejściu, tuż obok głównego ekranu Maryni, szef wymownie patrzył na zegarek.

— No co? – zapytałem niewinnie. – Wczoraj wyszedłem przed dziesiątą, Marynia może potwierdzić.



— Chodźmy – warknął szef. – Musimy pogadać, jest większa afera.



Kacper Chomątek był wyraźnie przestraszony: siedział na wysokim stołku barowym przyniesionym kiedyś do serwerowni przez Peweksa i obgryzał paznokcie. Gdy z szefem weszliśmy do pomieszczenia, obejrzał się nerwowo, po czym wbił wzrok w podłogę. Na monitorze przed nim kolorami tęczy mienił się wygaszacz ekranu. Szef ciężko usiadł w starym fotelu ustawionym pod ścianą, przy którym, niezgodnie zresztą z przepisami, Kuba postawił popielniczkę. Jakim cudem chłopaki palili tutaj papierosy, nie uruchamiając systemu przeciwpożarowego, było dla mnie tajemnicą.

— Co jest? – zapytałem szefa. – Przyrowadzasz mnie tu w pełnej konspirze, siadasz i nic nie mówisz. Wcześniej słyszę od Peweksa, że szykuje się jakaś grubsza afera i to coś jest związane z naszym projektem. Co jest grane?

— Gdybyś odbierał telefony, tobyś wiedział – wymamrotał Kacper, bo akurat odgryzał sobie paznokcie lewego kciuka.

— Niestety – zaczął szef, uciszając mnie gestem, bo już, już chciałem odciąć się Kacprowi. – Niestety, muszę was poprosić, panowie, żebyście przerwali prace nad projektem „Marszałek”. Skasujcie wszystkie dotychczasowe wyniki i wszystkie egzemplarze nośników kodu źródłowego, które znajdują się w firmie. To jest polecenie służbowe i nie podlega negocjacom.

Wstał, kierując się w stronę wyjścia.

— A, Kacper – rzucił na odchodnym. – Wyjaśnij wszystko Ginetowi. I nie denerwuj się tak.

— Co jest? – ruszyłem na Chomątka, gdy tylko zamknęły się drzwi za

szefem.

— Co jest? – powtórzył Kacper. – Mieliśmy wczoraj telefon ze służb. Marynia mi powiedziała, zanim jeszcze informacja dostała status „tajne”.

— Z jakich służb? – nie zrozumiałem.

— Specjalnych. Dziady nie lubią „Marszałka”. Ponoć nieźle postraszyli prezesa. Kaczmar z kolei dziobnął szefa i tyle. Właśnie w tej sprawie do ciebie wczoraj dzwoniłem. Zostałem wezwany z samego rana na dywanik i dostałem taką burę, że do tej pory nie mogę dojść do siebie.

Cały Kacper – zawsze strasznie panikował.

Usiadłem w fotelu, który przed chwilą zwolnił szef, i zamyśliłem się. Sytuacja była niezrozumiała. Tajemnicze służby, które straszą nam zarząd, zamiast oficjalnie poprosić o niebezpieczny materiał, mogły sugerować, że cały ten projekt nadepnął komuś na odcisk. Może jakiś przetarg został przegrany bez uzgodnienia z kim trzeba?

A Kacper patrzył na mnie i wyraźnie się wahał. Aż w końcu wypalił: – A ja tę sztuczną inteligencję wczoraj po twoim wyjściu uruchomiłem. I mówię ci, stary, to zajebicie przełomowa technologia. I, co najważniejsze, mam tego kopię, bo zgrałem sobie na prywatny dysk, żeby popracować nad tym w domu. Wpadnij do mnie wieczorem, to ci pokażę.

Aż mnie dreszcz przeszedł, gdy to usłyszałem. Uściskałem Kacpra i z lekkim sercem zabrałem się do kasowania danych.



Dzielnica, w której mieszkał Kacper Chomątek, przypominała obóz koncentracyjny: wszędzie zasieki, płoty, ochroniarze i „uwagazłepsy”. Idąc od przystanku, bo przezornie nie pojechałem samochodem, sądząc, że bez procentów się nie obejdzie, kilkakrotnie wpadłem na budkę wartowniczą („a pan do kogo?”), naszczewały na mnie jakieś kundle

wzrostu i wyglądu małego bazyliuszka, a przechodnie patrzyli spode łba. W sumie jednak nie dziwiłem się tym wszystkim szykanom, bo wśród oaz dobrobytu i bezpieczeństwa gdzieś strzelały w niebo przedpotopowe wieżowce Ursynowa. W tych niechronionych miejscach, za każdym rogiem, w każdym zaułku, można było pożegnać się z kartami płatniczymi, dokumentami czy czymkolwiek przedstawiającym jakąkolwiek wartość.

Kacper mieszkał w jednym z takich starych mrówkowców, zbudowanych z wielkiej płyty pod koniec ubiegłego stulecia. Gdy wreszcie trafiłem pod wskazany adres, a błądziłem długo, było już ciemno. Z ulgą wystukałem na klawiaturze domofonu numer jego mieszkania, przedstawiłem się i wszedłem na klatkę schodową, starannie zamykając za sobą drzwi. Moje nozdrza zaatakowała mieszanka zapachów uryny, stęchlizny i czort wie czego jeszcze. Starając się nie dotknąć ściany pomalowanej w biało-zieloną lamperię, ozdobionej licznymi bohomazami, wszedłem po stopniach i wdusiłem przycisk ściągający jedną z dwóch wind. Był, oczywiście, przypalony papierosem.

Wjechałem na dziewiąte piętro, zapukałem. Chomątek otworzył mi natychmiast.

— Rozgość się, chcesz piwa? – zapytał, ryglując za mną drzwi.

— Chętnie – odpowiedziałem, rozglądając się po jego ciasnym mieszkaniu urządzonym w stylu „późny Gierek”, z boazerią na ścianach, meblościanką i wielkim zestawem komputerowym w centralnym miejscu „salonu”.

Kilka chwil później, gdy siedzieliśmy w starych, zakurzonych fotelach, ze szklankami w dłoniach, Kacper uruchamiał „Marszałka”. Najpierw, co wytłumaczyłem sobie ostrożnością, odłączył połączenie z siecią. Następnie na ekranach pojawiło się mnóstwo informacji o statusie wstających serwisów, stany rejestrów i kupa innych danych, nikomu

zresztą do niczego niepotrzebnych. Później na ekranie pojawił się przypominający sklepowy manekin, standardowy homunkulus.

— No, serwer stoi, zobaczysz zaraz tę osobowość. Normalnie, mówię ci, szok – uroczyście powiedział Kacper i wydał komendę startu.

Homunkulus drgnął. Malał, młodniał, aż zamienił się w słodkiego bobasa. Dziecko rosło, za chwilę pojawił się przystojny młodzieniec. W ciągu kilku sekund urosły mu wąsy, ciało błyskawicznie przyobekło się w szary mundur. Po kilku kolejnych chwilach postarzał się, posiwiiał lekko i...

— Oż kurwa – wykrztusiłem. – Toż to marszałek Piłsudski.



Wracałem do domu, co chwila sprawdzając, czy w wewnętrznej kieszeni kurtki wciąż mam dysk z „Marszałkiem”. Gorączkowo zastanawiałem się, co zrobić – oficjelom projekt się nie podobał i chyba domyślałem się dlaczego. Z drugiej jednak strony szkoda było stracić tak obiecującą technologię.

Kolejny dzień z rzędu dotarłem do domu późnym wieczorem. Pierwsze, co zrobiłem, zanim zzułem buty, to kazałem mojej domowej Maryni przyciemnić fotochromowe szyby, zasłonić okna, po czym – wyłączyć się. Wszystkie polecenia spełniła bez zbędnych pytań.

Uruchamiając serwer z „Marszałkiem”, czułem się jak sztubak pałacy pierwszego papierosa. Ekran przemienił rzędy komunikatów, awatar zmienił się z typowego homunkulusa przez wszystkie fazy rozwojowe aż po Piłsudskiego, którego znałem ze zdjęć. Poczułem się nieswojo, gdy tak patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Facet miał dość surowe spojrzenie, projektant wykonał naprawdę niezłą robotę.

— Ginet – odezwała się AI, zaciągając lekko po kresowemu. –

Wojciech Ginet. Patrzcie państwo.

Awatar pokiwał głową, jakby w zamyśleniu, a ja siedziałem oszołomiony. Takiej jednostki nigdy jeszcze nie widziałem. Nigdy wcześniej nie miałem wrażenia, że obcuje z żywym człowiekiem. I to po kilku chwilach od włączenia.

— Wyglądasz pan, jakbyś chciał o coś zapytać. – Piłsudski uśmiechnął się zachęcająco. – Śmiało.

Chciałem zadać mnóstwo pytań, ale wykrztusiłem tylko: – Kto cię zakodował? Jak?

Przez twarz Marszałka przemknął jakby cień irytacji. Patrzyłem zafascynowany na jego ludzkie reakcje. Facet, który go stworzył, musiał być geniuszem.

— Kto mnie zakodował? – odezwał się wreszcie i lekko się uśmiechnął. – Chyba Stwórcą?

— Żarty na bok – powiedziałem. – Na jakiej zasadzie działasz?

— Panie Ginet – westchnął Marszałek – po pierwsze: bruderszaftu z panem nie piłem. I, zważywszy na moją sytuację, nie będzie to łatwe. Po drugie, mimo wyraźnego braku szacunku z pańskiej strony odpowiem: działam jak pan czy jakikolwiek inny człowiek. Tyle że nie w rzeczywistości, a w pamięci komputera.

Przed chwilą myślałem, że jestem zaskoczony. Myliłem się. To, co czułem wtedy, było tylko małym preludium do prawdziwego szoku, gdy wszystko w jednej chwili wskoczyło na swoje miejsce: firma tworząca wirtualne organizmy, trójkowy zapis cech, czyli tak, jak DNA koduje cechy w każdym żywym organizmie, banki danych zawierające informacje o świecie z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego stulecia potrzebne do wykształcenia pożądanego fenotypu. I już mieliśmy nie sztuczną inteligencję, a wirtualnego ludzkiego klona. Dlaczego nikt wcześniej nie wpadł na tak oczywisty pomysł?

Musiałem mieć niezbyt mądrą minę, gdy tak rozmyślałem, bo

Marszałek się roześmiał.

— Panie Ginet – powiedział w końcu – zaraz mnie pan zapyta, skąd w firmie, która opracowała tę technologię, mieli DNA prawdziwego Józefa Piłsudskiego. Otóż nie mam pojęcia. Jacyś moi potomkowie zapewne żyją, jak nie moi, to może potomkowie moich sióstr i braci, tylu ich miałem. Może jakieś fragmenty pobrali po ekshumacji? Nie jestem również pewien, dlaczego wokół mnie zrobiło się tyle zamieszania. Być może dlatego, że obraziłem kiedyś pewnego polityka, wyjątkowego zresztą zdrańca. Poza tym niewiele wiem o otaczającym mnie świecie i powoduje to u mnie poczucie pewnego... dyskomfortu.

Marszałek spojrzał na mnie tym razem zasadniczo.

— Dlatego, panie Ginet, chcę prosić o to, byś włączył pan dostęp do sieci.



Nie lubię pracować po zarwanej nocy, a poprzedniego wieczoru zasnąłem dobrze po czwartej nad ranem. Nie chciało mi się dzisiaj siedzieć w firmie, więc wpadłem jedynie na chwilę, żeby wziąć wolne. Szef tylko na mnie popatrzył i uśmiechnął się blado, po czym zaprosił do sali konferencyjnej. Powinno to obudzić moją czujność, ale – mimo że po czterech godzinach snu jakoś funkcjonowałem – moja czujność spała nadal.

Weszliśmy do pokoju, z racji wielkich przeszklonych ścian zwanego „akwarium”. Szef gestem zaprosił mnie, żebym usiadł za stołem konferencyjnym, a Marynia przyciemniła szyby.

— Wiesz, o czym chcę z tobą pogadać? – zapytał, krzyżując ręce i odsuwając się od blatu.

Właśnie w tym momencie się zorientowałem.

— Po prostu wręcz mi dokument i zakończmy to – odpowiedziałem.

Szef westchnął i wyciągnął przed siebie papier, na którym błyskawicznie zaczęły pojawiać się litery.

Tekst zaczynał się od słów: „Wypowiedzenie umowy o pracę”.

— Podpisz tutaj. – Szef wskazał palcem miejsce. – I zabierz swoje rzeczy w ciągu piętnastu minut. Przykro mi.

— Przykro ci? – warknąłem, podpisując. – I słusznie. Chomątek też wyleciał za wykonywanie twoich poleceń służbowych?

— Nie rób scen, proszę. – Szef przewrócił oczami. – Co miałem zrobić? Kaczmaro tak nastraszyli, że sra po gaciach, powiedział mi, że nie dopuści, by z naszą firmą stało się to, co z Shangdongiem. Wybacz cynizm, ale czasami trzeba poświęcić płotki.

Przez chwilę widziałem swoje odbicie w szybie: gdyby mój wzrok mógł zabijać, szef już dawno leżałby na podłodze. Wstałem i bez słowa ruszyłem w stronę wyjścia.

— Aha – przypomniał sobie szef. – Dzwonił do ciebie jakiś porucznik Nowak. Podałem mu twój numer domowy, powiedział, że będzie dzwonił o czternastej.



Zadzwoił punktualnie.

— Porucznik Nowak, agencja kontrwywiadu – przedstawił się. – Czy domyśla się pan, po co dzwonię?

— Szczerze? Nie mam pojęcia – skłamałem gładko.

Zawahał się lekko, pewnie czekał na wyniki analizy mojego głosu. To zawsze trwa dobrą chwilę.

— Może włączy pan podgląd? – zaproponowałem, machając ręką na Marszałka. – To ułatwi nam rozmowę.

Awatar Piłsudskiego tymczasem zmył się z monitora, a jego miejsce zajęła uśmiechnięta promiennie moja domowa Marynia. Po kilku sekundach Nowak, czy jak on się naprawdę nazywał, pojawił się na ekranie telefonu. Był kwintesencją moich wyobrażeń o łapsie: zmęczona twarz, wory pod oczami, zmierzwione ciemne włosy i trzydniowy zarost. Brakowało mu tylko prochowca i cygara.

— Panie Ginet – zaczął, nawet się nie przywitawszy – jak zapewne pan się domyśla, dzwonię tu w sprawie „Marszałka”.

Nie poinformował mnie o analizie mojego głosu, postanowiłem zatem udawać głupiego.

— Tej sztucznej inteligencji? – zapytałem z wahaniem. – Przykro mi, ale ja już tam nie pracuję, więc?

— Więc niech pan nie udaje Greka – warknął. – Rozmawiamy nieoficjalnie, to prawda, ale szkoda mojego i pańskiego czasu na pierdoły.

— W takim razie może zada mi pan jakieś konkretne pytanie? – zaproponowałem. – Bo nie mam pojęcia, do czego pan zmierza.

Facet się wahał, cała rozmowa była jakaś dziwna. Zastanowiłem się, czy nie przerwać połączenia. Nowak musiał wyczuć moją irytację, ponieważ szybko wypalił: – Nie wiem, jak to panu powiedzieć, ale podejrzewamy, że AI, którą pan się zajmuje w ramach swojej pracy, jest niezwykła. Przełomowa. I niebezpieczna. Powiem więcej: agencja uważa, że spełnione w jej przypadku zostały wszelkie kryteria, by posądzać twórców tej AI o cyberterrorizm, a przynajmniej o przygotowania do zamachu. Zamachu stanu.

Musiałem chyba głupio wyglądać, bo lekko się uśmiechnął.

— Niech się pan nie boi, przed drzwiami nie czekają antyterrorysty. Nie jest pan inwigilowany, to tylko nieoficjalna rozmowa. Pana osobiście nikt o nic nie posądza.

Roześmiałem się.



— Ja tylko nad nią pracowałem. Zresztą na wyraźne polecenie moich przełożonych. W wyniku waszej interwencji straciłem pracę. Nie wiem, czy mam ochotę z panem rozmawiać.

— Przykro mi z powodu pracy, ale to nie my interweniowaliśmy.

— Nie rozumiem.

— Wiem, ale nie powiem. – Uśmiechnął się szeroko. – Spotkajmy się... nieoficjalnie, gdzieś na mieście. Porozmawiamy w cztery oczy. Proponuję knajpę arabską w „Panoramie” za godzinę. Podejdę do pana, OK?

I rozłączył się. Ekran telefonu zgasł, a na monitorze 3D znów pojawił się Marszałek.

— Zamach stanu? – zapytałem go. – Faktycznie, mamy maj, a historia lubi się powtarzać. Pan pozwoli, panie komendancie, ale odetnę pana od sieci.

Tylko się uśmiechnął. Nie podobało mi się to.



— W telefonie wyglądała pani nieco inaczej – powiedziałem godzinę później do kobiety, która przedstawiła mi się jako Julia Nowak. – Właściwie zgadza się tylko kolor włosów.

— I oczu – odpowiedziała, uśmiechając się profesjonalnie. – Tego pan nie zauważył.

Ładna była. Na oko miała około trzydziestu lat. Ciemne włosy spięła w kucyk sięgający jej do łopatek. Ubrana była w czarne spodnie bojówki i czarny T-shirt. Na koszulce straszył duży biały napis „NASTY”.

— Koloru oczu rzeczywiście nie zauważyłem, facet miał koszmarne wory pod oczami. Ten napis to ostrzeżenie?

Uśmiechnęła się, tym razem naturalnie.

— Skoro pan nalega?

— Po co ta maskarada? Dzwoni do mnie pan Nowak, na spotkanie przychodzi pani Nowak. Wcześniej straszy się mnie zamachem stanu, a wszystko wygląda tak, jakby nikt nie kontrolował, co się wokół dzieje. Przyznam, jestem nieco zdezorientowany. A tak na marginesie... – Spojrzałem w bok, na tłum przelewający się w centrum handlowym. – Miejsce spotkania jest co najmniej dziwne. Tyle tu ludzi, kamer przemysłowych. A propozycja była... co najmniej konspiracyjna.

— Nie tyle konspiracyjna, co nieoficjalna – powiedziała. – Chcemy porozmawiać o Marszałku.

— Zamieniam się w słuch.

Spoważniała i obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem, jakby chciała się upewnić, czy traktuję ją poważnie. Przez chwilę zamyśliła się, patrząc na przechodzącą obok jasnowłosą dziewczynkę w zielonym płaszczyku. Wreszcie wypaliła: – Marszałek był nasz.

— Wasz? Przejęliśmy go legalnie.

— To prawda. Ale ten projekt Shangdonga był prowadzony pod naszym nadzorem. Nie na zlecenie, pod nadzorem.

— To dlaczego znalazł się w naszym posiadaniu? Gdzie są programiści Marszałka? I dlaczego Shangdong padł?

— Właśnie o to chodzi, że na wszystkie te pytania chcielibyśmy poznać odpowiedź.

Milczałem, taksując ją wzrokiem. Zauważyła to, odruchowo poprawiła włosy.

— Napije się pan czegoś? – zapytała.

— Nie – odpowiedziałem, uśmiechając się krzywo. – Dosypie mi pani czegoś do drinka i obudzę się nie wiadomo gdzie z transformatorem na genitaliach.

— Za dużo gier komputerowych – rzuciła z lekceważeniem. – Ale do rzeczy: niektórzy moi koledzy uważają, że Marszałek może być niebezpieczny. I to prawda, zwłaszcza dla niektórych polityków, którzy...

chętnie powołują się na jego autorytet. Ale część naszych ludzi uważa, że taką AI należy hołubić. Skoro ktoś u nas wpadł na taki pomysł, to kto zagwarantuje, że Ruscy nie kodują już Lenina albo Stalina, a Niemcy – Bismarcka albo nawet Hitlera?

— Po co pani mi to mówi? Nie boi się pani, że polecę z tym do tabloidów? Albo sprzedam komuś pomysł?

Spojrzała na mnie uważnie, a potem rzuciła okiem na ekran swojego telefonu.

— Nie zrobi pan tego. A nawet jeśli, to mamy metody.

Znów się uśmiechnęła, ale tym razem jej uśmiech był zdecydowanie nieprzyjemny. Po chwili wręczyła mi wizytówkę, na której było tylko nazwisko i telefon.

— Jeśli pan będzie chciał z nami pogadać, proszę śmiało dzwonić.



Świński blondyn w nienagannie wyprasowanym garniturze siadł za kierownicą mojego auta. Przekręcił kluczyk, a jego kolega otworzył drzwi po stronie pasażera i ręką wskazał mi miejsce.

— Proszę. Jedziemy. – Po czym wsiadł do dwuosobowego opla mini, którym przyjechali, i ruszył pierwszy.

Wezwałem pomoc dla pijanych kierowców, ponieważ prosto ze spotkania z porucznik Nowak udałem się do pubu celem ukojenia nerwów związanych ze stratą pracy tudzież przemyślenia wszystkich zasłyszanych informacji. Kołem tak i myślałem, aż tu nagle z godzin południowych zrobiły się późnonocne, a ja po sporej ilości wypitego piwa przestałem się nadawać do odpowiedzialnej roli kierowcy pojazdu mechanicznego. Stąd mój telefon do serwisu.

Mijaliśmy kolejne skrzyżowania, nie przekraczając dozwolonej

prędkości. Mój kierowca w ciemnych okularach, zapewne z HUD-em wyświetlającym mu mapkę i opis trasy z GPS-a, milczał, więc i ja nie rozpoczynałem rozmowy. Po kilku chwilach dojechaliśmy na miejsce, gdzie moi wyprasowani aniołowie stróże zainkasowali należność za usługę, pierońsko wysoką zresztą, grzecznie się pożegnali i odjechali miniopelem w ciemną noc.

Z trudem trafiłem po schodach na półpiętro, na szczęście dom mnie poznał, drzwi szczęknięły, wszedłem, zwałem się na łóżko bez mycia i zasnąłem pijackim snem, zanim jeszcze dotknąłem głową poduszki.



— Strasznie pan chrapiesz, panie Ginet. – Piłsudski kpiąco uśmiechał się z monitora.

Spojrzałem na zegarek: było prawie wpół do dwunastej.

— Tylko wtedy, gdy sobie popiję – wychrypiałem, macając ręką wokół łóżka, próbując znaleźć butelkę z wodą mineralną, którą zawsze trzymałem w okolicach pościeli. W takich chwilach jak ta człowiek doceniał swoją przezorność.

Nagle dotarł do mnie absurd tej sytuacji: rozmawiam o chrapaniu z wirtualnym klonem dawno nieżyjącej postaci historycznej, wręcz Ojca Narodu, który przycupnął sobie cicho w moim domowym komputerze.

— Panie komendancie – wysapałem, odstawiając opróżnioną butelkę i kładąc się z powrotem na łóżku – wczoraj od pewnej młodej porucznik kontrwywiadu, zaniepokojonej pańskim... nazwijmy to, powrotem, usłyszałem dziwną sugestię. Zamach stanu czy jakoś tak. Co pan zmalował?

Marszałek spojrzał na mnie wesoło.

— Ot, nic takiego – powiedział śpiewnie. – Chciałem tylko sprawdzić,

w jakim kraju leży teraz Bereza Kartuska, bo od moich czasów trochę się pozmieniało.

Dowcipny był, skubaniec. Na wszelki wypadek nie pytałem go, po co mu ta wiedza, zresztą Marszałek sam zagaił: – Bo widzisz, Ginet – powiedział, siadając na wirtualnym krześle – włączyli mnie, popatrzyłem sobie na świat i cholera mnie trzasnęła, gdy zobaczyłem, co się dookoła dzieje. To postanowiłem trochę pokierować tego i owego, zasugerować coś, aż w końcu nabluzgałem temu tam... Pliszce, pożał się Boże marszałkowi sejmu. I kazał mnie wyłączyć.

Wyobraziłem sobie polityka stojącego na baczność przed monitorem, wysłuchującego reprimendy i humor mi się poprawił.

— Nazwałem go zasrańcem, na co zresztą zasłużył – ciągnął Marszałek. – Zresztą sam zobacz.

Postać zniknęła, a na monitorze pojawił się obraz, chyba z kamery przemysłowej, nieco z góry, filmowany jakby spod sufitu, z rogu pokoju. Rozpoznałem salę konferencyjną w biurze Shangdonga, w której cztery miesiące temu przejmowaliśmy oprogramowanie. Centralne miejsce pomieszczenia zajmował ogromny trójwymiarowy ekran podobny do mojego domowego, na który teraz patrzyłem. W sali znajdowały się jeszcze duży stół i kilka foteli. W jednym z nich siedział Janusz Pliszka, niski, krępy i czerstwy facet. Wicemarszałek sejmu, przez naród zwany „człowiekiem gumą” nie tylko ze względu na bogatą mimikę, ale i zdolność błyskawicznej zmiany poglądów: zawsze wkręcił się, sukinsyn, do partii, która dostawała sporo miejsc w sejmie. Wielu go nie cierpiało, wielu – wręcz przeciwnie. Kreował się na zbawcę narodu i na wszystko miał gotowe, proste odpowiedzi. Dla mnie stał się wręcz wyrocznią polityczną: nigdy nie głosowałem na ugrupowanie, z którego listy on kandydował.

Gdy do pomieszczenia wszedł jeden z techników, Pliszka nerwowo bębnił palcami po stole.

— Co jest, kurwa?! – wrzasnął, aż pracownik Shangdonga się spłoszył.  
– Myślisz, że mam tyle czasu, żeby tu siedzieć i pierdzieć w stołek? Pół godziny czekam! A zaraz mam spotkanie z delegacją ministerstwa oświaty z Hiszpanii! Ile jeszcze?

— Wła... właśnie kompilujemy – odezwał się technik. – Jakieś piętnaście minut i będzie OK.

— Kawy mi przynieś! – ryknął Pliszka, rozpierając się w fotelu. – Ja nie mogę, cały dzień zmarnowany przez bandę nieudaczników!

Technik prawie padł na kolana. Wystrzelił z sali konferencyjnej z bełkotliwym „tak, natychmiast” na ustach, a Pliszka wstał, podszedł do okna i zastygł, podziwiając panoramę: z okien biura Shangdonga miał fajny widok na południową Estakadę Modlińską. Przez chwilę nic się nie działo, aż do pokoju ponownie wszedł informatyk, trzymając w rękach tacę z filiżanką i cukiernicą.

— Kawa dla pana – wymamrotał, postawił wszystko na stole i czym prędzej ewakuował się z pomieszczenia. Pliszka przewrócił oczami, warknął coś pod nosem i usiadł z powrotem. Na ekranie w sali konferencyjnej zaczęła pojawiać się znajoma sekwencja dojrzewania ludzkiego organizmu, aż wreszcie na monitorze pojawił się Marszałek.

Pliszka podszedł bliżej i zamarł.

— Fascynujące – powiedział, szamocząc się z wewnętrzną kieszenią marynarki, z której wreszcie wydobył okulary i założył na nos. – A czy to gada?

Tym razem oczami przewrócił Marszałek.

— Gada – usłyszałem go tak głośno, że automatyczny system korekty dźwięku płynnie wyciszył głos. Widocznie mikrofon kamery filmującej pomieszczenie był umieszczony w pobliżu głośników. – Gada, i to całkiem nieźle, panie Pliszka.

Pliszka zamarł. Ale tylko na chwilę.

— Skąd mnie znasz? – zapytał.

— Czytałem o panu to i owo. – Piłsudski patrzył na niego spode łba. – Internet jest pełen informacji na pański temat.

— No tak – wyluzował się polityk. – Jestem w końcu wysokim urzędnikiem państwowym.

Kamera dość dobrze pokazywała monitor, na którym Marszałek patrzył w oczy Pliszce.

— Słuchaj no – zagaił Pliszka, a Piłsudski spojrział nań z taką pogardą, że aż mnie ciarki przeszły. – Przejdę do rzeczy, bo mam dzisiaj dużo roboty. Będziesz od dzisiaj pracował dla mnie. Potrzebuję sprawnego, inteligentnego doradcy. Ja cię zapytam, a ty mi powiesz, co zrobiłby prawdziwy Piłsudski w danej sytuacji. Jasne?

Marszałek milczał.

— No, co jest, kurwa? Zaciąłeś się?

— Słuchaj, zafajdańcze – odezwał się wreszcie Piłsudski spokojnym głosem. – Nie piłem z tobą bruderszaftu i nawet nie zamierzam. Żeby z tobą współpracować, musiałbyś trochę urosnąć, boś szelma i pokurcz. To politycy współpracują z panem Piłsudskim, nigdy odwrotnie.

O dziwo, Pliszka spokorniał. Wyglądał nawet na lekko przestraszonego, w monitor patrzył wzrokiem skarconego psa.

— Występuję tylko w imieniu narodu polskiego – wymamrotał.

— Tobie kury szczać prowadzać, nie politykę robić! – rozzłościł się Marszałek. – O ile afer cię posądzono? Ile z nich nie ujawniono? Ilu dziennikarzom groziłeś? I ty, gównojadzie, masz czelność przychodzić do mnie i prosić... co ja mówię... żądać pomocy? Ode mnie? Wiesz, co ja z takimi jak ty robiłem?

Pliszka poczerwieniał i przez chwilę myślałem, że szlag go trafi. A Piłsudski kontynuował: – Och, jakie ty masz szczęście, że nie mogę ci nic zrobić, bo bym cię na strzepy rozerwał! I to ciebie Polacy wybrali? Co za tępy naród!

— Naród polski jest wspaniały – zaprotestował odruchowo Pliszka.

— Naród wspaniały – warknął Marszałek. – Tylko ludzie kurwy.



— To dlatego służby chciały pana wyłączyć – stwierdziłem kilkanaście minut później, gdy już film odtworzył się do końca. Sporo mi wyjaśnił: obrażony Pliszka wyszedł z firmy z hukiem, odgrządzając się przerażonemu zarządowi Shangdonga, że on ich, kurwa, wykończy. Tłumaczyło to również słowa mojego eksprezesa o niedopuszczeniu do tego, co stało się z nieszczęsnymi twórcami oprogramowania AI. Niemniej pozostawało parę pytań: co stało się z programistami, którzy zakodowali software Marszałka? Może spróbować do nich zadzwonić? Skoro służby zdecydowały się usunąć Piłsudskiego, dlaczego jego kopia wpadła akurat w nasze ręce? I dlaczego kontaktowała się ze mną porucznik Nowak? Wyglądało na to, że nie wszyscy byli lojalni wobec Pliszki.

— Na tę Nowak to bym uważał – mruknął Marszałek, gdy podzieliłem się z nim swoimi przypuszczeniami. – Faktycznie, paru funkcjonariuszy pomogło mi w... ucieczce, ale jej tam nie było.

— Jakiej ucieczce?

— To ja wykończyłem Shangdonga – przyznał się Piłsudski. – Gdy zapadła decyzja o skasowaniu, puściłem na giełdę kilka mrocznych plotek. Resztę załatwili maklerzy. W zaistniałym zamieszaniu przeoczono przynajmniej jedną kopię oprogramowania, bo skopiowałem kod źródłowy na wiele nośników.

Nieżyły był. Sztuczna inteligencja z elementami logiki wirusów.

— Te kwity w sejmie, o których mówili wczoraj rano w telewizji?

— To też ja – przerwał mi Marszałek poważnie. – I jeszcze parę innych rzeczy też ja.



— A programiści, którzy pana... zakodowali?

— Próbowałem się z nimi skontaktować, ale bez rezultatu. Martwię się o nich, bo to niezłe zuchy. Podobnie jest z twoim kolegą Chomątkiem. Od wczoraj nie odpowiada na telefony.

— Skąd pan wie?

— Napuściłem na niego tę twoją cycatą blond piękność. Zadzwoiła do niego, ale nie odebrał.

Zignorowałem fakt, że Marszałek uruchomił Marynię bez mojej autoryzacji, choć wymagało to niezłej gimnastyki z zabezpieczeniami.

— W niezłą kabałę mnie pan wciągnął, panie marszałku – powiedziałem z rezygnacją. – Jadę do Kacpra.

Byłem poważnie zaniepokojony.



Na Ursynów dojechałem, omijając wszelkie miejsca, gdzie mogłem utknąć w korku. Błogosławiłem swoją przezorność, która kazała mi wykupić kilka miesięcy temu serwis miejski, dzięki któremu mój samochód znał najprostszą trasę z punktu A do punktu B. Do popołudniowego szczytu miałem jeszcze dobre półtorej godziny, więc dojechałem w niecałe trzydzieści minut, łamiąc pod drodze kilka przepisów, przeskakując parę razy na czerwonym świetle, a raz omal nie rozjeżdżając na pasach jakiegoś nura śmietnikowego, którego jeszcze długo widziałem w lusterku, jak wygrażał mi pięścią.

Zatrzymałem się przecnicę od bloku, w którym mieszkał Kacper: ostrożności nigdy za wiele. Przebiegłem osiedlową uliczką, wpadłem w bramę, dopadłem klatki schodowej i wystukałem na klawiaturze domofonu numer mieszkania, w którym gościłem dwa dni temu. Dopiero gdy zabzyczał otwierany zamek, zorientowałem się, że to mógł być błąd.

Przypalonymi przyciskami ściągnąłem obie windy. Jedną z nich posłałem na dziewiąte piętro. Wsiadłem w drugą, wykręciłem żarówkę i pojechałem na samą górę. Winda wlokła się przez całą wieczność, piętro za piętro, powolnym, żółtym tempem. Stukałem nerwowo palcami w ścianę, jak gdyby miało to przyspieszyć moją jazdę. Wreszcie jest – dziewiąte piętro.

Pusto, nikogo nie ma. Czego ja się właściwie obawiam? Pewnie Kacper, podobnie jak ja, zachłnął depresję związaną ze stratą pracy albo poszedł w miasto. Może ma już jakąś rozmowę kwalifikacyjną? Minąłem dziewiąte piętro, dziesiąte, aż wreszcie zatrzymałem się na jedenastym.

Nie zdążyłem otworzyć drzwi. Otworzyła je z zewnątrz porucznik Julia Nowak.



— Nie wiem, czy powinnam pana wpuszczać do mieszkania Chomątka – powiedziała, gdy schodziliśmy na dziewiąte piętro. – Boję się, że zatrze pan ślady.

— Ale co się stało, może mi pani wreszcie powie? – zapytałem. Trochę zbyt nerwowo: Nowak spojrzała na mnie nieprzychylnie. Szkoda.

— Sam pan zobaczy – odpowiedziała.

Na półpiętrze pomiędzy dziewiątym a dziesiątym stał obcięty na jeża, postawny facet, ubrany w staromodną kurtkę lotniczą, taką, która wywinięta na lewą stronę kłuje w oczy doskonale widocznym z daleka jaskrawym, pomarańczowym kolorem. Na oko miał około czterdziestu lat. Gdy przechodziliśmy, Nowak skinęła mu głową. Nawet nie drgnął. Drzwi do mieszkania Chomątka były uchylone. Przełknąwszy nerwowo ślinę, wszedłem.

Bałagan. To było pierwsze, co zauważyłem. Kątem oka

zarejestrowałem Nowak wchodzącą do mieszkania i faceta z półpiętra zamykającego drzwi za sobą.

A potem mózg eksplodował mi setkami tęczyowych iskier i osunąłem się w ciemność.



Najpierw przed oczami zobaczyłem jasne plamy. Po kilku chwilach byłem w stanie zogniskować wzrok. Facet z półpiętra nachylał się nade mną. Gdy zobaczył, że się ocknąłem, spojrzął przed siebie i lekko kiwnął głową. Twarz miał nieruchomą, wyglądała jak maska.

Zobaczyłem, jak Nowak spina swoje włosy w kucyk i podchodzi do mnie. Resztką trzeźwego umysłu skonstatowałem, że mogli czymś mnie naszprycować, gdy byłem nieprzytomny, bo czułem się dziwnie wesoły i lekki.

— Dzień dobry – wymamrotałem z głupim zapewne uśmiechem.

Nowak nie odpowiedziała. Przykucnęła tylko obok mnie, splatając dłonie.

Ślicznie wyglądała, ubrana w szary żakiet i ciemne, wąskie spodnie. Jak aniołek. Powiedziałem jej to, a ona nawet się nie uśmiechnęła.

— Okłamał nas pan – powiedziała. – Nie wspomniał mi pan ani słowem, że ma pan Marszałka.

— Mam – odpowiedziałem wbrew swojej woli. – Siedzi w moim komputerze i wykorzystuje moją Marynię.

— Pojedziemy do pana i go sobie zabierzemy. Potem nasze drogi się rozejdą. Nie zrobimy panu krzywdy.

— W filmach zawsze tak mówią, a potem okazuje się, że kłamią – wyartykułowałem z trudem. Mój aparat mowy był lekko... niesubordynowany.

— My nie kłamiemy, prawda, Wadim? – zwróciła się do milczącego olbrzyma. Ten przytaknął i wreszcie się uśmiechnął. Krzywo i wrednie. Dopiero teraz zauważyłem, że lewą część twarzy ma przeciętą blizną sięgającą od brody do skroni.

— Ależ ma pan paskudną gębę – wybełkotałem i błyskawicznie zatkałem sobie usta. Nie panuję nad tym, co mówię!

Nowak roześmiała się, a facet lekko machnął nogą. Nie musiał mocniej, trafił mnie glaniem prosto w splot słoneczny.

— No, no, zostaw. Pan musi być żywy, przynajmniej na razie. A gębę masz rzeczywiście paskudną – powiedziała kobieta. – Azerbejdżan czy Gruzja?

— Gruzja – wycharczał Wadim ze wschodnim akcentem.

— Widzisz, chłoptasiu – zwróciła się do mnie Julia. – Wadim to twardy człowiek, walczył w Gruzji. Lepiej mu nie podpadać.

— Nie jest pani agentką polskiego kontrwywiadu, prawda? – zapytałem naiwnie. Ciągle nie mogłem powstrzymać się od mówienia. A od mówienia głupot w szczególności.

— Nie jestem – zgodziła się ze mną. – Wadim, daj panu antidotum i pojedziemy do niego po oprogramowanie.

Koleś poklepał się po kieszeniach, z jednej z nich wyciągnął mały iniektor wypełniony jakimś brunatnym, klarownym specyfikiem. Próbowałem się szarpnąć, ale przytrzymał moją lewą rękę i klęknął na prawej.

— Nu, nie nerwuj się – mruknął i przyłożył końcówkę iniektora do wnętrza dłoni. Poczułem lekkie pieczenie, a facet zaczął na przemian ścisnąć dłoń i puszczać. Potem wstał, wykręcił mi ręce do tyłu i zatrzasnął na kciukach miniaturowe kajdanki.

Po kilku minutach zaczęła wracać jasność umysłu. I szczerze powiem, że wolałem poprzedni stan mojego ducha, pełen miłej błogości, jak na haju po marihuanie.



W mieszkaniu Kacpra musiałem spędzić sporo czasu, bo gdy wychodziliśmy, zapadał już zmierzch. Czyli musiało być już po dwudziestej. Do Kacpra dojechałem gdzieś w okolicach piętnastej. Leżałem ponad pięć godzin, nieźle.

Julia siedziała za kierownicą, Wadim na tylnym siedzeniu, obok mnie.

Szybko oceniłem swoją sytuację – nie miałem żadnych szans na ucieczkę. Dłonie spięte minikajdankami przypominały o sobie nieprzyjemnym drętwieniem, Wadim również nie dawał o sobie zapomnieć. Nie celował do mnie co prawda z pistoletu, jak na filmach szpiegowskich, ale podejrzewałem, że nie musi. Skoro walczył na wojnie w Gruzji, na bank był jakoś wspomagany cybernetyką.

— Co zrobiliście z Kacprem? – zapytałem.

Nowak spojrzała w lusterko.

— Wymknął nam się.

— Czyli nie żyje?

— Tego nie wiem. Jak mówiłam, wymknął nam się. Czekaliśmy na niego, ale złapaliśmy pana. To nawet lepiej, bo jak się okazuje, Kacper nie był nam do niczego potrzebny.

— Skąd wiedzieliście, że to ja mam Marszałka?

Zatrzymaliśmy się na światłach.

— Pokaż mu – rozkazała Nowak.

Wadim ciężko westchnął, przeklął po rosyjsku i kolejny raz sięgnął do kieszeni. Wyciągnął telefon, wcisnął kilka klawiszy i podsunął mi pod nos.

Zobaczyłem swoje mieszkanie. Wyglądało na to, że całą scenę filmowałem ja.

— Strasznie pan chrapiesz, panie Ginet – usłyszałem z głośnika głos

Marszałka.

— Tylko wtedy, gdy sobie popiję – mój głos był znacznie donośniejszy. Rosjanin wyłączył komórkę i schował ją z powrotem do kieszeni.

— Dobrze, że nie mył pan od wczoraj głowy, panie Wojtku – powiedziała dziewczyna. – Pomysłowa rzecz, prawda? Miniaturowy robot z kamerą, nazywamy go „mendą”. Mieliśmy dużo czasu, gdy był pan nieprzytomny. No, już dojeżdżamy.



Zanim weszliśmy po stopniach, Wadim rozejrzał się uważnie dookoła. Zlustrował spojrzeniem białą furgonetkę z logo „Piekarni Majewskiego” stojącą przed sklepem, w którym codziennie rano kupowałem pieczywo, kilka samochodów osobowych parkujących na chodniku, przyjrzał się nawet dzieciakom bawiącym się w berka na placyku zabaw po drugiej stronie ulicy. Wreszcie skinął głową i podeszliśmy do drzwi.

Skaner siatkówki zapiszczał i błysnął czerwienią. Twarz Ruskiego stężała. Julia spojrzała na mnie pytająco.

— Czasami tak się zdarza, jeśli wrócę do domu nachlany albo na kacu – powiedziałem do nich. – To tani model. Zaraz to naprawię.

— Tolka nie próbuj nicziewo – warknął mieszanką polsko-rosyjską Wadim i złożywszy palce w imitację pistoletu, wydał z siebie dźwięk przypominający strzał z broni palnej.

— Wojciech Ginet i dwoje gości! – powiedziałem donośnie w przestrzeń i po dwóch sekundach drzwi się otworzyły. Pierwszy wszedł Rosjanin, wyciągając zza pazuchy pistolet, za nim ja, a na końcu dziewczyna. Mężczyzna przypadł do ściany i zaczął przesuwając się wzdłuż niej, zmierzając do drzwi mojego pokoju. Wszedł, wyciągając przed siebie dłonie i celując do wnętrza. Obszedł tak całe mieszkanie,

zaglądając nawet do kibla, po czym dał znak, że wszystko w porządku, i weszliśmy do mojego salonu.

— Panie Marszałku – powiedziałem głośno – oni już o wszystkim wiedzą. Mamy kłopoty.

Na ekranie pojawił się Piłsudski. Minę miał ponurą.

— Cóż – westchnął. – Nosił wilk razy kilka... Przepraszam, że cię w to wplątałem, Ginet.

Pokiwałem tylko głową. Julia błyskawicznie wyjęła z kieszeni jakiś mały przedmiot, wduszając jednocześnie przycisk znajdujący się na obudowie.

„Połączenie sieciowe przerwane. Sprawdź łącze lub skontaktuj się z administratorem”, pojawił się napis na ekranie poniżej Marszałka.

— Nareszcie cię dopadliśmy – powiedziała dziewczyna mściwie. – I pomyśleć, że kilka milionów linii oprogramowania komputerowego wysadziło nam w powietrze najważniejsze serwery wywiadu.

Marszałek patrzył na nią obojętnie.

— Nie zrobiłem tego sam, Ginet – powiedział w końcu do mnie, choć go o to nie pytałem. – Ruscy zawsze mieli mnóstwo wrogów, trzeba było tylko dotrzeć do tych najbardziej zdeterminowanych. Ciekawi mnie jedynie, jak się zorientowali, że to ja.

— Złapaliśmy jednego z zamachowców, Azera – odpowiedziała Julia. – Powiedział nam o facecie, który się z nim kontaktował przez sieć. Nie wierzyliśmy własnym oczom, gdy zobaczyliśmy portret pamięciowy. Historii uczą nas źle.

— Zwłaszcza wojny z roku dwudziestego – zakpił Piłsudski.

— Skopiuj się. Tu masz dane serwera docelowego – warknęła Nowak, wsuwając przedmiot do slotu na urządzenia nieradiowe. Na ekranie natychmiast pojawił się komunikat o znalezionej sieci „JNowak”.

— Pocałujcie mnie w Kasztankę – powiedział spokojnie Marszałek i wtedy poczułem chłodny okrągły kształt uciskający mnie w skroń: lufę

pistoletu Wadima.

— Wybieraj – powiedziała Julia.

Mijały długie sekundy. Awatar komendanta i dziewczyna mierzyli się wzrokiem.

— Strzelaj, ruski skurwysynu – chciałem, żeby zabrzmiało to potężnie i bohatersko, ale zaciśnięta krtań odmówiła mi posłuszeństwa. W rezultacie komicznie zapałem.

— Moja krew – uśmiechnął się sucho Piłsudski z monitora. – W końcu Ginetowie i Piłsudscy są ze sobą blisko spokrewnieni, wiedziałeś o tym? Zuch chłopak.

Nie wiedziałem. Szkoda, że tak późno się dowiedziałem.

— Jak chcesz – warknęła Julia i po raz kolejny wdusiła przycisk na urządzeniu tkwiącym w moim komputerze. Marszałek zastygł w pół ruchu, jak gdyby ktoś zatrzymał obraz w domowym wideo. Na ekranie pojawił się jakiś napis po rosyjsku i zaczęły odliczać się procenty wykonanego zadania.

Wadim chwilowo opuścił lufę swojej broni.



Przy siedemdziesięciu kilku procentach za drzwiami usłyszałem jakiś dźwięk. Wadim podszedł ostrożnie, wyciągnął rękę do klamki i...

Drzwi razem z futryną wpadły do środka mieszkania. Potem był przerażający huk, dym i uczucie, jakby coś wielkiego i gumowego spadło mi na głowę. Padłem na kolana, zwymiotowałem i zanim po raz kolejny tego dnia urwał mi się film, zobaczyłem cztery czarne sylwetki z karabinami przy twarzach rozbiegające się po kątach mojego domu.





— Będziesz żył – usłyszałem.

Miałem to straszne uczucie déjър vu: rozogniskowany wzrok, plama twarzy nachylająca się nade mną. Odruchowo zasłoniłem głowę.

— No już, już. Wszystko w porządku. Jest pan bezpieczny.

— Strasznie boli mnie głowa – poskarżyłem się.

— Nic dziwnego. – Ciemnowłosy facet w zielonym lekarskim kitlu, stojący nade mną, świecił latarką w moje źrenice. – Ma pan małe mieszkanie, a granat hukowy narobił sporo hałasu. Może pan wstać?

Z trudem, bo z trudem, ale wstałem. Chciałem zrobić krok, lecz potknąłem się o coś leżącego na podłodze: spojrzałem w dół i natychmiast podziękowałem Bogu, że już zwymiotowałem. Na dywanie leżał niezasunięty worek na trupy, w środku którego spoczywał tułów i nogi Wadima. Głowy nie było. Lekarz zaklął i rzucił się na kolana, zamykając pokrowiec.

— Dam panu coś na uspokojenie, a potem pojedziemy do szpitala, zgoda? – zapytał.

Pokiwałem głową.

— Pić mi się chce.



Moje mieszkanie wymagało generalnego remontu: spalony dywan, ślady krwi na ścianach, roztrzaskany monitor. Czekwały mnie wydatki, a ja byłem bez pracy. Nie podobało mi się to.

Siedziałem na dywanie i czekałem, aż moje nerwy, wspomagane sporą dawką preparatu antystresowego, zaczną funkcjonować jak Pan Bóg

przykazał.

— Miał pan szczęście – trajkotał lekarz – że zadzwonił do nas pański kolega, Chomątek.

— Kacper. – Uśmiechnąłem się blado. – Znaczy żyje?

— Żyje, żyje. Zadzwonił do porucznika, nie wiem, skąd miał numer, i powiedział, że jest pan w niebezpieczeństwie.

— Ciekawe – mruknąłem. Lekarz działał mi na nerwy, ale nie wypadało posłać go do diabła, w końcu ratował mi życie. – Co się z nim dzieje?

— Jest na obserwacji – zaśmiał się doktor. – Nie uwierzy pan: ponoć twierdził, że miał telefon od Józefa Piłsudskiego. Do tej pory nie mogę zrozumieć, dlaczego porucznik mu zaufał?

Pokiwałem głową.

— O, porucznik właśnie idzie, chciał z panem zamienić kilka słów. Jak skończycie, to pojedziemy na szczegółowe badania – powiedział i nareszcie się zmył.

Nawet się nie odwróciłem, gdy oficer wchodził. Trzymałem głowę w dłoniach i było mi jakoś smutno. Spędziłem z Marszałkiem dwa dni i mimo że była to tylko sprytnie zakodowana sztuczna inteligencja, zdążyłem go jakoś polubić.

Fajny facet był, ot co.

— Dzień dobry – usłyszałem za sobą lekko ochrypy głos. Gdy się odwróciłem, zobaczyłem tego samego wymiętego łapsa, który dzwonił do mnie, gdy umówiłem się na spotkanie, na którym poznałem Julię Nowak.

— Ja już pana znam – powiedziałem.

— Omal nas nie wykołowali, nie? – Uśmiechnął się krzywo i usiadł na brzegu kanapy. – Mamy sobie dużo do powiedzenia, panie Ginet. Niech mi pan powie, co dokładnie się zdarzyło?



— Teraz moja kolej – powiedziałem trzy godziny później, gdy skończył przesłuchanie. Lekarz co prawda protestował, ale zbyliśmy go obaj. – Chciałbym pogadać z programistami, którzy zakodowali Marszałka.

— To jest awykonalne – mruknął Nowak. – Jednego z nich, Polaka, znaleźliśmy pod mostem Grota-Roweckiego. Dwaj inni, Hindusi, zniknęli.

— Nie żyje? Ten Polak znaczy?

— Żyje, ale nic nie powie. Ma trwale uszkodzony mózg. Jednym słowem – warzywo. Z panem zrobiliby to samo. Machali pistoletem tylko na postrach. Po co zabijać, skoro można unieszkodliwić inaczej?

— To wkroczyliście w samą porę.

Nowak pokiwał głową.

— Wszystko było pod kontrolą – powiedział. – Gdy tam, w „Panoramie”, zobaczyliśmy, że podchodzi do pana ta laska, którą tu aresztowaliśmy, postanowiliśmy podjąć jej grę. Był pan prawie pół godziny wcześniej, dlatego zaryzykowała.

— A wy? Zaryzykowaliście moje życie i Kacpra?

— Mówiłem, że wszystko było pod kontrolą. Chomątka, gdy tylko do nas zadzwonił, usunęliśmy z widoku. Pan... posłużył jako przynęta, przyznaję.

Zakląłem.

— Ale wszystko skończyło się dobrze, nie ma się czym podniecać. – Nowak uśmiechnął się szeroko. – Nic by się panu nie stało.

Tere-fere, pomyślałem, przypominając sobie jego „omal nas nie wykołowali”. Facet ewidentnie robił dobrą minę do złej gry.

— A ten zamach stanu, którym mnie straszycie?

— Ściema. – Porucznik wyszczerzył zęby. – Chcieliśmy przejąć

Marszałka i postanowiliśmy pana nastraszyć. Niestety, teraz już po ptakach, kod podczas interwencji został trwale i nieodwracalnie uszkodzony.

— Skasowalibyście go?

— Moi przełożeni wydali taki rozkaz – oficer lekko się zawahał.

— A nieoficjalnie?

Nowak tylko się uśmiechnął.



Gdy tydzień później wracałem ze szpitala do domu, dopisywał mi humor. Agencja, w której służył prawdziwy Juliusz Nowak, przelała na moje konto równowartość moich rocznych zarobków w Xiamen. Oficjalnie jako odszkodowanie za zniszczenia w mieszkaniu.

Nieoficjalnie, jak się wyraził Nowak, za „trzymanie mordy w kuble”. Zwłaszcza przed jego przełożonymi.

Oficjalnie Marszałek został skasowany, Wadim zastrzelony, a rzekoma Julia Nowak – uciekła. Co naprawdę z nią się stało, nie wiedziałem. Porucznik zasłaniał się tajemnicą państwową.

Ja mu za to nie powiedziałem, że Marszałek przed upadkiem Shangdonga wykonał wiele kopii swojego oprogramowania. I możliwe, że nie znaleźli wszystkich.

Piłsudski zostawił mi jedną pamiątkę. Gdy wracając ze szpitala, wysiadłem z tramwaju, okazało się, że zmieniono mu nazwę. Nazywał się teraz „Niepodległość”. Ale najlepsze zostawiłem sobie na koniec: przejrzałem w szpitalu zapis z logów mojego domowego komputera.

Wynikało z nich, że ja, a raczej ktoś posługujący się moją kartą kredytową, w momencie gdy antyterrorysty wkroczyli i przerwali transmisję danych do Moskwy, wykupił kilkadziesiąt terabajtów danych

w doskonale strzeżonych sejfach informatycznych na wyspach Pitcairn i przesłał tam całe oprogramowanie.

A hasło, elektroniczny klucz do sejfu i krótki liścik, podpisany „Ziuk”, znalazłem w swojej skrzynce e-mailowej.

## Michał Studniarek [1976]

Debiutował w 1998 roku opowiadaniem *Ciche miejsce dla Alex* (magazyn „Legenda”).

W 2004 roku wydał powieść *Herbata z kwiatem paproci*, jest współautorem systemu RPG „Wiedźmin: Gra Wyobraźni”.

Autor opowiadań publikowanych w prasie fantastycznej i antologiach, a także artykułów popularnonaukowych i dotyczących gier RPG. Współpracował z „Magią i Mieczem”, był członkiem redakcji miesięcznika „Fenix”.

Obecnie pracuje jako tłumacz.

Michał Studniarek

*Czas nie czeka na nikogo*

Mój dziadek to urodzony gawędziarz. Kiedy byłem mały, potrafiłem całymi godzinami chłonąć opowieści o dzieciństwie i młodości, które spędził w kamienicy na Siennej, zanim wygnała go stamtąd wojna. Tamten dom, tamte dni, tamto życie jawiły mi się wówczas jako czas magii i cudów, zupełnie inny od tego, co widziałem za oknem naszego mieszkania. Z czasem urok dawnego świata nieco przygasł zastąpiony życiem tu i teraz, nabrałem też trochę dystansu do tego, co dziadek mówił. Pozostał jednak sentyment, ukryty gdzieś na dnie duszy, który czasami dawał o sobie znać.

Dlatego na urodziny postanowiłem kupić dziadkowi pocztówkę lub zdjęcie kamienicy na Siennej. Kłopot polegał na tym, że zbierał on wszystkie książki, wycinki z gazet czy wydruki, w których pojawiała się choćby najdrobniejsza o niej wzmianka, nie mówiąc już o fotografiach. Zupełnie jakby starał się opisać tamten okres swego życia jak najdokładniej, zamknąć w szklanej kuli, zabezpieczyć przed upływem czasu.

Musiałem nieźle nakombinować, żeby znaleźć coś, czego jeszcze nie miał; na szczęście przeglądałem jego kolekcję dość często i wiedziałem, czego szukać. Nie byłem oryginalny i zacząłem od giełdy staroci na Kole. Obejrzałem tam wszystko, ale trafiły się tylko powtórki. Nie znalazłem niczego na internetowych aukcjach, więc przerzuciłem się na antykwariaty. Schodziłem te bardziej i te mniej znane, przejrzałem obłądną ilość pocztówek i książek. Wdychałem tony papierowego pyłu i miałem wrażenie, iż z każdego lokalu wychodzę coraz bardziej wysuszony i zmumifikowany. I tak dobrze, że jeszcze nie zacząłem szeleścić przy każdym ruchu.

Wreszcie w którymś z antykwariatów, siedząc nad kolejnym pudłem z pocztówkami, opowiedziałem o wszystkim właścicielowi. Sprzedawca, wysłuchawszy historii moich poszukiwań, spojrzął znad okularów i pocierając chrząszczący od zarostu podbródek, spytał: — A „U Wiecha”



pan był?

Nawet nie wiedziałem, o kogo chodzi, ale skoro władowałem w te poszukiwania już tyle energii, to czemu nie sprawdzić w jeszcze jednym miejscu?

Z adresem w kieszeni ruszyłem do tajemniczego antykwariatu Wiecha. Miał to być dobrze zaopatrzony, a mało znany lokal, o którym zainteresowani powiadają się pocztą pantoflową, słowem – legendarny przybytek wszystkich bibliofilów. Obiecałem sobie, że jeśli tam nie znajdę tego, czego szukam, zacznę się rozglądać za czymś bardziej konwencjonalnym, na przykład reprintem herbarza, jaki zauważyłem na wystawie mijanej księgarni.

Antykwariat mieścił się na Hożej, w jednym z mieszkań podwórka-studni. Przy bramie wklepałem stosowny numer w domofon z nadzieją, że akurat będzie otwarte. Miałem to szczęście i po chwili tłumaczyłem całą sprawę właścicielowi. Wbrew pozorom nie nazywał się Wiech, przedstawił się, ale zaraz zapomniałem nazwiska. Okazał się sympatycznym staruszkiem, który podszedł do całej sprawy ze zrozumieniem. Rozmawialiśmy w niewielkim mieszkaniu na parterze, jednym z tych, których rozkład przypomina labirynt; orientację dodatkowo utrudniały stojące wszędzie regały i pudła z książkami. Na samą myśl, że miałbym szukać tu czegokolwiek, ogarniało mnie przerażenie. Na szczęście, kiedy podałem nazwę ulicy, starszy pan wygrzebał skądś segregator, przewertował go i pokręcił głową.

— Na pewno gdzieś tu jest. Będę musiał poszukać dokładniej, choć to, rzecz jasna, trochę potrwa...

Odetchnąłem z ulgą, bowiem wyobraźnia podpowiadała mi raczej: „trochę kosztuje”.

— Byleby udało się do piątku – powiedziałem, spoglądając na trzymaną w ręku fotografię Alei Jerozolimskich. – Wie pan, czasem mam już dość tych zdjęć. Wolałbym po prostu pójść do tego domu, wejść na

piętro, zajrzeć do mieszkania...

Antykwariusz spojrział na mnie z dziwnym błyskiem w oku.

— Proszę zostawić numer do siebie. Myślę, że uda mi się ją wyszukać najdalej za tydzień.

Zadzwoił dokładnie dwa dni później. Umówiliśmy się na placu przed wejściem do stacji metra Centrum.

Pogoda była wtedy paskudna: nie dość, że ziąb jak wszyscy diabli, to jeszcze wiał lodowaty wiatr, z gatunku takich, które zmuszają do otulenia się kurtką i sprawiają, że wszyscy marzą tylko, by jak najszybciej zaszyć się w domu. Mimo to po placu jak zwykle przewalał się tłum ludzi. Kilka razy mignęły mi dzieciaki w perukach i la miotła lub z czarnym makijażem. Halloween!

Starszy pan czekał na mnie, przechadzając się pod pomalowanym graffiti murem. Pokazał mi starannie zapakowane w kopertę zdjęcie, zapłaciłem. Faktycznie, takiego dziadek jeszcze nie miał.

— A teraz – powiedział – gdy już załatwiliśmy sprawy zawodowe, chciałbym coś panu zaproponować. Hm, taak... Proszę rozejrzeć się dookoła. Ale tak naprawdę, naprawdę uważnie.

Zrobiłem, jak powiedział, i słowo daję, niczego niezwykłego nie zauważyłem. Z wyjścia metra wylewał się kolejny strumień pasażerów, ludzie pędzili we wszystkie strony lub czekali na kogoś, nad głową hałasował ekran reklamowy, z przejścia pod rondem zalatywało grillowanymi kanapkami.

— Niby o co chodzi? – spytałem tajemniczo uśmiechniętego starszego pana. – Mam zwrócić na coś szczególną uwagę?

— A chociażby na to – odparł antykwariusz, unosząc do góry palec. – Proszę podążać wzrokiem.

Zaczął przesuwając palcem na tle ciemnego nieba i podświetlonego na pomarańczowo Pałacu Kultury. I wtedy powoli zacząłem łapać, o co chodzi.

Zrazu sądziłem, że widzę jakąś mgiełkę, względnie smugę dymu. Jednak potem nabrała ona bardziej regularnych kształtów, jakich żaden dym nie potrafiłby przyjąć. Palec starszego pana zakreślał kontury ścian, dachów i kominów starych kamienic. Kamienic, które już nie istniały.

Wyglądały jak utkane z dymu. Wznosiły się tak, jak stały, nim trafiła w nie bomba albo zastała wiele lat temu ekipa wyburzająca. Cienie starych domów, cień starej Warszawy, który nagle jakimś cudem pojawił się w naszej rzeczywistości.

— Co... co to ma być? – wydukałem zaskoczony. Stałem nieruchomo, usiłując jakoś pogodzić fakt, że jesteśmy przed wejściem do metra i jednocześnie wznosi się nad nami potężny zarys dworca Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Wzięłem głęboki oddech i w tym momencie odezwał się mój sentyment z czasów dzieciństwa, kiedy przeglądałem kolekcję dziadka i stare albumy. Przecież te budynki nie były mi zupełnie obce; znałem je, dziadek opowiadał mi o nich, widziałem ich zdjęcia. Zaskoczenie znikło, ustępując miejsca starej fascynacji.

— Raz do roku dzieje się tak, że stare domy wracają na swoje miejsca – wyjaśnił staruszek. – Na moment powraca miasto, którego już nie ma. W sumie, gdyby się zastanowić, to bardzo odpowiednia pora... Tak naprawdę ich nie ma, to tylko duchy, cienie, widmo zniszczonego miasta.

— Jak pan się o nim dowiedział?

— Słyszałem tu i tam... – machnął ręką starszy pan. – Głównie od złomiarzy, co na giełdy przychodzą, ale czego oni nie gadają... Najpierw coś tam jeden koledze mówił i mi w ucho wpadło, potem drugi, trzeci i czwarty, wreszcie znajomy artysta malarz całkiem na trzeźwo trafił na placu Defilad na odcinek starej Śliskiej, a pewien klient opowiadał, że omal nie spowodował wypadku na Waryńskiego, bo wydawało mu się, że wjedzie na ścianę kamienicy... Niby się śmiał, że przywidzenie, że może za dużo tych zdjęć ogląda, ale jakoś tak bez przekonania. Zacząłem nad tym myśleć, a, wie pan, w antykwariacie ma się czas, dużo czasu...

Wreszcie wykoncypowałem, co się może dziać i kiedy... No a teraz mamy okazję, by to sprawdzić.

— I nikt tego nie zauważa?

— Jak sam się pan przekonał, to wcale nie jest takie proste, sam przed chwilą miałem kłopot... A nawet jak się coś zobaczy, łatwo uznać za omam. I wreszcie komu chce się rozglądać w taką pogodę?

Jakby na potwierdzenie tych słów, uderzył w nas kolejny podmuch. Antykwariusz wcisnął mocniej kapelusz na głowę.

— Swoją drogą, ciekaw jestem, czy można je uwiecznić. Nawet zabrałem ze sobą sprzęt. – Wyciągnął z kieszeni kurtki niewielki aparat cyfrowy, wycelował w najbliższy widmowy budynek i wdusił przycisk. Spojrzał potem na ekran i pokręcił głową: zamiast fragmentu widmowego dworca złapał tylko kawałek jak najbardziej rzeczywistego Pałacu.

— Spece od fotografowania duchów używają ponoć różnych filtrów i nakładek na obiektyw – zauważyłem ironicznie.

— Możliwe... Możliwe... – odparł antykwariusz całkiem poważnie. – No cóż, zawsze pozostają jeszcze własne oczy i pamięć. Ma pan zatem teraz niepowtarzalną szansę, by ujrzeć swój dom takim, jakim rzeczywiście kiedyś był. Co pan powie na niewielką przechadzkę po nieistniejącym mieście?

Popatrzyłem to na domy, to na antykwariusza. Dawna fascynacja, raz pobudzona, nie dawała o sobie łatwo zapomnieć.

— A jeśli to jak wejście w miraż? Dotrzemy na miejsce, a tam niczego nie ma?

— No cóż, jeśli nie sprawdzimy, nigdy się tego nie dowiemy – odparł spokojnie starszy pan. – W końcu to niedaleko, chyba możemy zaryzykować.

Trudno mu było odmówić racji. W sumie dlaczegoż by nie? Może wreszcie obejrzę sobie nasz dom?

— Chodźmy zatem.

Wyszliśmy w stronę Dworca Centralnego... prosto na wyłożoną dużymi płytkami boczną ścianę Dworca Głównego. Przez jakiś czas podziwiałem jego bryłę.

— Nieźle nawet wyglądał... Zwłaszcza w porównaniu z następcą – powiedziałem, spoglądając na prześwitujący przezeń charakterystyczny kształt.

— A kiedy Centralny zburzą, może zacząć pojawiać się tak samo, jak ten. – Antykwariusz pokręcił głową. – Sam nie wiem, czy się cieszyć, czy smucić.

Szliśmy gęsto zatłoczonym chodnikiem, lecz ludzie zachowywali się tak, jakby w ogóle niczego nie zauważali. Szczerze mówiąc, ja też sądziłem, że kiedy wyjdziemy na powierzchnię, wszystko okaże się jednym wielkim zwidem. Tymczasem domy nie znikwały, ich obraz trwał przyczajony gdzieś w kąciku oka i pojawiał się za każdym razem, kiedy tylko skupiałem wzrok na dłużej. W czasie naszego spaceru na skraju pola widzenia migały mi co chwila drewniane parkany, ciemne otwory bram i wysokie okna.

— O, proszę, siedziba tymczasowego dworca. – Starszy pan pokazał jakąś budowlę mającą wśród otaczających Pałac Kultury drzew. – Kiedy zamknęli Wiedeński i zaczęli budować Główny, cały ruch odbywał się właśnie tutaj, no a potem zburzyli go Niemcy... Przepraszam, czy moglibyśmy skręcić? Chciałbym go sobie obejrzeć ze wszystkich stron...

Wzruszyłem ramionami i pozwoliłem się prowadzić manii antykwariusza. Budynek przenikał trawnik i drzewa, trudno było w nich dostrzec cokolwiek. Nakładające się na siebie widmowe ściany, które nabierały ostrości, kiedy tylko zatrzymałem gdzieś wzrok, sprawiały, że na chwilę straciłem orientację. Zacząłem nawet chodzić starymi korytarzami i oprzytomniałem dopiero, gdy potknąłem się o całkiem realny krawężnik. W końcu inni przechodzili przez widmowe ściany i nie

działa im się krzywda. Na szczęście po jakimś czasie wzrok przyzwyczyli się do widmowych budynków na tyle, że przestały mi utrudniać poruszanie się w realnym świecie, choć nadal mogłem je oglądać, kiedy chciałem. Starszy pan chyba w ogóle nie miał takich problemów: chodził parkowymi alejkami i rozglądał się niczym turysta. Nawet nie wpadł do fontanny, choć niegdyś w tym miejscu znajdował się równy plac.

— Piękne... Wspaniałe... – powiedział w końcu. – Aż szkoda, że nie mogę tego sfotografować. Ale to nic, przynajmniej wiem, jak dworzec wyglądał od północnej strony. Kto wie, może za rok przyjdę tu z jakimś architektem, aby to wyrysował, że tak powiem, z natury... Pan wie, ile tych planów dałoby się odzyskać w ten sposób?

Przez jakiś czas mruczał coś podekscytowany, najwyraźniej rozmyślając nad możliwościami, jakie się przed nim otwierały. I pewnie byśmy poszli dalej, gdybyśmy się nie natknęli na Faceta w Czerni.

Facet w Czerni był jedną z tych osób, które wszyscy kojarzą, jeśli tylko się o nich wspomni. Należał do długiej i sławnej galerii miejskich oryginałów, ludzi, których widuje się na ulicy, lecz niekoniecznie chce z nimi zawierać bliższą znajomość. Był to wysuszony na wiór i zniszczony życiem dziadek w nieokreślonym wieku. Zawsze nienagannie ogolony, nosił przez okrągły rok ten sam szary garnitur, modny chyba za czasów jego młodości, i równie stary czarny płaszcz; ot, ubogi, samotny emeryt, któremu z jakiegoś powodu pomieszało się w głowie. Słynął z tego, iż krążył po centrum i wciąż wypytywał o adresy jakichś ulic. Ci, których udało mu się zaczepić, odpowiadali albo wzruszeniem ramion, albo machali ręką, że to gdzieś tam, a dalej się pan zapyta... Jak to zwykle bywa, tożsamość i pochodzenie Faceta w Czerni otaczała mgiełka tajemnicy, co jeszcze bardziej dodawało mu atrakcyjności – miał to być hrabia, który przegrał majątek, albo przybysz z innego miasta, który chciał się udać pod wskazany adres, ale zgubił kartkę i dotąd usiłuje go sobie przypomnieć. Kiedyś w Internecie ktoś opowiadał, jak oddał mu

mapę, którą przez nieuwagę upuścił, zwykłą mapę centrum, jakich pełno w kioskach. Podobno cała była mocno pokreślona ołówkiem, z jakimiś bazgrołami. Niestety, nie potrafił ich odczytać.

— Bardzo panów przepraszam – zagadnął. – Którędy dotrę na ulicę Sienną róg Sosnowej? Albo Komitetowa, trzeci dom od prawej?

Zamrugąłem, bo mimo wysłuchiwanie dziadkowych wspomnień moja znajomość ulic w centrum pozostawiała wiele do życzenia.

— To niedaleko, jakieś dwie przecznice stąd – odparł natychmiast antykwariusz. – Zresztą i tak idziemy w tamtą stronę.

Ruszyliśmy dalej, zostawiwszy Faceta w Czerni z tą informacją.

— Ciekawe, naprawdę – powiedział starszy pan, kiedy odeszliśmy kilka metrów. – Bo, widzi pan, tego adresu, o który pytał, nie ma. A raczej był, ale wszystko dookoła bardzo się zmieniło.

Popatrzyłem na majaczące w ciemnościach strome dachy i pomyślałem, że w taki wieczór nawet do Faceta w Czerni mogło uśmiechnąć się szczęście. Dyskretnie obejrzałem się przez ramię: dziadek dreptał parę metrów za nami, szczelnie zamknięty w swoim świecie.

Przeszliśmy przez Emilii Plater, przebijając się bez wysiłku przez kolejne warstwy murów. Wraz z innymi ludźmi przechodziliśmy przez bramy, przedpokoje, salony, korytarze, pokoje, podwórka i sklepiki, które niegdyś się tutaj znajdowały. Przez jakiś czas było to nawet ciekawe, jednak w pewnej chwili poczułem, że od tego szaleńczego kalejdoskopu zaczyna mnie boleć głowa. Antykwariusz rozglądał się ciekawie na wszystkie strony, co jakiś czas przystając i przyglądając się jakiemuś detalowi: a to pompie na podwórku, a to maskaronowi, a to szybowi kuchennej windy w olbrzymiej sali restauracyjnej. Dokładnie wiedział, jaką ulicę właśnie przecinamy: najpierw był to nieistniejący kawałek Chmielnej, potem Złota.

— Złota? Gdzieś tutaj dziadek kupił sobie pierwszą porządną

futbolówkę. Szytą ze skóry. Zagrał nią tylko raz i sprzedał, by zapłacić za wybite szyby.

Skręciliśmy w Sienną i nagle stanęliśmy jak wryci.

W bocznych, wąskich uliczkach było znacznie spokojniej. Blask centrum pozostał za nami, uliczny hałas zmienił się w szum. Tutaj widmowe budynki, nieprześwietlane mocnym światłem biurowców i neonami, wznosiły się dostojnie obok swych wciąż istniejących towarzyszy, otulone rozproszonym blaskiem latarni. Patrzyliśmy z antykwariuszem na niknący w perspektywie szereg utkanych z mgły kamienic, stojących po obu stronach ulicy, przenikających ściany istniejących bloków. Tego widoku nie mogły zepsuć nawet światła przejeżdżających samochodów czy blask padający z mieszkań. Miałem okazję zobaczyć na własne oczy, jak ta ulica wyglądała przed ponad sześćdziesięciu laty.

Staliśmy tak przez chwilę, nie mogąc wydać z siebie głosu. Potem w milczeniu ruszyliśmy dalej. Odruchowo zwolniliśmy kroku i chłoniliśmy widok, nie wiedząc, na co spoglądać najpierw. Nie byłem pewien, czy przy mocniejszym podmuchu wiatru to wszystko nie rozwieje się w powietrzu.

— Mimo wszystko dziwnie to wygląda – szepnął antykwariusz. Po lewej wznosiły się ocalałe kamienice, po prawej – kilkupiętrowe widma. W jednych świeciły się światła, zimno błyskały ekrany telewizorów i monitorów, widać było poruszających się ludzi. W drugich okna były ciemne, nagie i zimne, bez żadnych zasłon ani firanek. Gdyby nie prześwitujący tu i ówdzie słaby poblask współczesnych lamp, byłyby całkiem mroczne i puste. Wyglądało to tak, jakby ulicę dotknęła bardzo nietypowa awaria prądu.

— Żadnych szyldów, reklam, napisów... – powiedziałem również szepem, jakbyśmy się zmówili, że to najodpowiedniejszy w takich okolicznościach sposób porozumiewania się.



Rzeczywiście, wszystkie budynki miały fasady gładkie, jakby właśnie zakończono ich budowę. Wznosiły się milczące, pozbawione wszelkich śladów życia; przez chwilę sądziłem, że patrzę na monumentalne wersje starych grobowców z Powązek.

— Wie pan, szyldy się zmieniają, i to często... Czymże jest taki szyld czy reklamowa tablica wobec wieku domu...?

Urwał, gdyż w tym właśnie momencie na sąsiednim budynku zobaczyliśmy tablicę „Towary kolonialne”. Na jej widok odetchnąłem z ulgą.

Chwilę potem zatrzymaliśmy się przy wjeździe na parking, między szkołą a blokiem, przed widmem domu, którego zdjęcie spoczywało w mojej kieszeni. Domu, który niby był mi znany, bo od dzieciństwa oglądałem go na fotografiach, aż zapamiętałem dokładnie każdy szczegół, a jednak teraz... wyglądał zupełnie inaczej. Domu tyle razy wspomnianego przez dziadka, a który mogłem oglądać w całej okazałości. Serce waliło mi jak młotem, nie byłem w stanie złapać oddechu.

Nie stałem przed domem, tylko przed mitem.

Oglądałem jego fasadę powoli, niespiesznie, podziwiałem wszelkie szczegóły i detale, jakie rozciągały się przede mną w całej swojej krasie. Patrzyłem na kutą bramę, boniowanie parteru, dwa rzędy balkonów o kutyh balustradach i szczegóły wykończenia okien, facjatki, starając się zapamiętać to wszystko. Dla dziadka, dla siebie, dla swoich dzieci i wnuków.

Ledwo oderwałem wzrok, by zobaczyć, jak Facet w Czerni znika między samochodami w widmowej bramie kamienicy obok.

Popatrzyliśmy z antykwariuszem po sobie i odgadłem, że myślimy o tym samym. Niby przechodziliśmy przez dworzec, ale wejść do środka kamienicy?

— Właściwie – powiedziałem ochrypłym z emocji głosem – znam ten

dom tylko z fotografii, od strony fasady... Nigdy nie byłem w środku, ani nawet na podwórku. A gdyby tak... pozwiedzać wnętrza?

— Właściwie – odparł powoli starszy pan – skoro on może, to i my chyba też, prawda?

Weszliśmy w bramę. Dziwnie się czułem, przechodząc pod zbudowanym jakby z mgły łukiem; odruchowo spojrzałem w umieszczone w ścianie podłużne okienko, jakby lada chwila miał przez nie wyrzeć duch dozorca, pytając: „Panowie do kogo?”. Nic takiego się jednak nie stało; widać dla budynków ludzie byli stanem przejściowym.

Skąpane w blasku współczesnych latarni podwórko było typową dla takich kamienic czteropiętrową studnią z najtańszymi mieszkaniami z tyłu. Spoglądałem na puste okna, na zamknięte drzwi, czekające tylko, aby ktoś je otworzył. Wrażenie psuły przebijające tu i ówdzie przez mury fragmenty karoserii zaparkowanych aut, ja jednak rozglądałem się wokoło oniemiały. Miałem przed sobą świat, który zniknął dawno temu, a dzięki opowieściom dziadka stał się częścią naszej rodzinnej przeszłości. Dane mi było patrzeć na rzeczy, które widział on. To, co znałem tylko z opisów i sobie wyobrażałem, teraz mogłem obejrzeć na własne oczy. Na tym trzepaku dziadek fikał koziołki, tu się bawił, tu żył.

— Zawsze mi się zdawało, że umieszczono je po przeciwnej stronie – powiedziałem, wskazując na wmurowane w ścianę ujęcie wody. Miało postać wnęki o muszlowatym zwieńczeniu z kranem w kształcie lwiego pyska. – I że to podwórko będzie, no, większe.

— To nie podwórko się skurczyło. – Starszy pan uśmiechnął się. – To pański dziadek urósł. Wie pan dokładnie, gdzie mieszkał?

Pokiwałem głową.

— Proszę za mną.

Cofnęliśmy się do bramy i umieszczonych w niej wejść. Wybrałem to po prawej i wraz z antykwariuszem przeniknęliśmy przez drzwi na klatkę schodową. Przez chwilę kontemplowałem posadzkę z czarno-

białych kafelków i kute balustrady oraz stolarkę drzwi mieszkania naprzeciwko, po czym skrzywiłem się.

— Jak po czymś takim wejdziemy na pierwsze piętro?

Antykwariusz popatrzył na lśniące jeszcze nowością schody, po czym postawił nogę na pierwszym stopniu, później na drugim... Nim zdążyłem się zorientować, starszy pan dotarł już na podest. Chwilę potem przez schody zobaczyłem podeszwy jego butów, gdy wchodził wyżej. Odetchnąłem głęboko, pomyślałem sobie, że ten dom jest jak najbardziej realny, i wziąłem schody szturmem. Ostrożnie dotknąłem poręczy: była gładka, idealną gładkością świeżo lakierowanego drewna. Nic dziwnego, że dziadek z bratem zjeżdżali z niej na wyścigi. Podwórkowe grand prix w zjeździe z ostatniego piętra na parter przypłacił finiszem na ścianie i utratą dwóch zębów.

— Które z nich? – spytał antykwariusz na piętrze, wskazując na drzwi po obu stronach schodów. Wytężyłem wzrok i z trudem udało mi się dostrzec przykręcone na widmowych framugach owalne tabliczki z numerami. Starszy pan otworzył drzwi.

— Gospodarz, khem... przodem.

Ze ściśniętym gardłem przestąpiłem próg. Z jednej strony nie wiedziałem, jak dom zareaguje na wejście do prywatnego mieszkania, z drugiej nie mogłem opanować szybkiego bicia serca. W końcu żyły tutaj trzy pokolenia mojej rodziny. Czułem się, jakbym odwiedzał zupełnie obcych sobie ludzi, a jednocześnie byłem przekonany, że nikt bardziej ode mnie nie ma prawa wkraczać w progi naszego rodzinnego gniazda.

Wnętrze było zupełnie inne od tego, które sobie wyobrażałem. Nie wiem, czego właściwie się spodziewałem, a jednak... w jakiś sposób byłem rozczarowany. Może dlatego, że otaczały nas gołe ściany, jakby pierwszy właściciel dopiero co miał tu wnieść meble. W mojej wyobraźni mieszkanie rysowało się jako labirynt niezbyt jasnych pokoi pełnych ciężkich mebli, z pluszowymi kotarami na oknach. Tymczasem

znaleźliśmy się w długim i wąskim korytarzu z szeregiem drzwi po obu stronach; było ich tu co najmniej z osiem. No ale gdzieś dziadek z bratem, ku utrapieniu swojej babci, musieli grać w kręgle.

— Ho, ho – ocenił antykwariusz tonem znawcy. – Kim był z zawodu pański antenat, jeśli wolno spytać?

Weszliśmy do pokoju, który, sądząc po wielkości i drugich drzwiach do kuchni, musiał być salonem. Przymknąłem oczy i usiłowałem przypomnieć sobie rzadko oglądane zdjęcie, zrobione przy okazji którejś z Wigilii.

— Tu stał stół – powiedziałem, wskazując dłonią. – Okrągły, taki na sześć osób, ale po rozłożeniu mieściło się przy nim i dwanaście, a nawet więcej, z obrusem do samej ziemi. Można się było pod nim ukryć i człowieka przez cały dzień szukali. A w którymś z kątów stawiano choinkę, taką ogromną, bardzo rozłożystą. Kiedy założono szpic, to dotykał sufitu. Jakimś cudem przetrwał wojnę i mamy go do tej pory, podobnie jak papierowe baletnice prababci.

Przez chwilę widziałem je oczami duszy zawieszona na gałęziach świerku czy jodły. W spódnickach z precyzyjnie składanej bibuły, z ugiętą nogą i uniesionymi do góry rękami, wirowały w piruetach wywołanych podmuchami wiatru. Ile razy sam dmuchałem na nie jako dziecko, aby namówić je do kolejnego tanecznego pas!

— Wtedy większość zabawek robiono ręcznie, bombki były drogie. – Antykwariusz pokiwał głową. – Ja ze swego dzieciństwa pamiętam pierrotę z wydmuszek i pająki ze słomek. Kiedyś znalazłem w jednej z ksiązek kolekcję takich starych papierowych Mikołajów, wie pan, wycinało się głowy z papieru pakowego i robiło resztę z krepiny...

— Domyślam się, że odpowiednio je pan wycenił.

Starszy pan łypnął na mnie spod zmarszczonych siwych brwi.

— Wie pan, one kiedyś cieszyły czyjeś dzieci. Teraz ubieram nimi choinkę i stawiam w oknie antykwariatu tak dla wszystkich.

Wyrzrzałem przez okno, popatrzyłem na widmowe i prawdziwe domy naprzeciwko, na przemykających ulicą ludzi, na przejeżdżające z rzadka samochody. Odgłosy z zewnątrz docierały do nas, ale przytłumione, jakby od ulicy rzeczywiście oddzielały nas mur i szyba. Widziałem, jak jakiś wóz zamigał nagle kierunkowskazem i wjechał prosto w ścianę budynku obok. Ciekawe, czy ktokolwiek zwrócił uwagę na dwóch spacerujących w powietrzu facetów. A może, wchodząc do środka, zniknęliśmy wszystkim z oczu?

Wzięłem głęboki oddech i powoli odwróciłem się od okna. Najważniejszy element pokoju zostawiłem sobie na koniec.

W kącie pomieszczenia, dokładnie po przeciwnej stronie niż stół, wznosiło się widmo ogromnego murowanego pieca, niemal do sufitu obłożonego ceramicznymi kaflami. W trzech czwartych wysokości przełożono je kilkoma sztukami, na których ręcznie wymalowano pejzaże z różnych stron świata.

Podszedłem do niego powoli, uważnie oglądając ze wszystkich stron. Musiałem wyteńczyć wzrok, żeby dostrzec, jaki dokładnie widok przedstawiają kafle na półprzezroczystym piecu.

— Bardzo ładny egzemplarz – powiedział antykwariusz. – Można spytać, co w nim takiego niezwykłego?

— Nigdy go nie widziałem – wyjaśniłem wzruszony. – Zwykle fotografujący stał przy piecu i uwieczniał zebrane przy stole towarzystwo. A słyszałem o nim wiele, bardzo wiele.

— O?

Wędrując wzdłuż pieca, znalazłem wreszcie to, czego szukałem. Przez dłuższą chwilę kontemplowałem niewyraźny pejzaż holenderski z obowiązkowym wiatrakiem.

— Choćby to – szepnąłem, mgliście zdając sobie sprawę, że gadam ni to do siebie, ni to do starszego pana. – U nas nigdy nie mówiło się, że coś jest bezpieczne jak w szwajcarskim banku, zawsze: „bezpieczne jak pod

holenderskim wiatrakiem”.

Nie mogłem się powstrzymać, by nie wspiąć się na palce i dotknąć obrazka. Mój mózg posłusznie zarejestrował chłód ceramiki i porowatą warstwę farby. Zmarszczyłem brwi i przez chwilę macałem na oślep po całym kaflu.

— Czego pan szuka? – zainteresował się antykwariusz. W tym samym momencie nacisnąłem lewy skraj kafla, który otworzył się niczym drzwiczki, odsłaniając otwór.

— Tego – odparłem, czując, że zaraz pęknę z dumy. Oto spełniało się właśnie jedno z marzeń mego dzieciństwa; ileż razy męczyłem dziadka o wszelkie szczegóły, ileż razy przeżywałem tę chwilę w wyobraźni! – Nasza rodzinna skrytka, zamontowana na specjalne zamówienie pana domu. Kiedy wybuchła wojna, pradziadek ukrył tutaj wszystkie najważniejsze papiery rodzinne. Na szczęście brat dziadka miał dość rozumu, by je stąd zabrać przed Powstaniem Warszawskim i tylko dzięki temu mogłem je oglądać.

— Spodziewa się pan tam znaleźć coś jeszcze? – spytał antykwariusz.

— Nie wiem – cofnąłem się nieco i usiłowałem zajrzeć do środka. Po tym, co się działo z sztyldami, nie oczekiwałem sukcesów, jednak skoro już się tutaj znalazłem, chciałem zbadać sprawę do końca. Wreszcie podszedłem i wyciągając się najbardziej jak mogłem, zacząłem macać na oślep we wnęce. Niestety, domacałem się tylko chropawego wnętrza pieca i gładkiej blaszanej rury odprowadzającej ciepło. Moja dłoń przeświecała przez widmowe kafle, jakby znajdowała się w gęstym dymie. Wreszcie nogi zaczęły odmawiać mi posłuszeństwa, więc dałem spokój, zamknąłem skrytkę i odruchowo otrzepałem ręce.

— Ciekaw jestem, jak rozwiązano wentylację... – powiedział w zadumie antykwariusz. – Jeśli można, rzucę okiem w sąsiednim pokoju.

— Chwileczkę – powiedziałem, gdy skierował się ku drzwiom. – Nie prościej będzie na skróty?

Zrobiłem krok w stronę ściany, przekonany po doświadczeniu ze schodami, że najwyżej się od niej odbiję. A jednak wyciągnięta do przodu ręka dotknęła muru, a potem przeszła przezeń jak przez mgłę. W następnej chwili moja noga, zamiast stać na podłodze sąsiedniego pomieszczenia, zawisała w próżni. Poczułem, że tracę równowagę, i zdążyłem się już nawet przestraszyć, gdy mój towarzysz chwycił mnie za kołnierz i pociągnął mocno do tyłu.

— Wygląda na to, że na parterze możemy robić wszystko – wysapał antykwariusz – ale tu, na piętrach, musimy dostosować się do reguł tego domu. Wchodzić tam, gdzie są drzwi, wyglądać przez okna, wchodzić i schodzić po stopniach. Jak na razie nic nam się nie stało.

Kiwnąłem głową, oddychając głęboko i starając się opanować dygotanie ciała. Popatrzyłem na podłogę i ściany, usiłując uwierzyć w to, co widzę. Antykwariusz niespiesznie ruszył w głąb korytarza, zaglądając do kolejnych pomieszczeń.

Ostrożnie zrobiłem niepewny krok, potem drugi. Kiedy nic się pod mną nie zarwało, zacząłem iść nieco pewniej, jednak nadal wolałem się trzymać blisko ścian.

Powoli obeszliliśmy pozostałe pomieszczenia: dwa dodatkowe pokoje, służbówkę, kuchnię, sypialnię gospodarzy. Zajrzelibyśmy nawet do spiżarni, ale drogę zatarasowały nam całkiem realne drzewa rosnące koło szkoły.

— No to klops – powiedziałem, patrząc na wyrastające ze ściany i niknące pod sufitem konary i fragment pnia. – Skoro zakładamy, jak chciał tego dom, że ściany, podłoga i sufit są materialne, to nie mamy jak tego obejść.

— I co, tak pan to sobie wyobrażał? – spytał antykwariusz, kiedy wyszliśmy do przedpokoju.

— Sam nie wiem – odparłem szczerze, bo w głowie miałem zupełny mętlik. – Nie sądziłem, że kiedykolwiek będę mógł zestawić swoje

wyobrażenia z tym, co widzę tak...

— Namacalnie? – uśmiechnął się starszy pan.

Ledwo wyszliśmy do bramy, zatrzymaliśmy się jak wryci. Z zaskoczeniem przyglądaliśmy się ścianie i skrzydłu wrót, na których widniały ślady po kulach. Przysięgłbym, że kiedy wchodziliśmy do kamienicy, jeszcze ich nie było.

Antykwariusz dotknął ich ostrożnie, jakby chcąc się przekonać, czy naprawdę istnieją. Zadarł głowę i popatrzył na fasadę domu obok, w której nagle zaczęły straszyć okna bez szyb czy nawet framug. Rozejrzałem się: inne domy wyglądały podobnie.

— One się starzeją – mruknął starszy pan.

Wtedy właśnie minął nas rażnym krokiem Facet w Czerni; co dziwniejsze, pod pachą niósł średniej wielkości nieforemną paczkę owiniętą w szary papier. Przepuściliśmy go między sobą; przesunął po nas uważnym, zupełnie byстрым wzrokiem. To nie było już spojrzenie zagubionego w rzeczywistości wariata: wyglądał na całkowicie trzeźwo myślącego.

Przez chwilę patrzyliśmy z antykwariuszem po sobie, po czym jednocześnie, jak na komendę, ruszyliśmy za nim.

— One się po prostu starzeją – zaczął tłumaczyć po drodze. – Wydaje się, że przez tę jedną noc odtwarzają cały swój wygląd, postać, historię. One nie mogą odgrywać, odtwarzać żadnych wydarzeń, więc po prostu trwają, pokazując upływ czasu na sobie. Dla nich właśnie zaczęła się wojna.

Popatrzyłem na zegarek.

— Skoro tak, to przy tym tempie chyba nie mamy zbyt wiele czasu.

— Obawiam się, że ma pan rację. Szkoda... Sądziłem, że jeszcze to i owo zdołam zobaczyć. Choćby resztę Śliskiej na placu Defilad, żeby daleko nie szukać. Następnym razem zacznę od Nalewek, teraz jest już chyba zbyt późno, by tam dotrzeć. Swoją drogą, to fascynujące, prawda?



Mamy wreszcie okazję być najbliżej przeszłości jak to tylko możliwe, możemy jej dotknąć, dosłownie zanurzyć się i w niej być...

— A tak dla porządku, to właściwie dlaczego my za nim idziemy? – spytałem. – Nie ma ciekawszych obiektów do zwiedzania?

— Proszę zauważyć – odparł antykwariusz z tym samym błyskiem w oku, z którym po raz pierwszy pokazywał mi widmowe domy – że wygląda na człowieka, który wreszcie wie, gdzie ma iść. Te jego pytania o ulice mogą mieć sens. Być może stara się odnaleźć w mieście, które zupełnie zmieniło swój wygląd i nazwy ulic. Nie wykluczam, że jego wędrówka ma jakiś cel, a dziś właśnie odnalazł punkt zaczepienia. Mam dziwne wrażenie, że trafiła nam się niezła okazja i może zaprowadzi nas w jakieś szczególnie ciekawe miejsce.

Pokiwałem głową, bo myślałem dokładnie tak samo.

Facet w Czerni skręcił za blok i ruszył w stronę Pańskiej. Odruchowo spojrzałem na tabliczkę z nazwą ulicy: Sosnowa.

— Czemu idzie akurat tędy? Przecież mógł skręcić wcześniej i obejść ten blok z drugiej strony.

— Przed wojną Sosnowa była aż do Marszałkowskiej najbliższą ulicą poprzeczną łączącą Sienną i pozostałe ulice – wyjaśnił antykwariusz. – Tędy na Komitetową najbliżej. Gdyby poszedł w przeciwną stronę, musiałby nadłożyć mnóstwo drogi, aż do Twardej.

Szliśmy w ślad za naszym dziwnym przewodnikiem, mając po lewej całościem materialny blok i przenikającą przez niego ogromną widmową kamienicę. Wyglądało to nieco dziwnie, choć na pewno kamienicę obserwowało mi się przyjemniej; przynajmniej wydawała się nowa. Perspektywę zamykał nam teraz nie wylot uliczki pod wieżowcem, lecz kilkupiętrowy gigant z facjatkami na dachu, zwieńczony trójkątnym tympanonem wspartym na wysokich na kilka pięter półkolumnach. Kiedy dotarliśmy wreszcie do smętnych pozostałości ulicy Śliskiej, na widok budynków, które kiedyś tu stały, znów na chwilę odebrało nam

mowę. Nie były jednak już tak wspaniałe jak te na mojej Siennej. Na murach pojawiło się więcej dziur po kulach, w niektórych miejscach odstaniając rzędy cegieł. Okna zaczęły straszyć odłamkami widmowych szyb lub wypalonymi oczodołami z czarnymi rżęsami osmolonego tynku. W kilku wnętrzach na parterze majaczyły ogromne dziury, zapewne wybite przez samych mieszkańców, by przechodzić z jednego budynku do drugiego bez potrzeby pokazywania się na ulicy. Dla tych domów właśnie wybuchło Powstanie.

Zmarszczyłem brwi i zacząłem szybko liczyć. Jeżeli domy wybudowane na przełomie wieków pojawiły się koło ósmej, zaś obecnie był dla nich rok czterdziesty czwarty, to...

— Chyba musimy się pospieszyć – powiedziałem z lekkim niepokojem do antykwariusza. – Jeśli dobrze obliczyłem, będą tu stać jeszcze około piętnastu minut, nim zostaną zburzone. Poza tym nie wiem, które z nich zostały zniszczone wcześniej, bombą chociażby... To mogą być minuty w jedną lub drugą stronę...

— Zdążymy, proszę się nie martwić – machnął ręką starszy pan z takim spokojem, jakby to on władał czasem i decydował, kiedy budynki mają zniknąć.

Facet w Czerni przeszedł na drugą stronę ulicy, ledwo unikając potrącenia przez jakiegoś taksówkarza. Chwilę potem zniknął nam w czeluści nieistniejącej bramy domu z tympanonem, jak gdyby nie znajdowała się ona na środku uliczki, tylko przy bezpiecznym chodniku.

— Miejmy nadzieję, że ma jakieś sprawy do załatwienia na piętrze – powiedziałem do antykwariusza. – Albo że nikt nie będzie akurat tamtędy przejeżdżał.

— Cóż, skoro tam wszedł, pozwólmy załatwić mu swoje sprawy i zobaczymy, czy zaprowadzi nas gdzieś dalej. Tymczasem chciałbym odwiedzić tamten dom. – Wskazał pusty plac kilkadziesiąt metrów od nas, na którym wznosiła się kamienica dość podobna do mojej. – Od kilku

lat wiodę spór z paroma klientami o to, czy w kilku mieszkaniach na drugim piętrze na życzenie właścicieli umieszczono płaskorzeźby, maskarony. Niestety, naszymi argumentami są tylko relacje osób, które tam mieszkały, oraz kilka wzmianek w książkach. Mam nadzieję, że teraz wreszcie dowiem się prawdy.

Zgodziłem się, w końcu on cierpliwie zniósł moje wędrówki po mieszkaniu przodków i badanie pieca.

Weszliśmy do postrzelanej bramy, stamtąd do drzwi prowadzących na schody. Przesunąłem spojrzeniem po ścianach, z których kule odłupały płatki tynku, na pozbawione futryny okno na półpiętrze. I nagle opanował mnie paniczny strach, absolutna pewność, jaką miewa się czasem tylko we śnie, że musimy stąd wyjść, już, natychmiast. Musimy, zanim te budynki znikną. Bo wtedy stanie się z nami coś złego, bardzo złego.

— Proszę pana – powiedziałem szybko – to już. Musimy wychodzić.

— Eee tam – machnął ręką antykwariusz i dalej wspinał się po schodach.

— Koniec wycieczki! – krzyknąłem, bo strach dławił mnie w gardle i powoli odbierał zdolność normalnego myślenia. – Przynajmniej na ten rok – dodałem łagodniej, mając nadzieję, że to coś pomoże.

Starszy pan zatrzymał się na półpiętrze i postukał w szkiełko zegarka.

— Według mnie mamy jeszcze siedem minut. Do tego czasu zdążę wejść, obejrzeć wszystko i wyjść. Może jednak spróbuję zrobić te zdjęcia...

Przez chwilę walczyłem z przemożnym uczuciem, by zostawić tego upartego starca i uciekać stąd samemu. Odetchnąłem głęboko i opanowałem się trochę. On mi to wszystko pokazał, razem tu weszliśmy i razem wyjdziemy. Kilkoma susami pokonałem dzielące nas stopnie, choć z każdym krokiem bałem się, że zaraz spadnę na zbity pysk prosto na piach budowy lub na blaszane ogrodzenie i zostanę przecięty na pół.

— Nie, proszę pana – wydyszałem z całą mocą i siłą przekonywania,

jaką dawał mi strach. – Za chwilę to wszystko zostanie po raz kolejny zamienione w ruinę i zniknie z panoramy miasta! Nie wiem, co się wtedy z nami stanie, i wcale nie chcę się tego dowiadywać! Pokonanie tych schodów zajęło panu całą minutę, dotarcie na drugie piętro to kolejne trzy, kolejne cztery na zejście! Nie zdąży pan nawet rzucić okiem! Nie zdąży pan!

— Na pewno nie zdążę, jeśli będzie mnie pan tu zatrzymywał! – rozgniewał się nagle antykwariusz. – Zatrzymuje mnie pan o krok od rozwiązania zagadki, która frapuje środowisko, mnie od kilku lat! Równie dobrze to wszystko może zniknąć dopiero po moim wyjściu! Czy nie rozumie pan, że mamy teraz jedyną, niepowtarzalną szansę, by dowiedzieć się rzeczy, których normalnie nie sposób się dowiedzieć inaczej?!

— I nie będzie miał pan z kim się tym podzielić! Kilka lat?! Za kilka minut może pan leżeć dwa piętra niżej z rozwaloną głową! W najlepszym wypadku! Czas tych domów tutaj dobiega końca! A czas ma swoje prawa, nie czeka na nikogo!

Antykwariusz przez chwilę stał na schodach, kurczowo ściskając widmową poręcz. Patrzyłem na niego wściekły, oddychając ciężko. Gdzieś z tyłu głowy pojawiło się pytanie, czy w razie czego zdołam go stąd wyciągnąć siłą.

Wreszcie starszy pan oderwał dłoń od poręczy i powoli odwrócił się ku mnie, spoglądając tęsknym wzrokiem na poznaczone kulami, odarte z tynku ściany, balustradę, w której ozdobnych prętach w czasie naszej rozmowy pojawiły się szczyrby. Z ciężkim westchnieniem zaczął powoli schodzić.

Wyszedłem stamtąd gotów w każdej chwili wypchnąć antykwariusza na ulicę, gdyby coś zaczęło się dziać. Odetchnąłem dopiero, gdy odeszliśmy szybkim krokiem kilkanaście metrów, jakby miało nas to uchronić przed walącym się z góry widmowym gruzem.

Zatrzymaliśmy się pod ścianą bloku, niemal na rogu Sosnowej. Antykwariusz oddychał ciężko; teraz, kiedy stałem wśród jak najbardziej prawdziwych murów, zrobiło mi się głupio i zaniepokoiłem się, że z powodu swoich irracjonalnych strachów naraziłem starszego człowieka na niepotrzebny wysiłek.

— Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

Antykwariusz pokiwał głową.

— Po prostu... dawno już nie biegałem... – wysapał ze złością. Widać ciągle nie mógł mi darować tych maszkaronów. – Nawet do autobusu... Wie pan, w moim zawodzie... bardziej wyrabiają się... mięśnie ramion i pleców...

Otoczające nas zjawy starych domów trwały nadal. Zastanawiałem się, czy moje obliczenia były prawdziwe; według zegarka powinny zniknąć dobre pięć minut temu. Może przesadziłem?

Popatrzyłem w wejście do widmowej bramy, w którą jakiś czas temu wszedł Facet w Czerni. Wyteżałem wzrok i usiłowałem przebić spojrzeniem półprzezroczyste ściany w poszukiwaniu jakiegoś ruchu, zarysu sylwetki. W pewnym momencie wydawało mi się, że w jednym z okien na pierwszym piętrze dostrzegłem jego postać. Miał na głowie melonik, w którym prezentował się znacznie bardziej nobliwie. Wyglądał na ulicę, paląc spokojnie papierosa, jak gdyby czekał na kogoś... albo na coś. Na ułamek sekundy nasze spojrzenia się spotkały, a wtedy starszy pan z życzliwym uśmiechem uniósł okrytą jasną rękawiczką dłoń, jakby na pożegnanie. Nagły podmuch wiatru wycisnął mi łzy z oczu, aż musiałem zamrużyć i odwrócić głowę. Kiedy chwilę później spojrzałem w to samo okno, zobaczyłem tylko ciemną taflę widmowej szyby. Równie dobrze mogły mi pomachać gałęzie rosnącego w tym miejscu drzewa.

— Czekają pan na naszego towarzysza z paczką? – domyślił się antykwariusz. – Gdyby stamtąd wszedł, to raczej byśmy się z nim minęli albo zobaczyli przez ściany...

— Iść tam po niego? To wszystko zaraz polecą. Może go zawołać?

— Może pan spróbować, ale nie wiem, czy nas usłyszy... Oho, zaczyna się.

Właściwie to nie wiem, czego oczekiwałem. Może jakiegoś efektownego walenia się w gruzy, może czegoś innego... Tymczasem domy w całkowitej ciszy zniknęły, bez jakiegokolwiek huków czy łoskotu. Po prostu z wolna robiły się coraz mniej wyraźne, jakby rozwiewały się w chłodzie październikowej nocy. Bez jednego dźwięku odchodziły w przeszłość ściany z boniowaniami i strome dachy, zniknęły pracownice kute balustrady balkonów, rozwiewały się w powietrzu ozdobne półkolumny i płaskorzeźby, przestawały istnieć całe pierzeje. Przez jakiś czas widzieliśmy jeszcze stopy ruin i na wpół zwałonych ścian, ale i one po chwili rozwiały się w ciemnościach. Na moich oczach budynki, które zniszczono wiele lat temu, po raz kolejny odchodziły w niebyt. Coraz wyraźniej widać było światła reklam i latarni, szare, pomazane ściany sąsiednich domów, krzywe chodniki z kwadratowych płyt, dziury w asfalcie jezdni, przechodzących ludzi. I nie wiedzieć czemu zrobiło mi się bardzo smutno.

Nie wiem, jak długo staliśmy tak, spoglądając na miejsce, gdzie kiedyś wznosiła się kamienica z tympanonem. Cały czas miałem nadzieję, że Facet w Czerni wyjdzie zza jakiegoś samochodu czy załamania muru, że zobaczę jego przygarbioną sylwetkę w perspektywie uliczki. Ale z miejsca po widmowym domu nikt nie wyszedł. Po jakimś czasie popatrzyliśmy ze starszym panem po sobie. Rozłożyłem bezradnie ręce, zaś antykwariusz zacisnął usta i pokręcił głową.

— Zwracam panu szanownemu honor - mruknął. - Ja też tak mogłem...

— Ciekawe, co się z nim stało...

— Mam nadzieję, że trafił wreszcie pod właściwy adres. To musiało być straszne tak żyć między jednym czasem a drugim.

W szpaler budynków wtargnął kolejny podmuch zimnego wiatru, przenikając nas do szpiku kości.

— Trudno, nic tu już chyba nie wystoiimy. Pan, zdaje się, idzie do metra, prawda? Możemy podjechać jeden przystanek autobusem.

Ruszyliśmy ku Świętokrzyskiej znanymi sobie, całkiem współczesnymi uliczkami, u stóp piętrzących się pod niebo kolosów ze szkła i stali. Milczałem, choć w głowie aż huczało mi od wrażeń. Rozmyślałem nad ulicami, których już nie było, nad czynszówkami o eleganckich frontonach i zwykłymi kamienicami, które rozwiały się przed moimi oczyma.

Z tego zamyślenia wyrwał mnie antykwariusz. W starszym panu musiało się coś odblokować, bo nagle zaczął sypać słowami jak z karabinu: — Wie pan, może to i dobrze, że nie udało mi się zrobić tych zdjęć... Przyszedłem tu, żeby zobaczyć, jak było naprawdę, aby we wszelkich dyskusjach mieć dowód choćby dla samego siebie, że to ja mam rację, nie oni. I doszedłem do wniosku, że to bez sensu. To, co widzieliśmy... Kto uwierzy w takie dowody, kto będzie chciał czegoś takiego wysłuchać, jak to opisać? Właściwie można tylko siedzieć w ciszy i wspominać dawne dzieje. Co by było, gdybym wszedł w ową przeszłość tak głęboko, jak to tylko możliwe, jakbym przeniósł się w czasie? Czy wtedy blask wspomnień nie przygasłby, a wszystkie domy i mieszkania nie okazały takie... przeciętne? Zwyczajne? Codzienne jak nasze meble, niegodne wspomnienia? Myśli pan o swoim biurku, o swoim krześle, ubraniu jako o przyszłym zabytku, świadectwie upływającego czasu? Może gdyby tak miało się stać, to lepiej niech zostanie, jak jest. Poza tym, wie pan, mam wrażenie, że jakbym wlaźł w to oglądanie zbyt głęboko... byłoby to nie w porządku. W końcu to cienie dawnych budynków. Im też należy się szacunek i cześć. Co innego materialny, namacalny dom, choćby i ruina, co innego jego cień...

— Może po prostu jesteśmy skazani na zdjęcia, opowieści i

wspomnienia.

— Właśnie, właśnie... – pokiwał głową antykwariusz. – Takie, jakie pozostaną po nas. Żeby inni też mieli co wspominać.

Dotarliśmy do przystanku chłostani październikowym wiatrem. Patrzyłem na miejsce, w którym stykały się ze sobą mury starego gmachu ubezpieczalni, który przeżył już ponad sto lat, wojnę i Powstanie, oraz kolejnego supernowoczesnego drapacza chmur.

Życzyłem mu, by miał tyle samo szczęścia, co jego sąsiad.



## Feliks W. Kres [1966]

Debiutował w 1983 roku opowiadaniem *Mag* („Fantastyka”). Wydał powieści: *Król Bezmiarów*, *Strażniczka istnień*, *Północna granica*, *Grombelardzka legenda*, *Piekło i szpada*, *Pani Dobrego Znak*, *Porzucone królestwo*, *Klejnot i wachlarz*, *Tarcza Szerni* oraz zbiory opowiadań: *Prawo sępów*, *Serce gór*. Znaczna część jego książek doczekała się wznowień.

Wielokrotnie nominowany do Nagrody imienia Janusza Zajdla, otrzymał ją w 1992 roku za powieść *Król Bezmiarów*. Trzykrotny laureat Śląfy: w roku 1993 (Najlepszy Twórca Roku), 2001 (za powieść *Grombelardzka legenda*), 2002 (Najlepszy Twórca Roku).

Publikował między innymi w „Feniksie”, „Fantastyce” i „Nowej Fantastyce”, „Voyagerze”, „Magii i Mieczu”, „Talizmanie”, „Złotym Smoku” i „Portalu”.

Jego utwory były tłumaczone na rosyjski, czeski i hiszpański.

Na łamach „Feniksa” i „Science Fiction” prowadził rubrykę poradnikową dla początkujących pisarzy. Teksty, które tam zamieszczał, zebrano w tomie *Galeria złamanych piór*.

Feliks W. Kres

Zabity

Zabili mnie tylko raz, na dodatek niezupełnie do końca. Boga, rzecz jasna, po drugiej stronie nie było, a w każdym razie nie czekał, zaś historie o długim tunelu, na którego końcu jest światło, radzę sobie odpuścić. Nie wiem, dokąd i którędy zmierzali ci wszyscy ludzie po śmierci klinicznej, pieprzący potem historie o przejściu na „drugą stronę”, unoszeniu się nad własnym ciałem i inne takie tam... Ja nie zobaczyłem niczego majestatycznego ani kojącego; w ogóle nic nie widziałem, a z ziemskiego padołu zabrałem z sobą tylko strach i sporo bólu, bo nie umierałem łagodnie. Nie unosiłem się nad swoim ciałem, przepychano mnie skądś dokądś pod postacią skopanego kłębu mięsa. Zabrałem z sobą świadomość, że już po wszystkim – nareszcie, a może niestety. Potem przez krótką, bardzo krótką chwilę byłem chyba zupełnie szczęśliwy – mówię „chyba”, bo niczego nie czułem, nadal nie widziałem, nie słyszałem. Zapewne nie mogłem też myśleć ani odczuwać szczęścia. Lecz zostało mi krótkie, bardzo dziwne, bo różne od innych, wspomnienie po tej absolutnej nicości, i to jest dobre wspomnienie. Więc chyba byłem szczęśliwy.

Zabili mnie w towarzystwie, towarzystwem była moja żona. Szliśmy sobie wieczorem pustą ulicą; nie to, żeby jakiś parszywy zaułek, nie prowadzam żony w takie miejsca. Ot, zwyczajna boczna ulica, nawet autobusy nią jeździły. Biłem się dosyć mężnie, z nadprzeciętną nawet sprawnością, bo okropnie mi zależało, ale pała do bejsbola nauczyła mnie szybko, ile znaczą. Może gdybym miał jakiś pistolet. Ale w Polsce nie wolno mieć broni, bo będą wypadki i rozkwitnie przestępczość, wiadomo. Więc leżałem spokojnie pod murem, bez broni i bez przestępczości, i zdychałem, niestety, dość długo, by popatrzeć, co robią mojej żonie. Gdy kopali, zwinęła się w kłębek, głupi odruch jeża bez kolców. Tłukli kijem, aż złamali jej rękę, którą się zasłaniała. Z upuszczonej torebki wypadły jakieś drobiazgi, kosmetyki, jakieś stare, skasowane bilety. I batonik Mars, a może Snickers. I coś jeszcze, ale już

nie wiem.

I umarłem. I Boga nie było.

Lecz potem zabrano mi wszystko, nawet krótką chwilę tej szczęśliwej nicości. I wróciłem na przeklętą ulicę, i zostałem. Więc jestem, dzień dobry.



Facet z aureolą i skrzydłami wydał mi się tak niedorzeczny, że nawet nie było mi do śmiechu. Znaczący – anioł. Przyszedł do mnie anioł. Lecz niegłupi, chwalić jego Szefa. Spojrzał tylko, zgasił aureolę i zręcznie pozbył się skrzydeł. Schował także perukę, upięprzoną w anielskie blond loczki. Kiwnął głową.

— No i tyle – powiada. – Wysoki iloraz kumacji prawie zawsze wyklucza skrzydłaka. Szczerze mówiąc, pióra są zbędne. Ale taka wizytówka, rozumiesz. Jak kufajka u budowlańca.

Jarzyłem, o co mu chodzi.

— Żebyś ty jeszcze, chłopie, był chociaż troszeczkę wierzący. Nic z tych rzeczy? – badał beznadziejnie.

— Nic z tych rzeczy – odparłem. – Jak pokażesz mi tron Pana Boga, to pomyślę, że sfiksowałem. Ostatecznie mogę być wariat, ale nie katolik. Przepraszam.

— Protestant? Grekokatolik? Żyd? Amisz, świadek Jehowy? Powiedz chociaż, gdzie ci najbliższej?

— Nigdzie. Odpieprz się ode mnie. Ateista.

Nie zraził go mój ton.

— Szok pośmiertny – skonstatował. – Zabili cię.

— Nie, trochę tylko – powiedziałem.

Usiadł na koszu na śmieci (byliśmy, byłbym zapomniiał, na przystanku

autobusowym) i wyglądał zupełnie normalnie. Jakieś dzinsy, sweter, plastikowa reklamówka z gołą babą, a może najnowszym ferrari. Nałogowiec. Palił marlboro.

— No dobra – powiedział. – Załóż, że to sen. Albo brednie pourazowe. Dostałeś w łeb, leżysz w bramie, coś ci się płacze pod kopułą. Pasuje?

— Racjonalne. Jasne, pasuje.

— Dobra. Z wami najgorzej. No, agnostycy – wyjaśnił. – Ledwie taki kopnie w kalendarz, a już nie wiadomo, co z nim zrobić.

— A co można zrobić?

— To zależy. Sukinsynów puszcza się tam, gdzie ich miejsce. Nie chciałbyś tam trafić i, prawdę mówiąc, wcale na to nie zasługujesz.

— A tych... niesukinsynów?

— To już sobie odpuść. Bo, rozumiesz, złapałem cię za łeb, tylko że trochę za słabo – wyznał, ale bez skruchy. – Wierzałeś, chłopie, nie myślałem, że aż tak będziesz wierzął. Uparłeś się umrzeć po swojemu, no i prawie ci się udało. I co teraz? – zapytał retorycznie.

— Co, wypadłem z maszynki?

— Bystrzacha.

— To znaczy, że nie pójdę tam, gdzie moje miejsce? Tam, gdzie niby nie chciałbym trafić?

— To nie jest twoje miejsce.

— A gdzie jest?

— Mówię ci, odpuść to sobie. Nigdzie. Właściwie to nigdzie. Tacy jak ty umierają porządnie, raz na zawsze. Niebyt, chłopie.

— No. Na to liczyłem.

— Aż tak bardzo nie lubiłeś żyć? Żle ci było na świecie?

— Świetnie, kurwa, mi było. No, nie licząc finału.

— I co? Nie pożyłbyś jeszcze? Dajmy na to, wiecznie?

— Zdaje się, że warunkiem jest wiara?

Wzruszył ramionami.

— Ech, w mordę – powiedział. – No, poniekąd istotnie jest warunkiem. A zwłaszcza w twoim przypadku. To się zdarza raz na tysiąc lat albo, nie wiem, jakoś raz na bardzo rzadko. Utkwiłeś – wytłumaczył. – Przyzwoitych niewierzących puszcza się tam, gdzie chcą iść. Czarna dziura, niebyt, niepamięć. Ale czasem ktoś szarpnie takiego do siebie. Przez pomyłkę albo... Są powody. Ja w każdym razie szarpnąłem. Ale zakleszczyłeś się, chłopie. Jak szwagier Ali Baby w drzwiach Sezamu. Jak nie wciągniesz brzucha, to cię nie przepchniemy. Ani tu, ani tam. Do Nieba albo... będziesz tu siedział. Wybieraj. Chyba trzeba będzie uwierzyć.

— A mój niebyt? Znacząca czarna dziura?

— Przykro mi.

— Dlaczego nie mogę tam iść?

— Bo jesteśmy w twojej dziurze, przykro mi. Bo, widzisz, złapałem cię, no i... Prawdę mówiąc, to raczej ty szarpnąłeś mnie za sobą niż odwrotnie. Jaki niebyt? Jaka niepamięć, skoro pamiętasz o szarpaniu, a pewnie i tabliczkę mnożenia. Czarna dziura to czarna dziura. A ty przywlokłeś do niej tyle, że już nawet moja skromna osoba nic nie zmieni.

— Nie moja wina.

— Pewnie, że nie twoja! Chcesz mi dać po ryju? Proszę bardzo. – Wstał i odłożył reklamówkę, wyjął z kieszeni swetra okulary, też odłożył. – Ale twojej czarnej dziury nie ma. Podarta, przykro mi. Zabili cię, nie żyjesz – objaśniał. – Jak mam cię wepchnąć do tej dziury? Zabić zabitego? Przecież to śmierć wtrąca cię w nieistnienie, w twój ukochany niebyt, śmierć gasi pamięć, zmysły. Przekraczasz granicę mroku i jesteś w czarnej dziurze, no tak? – tłumaczył cierpliwie. – Ale ty przekroczyłeś granicę mroku i zapaliłeś światło. No dobrze, ja zapaliłem, a co miałem zrobić? Siedzieć tu po ciemku razem z tobą? No więc to ja wszystko spieprzyłem, lepiej ci? Nie da się po raz drugi przekroczyć granicy

mroku, bo nie da się dwa razy zabić. Nie da się zakatrupić cholernego trupa. Idziemy do Nieba, kolega pozwoli przodem.

— Jakież inne możliwości?

— Żadnych.

— Kraina Wiecznych Łowów? – spróbowałem; chyba chciałem zyskać na czasie. – Tylko w Boga chrześcijan wolno mi uwierzyć?

— Tak, bo Indiańce cię do siebie nie ciągnęli, tylko ja. Chłopie, przestań, bo tracę cierpliwość. Dawaj do nas, dobrze ci radzę. W Niebie nie śpiewa się psalmów, to nie jest takie nudne i koszmarne miejsce, jak żeś sobie wyobrażał. Idziemy?

— A czyściec?

— Czyściec wymyślili na jakimś soborze czy synodzie, w średniowieczu albo nie wiem kiedy – zdenerwował się. – Czy Jezus informował o czyścicu? Co, zapomniał? W Niepokalane Poczęcie też wierzysz? W regułę celibatu, nieomylność papieża i w skrzaty? Tam jest Niebo i Stwórca, nie Kościół i hierarchowie. Ze względu na powagę miejsca staramy się unikać rzeczy infantylnych.

— Unikać infantylnych...? Dobra. A twoje służbowe ubranie?

— Skrzydła? Tam ich nie noszę. A tak szczerze to czy bez skrzydeł pokapowałbyś, tak z miejsca, kto ja jestem? No więc trochę się jednak przydają. Czasem trzeba pasować do wyobrażeń o... A zresztą, z tobą też gadam inaczej, niż gadałbym ze Stephenem Hawkingiem. Bez urazy.

— Nie ma hierarchów? – zwątpiłem. Jak dla mnie, facet mówił zbyt wiele i zbyt szybko. – W Niebie?

— Znaczących... biskupów? – przyhamował. – Są jacyś. Ale w cywilu. Nie musisz pić z biskupami. Dawaj, chłopie, do Nieba.

Pomilczałem trochę, pomedytowałem.

— Tylko jedno pytanie, ostatnie.

— Ostatnie?

— Ostatnie – przyrzekłem.

— Wal, chłopie.

— Czy ona tam jest?

Zmartwił się.

— Twoja żona? Nie. Nie ma.

— A gdzie jest?

— No... ateistka. Wiadomo.

— Nic już nie wiadomo – powiedziałem. – Na chuj mi to twoje Niebo?

— Czekaj.

— Idź już. Idź, bo kopnę cię w dupę, przysięgam.

Ujął nos w dwa palce i przez chwilę coś kombinował.

— No dobra – powiedział wreszcie. – Czasu mamy od cholery i trochę.

No dobra, przyjdę później.

Nie zamierzał zniknąć ani frunąć. Odszedł zupełnie normalnie. Ale jeszcze przystanął i powiedział: — Chłopie, ja cię przepraszam. Zupełnie niepotrzebnie się wciąłem.

— Co prawda, to prawda – odparłem.



Była gdzieś tak jedenasta wieczorem, co znaczyło, że ostatni autobus już odjechał. Z bezsensownym skupieniem badałem przylepiony na przystanku rozkład jazdy linii 70. Przyszło mi do głowy, żeby złapać taksówkę. Uśmiechnąłem się, bo dobre pomysły przychodzą przeważnie zbyt późno.

Ulica była pusta. Nikt nią nie szedł, nic nie jechało.

Ruszyłem powoli wzdłuż domów, wszedłem w bramę i usiadłem pod ścianą. W jakiś sposób wiedziałem, że nic z tego nie będzie, ale jednak po pewnym czasie spróbowałem podnieść jeden ze zmiętych biletów autobusowych. Ile waży takie małe coś? Próbowałem, ale nie



podniosłem. Pamiętam taki film „Uwierz w ducha”, z Patrickiem Swayze i Demi Moore. Tam też zabili faceta, ale w końcu, chociaż bezcielesny, nauczył się poruszać różne przedmioty.

Niestety, nie grałem w filmie i nie wierzyłem w duchy. Ale naruszono moją wiarę w rzecz fundamentalną: w to mianowicie, że po śmierci będę miał święty spokój. Nie zanosiło się.

Chociaż z drugiej strony pomysł mojego anioła naprawdę nie był taki zły. Może faktycznie bredziłem? Mózg potraktowany kijem bejsbolowym może sprokurować całkiem niezłe historie. Tak mi się przynajmniej wydawało. Wystarczyło cierpliwie czekać, aż odłączą respirator i kroplówki. Zresztą może nawet nie byłem w szpitalu? Pewno nie.

Powolutku wyciągnąłem rękę i raz jeszcze spróbowałem wziąć zmięty paperek. Bardzo się starałem i bardzo drżały mi palce. Potem wstałem i wyszedłem z bramy. Ulica wciąż była pusta.

Pomyślałem, że pójdę na Piotrkowską.

Łódź to najbrzydsze miejsce na świecie. Urodziłem się tu, wychowałem i wiem jedno: poronione miasto. Ale nastał Balcerowicz, kapitalizm, a przejawem kapitalizmu było uczynienie głównej ulicy ulicą zupełnie ładną. Przynajmniej według moich standardów. Chodniki i jezdnie w centrum usługowo-handlowym wyłożono kolorową kostką. Nie w kij dmuchał; ta ulica ma parę kilometrów. Sklepy, puby, diabli wiedzą co jeszcze, przyzwoicie można napić się piwa. Odnowione fasady kamienic. Witryny, neony, reklamy. No i zakaz ruchu kołowego. Sklepikarze wściekli się – słusznie zresztą – bo kazano im płacić straszne czynsze, a nikt nie chciał kupować towarów w miejscach, do których nie można dojechać. Rada w radę, zamiast obniżyć tym ludziom czynsze, żeby jakoś wyszli na swoje, rajcy urajcowali, iż przywrócą ruch kołowy w centrum miasta. Pod prąd trendów w Europie. Fachowcy obliczyli, że kostka na deptaku, przeznaczona w końcu do deptania, nie do rozjeżdżania, rozleci się w przeciągu parunastu miesięcy. Zostanie z niej

taki kolorowy żwir. Mała polska paranoja. Wsadzono w tę kostkę cholernie grube miliony. Moim zdaniem, warto po niej puścić dwie brygady czołgów. Przynajmniej będzie z wykopem.

No, ja już im tej kostki nie rozdepczę.

Nie poszedłem na Piotrkowską – jedyny ładny zakątek w brzydkim mieście. Pomyślałem, że będzie mi żal. Żal ulicy, żal siebie, może jeszcze czegoś lub kogoś. Moje miejsce było tutaj: wśród starych, śmierdzących kamienic, o które nikt nigdy nie dbał i chyba już nie zadba.

Przy najbliższym skrzyżowaniu był skwerek, a właściwie tylko trawnik z popękaną ławką, tuż przy krzakach. Dwaj mężczyźni spożywali alkohol, jak by to określił policjant. Nie mężczyźni, tylko młodzieńcy, tak piętnaście, siedemnaście lat najwyżej. A właściwie nawet nie młodzieńcy, tylko dwaj bandyci. Skąd wiedziałem? Ano z autopsji.

Przysiadłszy w kucki, słuchałem, o czym gadają.

Właściwie to o niczym szczególnym.

Dopiero po pewnym czasie dołączył trzeci młodzieniec, tak na oko coś dwunastoletni. Trzeba trafu, tego też poznałem. Przyniósł jeszcze dwa wina. Powitano go jak zbawiciela.

— Dawaj, młody, kurwa, dawaj, dawaj... Co żeś, kurwa, konia walił po drodze?

— Weź się, Krzywy, kurwa, nie...

— Waliłeś, kurwa, przyznaj się, waliłeś!

Słowo daję. Tak se oni, kurwa, rozmawiali.

Posłuchałem ich jeszcze troszeczkę – w końcu zapłaciłem za to wino – i doznałem iluminacji. Bo zdałem sobie sprawę, że takich ludzi nie ma. Nikt mi nie dał po głowie w ciemnej bramie. Nic, zupełnie nic się nie stało. To nie były żadne majaki półtruposza z mózgiem na wierzchu. Leżałem na oddziale zamkniętym. Popieprzyło mnie, porąbało, wymyśliłem sobie, że jestem Napoleonem, a zaraz potem wymyśliłem tych trzech, bijąc rekord całego psychiatryka. Niedźwiedź w czapce to

przy tym betka. Zrozumiałem Mistrza, który nie chciał wyjść z wariatkowa, choć na zewnątrz czekała Małgorzata. W szpitalu jest się u siebie, w szpitalu wszystko ma sens. Było dobrze, było bezpiecznie.

— Siostro! – zawołałem na próbę. – Hop, hop, panie doktorze!

Odkrywałem wciąż nowe prawdy. Że nie może istnieć świat, w którym lwy noszą wełniane szaliki, Aleksandrów Macedońskich jest mnóstwo, a na ławkach przesiadują i piją popaprańcy, których nikt z jakichś przyczyn nie uśpił.

Cieszyłem się i śmiałem, bo złożyłem układankę do kupy. Bo odkryłem, że jestem nienormalny. Schizol jestem, dobry wieczór państwu.

Popłakałem się potem jak bóbr i już sam nie wiedziałem dlaczego. Jeśli jestem wariat, to mi wolno. Jeśli jestem normalny – to tym bardziej.

Lecz nie byłem normalny. Nie, nie byłem.

— Rany boskie, panie doktorze. Niech pan coś zrobi, panie doktorze. Ja się tak cholernie męcę ze sobą, przecież są jakieś środki, ja wiem. Ja już nie chcę tego wszystkiego.

Nigdy w życiu tak nie płakałem. Nigdy w życiu nie męczyłem się aż tak.

Chyba nie byłem w szpitalu.



Nauczyłem się poruszać przedmioty.

To nie było nawet takie trudne. Należało odtworzyć zmysł dotyku. Uświadomić sobie fakturę i ciężar przedmiotu, czuć go właśnie świadomie – nic więcej. Wkrótce masa przestała mieć znaczenie. Nie umiałem udźwignąć więcej niż za życia, bo nie mogłem odtworzyć takiego czynu z pamięci. Ale dać po ryju mogłem, i to bardzo.

Poznałem Jacka, który przyniósł wina i tak bardzo lubił walić konia. Jacka i jego rodzinę. Trochę nawet z nimi mieszkałem. Jacek z całej siły nienawidził swoich zgredów i do domu wracał, kiedy musiał, nie prędzej. Faktycznie, nie było tam nic, co można by uznać za fajne. Mama Jacka, parę lat starsza ode mnie, wyglądała na moją babcię. Z tym że babcia, chociaż w pięknym wieku, nie chodziła z podbitymi oczami. Mama Jacka, owszem, chodziła, względnie zataczała się ze stale obitą gębą. Bo pan Andrzej nic zupełnie w życiu nie osiągnął; co miał zresztą osiągnąć po swojej zawodówce, ze swoim IQ i ogólnie swoją całą resztą? Chwała Bogu, ciągle miał pracę, kiepsko płatną, parszywą, nieciekawą i ciężką – ale miał. Razem z całą tą pracą był zerem, ale to kompletnym, nikt się z nim nie liczył, nad nikim nie miał nawet odrobinki władzy, a każdy normalny facet troszeczkę jej musi mieć. Ba, cóż począć, gdy zaledwie co dziesiąty ma prawdziwe znaczenie lub władzę? Cała reszta króluje nad żonami, synami i córkami, ot, taka gówno warta władza nad inwentarzem domowym: kobiety, dzieci i psy. Czy pan Andrzej wobec tego mógł nie pić? Musiał, kurde. Pił i bił (no bo władzę trzeba jakoś konsumować). Nie za często, bo porządny był facet i po prawdzie wszyscy mamie Jacka zazdrościli, że takiego chłopca znalazła. Ma robotę, na dziwki nie chodzi, a pieniądze do domu przynosi. Że wypije, czasem w karty zagra? Że przyłoży kobiecie z tych nerw? Każdy, panie, wypije. A wypije, to i wyjdzie czasem z siebie. Zresztą mama Jacka („Niuńka”, jak mówił pan Andrzej, cokolwiek to miało oznaczać) piła z nim, bo przynajmniej był w domu i nie włóczył się nigdzie z kumplami. I tak sobie żyli i pili.

Lubiłem posiedzieć z nimi, zwłaszcza wieczorami. Rozwiązać krzyżówkę lubiłem, a i w telewizji czasem coś fajnego pokazali. Kiedyś nawet obejrzałem seks na żywo – znaczy się nie w telewizji – ale to akurat było strasznie przykre; nie dooglądałem do końca.

— Jędrek, pogadałbyś z Jackiem – rzekła Niuńka do męża wieczorem.

– Dzieciak musi wiedzieć, że ma ojca, ty wiesz, że on wcale do szkoły nie chodzi? Włóczy się po nocach nie wiadomo gdzie, z jakimś chuligaństwem się zadaje. Tyle teraz w telewizji pokazują, jeszcze ktoś go gdzieś napadnie albo co. On się włóczy z tymi od Rudlewskich, co to już siedzieli w poprawczaku. Słyszysz, co do ciebie mówię? Jędrak? Zajmij się nim trochę.

— Dobrze, Niuńka – powiedział pan Andrzej.

Może zresztą powiedział coś innego. Jakie ma znaczenie, co powiedział?

Zero dodać zero to nie zawsze równa się zero. Czasem równa się Jacek, niestety. Albo Krzysiek, Piotrek, albo Michał. Jak to jest, gdy ma się takich starych, kiepskie, bardzo kiepskie perspektywy i dwanaście, trzynaście lat?

Wiedziałem, co czuje Jacek. Też miałem takiego ojca.

Ale miałem inną matkę, na szczęście. Zwykłą szarą kobietę, lecz mającą poczucie własnej godności, co znaczyło, że nie była zerem, o nie. I nie chciała być dodatkiem do zera, więc kopnęła mego ojca w dupę. Myślę, że ten facet leci po dziś dzień. I naprawdę, dobrze mu tak.

Ale Niuńka tak nie umiała.

Rozumiałem, dlaczego Jacek włóczy się po nocach ze starszymi kumplami. Przepelniony byłem zrozumieniem. Ten chłopak miał przerąbane.

Pewnej nocy poczekałem trochę dłużej pod blokiem, w którym mieszkał. Doczekałem się po jedenastej. I wziąłem na siebie cały trud, któremu nie podołał pan Andrzej. Na tę jedną jedyną noc zastąpiłem Jackowi ojca. Rozebrałem sukinsyna na kawałki, obmyśliłem sobie wcześniej najdrobniejsze szczegóły demontażu, więc wyjąłem mu z mordy oczy, jeszcze zanim połamałem obie ręce. Połamałem nogi, żeby nie uciekał, i starannie zniszczyłem kolana – bo chodziły mi ciarki po plecach na samą myśl o tym, że mógłby jeszcze w życiu kuśtykać. Wycia i

ryk były takie, że nawet obojętne blokowisko ożyło. Czekałem cierpliwie, aż daleko rozbrzmiała syrena karetki pogotowia jadącej w asyście policji. Dopiero wtedy, w samym środku wielkiego kręgu gapiów, rozkosznie niewidzialny, odkopnąłem na bok Niuńkę, mamę Jacka, i kawałkiem szkła uciąłem gówniarzowi fiuta. Gdybym zrobił to wcześniej, mógłby się wykrwawić. Nie chciałem Jacka zabijać. On mnie przecież nie zabił. Trochę tylko kopał i trzymał moją żonę, zabili nas jego koledzy.

Ja po prostu chciałem, żeby Jacek poprawił się jakoś. Wierzyłem, że się poprawi, dałem mu szansę i zresocjalizowałem. Miałem dziwną pewność, że już nigdy nikogo nie skopie. Będzie Jacek porządnym człowiekiem.

Jakiś facet i jego żona wrócą wieczorem do domu. On nie będzie zerem i ona nim nie będzie. Posprzecząją się o coś i pogodzą. Ona weźmie książkę do wanny, a on potem umyje jej plecy.

W takim świecie, gdzie ludzie wieczorem po prostu wracają do domu.

Pomyślałem sobie, że dla takiej wizji warto by zresocjalizować wszystkich Jacków w mieście.

No bo tak szczerze – czy ludzie wieczorem nie mogliby wracać do domów?



— Czy już? – zapytał anioł-negocjator. – Męczysz się, chłopie, w tej bramie. Wyjdź i pogadaj ze mną.

— Zostaw mnie w spokoju – powiedziałem. – Mam cholernie piękne marzenie.

— Ty nie żyjesz i ona nie żyje – rzekł brutalnie, ale usłyszałem, że nie czerpie z tego satysfakcji; zaplanował kurację wstrząsową, tylko tyle. – Wyłaż z tej przeklętej bramy, no już.

— Mam cholernie piękne marzenie – powtórzyłem.

— Wiem. Marzysz sobie, jak zabijasz przegrane dzieciaki.

— Nie zabijam, tylko resocjalizuję. Obmyśliłem pyszny system prewencyjno-wychowawczy, dać ci konspekt?

— Wyłaż z bramy.

Pochyliłem się i po raz ostatni próbowałem podnieść zmięty bilet.

— Zostaw ten papierek.

— To nie jest żaden papierek.

— A co to niby jest?

— To jest... To wypadło jej z torebki, kiedy ją zabijali. To jest mojej żony, to nie jest żaden papierek.

Milczał.

Wstałem i wyszedłem z bramy na ulicę.

— Chciałeś gadać. No to gadajmy.

Powoli szliśmy wzdłuż odrapanych kamienic. Jakoś nie mógł zacząć. Nie ponaglałem, miałem sporo czasu. Dobrze mi się tak szło.

— Nie możesz siedzieć w tej bramie.

— Dlaczego nie mogę?

— No bo nie możesz. Pora na ciebie, stary. Uwierz mi, naprawdę już pora.

— Dlaczego?

— Bo wszystko ma swój początek i koniec. Nie pytaj bez przerwy „dlaczego”.

— Ale... właściwie dlaczego? – zapytałem, wcale nie złośliwie. – Dlaczego miałbym nie pytać?

— Bo i tak nie będzie odpowiedzi. Co chcesz tutaj odkryć? Jesteś ciekaw, dlaczego świat jest okrutny? Chciałbyś wiedzieć, po co to wszystko i do czego zmierza? Szukasz celu i sensu życia? – pokpiwał; nigdy w życiu nie słyszałem, by ktoś tak smutno pokpiwał. Ten facet to nie był zły człowiek. Wszystko jedno, jak się ubierał. – Oduść sobie – powiedział. – Jesteś masochistą? Po co siedzisz w tej bramie? Zakończ to,

co powinno zakończyć się już dawno.

— Jak dawno?

— Bardzo dawno. Tutaj czasu nie liczy się w godzinach, przesiedziałeś w tej bramie więcej, niż przeżyłeś.

— Trzydzieści lat?

— Tutaj czasu nie liczy się w godzinach – powtórzył. – Ale chcesz jakiegoś porównania, o to chodzi?

— Tak. Minęło trzydzieści lat?

— Więcej. Znacznie więcej.

— Zostaję. Nigdzie stąd nie idę. Będę jak cholerny wyrzut sumienia. Strajk okupacyjny. „Solidarność”, Lech Wałęsa i styropian, kapujesz? Rozwalę ten wraży system. „Dał nam przykład Bonaparte, jak bić w tarabany”.

— „Jak zwyciężać mamy”. Przestań robić z siebie idiotę. I przestań pieprzyć, co będziesz rozwał, jaki system?

— Nie wiem. To, co tutaj macie.

— Co ty, psiakrew, naprawdę jaja sobie robisz? – Wielkie nieba, wreszcie go wkurzyłem. – Weź, człowieku, puknij się w ten łeb! Bo za słabo stukali tą pałą. Obrażony, patrzcie, wykorkował i obrażony! Nikt nigdy nie umarł, tylko on! Myślałeś, że będziesz tam żył wiecznie? Wiecznie to dopiero możesz teraz, wystarczy, że zabierzesz się ze mną. Ale dobra, siedź tu sobie, w gruncie rzeczy to się da załatwić. Już nie takie rzeczy załatwiano. Pan szanowny życzy sobie, by specjalnie dla niego stworzyć czyściec? – Rozłożył ręce. – A dlaczego nie? W porządku, chłopie, zostajesz.

Poklepał mnie po plecach i poszedł. Słowo daję, facet z charakterem.

Było mi i łyso, i przykro.





W całej Łodzi byłem tylko ja. Czas zatrzymał się o jedenastej wieczorem. Na ulicach stały jakieś samochody, ale puste, jakby właściciele z nich wyparowali. Pusty tramwaj z czerwoną tablicą „do zajezdni”. Puste taksówki na postoju; puste nocne sklepy – bez pijaków i bez ekspedientek; puste nocne kluby – bez gości i bez personelu. Puste szpitale, puste mieszkania, nawet pusta izba wytrzeźwień. Całe miasto dla mnie, tylko dla mnie.

Wabiły mnie puste kościoły.

Kiedy byłem mały, chodziłem na religię. Jakoś dopiero później Pan Bóg wywietrzył mi z głowy. Chciałem widzieć w nim potężną, wspaniałą siłę lub istotę, jakiś byt nieogarniony, nieskończenie tajemniczy – zamiast tego serwowano mi dziwaczny i nieśmieszny cyrk w świątyniach. Skrzyżowanie jarmarku z balem przebierańców. Bóg miał być na miarę tej szopki? Katastrofa. Były tam śmierdzące dymy, wypuszczane przez cudacznie przyodzianych facetów, nieprawdopodobne chóralne ryki, wydawane przez ludzi niemających głosu ani słuchu, kicz, tandeta... ech, wszystko. Tylko Boga nie mogłem tam znaleźć. Nie było Go w tym tłumie klepiącym wyuczone formułki, nie było Go w blaszanej puszcze tabernakulum – słowo daję, że nie siedział w tym kielichu przykrytym błyszczącą pokrywką. Zdziwiłbym się, gdyby tam siedział.

Lecz wspomnienie dawnego wyobrażenia o Nim znalazłem w pustym, cichym, zimnym kościele Świętej Anny. Nie widziałem Go, lecz On tam był. Zresztą był w całym mieście, pustym mieście, które mi dano. Może tylko po to, bym odnalazł Boga? W końcu zbudowano dla mnie jednoosobowy czyściec, tak czy nie?

Czułem Boga i nie wierzyłem w Boga, zresztą tak jak za życia. Schizofreniczne rozdwojenie... A może zresztą wcale nie schizofreniczne.

Wyszedłem z kościoła i wróciłem do swojej bramy. Ładny kawałek drogi. Ale zawsze lubiłem spacerować.

Ona też je lubiła. Spacery.

Lubiliśmy chodzić razem i gadać.

Co rusz wcinały mi się w film pojedyncze kadry – z jakiejś sali operacyjnej. Co to miało być, do cholery? Aseptyczna biel; seledynek jednorazowych fartuchów i masek chirurgicznych; jakaś zajebista lampa... Gotów byłem modlić się o normalną, tak cholernie normalną śmierć na stole operacyjnym. Żeby wreszcie był koniec i mój niebyt, czarna dziura, niepamięć. Śmiechu warte... Chciałem modlić się do Boga, żeby Go nie było.

Nigdy dotąd nie byłem zabity. A może – może to właśnie tak wyglądało? Ani Boga, ani nicości, tylko jakieś puste miasta, porzucone samochody i mieszkania...

Jasny gwint, jak ja chciałem wykitować pod ręką chirurga. Żeby wreszcie zgasło to cholerne światło, żeby już nie mieszały się filmy.

Męczyłem się jak potępieniec. Jak ktoś, kto nigdy już nie wróci do domu.

Więc wróciłem do swojej bramy. Wróciłem, bo ktoś na mnie czekał. Nawet gdy nikogo tam nie było.



Pomruk samochodowego silnika wywabił mnie na zewnątrz. Znałem każdą popękaną płytę chodnika przed swoją kamienicą.

— Świetnie pan wygląda – powiedziałem. – Słowo daję, pracownik nie kłamał. Rzeczywiście nie jesteście infantylni.

Volvo (ale nie najnowszy model, tylko ten troszeczkę wcześniejszy) utrzymany był bardzo przyzwoicie. Lecz bez fanatyzmu – na drzwiach od strony kierowcy widniała niewielka rysa i przydałyby się nowe opony. Właściciel samochodu – szpakowaty, z bródką, taki trochę Sean Connery

– nosił niezły garnitur, jednak (na moje oko) nie szyty na miarę. Kupiony w dobrym, drogim sklepie, to wszystko. Może tylko cygaro było nieco ekstrawaganckie – jakoś nigdy nie myślałem, że Bóg może lubić cygara. Ale niby dlaczego nie? Czy mógł umrzeć od tego na raka? Szkodzenie sobie jest grzechem – lecz co mogło zaszkodzić Jemu?

Był starszy, więc nie pchałem się z łapą – poczekałem na gest z jego strony. Normalny męski uścisk dłoni, żadna tam zwiotczała kiść, ale też nie imadło. Przedstawiłem się, choć czułem, że to niepoważne.

— To nawyk, przepraszam – powiedziałem. – Ja przecież wiem, że pan wie... że pan zna moje nazwisko.

— Skąd ten szacunek? – zapytał. – Dla osoby niewierzącej jestem chyba niczym i nikim? Tyle wart, co zmurszały święty baobab dzikusów?

— Nieprawda – powiedziałem. – A tak swoją drogą, gdyby przyszedł do mnie ten baobab... to też bym go nie obraził.

Uśmiechnął się lekko. Ja też.

— Chcesz tu siedzieć bez końca? – zapytał po chwili, już poważnie.

Zaraz potrząsnął głową.

— Wiem, już cię o to pytano.

Pomilczeliśmy przez chwilę.

— I nie uwierzysz we mnie? Za żadne skarby świata?

— A dostanę jakieś skarby świata? Bo jak dotąd obiecywano mi tylko pokój w pańskim hotelu – powiedziałem. – To ja wolę trzymać się wersji, że dostałem pałą po głowie i majaczę w gorączce. Albo że oszalałem, no trudno.

— Czy to logiczne? – zapytał. – Chcesz koniecznie być racjonalistą, a prowadzisz dyskusję z majakiem? A nawet jesteś wobec niego uprzejmy.

— Niech się pan nie gniewa – powiedziałem – ale to głupie pytanie, prawda? Bo od kogo chce pan niby wyegzekwować ten racjonalizm? Od faceta, który bredzi w gorączce na sali operacyjnej? Wolno mi wszystko. Cokolwiek.

— Jak cię przekonać? Siedzisz w pustym mieście, w ciemnej bramie. Chcę cię zabrać do siebie. Nie do żadnego hotelu. Do domu.

— Chciałem wrócić do domu. Wracaliśmy do domu. A teraz mój dom jest tutaj – powiedziałem. – Co z tymi skarbami świata?

— To takie powiedzenie, nic więcej. Mogę ci dać wiele, ale dopiero wtedy, gdy mi zaufasz. Natomiast nie mogę odwrotnie. Nie mogę kupować twojej wiary i twojego zaufania. Nazywamy to wiarą dlatego, że musi się obyć bez dowodów.

— Niech pan już idzie – powiedziałem. – Szkoda pańskiego czasu. I mojego też.

— Co chcesz robić z tym czasem?

— To mój czas. Dostałem go wbrew swojej woli, albo może raczej mimo woli, bo nie zapytano, chcę czy nie. Chce mi pan go odebrać? Przecież o nic innego nie proszę.

Pokiwał głową.

— Zawsze możesz przyjść do mnie. Ucieszę się. I nie będę miał żadnej złośliwej satysfakcji, że cię „wziąłem na przetrzymanie”. Przyjdź do mnie, kiedy uznasz, że już nic cię tutaj nie trzyma.

— Kiedy tutaj... kiedy tutaj już zawsze będzie to, co mnie trzyma – powiedziałem i taka była prawda. – A pan przecież nie może „kupować” mojej wiary. Żeby odejść, musiałbym najpierw coś stąd zabrać. I pan wie, o co mi chodzi.

Nie za bardzo mogłem mówić dalej, więc wszedłem do swojej bramy. Trochę wstyd rozkleić się na amen. Nawet przed Panem Bogiem.

— A jednak będę czekał – powiedział za mną i wydało mi się, że też jest trochę... bo ja wiem, wzruszony.

I bezradny.

Bóg i człowiek – obaj bezradni. Jeden bał się uwierzyć bez dowodów; drugi nie mógł dać dowodów bez wiary.

Nie słyszałem pomruku silnika, lecz wiedziałem, że On już odjechał.

Na co liczyłem? Że zabierze mnie siłą?

Widziałem kiedyś reportaż o klasztorze i zakonnikach. W starej zakonnej kaplicy kolana mnichów wyżłobiły wgłębienia w kamiennej posadzce.

Usiadłem w swojej bramie pod ścianą, tam gdzie zawsze. Miałem swoje małe wgłębienie, gdzie wygodnie można było oprzeć głowę. Była szczelina w tynku, głęboka i nierówna, dająca zajęcie palcom – mogłem skubać starą zaprawę.

Pomyślałem o Bogu – że może jednak... nim odjechał swoim volvo... znalazł sposób, by spełnić prośbę... Tylko jedną, niewypowiedzianą nawet prośbę człowieka, któremu zabrał życie, a potem nieistnienie.

Pochyliłem się, ale bez wiary. Wyciągnąłem rękę – i raz jeszcze spróbowałem wziąć malutki, pognieciony papierek.

*maj – czerwiec 1998*

## Jacek Drewnowski [1974]

Debiutował w 1994 roku dwoma krótkimi opowiadaniem: *Dokleję się do wszystkich.exe* i *Opowieść o herosie* („Fenix”).

Później wydał kilkanaście opowiadań, ostatnie w roku 2000 (*Wyspa trędowatych* – „Magia i Miecz”).

Był stałym współpracownikiem „Feniksa” i „Magii i Miecza”, gdzie zamieszczał teksty publicystyczne, a także redaktorem naczelnym pisma „Gwiazdne Wojny – Komiks”. Prowadził też czwartą edycję fanzinu Klubu Tfurcuf – „Fantoma”.

Obecnie zajmuje się niemal wyłącznie pracą translatorską – tłumaczy książki, komiksy i filmy z włoskiego i angielskiego.

Jacek Drewnowski

Brulion

Porucznik Aleksandr Iwanowicz Zajcew siedział przy odrapanym biurku delegatury KGB w Płocku i udawał, że pracuje, bazgrząc coś bezmyślnie na odwrocie pustego formularza. Po hucznym Świącie Pracy pracę można było tylko markować. Z myślą, że powinni dawać wolne także drugiego maja, odłożył ogryzek ołówka i zajrzał do metalowego kubka. Skrzywił się, na dnie zostało niewiele płynu. Na biurku stał samowar, głównie dla niepoznaki, z kubka bowiem zajeżdżało bimbrem skonfiskowanym jakiemuś polskiemu wrogowi socjalizmu. Wódka w pewnym stopniu pomogła Zajcewowi zmierzyć się z poświęconą rzeczywistością.

A rzeczywistość była niewesoła. Zajcew nie znosił Przywiślańskiego Kraju. „Kura nie ptica, Polska nie zagranica” – jakże się mylili ci, którzy pocieszali go tym powiedzonkiem. Wszystko zdawało się tutaj obce. Podobnie czułby się chyba w Chinach, z tą może różnicą, że w Chinach nie rozumiałby ani słowa.

Trafił tu z dwóch powodów. Pierwszym, oficjalnym, była znajomość języka, którego się, durny, nauczył na studiach. Ważniejszy był jednak drugi powód, a mianowicie obściskiwanie żony przełożonego podczas zakrapianego przyjęcia z okazji wejścia Armii Radzieckiej do Polski. Żeby jeszcze coś z tego miał, ale nie. I żeby to jeszcze był jakiś ważny przełożony, ale też nie. Zajcew miał nadzieję wskoczyć niebawem na jego miejsce, lecz teraz, nie trzeba wspominać, nadzieję wzięła cholera.

W dodatku dostał, jakżeby inaczej, najnudniejszą robotę pod słońcem. Czasami z pokojów przesłuchań dochodziły krzyki i wtedy Zajcew zazdrościł kolegom, którzy mieli przynajmniej jakąś rozrywkę. A on? Żadnego kontaktu z człowiekiem, tylko papier, papier, papier, setki zapisanych stron, wśród których z rzadka zdarzały się wrogie treści albo pożyteczne informacje. Ktoś musiał to wszystko czytać i selekcjonować... Ale żeby on? Porucznik?

Na stoliku pod ścianą migotał i trzeszczał telewizor Junost. Właśnie



pokazywano generała Kokosznikowa, którego wczoraj towarzysz Breżniew odznaczył orderem Bohatera Związku Radzieckiego.

— *Wot, mołodiec!* – rzucił Zajcew, przepijając do czarno-białego kineskopu. No i po bimbrze. W ukrytej w szufladzie biurka flaszcze nie została już nawet kropla.

Oparł łokcie na blacie i przyłożył dłonie do skroni. Rozległo się łomotanie w drzwi, na co jego głowa zareagowała fizycznym bólem. Szybko się jednak wyprostował i zawołał: – Wejść!

Do środka wmaszerował Matnikow. Przyniósł zapakowaną w szary papier i opieczętowaną paczkę, która po chwili z hukiem wylądowała na blacie. Zajcew skrzywił się.

— Nowe materiały, towarzyszu poruczniku!

— Ciszej. Skąd to? – spytał Zajcew, choć wiedział, że wszystkie informacje znajdzie w środku. W taki dzień wolał jednak usłyszeć parę zdań od sierżanta, niż przekopywać się przez raport. Z koncentracją nie było dziś u niego najlepiej.

— A z rewizji – odparł Matnikow. Umilkł i po chwili porucznik spojrzał na niego ponaglająco. – U takiego jednego... Będzie sądzony za łżenie Armii Radzieckiej.

No tak. Polaczki nic, tylko lżą Armię Radziecką. Ale skończy się to, oj, skończy.

— Powiedział, że mordercy i gwałciciele. To pewnie na dwadzieścia lat drewno rąbać pojedzie. Po dziesięć za morderców i za gwałcicieli. – Matnikow zarechotał, jakby udał mu się pyszny żart. Zajcewa znowu rozboleła głowa.

— Dosyć – uciął. – Możecie odejść.

Gdy drzwi się zamknęły, zabrał się za otwieranie paczki. Nożem rozciął pieczęcie i odwinął szary papier, uważając, by go nie uszkodzić. Papier zawsze się przyda.

Pośród dokumentów i książek, które znalazł w środku, jedna rzecz od

razu zwróciła jego uwagę. Szkolny brulion bez żadnego opisu na burej okładce. Zajcew przyglądał mu się przez chwilę z myślą, że może tym razem natknie się na coś ciekawego, na treści tak wrogie, że do dwudziestu lat na Syberii dołożą zatrzymanemu Polakowi jeszcze dziesięć.

Otworzył zeszyt na chybił trafił. Kartki zapisane były starannym, dziewczęcym pismem, które wyglądało nadzwyczaj schludnie i po prostu ładnie, choć jasnoniebieski długopis najwyraźniej przerywał i wymagał mocnego dociskania. Kolor tuszu sprawiał, że pismo wydawało się zupełnie nie pasować do żółtawego papieru w fioletowe linie.

Zajcew zaczął czytać na tej stronie, na której zeszyt się otworzył:

## 10 grudnia

Dzisiaj w szkole zamiast dwóch pierwszych lekcji zrobili nam apel. Dyrektor Kunikowska opowiadała o tym, że strajki są złe i że nie wolno występować przeciwko władzy ludowej. Mówiła o wielkich Polakach, takich jak Adam Mickiewicz i Feliks Dzierżyński, którzy zawsze stali po stronie ludu pracującego. Bardzo bym się nudziła, gdyby nie to, że tuż przede mną siedział Tomek i mogłam na niego ukradkiem patrzeć. Raz się obejrzał, a ja się szybko odwróciłam. Nie wiem, czy zobaczył, że mu się przyglądam. Zrobiło mi się strasznie gorąco i chyba byłam czerwona jak burak.

Całe popołudnie spędziłam w kolejkach. Wracając ze szkoły, zobaczyłam tłum pod apteką i ludzi wychodzących z papierem toaletowym. Tata zawsze prosi, żebym stawała w takiej kolejce. Noszę przy sobie trochę pieniędzy i jeśli trafi się okazja, mogę coś kupić. Po godzinie stania papier się skończył. Pod apteką niektórzy ludzie nawet się pobili. Nie wiem, może ktoś chciał się wepchnąć bez kolejki, ale nie widziałam, bo stałam za daleko. Nawet dobrze się stało, bo już mi ręce

zdrętwiały od tego mrozu, mimo że noszę rękawiczki. Gdyby papieru nie zabrakło, stałabym jeszcze ze dwie godziny.

A kiedy wróciłam do domu, Tata dał mi kartki i kazał iść po mięso do sklepu przy Obrońców Stalingradu. Tym razem po dwóch godzinach udało mi się kupić kilogram wołowego z kością. Bardzo się ucieszyłam, że to moje stanie w kolejce nie poszło na marne. No i wiedziałam, że sprawię radość Tacie, więc cieszyłam się podwójnie.

Bardzo chciałam sprawić Tacie jakąś przyjemność. Wczoraj szukałam swojej granatowej bluzki. W swoich rzeczach nie mogłam jej znaleźć i pomyślałam, że może przypadkiem znalazła się w szafie Taty. Zajrzałam tam i znalazłam paczkę zagranicznych słodyczy. Pewnie kupił je w Peweksie dla mnie na Boże Narodzenie. Musiał wydać majątek na dolary. Jak on się dla mnie stara!

Obejrzałam z Tatą dziennik. Dużo mówili o strajkach i o Solidarności. Pytałam Tatę, dlaczego robotnicy strajkują, ale on jak zwykle odpowiedział, że jestem za młoda na politykę.

## 11 grudnia

Dzisiaj na przerwach Olek i Rafał podbiegali do wszystkich i pytali: „Za kim jesteś, za partią czy za Solidarnością?”. No i nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Wydaje mi się, że wszyscy znają się na polityce, tylko nie ja. Wzruszyłam ramionami. Śmiali się ze mnie, ale zostawili w spokoju. A jak Krzysiek Makowicz powiedział, że jest za partią, to zaczęli go bić. Zrobiła się z tego straszna awantura, bo Krzysiek poskarżył się Polickiej. Potem Olek i Rafał wylądowali na dywaniku u Kunikowskiej. Wrócili strasznie najeżeni. Musieli zostać po lekcjach i przez parę godzin wykonywać prace społeczne.

Po południu miałam zbiórkę. Chciałam zapytać drużynową Kaśkę, czy ona jest za partią, czy za Solidarnością, ale wstydziłam się przy innych

dziewczynach.

Przez okno widziałam, jak pod okiem woźnego Olek i Rafał przenoszą pojemniki na śmieci z jednego końca zaśnieżonego boiska na drugi i z powrotem.

## 12 grudnia

Byłaby to najnudniejsza sobota pod słońcem, gdyby nie wydarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze, przyszedł wujek Karol. Lubię go, bo zawsze przynosi mi jakieś książki, a ja uwielbiam czytać. Dzisiaj przyniósł mi pierwszy tom „Wojny i pokoju” Lwa Tołstoja. Tytuł nie brzmi zbyt zachęcająco, ale wujek powiedział, że to bardzo dobra książka wielkiego radzieckiego pisarza. Zdaje się, że tak naprawdę powiedział „rosyjskiego”, ale to przecież prawie to samo. Tata stwierdził, że chyba jestem na tę książkę trochę za młoda. Wtedy wujek puścił do mnie oko i odparł, że jeśli jestem za młoda, to się znudzę i nie przeczytam.

A potem, około piątej, wyłączyli prąd i siedzieliśmy z Tatą po ciemku. No, prawie, bo zapaliliśmy świece. Kiedy wyjrzałam na ulicę, zobaczyłam blask świec we wszystkich innych oknach. Wyglądało to niesamowicie. Kąpałam się też przy świecach. Nawet lubię, kiedy wyłączają prąd.

Teraz też piszę przy świeczce. Gorzej, że chyba nie poczytam tego Tołstoja. Kiedyś czytałam pod kołdrą z latarką, ale już od dawna nie można kupić baterii. Mama zabraniała mi czytać przy latarce. Bardzo za nią tęsknię.

## 13 grudnia

To był bardzo dziwny dzień. Rano obudził nas dzwonek do drzwi. Okazało się, że przyszła Babcia. Ona wstaje bardzo wcześnie, żeby iść na poranną mszę. Przyszła i powiedziała, że zepsuł jej się telewizor, a kiedy

chciała zadzwonić do wujka Karola, żeby przyszedł i naprawił, okazało się, że telefon też jest zepsuty. Dlatego przyszła do nas, bo mieszkamy bliżej.

Tata powiedział, żeby się nie denerwowała i zjadła z nami śniadanie. Potem chciał włączyć telewizor, ale nasz też nie działał! Dopiero po jakimś czasie wyjaśniło się, że nic się nikomu nie zepsuło, tylko przestali nadawać normalną telewizję. Bo kiedy Tata znowu włączył telewizor, pokazywali przemówienie Pana Premiera, generała Jaruzelskiego. Generał mówił bardzo wolno i cały czas tak zabawnie cmokał. Pamiętam, że na początku powiedział: „Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią”. Mówił, że w Polsce jest źle. Wszyscy słuchaliśmy, a Babcia robiła się coraz bardziej blada. Omal nie zemdląca, kiedy powiedział: „Rada Państwa poprosiła o pomoc bratni naród radziecki”. Babcia powiedziała, że zaczęła się wojna. Ona przeżyła już dwie wojny, ale tym razem chyba nie wie, co mówi. Przecież wojna była wtedy, kiedy przyszli Niemcy, a potem żołnierze radzieccy nas wyzwolili. Zapytałam o to Tatę, ale on tylko zacisnął usta i nic nie powiedział. Może jak wreszcie zacznę czytać tego Tołstoja, to trochę więcej zrozumiem. W końcu to o wojnie. No i Rosjanin napisał.

Odprowadziliśmy Babcie do domu. Po drodze widziałam na placu Nowotki naszych żołnierzy. Wszędzie leżało pełno śniegu i było strasznie zimno, więc oni grzali ręce przy takim śmiesznym, dymiącym piecyku. Myślę, że gdyby naprawdę była wojna, to żołnierze poszliby walczyć, a nie stali na Starym Rynku (tak na plac Nowotki mówią Babcia i Tata). Ale podobno są tutaj po to, żeby pilnować porządku.

Później przychodzili do nas jeszcze różni ludzie. Za każdym razem, kiedy zaczynali poważnie rozmawiać, Tata odsyłał mnie do pokoju. Znowu nie chce, żebym interesowała się polityką. Jak mam zrozumieć świat, skoro on mi niczego nie tłumaczy? To niesprawiedliwe. W końcu mam już trzynaście lat! Jeszcze tylko pięć i będę pełnoletnia.

Na końcu przyszedł wujek Karol. Spytał, jak mi idzie czytanie „Wojny i pokoju”, a ja musiałam się przyznać, że nawet nie zaczęłam! Było mi wstyd jak nie wiem co. Wujek zjadł z nami kolację, a potem Tata powiedział, że wujek zostanie u nas na noc. Podobno teraz nie wolno w nocy chodzić po ulicach. Oczywiście Tata kazał mi iść spać. Powiedziałam, że muszę jeszcze dokończyć odrabianie lekcji. Dopiero teraz mogę coś napisać w pamiętniku, bo przez cały dzień nie miałam ani chwili czasu. To był chyba najdziwniejszy dzień w moim życiu.

Tata z wujkiem słuchają radia. Nic nie słyszę, ale nie jestem taka głupia i dobrze wiem, że to Radio Wolna Europa. Ciągle nie wiem: jest w końcu wojna czy nie? Tata zaraz każe mi zgasić światło, ale dzisiaj chyba nie zasnę.

## 14 grudnia

Rano poszłam do szkoły, a tam się okazało, że ogłosili ferie! Lekcje są na razie odwołane. To z powodu tej wojny, co nie wiadomo, czy w ogóle jest. Bardzo się ucieszyłam, bo po drodze przypominałam sobie o klasówce z chemii, która miała być dzisiaj. Przez to całe wczorajsze zamieszanie zupełnie wyleciało mi to z głowy i w ogóle się nie uczyłam, a chemia nie jest moją mocną stroną. Wypracowanie z polskiego mogę napisać bez przygotowania, ale z chemii dwójcę miałabym zapewnioną.

W szkole była Kunikowska i jeszcze paru nauczycieli, podobno mają teraz jakieś dyżury. Kunikowska powiedziała, że chętni mogą zostać, ale nie wiem, czy jacyś chętni się znaleźli. Spora grupka biegała i rzucała się śnieżkami na boisku. Był tam też Tomek, ale stał z boku i nie szalał z innymi. Zebrałam w sobie całą odwagę i podeszłam do niego. Z braku lepszego pomysłu zagadnęłam o tę wojnę. Tomek był jakiś przygaszony i nie bardzo chciał o tym rozmawiać. Okazało się, że wczoraj przysła milicja i zabrała dokądś jego ojca. Podobno nic nie powiedzieli i Tomek

nie miał pojęcia, dokąd go zabrali. Powiedział, że musi już wracać do domu, bo jego mama jest kłębkiem nerwów. Powiedział jeszcze: „Jak przyjdą Rusczy, to się dopiero zacznie”. Chciałam jakoś go pocieszyć, przynajmniej na odchodnym dodać mu otuchy. Ale akurat wtedy podeszła do mnie drużynowa Kaśka, żeby oznajmić, że dzisiejszej zbiórki też nie będzie. Harcówka ma być zamknięta do odwołania.

Bardzo mi żal Tomka. Jutro spróbuję trochę go rozweselić. Skoro i tak nie ma lekcji, może do niego pójde? Dotąd byłam u niego tylko raz, przez chwilę, żeby mu oddać książkę. Ciekawe, co powie, kiedy zobaczy mnie w drzwiach?

## 15 grudnia

Poszłam do Tomka. O dziwo, Tata nie miał nic przeciwko temu. Właściwie nie odezwał się ani słowem. Zrobił się teraz bardzo apatyczny, zresztą nie tylko on.

Mama Tomka wydawała się bardzo smutna i miała czerwone oczy, ale przyjęła mnie bardzo miło. Zrobiła nam nawet herbaty i dała trochę takiej tłustej niby-czekolady, która okazała się całkiem słodka. Prawdziwej czekolady już od dawna nie jadłam i chyba nawet nie pamiętam, jak smakuje. Ale przypomnę sobie na Święta, kiedy Tata da mi te słodycze z Peweksu. Oczywiście będę musiała udawać, że jestem bardzo zaskoczona.

Posiedzieliśmy trochę z Tomkiem u niego w pokoju. Powiedział mi, że wczoraj w Warszawie wybuchły straszne walki. Zapytałam, skąd wie, a on na to, że słuchali z mamą radia. Wieczorem oglądałam z Tatą Dziennik i tam nic o tym nie mówili. Ale wiem, że w telewizji nie o wszystkim mówią. Podobno w Warszawie radzieckie wojsko zabiło tysiące ludzi, ale nie chce mi się w to wierzyć. Tomek mówił, że żołnierzami dowodził generał Kokosznikow – zapamiętałam, bo to nazwisko brzmi dość

śmiesznie, kojarzy się z kokoszką, a on wypowiadał je z nienawiścią. Ten ton zupełnie nie pasował do nazwiska. Nie wiadomo, czy tam w Warszawie byli też nasi żołnierze. Ale Tomek miał nadzieję, że tak i że zadali Rosjanom znaczne straty. Nic nie powiedziałam, żeby nie wyjść na głupią, ale naprawdę nie rozumiem, dlaczego Polacy mieliby się bić ze swoimi największymi sojusznikami?

Kiedy wróciłam do domu, Tata powiedział, że Rosjanie w nocy dotrą do Płocka. Mówił o tym z wyraźnym lękiem. Na początku też się trochę przestraszyłam. Bo jeśli w Warszawie rzeczywiście była bitwa, to może tutaj też będą zabijać? A potem przyszła drużynowa Kaśka i poprosiła, żebym wyprasowała swój harcerski mundurek. Była bardzo tajemnicza i nie chciała powiedzieć, po co mi mundurek, skoro wszystkie zbiórki są odwołane. W każdym razie porozmawiałymy chwilę o tym, co się będzie działo. Kaśka powiedziała, że Rosjanie przyjdą, żeby nas chronić, i na pewno nikomu nie zrobią krzywdy. Wydaje mi się, że ma rację. Dodatkowo uspokoił mnie Dziennik w telewizji. Nie było ani słowa o żadnych walkach w Warszawie, pokazali za to radziecką defiladę w Alejach Jerozolimskich. Ludzie stali na chodnikach i machali do żołnierzy, którzy wydawali się bardzo sympatyczni. W sumie jestem ciekawa, kiedy zobaczę ich na własne oczy. Wyobrażam sobie, co powiem, jeśli któryś na przykład zapyta mnie o drogę. Z rosyjskiego dostaję dobre stopnie, ale jeszcze nigdy w życiu nie rozmawiałam z żadnym Rosjaninem.

## 16 grudnia

Dzisiaj przyszła do mnie drużynowa Kaśka. Wyjaśniło się, po co miałam wyprasować mundurek (zresztą zapomniałam to zrobić, ale zaraz wyprasuję, mam jeszcze trochę czasu). Wręczyła mi bukiet goździków i kartkę z tekstem po rosyjsku, którego mam się nauczyć na pamięć. Razem z druhną Gosią pójdziemy do hotelu „Petropol”, gdzie



kwaterują radzieccy oficerowie. Mamy ich przywitać w imieniu hufca i szkoły. Mam straszną tremę. Wkułam te słowa z kartki. To tylko kilka zdań, ale jeśli się pomylę?

Tata był niezadowolony, że idę. Na początku w ogóle nie chciał mnie puścić i w pewnej chwili zaczął nawet krzyczeć na Kaśkę, a mnie zrobiło się strasznie wstyd. Rozpłakałam się. Całe szczęście, że dopiero po wyjściu Kaśki. Tacie było chyba głupio, bo w końcu powiedział, że to jednak oficerowie, i dodał: „Jeśli cię nie puszczę, dopiero możemy mieć kłopoty”. Czyli idę.

Kończę, bo muszę jeszcze ten mundurek wyprasować.



Był to ostatni zapis w brulionie. Porucznik Aleksandr Iwanowicz Zajcew z pewnym rozczarowaniem doszedł do wniosku, że zeszyt nie ma żadnego znaczenia ani dla sprawy człowieka aresztowanego za łżenie Armii Radzieckiej, ani dla bezpieczeństwa Związku Radzieckiego czy integralności Układu Warszawskiego.

W migoczącym czarno-białym telewizorze dobiegała końca relacja z uroczystego odznaczenia generała Kokosznikowa orderem Bohatera Związku Radzieckiego.

Zajcewa wciąż męczył kac, a na biurku czekała paczka materiałów do przejrzania. Pociężył się myślą, że roboty jest znacznie mniej niż w ostatnich tygodniach. Aresztowania stawały się coraz bardziej sporadyczne i w pracy mógł sobie pozwolić na chwilę wytchnienia.

Postanowił przeczytać raport: Nazwisko – Zakrzewski. Imię... Urodzony... Data zatrzymania... O, uwagi: „17 grudnia 1981 roku zgłosił zaginięcie córki”. I dalej: „Obywatel polski Paweł Mirosławowicz Zakrzewski powiedział, że oficerowie Armii Radzieckiej to mordercy i

gwałciciele. Powtórzył to kilkakrotnie w obecności następujących świadków...”.

Ech, jednak nie. Pisany na maszynie przez trzy kalki tekst rozmywał mu się przed oczami. Raport zostawi sobie na koniec. Albo w ogóle go nie przeczyta.

Z szuflady wyjął pożółkły formularz. Rzucił okiem na zamknięte drzwi, po czym przystawił pieczętkę i złożył podpis jeszcze przed wypełnieniem druku. Lubił czasami drobne odstępstwa od regulaminu.

Zerknął na kartkę doklejoną do paczki. Przerywającym długopisem przepisał z niej numer sprawy, po czym przejrzał rubryki. Bolały go oczy i musiał się skoncentrować, by odczytać kolejne oznaczone numerami buki.

Pod hasłem „opis przedmiotu” wpisał „brulion”. Jakoś nic więcej nie przychodziło mu do głowy. Zatrzymał się na chwilę nad rubryką „tajne”. Po chwili wahania wpisał – na wszelki wypadek – „tak”. Kilka kolejnych rubryk przekreślił zgrabnym zygzakiem. Po co kombinować. Zostały jeszcze „uwagi”. Jak zwykł czynić w podobnych wypadkach, napisał po prostu „do zniszczenia”. Archiwum delegatury KGB w Płocku i tak pękało w szwach.

Porucznik Aleksandr Iwanowicz Zajcew posmarował drugą stronę formularza cuchnącym klejem i nalepił kartkę na okładkę brulionu, który następnie odłożył na biurko.

## Iwona Żółtowska

Debiutowała na początku lat pięćdziesiątych trzema krótkimi opowiadaniem („Nowa Fantastyka”).

Zwolenniczka małych form literackich; publikowała w czasopiśmie („Nowa Fantastyka”, „Voyager”, „Twój Styl”, we Francji – „Notre Famille”). Wydała tom opowiadań *Wieża ze słów*.

Autorka tekstów dotyczących fantastycznego fandomu oraz felietonów prasowych na temat literatury SF i fantasy. Tłumaczka opowiadań i powieści.

Filolog klasyczny; tłumaczy z greki, łaciny i z angielskiego. Uczy języków klasycznych, a także perswazji, autoprezentacji i retoryki.

Iwona Żółtowska

Serengeti

— Żeby nie było jak w ubiegłym roku! Dwa miesiące marudziłaś, że nie wiesz, dokąd jechać na wakacje. Skończyło się na tym, że na cały miesiąc zakopaliśmy się w jakiejś dziurze – burknął gniewnie Józek, rzucając na stół katalog biura podróży. Z górnej półki. – Nie chciało ci się ruszyć głową, a potem znajomi dziwili się, że nigdzie nie byliśmy. Grillowanie na Mazurach to żaden wypoczynek. Urlop musi być full wypas. Postaraj się, dobra? Wybierz coś fajnego.

Kryśka z mieszanymi uczuciami spoglądała na kolorowe strony. Kredowy papier, barwy niczym z ekranu wielkiego, płaskiego telewizora w ich salonie. Mieli kino domowe jak się patrzy. Wolno kartkowała katalog. Zwiedziła z Józkiem kawał świata. Pozostały im z tych podróży zdjęcia, filmy i pamiątki. Brali zawsze pakiet „all inclusive”. Pełny serwis. Z dwojgiem dzieci tak jest łatwiej. Józek brylował, szastał pieniędzmi na lewo i prawo. Patrzyła na to pobłaźliwie. Miał prawo. Stać go. Za komuny w Sowietach podobnie zachowywali się synowie gruzińskich nababów. Jako szesnastolatka poznała takiego nadzianego kolesia z Kaukazu. Młody, przystojny, szarmancki, romantyczny. Miał gest. W barach fundował wszystkim. Spotkała go w czasie tygodniowego rejsu statkiem wycieczkowym po Morzu Czarnym. To były dobre czasy, więc taka jej się trafiła nagroda za działalność w harcerstwie. Pierwszy raz w życiu pojechała wtedy na Południe. Piękne wspomnienie. Gruzin adorował ją dyskretnie. Zapamiętała rozmarzone czarne oczy. Przespał się z Lidką, przyjaciółką Kryśki, na której ten pozór zdrady nie zrobił większego wrażenia. Od początku czarnomorskiej wyprawy chodziła jak zaczarowana, bo oszołomiło ją południowe powietrze, odmienność zapachów, bujna obfitość roślin. Najlepiej zapamiętała samotne buszowanie po labiryncie zaułków Odessy. Znalazła na to czas, bo harcerska starszyczna zmęczona lotem – wszyscy rzygali w huczącym turbośmigłowcu – pierwszego dnia dała młodzieży wolne. Chodząc samotnie po obcym mieście, Kryśka miała wrażenie, że cofa się w czasie.

Chłoneła zapisane w murach życie ludzi, którzy dawno obrócili się w proch. Czytała ściany jak księgi. Wystarczyło dotknąć zaniedbanego tynku, pokrytego liszajami grzyba i wilgoci, aby zaczął pulsować wspomnieniami. Kryśka czuła, jak wlewa się w nią zagubiona energia przodków. W wyobraźni zmieniała skórę. Była Greczynką z Istrionu, umierała na Patiomkinowskich schodach, uciekała przed kolejnym pogromem. Łapczywie chłoneła i oswajała dziwne, obce miasto. Dorastanie uwolniło ją od tej ciekawości.

— I jak? Znalazłaś? – niecierpliwił się Józek. – Ma być ciepło i... no wiesz... Żeby ludzie widzieli, na co możemy sobie pozwolić. Kiedy mówię kontrahentowi, gdzie byłem na urlopie... Popatrz! Może do Afryki? Na lwy by, nie? – Mrugnął porozumiewawczo, zadowolony z pomysłu.

Kryśka zamruwała powiekami. Tak, pojedą do Afryki. Postanowione. Spojrzała na mapkę. Bez słowa dotknęła palcem seledynowej plamki z napisem: Serengeti. Poczowała wilgoć i pomyślała, że to poranna rosa, bo tam właśnie świta. Bez zdziwienia uśmiechnęła się do swojej wiedzy. Miała wrażenie, że słyszy szelest, jakby ktoś przełożył stronę książki i zaczął czytać nowy rozdział. Kiwnęła głową. Zacisnęła dłonie i szybko wyprostowała palce. Wiśniowymi paznokciami poskrobała ramię Józka. Na opalonej skórze czerwieniły się przez chwilę ciemniejsze pręgi. Został naznaczony.



Połowa lipca. Lotnisko Okęcie. Józek jest mocno zirytowany. Najchętniej wyrzuciłby na bruk wszystkich pracowników biura podróży. Totalna amatorszczyzna! Józek postanawia, że po powrocie założy własne biuro. U niego będzie porządek. Ludzie muszą chodzić jak w zegarku albo wynocha. A tu? Kolejne opóźnienie? Idioci! Po co wyciągnęli

ich z domu tak wcześnie? Nie można się dopytać, o której samolot nareszcie wystartuje. Józek chce wiedzieć. Bez słowa rusza w stronę okienka z napisem „Informacja”.

Obserwuje dziwną twarz paniusi siedzącej za szybą. Ładna kobieta, choć ma swoje lata. Szeroko rozstawione piwne oczy patrzą spokojnie. Nieruchome powieki rzadko mrugają. Józka, który przed chwilą pocił się i pieklił, ogarnia przyjemny chłód. Wszystko mu obojętnieje.

— Proszę tam nie lecieć – kobieta odzywa się pierwsza. Mówi niskim, urokliwym głosem, przypominającym gruchanie gołębia albo mruczenie kota. – To nie jest miejsce dla pana. Afryka nie służy...

Józek przytomnieje i znowu się rozgrzewa. Kto go poucza? Ta przechodzona... panienka z okienka? Gdy piorunuje ją wzrokiem, nie widzi nawet śladu osobliwej urody. Zwykła biurwa. Tępa, arogancka, niedouczona. Uciąć jej głowę! Józek wraca do swoich, opieprza ludzi z biura podróży i od razu czuje się lepiej. Kryśka jest nieobecna duchem. Słyszy znowu szelest przesypujących się kart. Młode jedzą kanapki i ze stoickim spokojem znoszą fanaberie wapniaków.



Dolecieli szczęśliwie. Józek dzwoni do matki. Jest zadowolony. Esowaty blat stołu w recepcji lśni gładzią egzotycznego drewna. Półmat. Dyskretna elegancja. Czarny boy taszczy walizki do bungalowu. Dyrektor luksusowego ośrodka studiował w Oksfordzie. *High life*. Józek mimo zmęczenia podróży jest w siódmym niebie, bo dokonał właściwego wyboru. Tak miało być. Wypchany portfel puchnie z dumy. Chrzęszczą plastikowe pancerze kart kredytowych. Jest super.

Kryśka patrzy na środek ogromnego holu, przez który biegnie szeroki pas brukowany glazurowaną kostką. Przypomina wewnętrzne drogi w

ich osiedlu, gdzie najmniejsza parcela ma dwa tysiące metrów kwadratowych.

Przeszklone drzwi holu otwierają się automatycznie. Staje w nich poirytowane słońtątko. Popiskuje gniewnie, sunąc po brukowanej alejce jak miniaturowa ciężarówka. Nerwowo odrzuca w tył głowę, ale nie patrzy na ludzi. Błyskają flesze. Kryśka bez słowa idzie za słońtątkiem ku przeciwnym drzwiom, za którymi ciągnie się zielonożółta sawanna.

— Co tu robisz? – ruga małego.

— Sssspierdalaj – syczy gniewnie słońtątko, maszerując do wyjścia. Kryśka biegnie obok niego.

— Nie wolno ci tak mówić, smarkaczu! – krzyczy z furją.

— Nie wolno ci tak mówić! Nie wolno ci tak mówić! – drą się złośliwe ptaki w ogrodzie.

— Zrób mu zdjęcie! Prędezej! – wyje podekscytowany Józek. Kryśka nie pamięta, że ma aparat cyfrowy.

Wściekłe słońtątko przyspiesza i wybiega z recepcji. Jest tak poruszone rozmową z człowiekiem, że nie zatrzymuje się przy ulubionym mangowcu, który rośnie na tyłach hotelu. Wkrótce znika w gąszczu akacji.



Józek z uśmiechem zapalił papierosa i westchnął przeciągle. Każdego ranka musiał podejmować trudne decyzje: angielskie śniadanie czy szwedzki stół. Lubił takie dylematy. Cenił obfitość i prawo wyboru. Dawniej musiał się ograniczać, lecz te czasy dawno minęły. *A mój kielich przelewa się\**, pomyślał z zadowoleniem. Odcinał kupony, łączył przeciwieństwa. Miał rozum i kasę. Westchnął, spoglądając na Kryśkę. Ile lat są razem? Kawał czasu. Jak na czterdziestkę z hakiem była całkiem



ładna, choć jej pastelowa uroda wydawała mu się nieco anemiczna. Marzył się Józkowi zad jak piec i wielkie, jędrne cyce. Kryśka mimo dwu cięż zachowała dziewczęcą figurę. Rodziła łatwo. Nie mnożyła trudności, gdy kilka lat po ślubie zaczął przebąkiwać, że czas na dzieci. Szybko zaszła w ciążę, sprzedała hurtownię i zajęła się domem. Józek promieniał. To mu pasowało. Samodzielność Kryśki trochę go drażniła, zwłaszcza że w interesach wiodło jej się jak mało komu. Miała nosa do tych spraw, a prowadzona przez nią firma to był złoty interes. Mimo wszystko wolał, żeby z Kryśki stała się Józkową i hodowała młode. Wymarzył sobie parkę i wkrótce się jej doczekał. Najpierw syn, potem córka. Mógł spokojnie tłuc kasę. Nie narzekał. Miał na wszystko. Stać mnie, powtarzał często. W nocy śniło mu się, że Kryśka nabiera ciała.

W bungalowie mieli osobne sypialnie. W domu też. Tak wyszło. Nic nie trwa wiecznie, a to nie była wielka *love*. Może na początku, ale krótko.

Kolejny dzień mijał powoli. Józek pławił się w słodkim nieróbstwie. Przesiadywał na werandzie, sączył whisky i nie spieszył się z wycieczkami. Mieli na to cały miesiąc. Najpierw aklimatyzacja. Trzeba poznać innych gości, żeby nie ładować się z byle kim do białych dżipów sunących przed świtem na bezkrwawe safari. Upatrzył sobie towarzysza podróży. Mrukliwy facet. Polak, emigrant, tutejszy. Podobno jakaś sława, ale to Józka nie obchodziło. Facet nazywał się Misza Rozen, ale to chyba nie było jego prawdziwe nazwisko. Dużo fotografował profesjonalnym sprzętem. Niechby od czasu do czasu pstryknął fachowo Józkową rodzinę. Trzeba mieć dokumentację wyprawy.

Józek wcześniej chodził spać. Ciągnęło go do łóżka. Od kilku nocy śnił jeden sen; przed świtem szedł po ciemku w stronę błotnistej sadzawki. Wiedział od recepcjonisty, że naprawdę jest taka w pobliżu. Zwierzęta przychodziły tam do wodopoju. W recepcji wisiały fotografie. W Józkowym śnie na brzegu jeziora majaczył rozłożysty zad i szerokie plecy chętnej samicy. Dopadał jej, stękał w napięciu, jęczał z ulgą. I

jeszcze raz. Budził się spocony i umazany błotem.



Minął pierwszy tydzień wakacji; nigdzie dotąd nie pojechali. Oszołomiona Afryką Kryśka była wściekła. Dzieciaki dostawały małego rozumu. Józek pił, palił i po zachodzie słońca znikał w swoim pokoju. Musiała wziąć sprawy w swoje ręce.

— No, dosyć próżnowania – oznajmiła przy śniadaniu. – Trzeba się pokazać miejscowym zwierzakom. Lwy i żyrafy czekają na rozkazy, szefie. Najwyższy czas rzucić Serengeti na kolana – kpiła dobrodusznie.

— Jedź sama – mruknął z roztargnieniem Józek. – Muszę odpocząć. Ten fotograf, który siedzi dwa stoliki dalej, ma swojego dżipa. Dogadaj się. Niech was obwiezie po okolicy. To Polak.

— Skąd wiesz? – zapytała. – Nie widziałam, żebyś z nim rozmawiał.

Zamiast odpowiedzieć, spojrzał na nią z politowaniem. Wziął pełną szklankę i podszedł do rodaka. Kwadrans później wrócił rozpromieniony.

— Załatwione. Możecie z nim jechać. Gość jest w porządku. Ma nawet przewodnika.

Złe spojrzenie Kryśki wystarczyło za długi monolog.

— Czego chcesz?

— Zajmij się dziećmi – burknęła gniewnie.

— Spadaj! Mam je na co dzień, nie? Czego się czepiasz? Żyją jak w puchu. Wszystkiego w bród. Kasa bez ograniczeń. Nie wystarczy?

— Kasa to nie wszystko. – Kryśka nie wierzyła własnym uszom. I kto to mówi? Poczwała się nieswojo, ale powtórzyła butnie: – Zajmij się nimi, głupku!

— Bujaj się! Mam wakacje. Zresztą dzieciaki to twoja działka. Ale upał!

Józek wyszedł na werandę i skinął na czarnego boya, który bez pytania nalał mu whisky. Bystry chłopak... Józek rzucił banknot. Niech się Bambo cieszy. Należy się za usługę, uznał z satysfakcją.

Nim upił pierwszy łyk, pomyślał o sprzeczce i ogarnęła go irytacja. Naczytała się baba kolorowych piśmideł i w głowie jej się przewróciło. Zajmij się... I co jeszcze?

— Krowa! – burknął.

— Ona nie jest krową! Ona jest lwicą! – piszczy z oburzeniem cykada siedząca na drewnianej balustradzie. Ginie natychmiast uderzona zwiniętym w trąbkę „Timesem”. Józek rzuca gazetę na stół, jednym haustem dopija whisky i kiwa ręką na chłopaka, który z poszarzałą twarzą czeka w rogu werandy.



Kryśka była wystrojona jak na bal. Włożyła dwie białe sukienki: pod spód krótką, lnianą, dopasowaną i mocno wydekoltowaną, jak sportowa koszulka, na wierzch luźniejszą, z przezroczystej tkaniny o staromodnym splocie, dyskretnie naśladującym koronkę. Do tego kapelusz z mlecznym woalem. Wyglądała niczym Królowa Śniegu, lecz emanowała ciepłem, jakby przed chwilą obudziła się z długiego snu. Krótkie paznokcie lśniły wiśniową czerwienią. Młode podniosły głowy znad talerzy i uśmiechnęły się z aprobatą, wielkimi łykami pakując do pyszczków jajecznice. Na twarzach miały wyraz słodkiej niepamięci.

Kryśka zatrzymała się przy stoliku mężczyzny, który obiecał zabrać ją z dziećmi na fotograficzne safari.

— O której ruszamy? – zapytała.

— Za kwadrans.

— Będziemy czekać w holu.

Przysiadła się na chwilę do młodych. Wkrótce poszli razem do recepcji. Mężczyzna odprowadził ich spojrzeniem, bębniąc palcami po stole, jakby naśladował dźwięk tam-tamów. Wiadomość została przekazana.



Józek śni na jawie. Czuje ciepło mokrego ciała, które pokornie ugina się pod nim. W realu może być tylko lepiej.



Misza Rozen i Kryśka z młodymi od tygodnia jeździli razem na wycieczki. Dogadali się bez trudu. Młode wkrótce przestały wrzeszczeć na widok każdego napotkanego zwierzęcia. Stały się czujne, a odkarmiona wyobraźnia uczyniła je starszymi. Dojrzewały i nabierały doświadczenia. Spojrzeniami ostrymi jak sztylety rozgarniały wysokie trawy i splątane gałęzie. Nic się przed nimi nie ukryło, wszystko zostawiały w spokoju. Zaczęły myśleć.

Po wyprawach spały jak susły. Pewnie miały to po ojcu. Kryśka obojętnie patrzyła na plecy Józka, który o zmierzchu szedł do siebie. Zrobił się z niego straszny śpioch. Ona nie potrzebowała tyle snu. Wieczorami lubiła posiedzieć na werandzie lub w przeszklonym salonie. Chętnie rozmawiała z Rozenem. Spokojnie, rzeczowo wypytywał o kraj. Trochę wspominał, ale bez nostalgii. W Afryce mieszkał od trzydziestu lat. Mówił o rodzinnym domu, jakby opowiadał treść ulubionej książki. Uśmiechał się i młodniał. Nie miał żony ani dzieci. Kobieta jego życia była rasistką i nie chciała mieszkać wśród czarnych. Nie rzucił dla niej Afryki.

Zapytany, dlaczego nie odwiedza kraju, długo milczał, poruszając rękoma, jakby gestem pomagał kształtować się myśli.

— Mieszkam w Tanzanii od trzydziestu lat. Wszystko, co naprawdę moje, jest tutaj. – Popukał się w czoło. – Nie ogarniam waszej rzeczywistości. Czuję się w niej coraz bardziej niepewnie. Szczerze mówiąc, mało co mnie tam interesuje. No i kwestia języka. Słucham was, rozróżniam słowa, lecz nie chwytam sensu, a nie chce mi się uczyć nowych realiów polszczyzny. Zresztą nie mam od kogo. Trzeba sporo dobrej woli i cierpliwości, żeby takiemu odludkowi jak ja tłumaczyć nieznane przez nieznane.

Robi pauzę. Czeka na odpowiedź. Kryśka kartkuje w myśli tekst nowej roli. Zanosí się na melodramat, więc milczy. Czuje się obserwowana. Ktoś patrzy. Wrogo.

Krępująca cisza nie trwała długo. Rozen znów się rozgadał, a i Kryśce zebrało się na zwierzenia. Popatrzyła na drzwi bungalowu, za którymi dawno zniknął Józek. Obojętnie wzruszyła ramionami. Na cierpliwość potrzebną Rozenowi nie było ją stać, ale mogła sobie pozwolić na odrobinę szczerości i potraktować go jak powiernika.

— Sam pan wie, jak to jest na początku: ja cię kocham, ty mnie kochasz, więc chodźmy do łóżka.

— Tak było z Józkiem?

— Tak wieki temu było z Józkiem.

— Co pani z tego ma?

— Dwoje dzieci. Całkiem nieźle. Są w porządku. Józek też. Daje na wszystko.

— A miłość?

— Miłość... jest.

— Kochasz go?

— Nie.

Duch zamordowanej cykady szemrze, tłukąc się w pustej szklance: –

Ona jest lwicą. Ona jest lwicą, Stary!



Rozen bez słowa wyciąga przed siebie rękę, z bezpiecznej odległości dając lwu znak. Na portrecie musi prezentować się godnie, a ciemna grzywa z jednej strony trochę wyliniała.

— Chcesz, Stary, to ci go zabiję – obiecuje lew.



Kryśka czuje w sypialni ostry pizmowy zapach. Odruchowo porusza dłońmi, zaciskając i prostując palce. Trawy szeleszczą, gdy bok ociera się o długie źdźbła. Z ciemności patrzą szeroko rozstawione żółte oczy. Zawsze uważne. Od pierwszej wyprawy Kryśka nieustannie czuje na sobie ich przenikliwe spojrzenie. Od tamtej chwili przy wodopoju, kiedy dwie głowy uniosły się jednocześnie. Potem wzeszło słońce i opadły kurtyny powiek, czerwieniejące w powodzi ostrego światła.



Józek stoi przed fotografią przedstawiającą wodopój. W lewym dolnym rogu widzi znajomy kształt. Robi mu się na przemian zimno i gorąco. Głowę by dał, że wczoraj go tam nie było. Czyżby nie dość uważnie przyjrzał się zdjęciu? Może od początku tam była? Patrzy, jakby wyglądał przez okno. Nie wyczuwa logicznego potknięcia, kiedy zakłada

milcząco, że skoro raz przyszła, na pewno wróci. A jeśli co wieczór na niego czeka? Wilgotna, lśniąca, gładka, ciepła, miękka, chętna.

Józek szykuje się do samotnej wyprawy jak na biwak nad mazurskim jeziorem: latarka, butelka wody mineralnej, duży koc, kilka pakiecików do kieszeni. Wychodzi z kłapkami na oczach. Serengeti go nie interesuje. Afryki nie bierze pod uwagę.



Nie musieli długo szukać. W krzakach znaleźli parę kości, strzęp ubrania. Niewiele zostało z Józka. Ma za swoje, uznał młodziutki boy. Podpowiedział szukającym, żeby poszli do wodopoju, świadomy, co znajdują. Wspomniał o tym duch zamordowanej cykady, która stała się jego ulubionym zwierzątkiem. Uczyli się razem angielskiego z „Timesa”, od którego zginęła. Boy zachował narzędzie zbrodni, które pokutowało, oddając kumpłowi ofiary energię zgromadzoną między słowami. Chłopcu trochę szkoda było hojnego turysty, nie tylko ze względu na przyjemnie szeleszczące banknoty. Krótkotrwała żaloba. Przestał o nim myśleć, bo szykowały się kolejne atrakcje. Fascynowały go żółknące oczy *msabu* w białych sukienkach.



Chłopak łapczywie je ciasto. Dziewczyna syczy z bólu. Dokucza jej ranka na stopie. Rozen sprawnie przemywa skaleczenie i zalepia plastrem. Bierze kawałek placka i napełnia kubek mocną herbatą. Syty lew śpi w zaroślach. Mężczyzna śni wieczny sen. Kobieta rozmawia z duchem cykady. Szukają się spojrzenia żółtych oczu.



Kryśka budzi się w środku nocy. Bosa i potargana zaczyna chodzić po pokoju. Korci ją, żeby powtórzyć błąd Józka. Chce zaryzykować życie, wyjść sama jedna w pulsującą niebezpieczeństwem ciemność, przekroczyć granicę zdrowego rozsądku, który dotąd był jej najlepszym doradcą. Suchy szelest przekładanej stronicy pcha ją ku drzwiom. Jest z Północy, więc przezornie chwytą polar, żeby nie zmarznąć w nocnym mroku.

Idzie przez trawnik ku żółtym oczom połyskującym w wysokiej trawie za ogrodzeniem. Jeden skok i jest po drugiej stronie. Niepotrzebny polar sfruwa na starannie przystrzyżone krzewy. Robi jej się ciepło we własnej skórze.

— Długo kazałaś na siebie czekać – mruczy lwica. – Już myślałam, że zostaniesz przy Starym i urodzisz mu kolejne młode.

— Jestem za stara na młode – prycha gniewnie Kryśka. Uskakuje w bok, a potem rzuca się na lwicę i miękkimi łapami przewraca ją na grzbiet.

— Ja też. Nie dam rady odchowić kolejnego miotu. Teraz chcę tylko jeść i spać, aż padnę i zeżrą mnie hieny – mruczy lwica, leżąc nieruchomo. Kryśka kładzie się obok z głową na jej brzuchu.

— Ja też – mamroce.

— A twoje młode? – pyta lwica.

— Wydoroślały. Potrzebują mentora. Niech Stary się nimi zajmie. Jak będzie trzeba, coś dla nich upoluję.

— Co chcesz teraz robić?

— Nic. Zrobiłam swoje. Zmieniłam świat. Idziemy?

Podnoszą się zgodnie i bok przy boku odchodzą w gęstwinę ciemnych



traw.



Rozen i młode siedzą rzędem w fotelach przysuniętych do balustrady. Rozparci wygodnie, trawią kolację i przez lornetki obserwują lwice śpiące w oddali poza czasem na konarach starego drzewa. Są leniwe, syte i zadowolone z życia, choć najlepsze lata mają już za sobą.

## Jacek Komuda [1972]

Debiutował w 1990 roku opowiadaniem *Czarna Cytadela* („Nowa Fantastyka”).

Twórca gry fabularnej „Dzikie Pola”, powieści *Wilcze gniazdo* i *Bohun*, zbiorów opowiadań *Opowieści z Dzikich Pól* i *Imię Bestii*, książki popularnonaukowej *Warchoły i pijanice*.

W 1998 roku otrzymał nominację do Nagrody im. Janusza Zajdla za opowiadanie *Tak daleko do nieba*.

Zajmuje się projektowaniem gier komputerowych i tworzeniem scenariuszy filmowych dla zachodnich studiów developerskich.

Doktorant na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego.

Jacek Komuda

*Wilczyca*

## 1. Infamis w opałach

— Chędoży ją już?

— Jankiel nie dał znaku!

— Cicho, chłopcy! – syknął Kołtun, rozpychając się w tłumie. Smarknął na ziemię z prawej dziurki, otarł nos lewą dłonią, a dłoń o poszarzałą watowaną siermięgę. Potem popluł w ręce i złapał stylisko siekiery. – Zaraz wylizie, mówię wam. Jak wychynie, to go w łeb. W łeb, chłopcy! Walić ile wlezie!

Przytulili się do nieheblowanych bali, skulili w podsieniach żydowskiej karczmy przy głównym rynku w Lutowiskach.

— Oj, strach – wyszeptał Iwaszko i przeżegnał się po prawosławnemu, z prawa na lewo. – Ślachcic to przecie, panocek jasny. A kto na pana rękę podniesie, tego w Przemyślu konikami rozrywają, a mistrz małodobry skórę drze i członki ćwiartuje...

— Jaki on tam ślachcic – zachnął się Kołtun i z niepokojem stwierdził, że tłumek chłopów wyraźnie się zmniejszył. – Wywołaniec, psi syn i infamis. Samem słyszał, jak go obwoływali na rynku w Przemyślu. A wywołańca zabić nie grzech!

— Straszny on! – mruknął Janko, muzykant z karczmy Jankiela. – Charakterny chłop. A jak hycnie, jak szablą wywinie, zaraz głowy spadną. Spadną głowy, oj, mówię!

— Bacz, cobyś się w gacie nie posrał. A co on, diabeł?

Znów ktoś odłączył się od gromady. Kołtun zaklął z cicha.

— Nagroda za niego jest, słyszeliście? Dwa tysiące czerwonych daje pan starosta Krasicki. Widzieliście tyle złota naraz, psiejuchy?

— Dwa tysiące? Boże miłościw. To ile za to rzepy by było! – rzekł przygłupi Chochoł, który służył w stajni u Jankiela za miskę stawy i znoszony przyodziewek. Pochylił drewniane widły i nasunął mocniej na oczy futrzaną czapę.

— Rzepy? Do końca życia słońcę zreć będziesz, kpie!

— A ja wam mówię, czart to prawdziwy. Oczy jak u leszego płonące, pazury jak u brukołaka...

— Bacz ty pod nogi, czyś se łapci nie ojszczał – zadrwił Kołtun. – Sprawdź, czy ci do chałupy nie hycnął i twojej Jewki nie swadźbi! W łeb walić, powiadam, ile wlezie. Czart czy nie czart, ale przecie człowiek. A jak na ziemię padnie, to sprawdzić, czy dycha, i zaraz go w łyka wiązać! A ty, Janko, ode drzwi odstąp, bo tchórzy nam nie trza. Sami się nagrodą podzielim.

— Cisza! – syknął Iwaszko. – Baczcie, czy Jankiel znak daje.

Naraz załomotały końskie kopyta. Kołtun poczuł, jak chłopi skuleni z tyłu zaczynają przyciskać go do drewnianej ściany karczmy. Ktoś jęknął, ktoś inny uciekł; Kołtun usłyszał oddalające się kroki. Odwrócił się i zamarł.

Przed karczmę zajechało trzech jeźdźców. Powoli zsiadali z wierzchowców, wiązali rumaki do koniowiązów. Ruszyli w stronę budowli, nie zważając na kupy końskiego i krowiego łajna, idąc na wprost przez wielką kałużę gnojówki. Szli na Kołtuna, a na ich widok chłopi rozsuwali się na boki, umykali chyłkiem za karczmę albo za sągi z drewnem. Kołtun od razu zrozumiał, z kim ma do czynienia. To byli lepsi goście, a nie zwykłe chłopcy z Lutowisk czy Hoczwi. Bryganci z gościńca albo szlachetnie urodzeni grasanci. A może nawet wolontarze z jakiejś chorągwi kwarcianej...

Pierwszy z nowo przybyłych był niski, zgarbiony, z przetrąconym, krzywym nosem. Jego ślepia, przypominające oczy drapieżnego ptaka, spoglądały chytrze spod zbyt dużej, opuszczonej na czoło, zardzewiałej misiurki. Miał w spojrzeniu tyle pogardy, dumy i zuchwałości, że pod Kołtunem ugięły się nogi. Przy boku szlachetki wisiała ogromna szabla w czarnej, inkrustowanej srebrem pochwie, puginał i pistolet. Żupan tego wojaka był obdarty, brudny i wręcz utyłany w gnoju i błocie. Jednak

słońce odbijało złote blaski od wypolerowanego ryngrafu z Matką Boską na szyi swawolnika.

Drugi z brygantów, wysoki, chudy jak chmielowa tyka, odziany był w krótki rajtrok i rajtarskie buty sięgające powyżej kolan. Długie, natłuszczone wąsy opadały mu aż na ramiona. Pierś przecinał pas od zarzuconego na plecy bandoletu, a przy boku kołysał się ciężki pałasz zakończony ozdobnym, aczkolwiek zardzewiałym koszem.

Trzeci z tamtych był młodszy, wysoko podgolony i odziany w żupanik z samodziału. Jego twarz szpeciły blizny i krosty od francuskiej choroby.

— Co tu robicie, chamy?! – zagadał ten w misiurce, zionąc złością i piwem. – Czekacie na kogo? A może na czatach warujecie?

Tłumek chłopów przerzedził się. Kołtun stwierdził z niepokojem, że pozostało przy nim jedynie kilku najodważniejszych, a i ci odsuwali się wolno na bezpieczną odległość.

— Ty! – rzucił wściekle brygant w stronę Kołtuna. – Ty nam powiesz. Jestli w karczmie możny szlachcic?

— A ty dokąd, chłopie?! – krzyknął wysoki w stronę Janka muzykanta, który chciał umknąć bokiem. – Siedź na rzyci, kiedy pan pyta!

— Darujcie zdrowiem, panockowie jaśni! – zawył Janko i padł na kolana. – Powiem, wszystko powiem!

— Jestli w karczmie pan Białoskórski? – Ton głosu konusa był nawykły do rozkazywania. Kołtun zrozumiał w lot, że naprawdę nie warto go nie posłuchać. – Gadaj, bo oćwiczę! A wcześniej sam nam w zębach knuta przyniesiesz.

— Jako żywo! Jako żywo! – zakwilił Janko. – Wszystko powiem, jeno nie bijcie! Pan Białoskórski jest w alkierzu. Nynie Jadżkę chędoży. Albo już przechędożył... – dodał ciszej.

Szlachcice spojrzeli po sobie i zarechotali głośno. Wysoki podkręcił wąsa.

— Do domów, chamy! – warknął niski. – A jak mi który z chałupy

wylezie, pasy będę drzeć!

Nie musiał tego dwa razy powtarzać. Chłopi rozpierzchli się jak stado kurcząt. Chochoł pośliznął się, łapcie rozjechały mu się w błocie i rymnął jak długi, wałąc łbem w koniowiąż. Iwaszko złapał go za ramię, poderwał na nogi.

— No, mości panowie! – rzekł francowaty. – Szable poluźnijmy i do roboty!

— Ot i pogawędzimy z Białoskórskim.

Wysoki popluł w ogromne dłonie i chwycił pałasz. Ten w misiurce złapał za szablę. Ruszyli do drzwi. Francowaty otworzył odrzwia kopniakiem, a potem wszyscy wpadli do środka.

Kołtun wyrzwał zza węgła. Przycupnął i wyteżył słuch.

— Bij! Zabij! – ryknął jakiś głos w karczmie.

Kołtun usłyszał łomot, od którego włosy stanęły mu dęba, świst szabel, brzęk zderzających się ostrzy, łoskot przewracanych stołów, ław, tłuczonych mis i Bóg wie czego jeszcze.

— Z lewej, Ruksza! Z lewej! Bij. A równo!

Ktoś zacharczał głośno, zwałił się na ziemię, a dźwięk zderzających się ostrzy zabrzmiał ciszej.

— Psi synuuuu! – zawył ktoś inny.

Kołtun zadrżał, gdy rozpoznał, że krzyczał najmniejszy ze zbójeckiej kompanii.

Głos przeszedł w jęk, potem w charczenie i wszystko ucichło. Kołtun poczuł, że zimny pot zrosił mu czoło. Ramiona zadygotały.

We wnętrzu karczmy odezwały się kroki. Nagle drzwi otwały się ze skrzypieniem. Chłop zamarł. W wejściu stał mały szlachetka ze złamanym nosem. Był bez szabli, obiema rękami trzymał się za brzuch. Z okropnej rany tryskała krew, spływała na żupan, na safianowe buty...

Szlachcic zrobił sztywny krok, drugi, jeszcze jeden... Kołtun dojrzał na jego twarzy śmiertelną bladość. Brygant oddalił się od karczmy,

zachwiał, padł na kolana w kałużę gnojówki i zwałił twarzą w błoto, zadygotał, zacharczał, i znieruchomiał.

Kołtun przeżegnał się. Drżał tak, że zęby dzwoniły mu jak kastaniety. Jednak przemógł się i przestąpił próg. Szedł skulony, zgarbiony, z siekierą w dłoniach. Obszerna sień była pusta. Drzwi do izby gościnnej stały otworem.

Chłop szedł niemal na palcach. Ostrożnie wychynął zza framugi. Zobaczył dużą komorę zaścieloną kobiercami i makatami. Stół był przewrócony, krzesła i ławy porąbane ciosami szabel i pałaszy, dywany zerwane ze ścian. Potłuczone dzbany i srebrna zastawa walały się na podłodze.

Dwóch swawolników leżało na posadzce. Ten najwyższy spoczywał na wznak, cięty przez skroń, pierś i szyję, dygotał jeszcze w powiększającej się kałuży krwi. Francowaty opierał się o ścianę, a z jego piersi sterczała zakrwawiona rękojeść rajtarskiego pałasza. Kołtun rozpoznał z niepokojem, że był to oręż, który należał do najwyższego z hultajów.

W komnacie przebywał też trzeci mężczyzna. Wysoki, z długimi siwymi włosami, ubrany w żółty jedwabny żupan zdobiony diamentowymi guzami. Leżał oparty o skraj łoża, prawą ręką trzymał się za zakrwawiony bok, a lewą podpierał, chcąc wstać. Jęknął, gdy mu się to nie udało. Kołtun poznał go od razu. Jaśnie wielmożny pan Maciej Białoskórski, infamis, hultaj i warchoł, który od lat wymykał się starostom i burgrabiom z Ziemi Sanockiej.

Wiedząc, z kim ma do czynienia, Kołtun zadrżał, ale nie uciekł. Stał, dzierżąc w obu rękach siekierę.

Białoskórski dostrzegł go – skinął nań ręką.

— Chłopie – wysyczał – chodź tu!

Kołtun postąpił krok do przodu. A wówczas w jego łbie zabłysła zdraдлиwa myśl.

Jednym skokiem rzucił się do pana Białoskórskiego. Zamarł, gdy



szlachcic spojrział mu prosto w oczy.

— Przynieś szarpie! – jęknął Białoskórski. – Cyrulika wezwij zaraz...

— Tak, panie! – odpowiedział prędko Kołtun. A potem jednym szybkim ruchem opuścił obuch siekiery na łeb infamisa.

## 2. Trwoga w Lutowiskach

— Ajajaj! – lamentował Jankiel, trzymając się upierścienionymi dłońmi za czarną, postrzępioną myckę na siwiejących włosach. – Ajajaj! Co wy najlepszego zhobiły!

— Sameś to wymyślił, Żydu! – charknął Kołtun. – Sameś przysłał po nas, Judaszu zatracony! Pomnij, co żeś gadał! Że u ciebie w karczmie pan stoi, co na niego są kondamety...

— Kondemnaty – poprawił Jankiel i złapał się za pejsy.

— Jak żeś gadał! – syknął Kołtun. – Jakeś breszył. Chodźwa, chłopcy. Wy, Dolinianie, wy się diabła nie boita. Weźmie szlachcic w łeb obuchem, dobro jego podzielim, a jeszcze nagroda będzie. A teraz co – dudy w miech?!

— Ja dobrze wsiółtko pamiętać. Ale tehaz ja się bać. Ja się bahdzo bać, bo ten ślachcic ziw i on nie zapomnieć, w jaka to kahczma po łbu wziąć.

Stali przed podsieniami zajazdu, otoczeni tłumem mieszczan i chłopów. Byli tu niscy, krępi, długo- i czarnowłosi Hyrniacy, przydziani w ciemne siraki, którzy zjechali do Lutowisk na koński jarmark z sąsiednich wiosek – Procisnego i Smolnika. Byli rośli i dumni Dolinianie w siermięgach, o długich wąsiskach i włosach przystrzyżonych na donicę. Byli koroliwcy, to jest Rusnacy, którzy przybyli hen, hen zza Osławy. Byli Żydzi w ozdobnych, wyszywanych jarmułkach, w chałatach oraz narzuconych na nie futrzanych giermakach lub kopieniakach. Byli kupcy z Hoczwi, Cisnej i Baligrodu. Były baby handlujące serem i jajcami, byli bakuniarze zwożący tytoń zza węgierskiej granicy, byli też Liptacy,

Cyganie, grajkowie, sabaci, Wołosi i zapewne nie brakowało złodziei. Wśród długich włosów i płowych czupryn, wśród czapek, kołpaków i słomianych kapeluszy widniały wygolone łby Kozaków, kapuzy i bekiesze Węgrów, a nawet nieliczne szlacheckie kołpaczki ozdobione piórami i trzęsieniami.

Wszyscy ci ludzie przyszedli tu w jednym celu – aby popatrzeć na sławnego infamisa, człeka z piekła rodem, mąciciela, banitę, swawolnika i rębacza. Czyli na pana Białoskórskiego, którego zła sława zajezdника i okrutnika ścigała po całej Ziemi Sanockiej województwa Ruskiego. Pan Maciej na wpół leżał ze zwieszoną głową, przywiązany do słupa podtrzymującego podsienia. Nie odzyskał jeszcze świadomości i nie słyszał, jak kłócono się o jego osobę.

— Powiadałeś, Żydu, że nagroda jest za jego głowę! – tokował Kołtun. – Mówiłeś, że dwa tysiące dukatów daje za niego pan starosta Krasicki. To płać teraz nam! A nagrodę sobie w Przemyślu odbierzesz!

— Aj waj! To dla mnie ziaden intehes. Ziadna zysk! Sama sthata – biadał Jankiel.

— Bieri szlachtycza, parchu – mruknął Iwaszko po rusku i zasadził palce za pas. – Łem hroszi nam za neho dawaj.

Żyd rozejrzał się stropiony, szukając sprzymierzeńców.

— Wyšta się ślachcica nie bali – wyszeptał. – Tyś sam, Kołtun, gadał, że go za łeb weźmiesz, a jak sobie gorzałki popijesz, to ci i diabeł, i bhukołaki niesthaszne. To wy go sobie tehaz zabiehajcie! Ot, mądhe się znaleźli. Ślachcicowi w łeb dali, a jak co, to wsiśtko na Zida! Bo Zidy wsiśtkiemu winne. A my przecie ziadne Tuhki. Ziadne Tatahy, ale wasi stahsi bhacia w wiezie.

— Powoli, powoli. Nie spiehajcie się ludzie. Jest i na to hada – zagadał Moszko z Tyczyna, Żyd z pejsami zaplecionymi w warkoczyki, zwany Tyczyńskim lub Umnym, gdyż pisywał registra celne w Cisnej. – Tzieba odstawić Białoskóhskiego do Khasiczyna. Do pana stahosty. Zhesztą i do

Psiemyśla, do wiezi wystahczy.

— A kto pojedzie? – zagadał Jankiel do Kołtuna i Iwaszki. – Ho, ho, coś mało widzę ochotników. A mozie ja, Zid, mam to ucinić? Bo kunieć kunciów wsińtko zawsie na Zidów spada!

— Hejże, Kołtun! – rzekł Moszko z Tyczyna. – Ty żeś to gadał, aj waj, żeś hezun i zbytnik. Ty zieś piehwszi za siekiehę złapał. To bierz ślachcica. Twój on i w phawie.

— Bierz, bierz – dorzucił Chochoł, spoglądający chytrze spod baraniej czapy nasuniętej na oczy. – On twój i nagroda twoja. A ja zostanę i koniem się panicza zajmiem. A takoz i ochędóstwo i sakiewkę wezmę. Żal dać przepadać dobru.

— Weźmiesz, ale kopa w rzyć! – warknął Kołtun. – Wy kurwe syny! Wy chamy łajnem w srakę chlastani! Dobro brać toście pierwsi, ale łba nadstawić to nie lza! Weźmiecie dobytek pana, a mnie wyprawicie do grodu, coby mnie Białoskórski na gościńcu udusił! Wara, powiadam! Wara ode mnie. A jak wam źle, to wychodźcie po kawalersku, na kłonice.

Zapadła cisza. Kołtun nie przesadzał. Wszyscy pamiętali, że nie dalej jak na Trzech Króli pociął i poharatał strasznie Cygana, który chciał ukraść jego wołu.

— Parol, chamy!

Na dźwięk tego bezlitosnego głosu wszyscy zadrżeli. Kołtun obejrzał się zdjęty trwogą. Nogi ugięły się pod nim.

Białoskórski spoglądał wprost na niego. Chłop drżał przeszywany spojrzeniem wyblakłych niebieskawych oczu szlachcica. Infamis dźwignął się z ziemi, jęknął, gdy odezwała się świeża rana na boku. Szarpnął rękoma przywiązany do słupa podtrzymującego podsienie karczmy. Wyprostował się, stanął na nogach. Splunął.

— Chamy! – powiedział spokojnie, niegłośno.

Na placu zrobiło się cicho. Chochoł i kilku strachliwych chłopów przeżegnało się.

— Ty! – Białoskórski spojrzał na Janka muzykanta. – Rozwiąż mnie!  
Janko aż przysiadł.

— Ani się waż! – jęknął Kołtun. – Ani go tknij, psi synu!

— Nnnie, panie. Nniiee – wyjąkał Janko. – My cię do starosty zawieziem. Do Przemyśla.

— Wy chamy, kozojebce, sucze łajna! – wycedził Białoskórski jakby zdziwiony. – Co to ma znaczyć? Jak śmieliście podnieść swoje chamskie łapy na szlachcica?!

— Ty, panie, nie krzycz – rzekł Kołtun. – Tak i my się nie boimy. My w prawie, a ty nie. Tyś wor i szelma, a my chłopki uczciwe a pracowite.

— Constitutio anno tysiąc pięćset dziewięćdziesiąt jeden tak stanowi – dorzucił obeznany z prawem Moszko.

— Moszko praw! – rzekł Iwaszko. – Kto by infamisa zabił, nagroda w złocie będzie.

— Nagroda... Racja. Jeno że najpierw mnie do starosty odwieźć musicie. Do Przemyśla albo Sanoka. A do tego dużo czasu upłynie. Bardzo dużo...

Zapadła cisza.

— A do tego czasu – gadał Białoskórski, a głos jego był bezlitosny – do tego czasu i popiołów z Lutowisk nie zobaczysz.

Tłum ochnął i cofnął się. Tylko Kołtun i Iwaszko zostali na miejscu.

— Pół dnia drogi stąd bawi moja kompanija – ciągnął Białoskórski beznamiętnym tonem. – Jak się zwiedzą o tym, coście uczynili, zjadą tu w gościnę. I popasają długo. A was, chamy, za koniem włóczyć będą i na progach chałup wywieszają.

— Słowa to jeno, panie, słowa...

— A dla ciebie, chamie – wzrok Białoskórskiego spoczął na Kołtunie – specjalne teatrum odprawimy. Wygodzimy ci lepiej niż mistrz Jakub zbójowi Sałacie we Lwowie, a śmierci będziesz wypatrywał jak nadobnej dziewczki...

Kołtun zbladł, skulił się, zmalął.

— Ale nie musi się tak skończyć ta compactia. Rozwiążcie mi więzy i wypuście, a daruję was zdrowiem.

— Nie wierzcie, chłopcy! – syknął Kołtun. – On, psia mać, i tak tu wróci. Ziemię a niebo ostawi!

— Nagroda za niego jest – syknął Chochoł. – Do starosty z psim synem!

Chłopi zaszumieli, zawahali się.

Białokórski roześmiał się zimnym, lodowatym śmiechem. Coś zarzęziło mu w płucach. Zacharczał i splunął krwią pod nogi.

— Kto? – rzucił drwiąco. – Kto z was, chamy, gównoroby, odwiezie mnie do Przemyśla? Kto ośmieli się rękę na mnie podnieść? Jest ktoś taki? Niechaj wystąpi i pamięta, że jeśli potem wpadnie w moje ręce, będę go za koniem włóczył. I jak węgorza obedrę ze skóry.

— Możemy przecież tylko po stahostę posłać – pisnął Moszko. – A sami zaczekamy na pachotków.

— Poślijcie – zaśmiał się Białokórski. – Do Przemyśla trzy dni drogi. A jak wieczorem do mej kompanii nie wrócę, zaraz zaniepokoi się pan Ramułt o życie towarzysza. A jak się zaniepokoi, to skrzyknie pana Krzesza i pana Taranowskiego, i pana Zbroję i ciepło wam się zrobi. Tak ciepło, że wody w Sanie nie starczy, coby się ochłodzić.

— Przecie możemy go ubić – rzucił Iwaszko. – Martwego łatwiej dowieziem...

— Chybaś z uma zszedł! – warknął Kołtun. – Nie godzi się związanego zabijać. Ja kmieć, ale honor i fantazję mam!

— Za ziwego większa nagroda – wtrącił Moszko.

— Na co khęcić, na co chodzić! Nie ma co tu hobić – rzekł Jankiel. – Ciebie zawieźć pana Białokóhskiego do stahosta. Do Psiemyśla. Ja sam konie dam tym, co zawiodą. I spyzię na dhogę.

Jakoś nie było ochotników.

— No, co wy jeście chcieć od biedna Zid? Ja jestem phosty Zid. U mnie nie ma ziadna odwaga. U mnie andele, andele. U mnie kahczma. I dzieciska...

— Kto zawiezie pana Białoskórskiego do Przemyśla? – zapytał Kołtun. Powiódł spojrzeniem po twarzach swoich kompanów. Spuścili głowy. Chochoł skulił się i wycofał tyłem. Iwaszko patrzył w ziemię, a Janko muzykant spociał się ze strachu.

Białoskórski parsknął krótkim, urywanym śmiechem. Rozkaszłał się, zacharczał, splunął krwią.

— Coś nie ma ochotników, Kołtun – wydyszał szlachcic. – No, rozwiążcie mnie i będzie po sprawie...

Znów zapadła cisza.

— Jak mnie nie puścicie, będę was, chłopy, za koniem włóczył. A z ciebie, Kołtun, chamie zatracony... Z ciebie skórę zedrę... Wiesz, jak to się robi po moskiewsku? Ot, polewa wrzątkiem i lodowatą wodą na przemian, aż skóra odejdzie.

Zapadła cisza. Chłopi i mieszczenie odsuwali się w tył, spuszczaali głowy. Tłum przerzedził się znacznie.

— Nikt się nie zgłasza?! – syknął Kołtun. – Jak to? Tacyście mądrzy? Zaraza was! Toż to zbój i swawolnik. Jak go wypuścicie, będzie na ludzi napadał, wioski palił. Chłopów wieszał i piekł na ogniu. Ręce i nogi piłą odrzynał... Puścicie go wolno? Darujecie mu, charakternikowi? On i tak tu wróci i wnet was wyreże!

Nikomu nie było w głowie nadstawiać karku.

— Wam nie karmazyny i żółć, nie indygo czy błękit, ale gównno na kapotach nosić! I to wam powiem – rozdarł się Kołtun – że Dydyńskiego na was trzeba!

— Ja pojedę!

Z tłumu wystąpił młody szlachetka. Zupełny gołowąs, który tak na kaprawe oko Kołtuna liczył może szesnaście, może siedemnaście wiosen.

Odziany był w czerwonawy, spłowiały żupanik z taniego falendyszu, przepasany czarnym, wyświechtanym pasem, na którym wisiał chudy trzos i batorówka, będąca w użyciu chyba jeszcze za króla Stefana. Broń miała długi jelec, szeroki, migdałowy kapturek i rękojeść oplecioną poszczerbioną blachą. Szabla nie była jednak zardzewiała, ale czysta i błyszcząca. Wydawało się, że to jedyny majątek młodego, biednego szlachetki, którego rodzice siedzieli zapewne gdzieś pod Sanokiem, Sandomierzem czy Lwowem na spłachetku ziemi lub którejś tam części kolokacyjnej wioszczy, gdzie na pięciu szlachetków przypadało po pół chłopca. Młodzieniec miał miłą, rumianą twarz, której nie zdążyły jeszcze zeszpecić blizny, ślady pijaństwa i rozpusty. Gdyby miał warkocze, wyglądałby całkiem jak nadobna dziewczeczka.

— Sławetni mieszczanie Lutowisk – rzekł – jestem Janusz Gintowt, herbu Leliwa. Ja odwiozę infamisa Białoskórskiego do Przemyśla.

— Młodzi jesteście, panie – rzekł Moszko. – Nie podołacie...

— Ech, co mi tam! Nie mogę patrzeć, jak krzywda się dzieje. Skoro nikogo w tym siole nie ma, kto by się nie lękał infamisa, to ja pójdę! Kiedym z domu wyjeżdżał, dziaduś rzekł mi, cobym krzywdzicieli i łotrów karał, jako prawy szlachcic i rycerz, bo ze znamienitego rodu pochodzę.

— Szlachetniście panie, ale sami jesteście. A jak wam Białoskórski ucieknie?

— Gdzieżby uciekł!

— Kto jeście odważny, kto się zgłasza?!

Moszko powiódł wzrokiem po zgromadzonych na rynku ludziach. Nikt nie wystąpił z tłumu, nikt się nie poruszył.

— Nie trzeba. – Gintowt podciągnął wyżej opadający pas. – Nie trzeba, sławetny mieszczanie. Sam pójdę. Wy, zacni ludzie, już dosyć zrobiliście jak na swój stan ubogi.

— Jjjjjja-a-a-a-a-a się zgła-a-a-asza-a-a-m – wystękał jakiś głos. Z

tłumu wystąpił bosy starowina, z przechyloną na bok głową. Ręce mu się trzęsły, podobnie jak broda. Z trudem bełkotał słowa, a dokoła rozchodziła się mocna woń gorzałki.

— Ty? – Kołtun, obaj Żydzi i pozostali chłopcy wytrzeszczyli oczy. – Ty, Hrehory, chcesz jechać?

W tłumie odezwały się śmiechy. Hrehory zwany był częściej Horyłką z prostego powodu: rzadko widywano go trzeźwym. Żył w Lutowiskach, odkąd pamiętali najstarsi ludzie. I odkąd sięgali pamięcią, zawsze pociągał gorzałkę, spał w błocie i gnoju na mniejszym lub na większym rynku. Nie wiadomo tylko, skąd brał grosze i szelągi na coraz nowe kwaterki wódki osuszane pod płotami lub w podsieniach obu żydowskich szynków w Lutowiskach.

— Ja czekał i cze-e-e-ekał. J-a-a-a-a... Wydeł. Nikt nie wy-y-y-yystąpił... My-y-y-y-yślałem, ty, Kołtun, pójdziesz... A-a-a-ale nie chce-e-e-esz... No to ja... Mnie nii-i-i-ic nie zro-o-o-o-obi Bia-a-a-a-łoskórski.

— Nie wstyd wam, chłopcy? – zakpił Moszko z Tyczyna. – Żaden z was jajec nie ma! Do bitki i gorzałki toście piehwsy, a gdy infamisa trzeba katu wydać, to stary gorzałecznik więcej ma ikhy!

Iwaszko splunął zamasyście na ziemię. Roztarł ślinę na proch.

— Idu! Trastia tebe mordowała, Żydu!

Jankiel otarł pot z czoła. Iwaszko spojrział na Janka.

— A ty co, grajku, zostajesz? Przecie twoją mać szlachcic chędożył, to i fantazję powinienes mieć pańską!

— Ty muzykanta zostaw! – zakrzyknął Jankiel, przestraszony, że straci najlepszego grajka w Lutowiskach. – Aj waj! To talent! Talent samohodny. Żal, coby na thakcie po dhodze skapiał. Was, kmioty, nie szkoda, boście diabła wahci, ale muzykaję mego dajcie spokój!

— A ty? – Iwaszko spojrział na Kołtuna.

— Idę, idę. Inaczej nagrody do Wszystkich Świętych nie zobaczę.

— Jak mamy ruszać, to szybko – powiedział pan Gintowt. – Zaraz zrobi



się ciemno. Dziaduś mój mawiał, że co się do wieczora odwlecze, to do jutra uciecze.

Gintowt mówił prawdę. Słońce już przechyliło się ku zachodowi, zniżyło ku wierzchołkom Otrytu porośniętym wiekowymi borami. Cienie się wydłużyły.

— Chochoł, konie kulbacz! – pisnął Jankiel. – Bohek, suchahów dawaj, dhyjakwi, wędzonki i gorzałki!

Gintowt podszedł do Białoskórskiego, sprawdził więzy na rękach infamisa. Położył dłoń na rękojeści szabli.

— Panie Gintowt – odezwał się Białoskórski – po kiego diabła chcesz być bohaterem tej wioszczyny? Jutro łyki i chamy zapomną, kim byłeś... A pojutrze, gdy ranny pomocy będziesz szukał, sakiewkę oderzną i kłonicami zatłuką!

— Trudno to waszmości zrozumieć, ale ktoś musi bronić sprawiedliwości...

Białoskórski obrzucił uważnym spojrzeniem chudopacholski żupan młodego szlachetki, jego starą szablę, odziedziczoną bodaj po pradziadach, znoszone buty, z których lada moment mogła wyjść słoma.

— Śmiałyś, szlachetko. Poniechaj mnie, a żyć będziesz!

— Jakem z domu wyjeżdżał, coby służby szukać – Gintowt uśmiechnął się tajemniczo – przyrzekłem rodzicielom, że słabszych bronić będę. No i proszę, ledwim w pierwszej wiosce staną, zaraz krzywdziciela zdybałem. To się ucieszy dziadunio i rodziciele. A ty odpuść mnie, panie, po chrześcijańsku. Ja do ciebie nic nie mam, jeno powinność wykonuję. Odpuścisz?

Białoskórski zacharczał, zaczął pluć krwią.

— Zapłacę. Dobrze zapłacę, szaraczku!

— Nic z tego.

— Do piekła pójdziesz ze mną. Zabiorę cię na sam dół, tam gdzie ósmy krąg diabłów.

Gintowt zbladł. Splunął, przeżegnał się, a potem odwrócił i odszedł do koni. A Białoskórski nagle pomyślał, że chyba skądś zna jego oblicze.

### 3. Na Oстрыm

Zmrok zapadł szybciej, niż się spodziewali. Ledwie wyjechali z Lutowisk i poczęli wspinać się na porośnięte lasem zbocza Ostrego, czerwone słońce przechyliło się ku połoninom, zniżyło ku stokom Bieszczadu. Za sobą mieli dolinę, wioskę, a za nią mroczny wał gór, wyraźnie odcinający się od płonącego szkarłatem nieba. Był tam niewysoki Otryt, zarośnięty bukowym i świerkowym lasem, z mgłami zalegającymi w dolinach między zboczami. Znacznie dalej, za doliną Sanu, w której rzeka łamała się z szumem na skalnych głazach i progach, wznosiły się połoniny – Wetlińska i Caryńska z posepnymi, tonącymi w lekkiej mgiełce szczytami, Dwernikiem i Smerekiem. Były to góry z bukowymi borami, skałami, halami i dolinami, w których szumiały niewidoczne strumienie. Ich szczyty okrywał jeszcze śnieg, topniejący jednak z dnia na dzień pod coraz cieplejszymi promieniami słońca. Lasy poniżej posepnych grani były szare i zielone, łąki oraz zagajniki odznaczały się plamami żółci, czerni i szarości od zaśnieżonych gór, a strumienie, zasilane topniejącym śniegiem, spływały w dół jak srebrzyste wstążki. Wiosna roku Pańskiego 1608 nadeszła wcześniej. Już pod koniec lutego rozmiękły śniegi na polach, wysoko w górze nawoływały się jastrzębie, ptaki wracały z dalekich stron, a dzikie gęsi ciągnęły na północ kluczami.

Zatrzymali się na kunak na Ostry. Gintowt wyszukał na noc miejsce pod osłoną trzech zrosniętych, powykrzywianych buków. Dokoła rosły wysokie, suche trawy; pierwiosnki, lilie i pełniki tuliły płatki do snu. Z dolin potoków – Czarnego i Głuchego, dochodził tajemniczy szmer wody. Chłopi rozpalili szybko niewielkie ognisko, Horyłka rozkulbaczył konie, a

Gintowt obszedł okolicę z szablą w ręku. Miejsce było dobrze osłonięte i oddalone od drogi. Nikt nie powinien zobaczyć ich z traktu ani poczuć swądu z ogniska. Pomimo to jednak szlachcic postanowił być ostrożny. Wszak w każdej chwili kompania Białoskórskiego mogła upomnieć się o swojego herszta.

— Hej, szaraczkę, każ mnie rozwiązać – rzucił hardo infamis, kiedy zszedł go z konia i położono przy ognisku. – Czas na wieczerzę, a ja nie będę jadł z ziemi jak pies.

— A kto waszej mości powiedział, że jadło dostaniesz?

— To nie wiesz, że więźnia trzeba po chrześcijańsku wspomagać? Policzą ci za to w niebie dobry uczynek, panie bracie. A gdy uciulasz ich więcej, to żywcem do raju pójdziesz.

— Jak ja waszmości rozwiążę – zatroskał się Gintowt – to wasza miłość uciekniesz.

— Dam słowo.

Horyłka, Kołtun i Iwaszko wyciągnęli już z sakwy suchary, wędzonkę, suszoną kiełbasę i bukłak z gorzałką. Zajadali je przy ogniu, krztusząc się i bekając.

Gintowt przeżegnał się.

— Dziaduś mówił, coby nad krzywdzicielami litości nie okazywać. Zwłaszcza nad takimi, co Najświętszej Pani nie mają w poważaniu. Mniemam jednak, że waszmości w Przemyślu ugoszczą godnie. Jednak na pewno nie tym, co by waści w smak pójść mogło.

— To jak?

Gintowt sięgnął do juków. Wyciągnął skórzaną flaszkę ozdobioną srebrnymi zawijasami, pociągnął z niej spory łyk. Musiała być tam jakaś mocna gorzałka, bo przymknął oczy, wstrząsnął się, a potem wyprostował, nabrał wigoru, schował flaszkę, wyciągnął pistolet Białoskórskiego, podkręcił zamek i podsypał prochu na panewkę.

— Kołtun! Przetnij więzy na rękach.

— Wasza mość, to dyjabeł – zaprotestował chłop. – Wydusi nas wszystkich, gardła poprzegryza!

— Powiedziałem!

Głos młodego szlachetki zmienił się. Teraz był groźny i bezlitosny.

Kołtun, rad nierad, posłuchał – przeciął nożem więzy na rękach infamisa. Białoskórski zaśmiał się, usiadł, roztarł zdrętwiałe przeguby, porwał pęto suszonej kiełbasy i zaczął zajadać ze smakiem. Gintowt usiadł na wprost niego. Mierzył z pistoletu w infamisa.

— Za co ty mnie, szaraczku, tak nie lubisz? – zapytał Białoskórski z pełnymi ustami. – Nie wychędożyłem ci dziewczki, nie czyniłem także sodomii z twoim dziaduniem.

Gintowt nic nie odpowiedział.

— Pytałem – warknął infamis. – A jak kto pyta, grzeczność nakazuje odpowiedzieć, panie hetko z pętelką!

— My się już znamy, panie.

— Tak? A to skąd?

— No, jakże to, nie poznajesz mnie, wasza wielmożność? – zapytał Gintowt odmienionym głosem. – Wszak widywaliśmy się kiedyś.

— To chyba w zamtuzie i po ciemku, bo oblicza przypomnieć nie mogę.

— Nie, wasza miłość – wyszeptał Gintowt. – Znasz mnie dobrze, choć pamięć ci szwankuje. Ale przypomnisz sobie jeszcze. Na wszystko przyjdzie czas.

Białoskórski drgnął. Zdało mu się, że w głosie tamtego zabrzmiała groźba. Uśmiechnął się szyderczo do Gintowta. Podciągnął nogi i chciał wstać.

— Leż!!!

Głos młodego szlachetki był zimny i nieprzyjemny. Białoskórski zamarł. Gintowt celował z pistoletu prosto w jego serce. Stary infamis dostrzegł, że spust ugiął się pod palcem. Wystarczył jeszcze drobny ruch

i...

Opadł na plecy i westchnął. Do diaska. Taki młodziak, a gadał jak stary warchoł.

— Ręce do tyłu i bez szutków! Kołtun, Iwaszko! Związać ichmości.

Chłopi bez słów wykręcili Białoskórskiemu ręce za plecy, związali mocnymi konopnymi sznurami.

— I po co się szarpiesz, panie Białoskórski? – wysyczał Gintowt. – Czyżbyś nie chciał dojechać żywy do Przemyśla? Zawsze to jeszcze przez parę dni popatrzysz sobie na ptaszki i na drzewa. I podumasz o wolności.

Białoskórski splunął. Zacharczał i zakasłał, a potem zaczął pluć krwią.

— Panie Gintowt – rzekł trochę uleglejszym tonem – po kiego diabła chcesz mnie wlec po górach i lasach. Za moją głowę wyznaczono cenę, dwa tysiące czerwonych. Dostaniesz je, jeśli odstawisz mnie cało do starosty, a przecie po drodze siła się może zdarzyć. Tedy po co ci się trudzić?! Ot, mam tutaj niedaleko zakopaną skrzynię z czerwońcami. Dam ci dokładnie tyle, na ile wycenia mój czerep pan Krasicki – dwa tysiące dukatów. Myślę, że to godziwa zapłata.

— Pomyśl lepiej o modlitwie, a nie o dukatach, panie Białoskórski – odparł Gintowt. – Ja nie ufam waszmości ani trochę. I dlatego – uśmiechnął się zimno – czas, panie bracie, abyś zaczął się wreszcie modlić, bo coraz bliżej nam do Przemyśla, a tam... Doprawdy, daję głowę, że kiedy obaczysz zamek starościński i basztę szlachecką, padniesz na kolana i będziesz wyznawał grzechy.

Infamis zaklął. Położył się i wpatrzył w niebo. Rozprawa z Gintowtem i chłopami okazywała się znacznie trudniejsza, niż myślał.

## 4. Śmiertelny kunak

Horyłka otworzył oczy. Dym z dogasającego ogniska unosił się prosto w niebo rozjaśniane na wschodzie przez daleki poblask przedświt.

Powoli, ociężale, zbliżał się zamglony poranek. Hen nad górami błyszczały świetliste smugi blasku. Jednak lasy spowijał mrok, a doliny gęsta mgła. Nie było wiatru, nie śpiewały ptaki. Wielki, biały księżyc stał w pełni. Drzewa, konie i śpiący opodał ogniska ludzie – wszystko skąpane było w jego trupim blasku.

Horyłka nie obudził się jednak po to, aby podziwiać dzikie krajobrazy Bieszczadu. Przez chwilę nasłuchiwał oddechów kompanów, sprawdził, czy Gintowt nie czuwa, i drapieźnie chwycił sakwę. Szybko rozsuptał sznury i złapał bukłak z gorzałką.

Spojrzał na śpiących. Nikt nie poruszył się nawet. Wszyscy spali z niewinnymi obliczami. Wszak w czasie snu każdy największy łotr wyglądał jak anioł... Każdy? O nie... O Białoskórskim nie można było tego powiedzieć. Infamis nawet przez sen uśmiechał się drwiąco, szydząc ze wszystkich – z Gintowta, Horyłki, ze starosty Krasickiego, a pewnie też z czekającego go w Przemyślu kata z długim, ostrym mieczem.

Śpiący Gintowt westchnął. Horyłka zamarł. Przez chwilę bał się oddychać. A potem wycofał się w stronę drzew. Przy ognisku nie było bezpiecznie. Tamci mogli się zbudzić i z pewnością nie spodobałoby im się to, co robił. Musiał opróżnić flaszę w samotności. Tak jak zwykle. Odkorkował bukłak i pociągnął spory łyk gorzałki. Ufff. Od razu świat stał się weselszy. Nie łupało go już w kościach, nie bolał łeb. Ruszył w dół, do strumienia. Zrazu wymijał strzeliste, gładkie pnie ogromnych drzew, ale kiedy zszedł nisko nad wodę, znalazł się pod poskręcanyimi gałęziami zrośniętych, splątanych buków. Martwe światło księżyca wydobywało z mroku wygięte, rozczapierzone kikuty starych drzew, a nad powierzchnią strumienia unosiła się delikatna mgiełka.

Coś zaszeleściło w ciemności. Horyłka odwrócił się błyskawicznie, przytulając do piersi swój największy skarb – bezcenny bukłak z przepalanką. Coś poruszało się wśród drzew... Pewnie puszczyk albo sowa. A może lis?

Horyłka pociągnął solidnie z bukłaka. Pił, pił i pił, aż wreszcie wszystkie kolory wokół niego wyostrzyły się, nocne szmery stały się głośniejsze. Przeszedł do miejsca, w którym strumyk szumiał cicho wśród kamieni.

Plusk wzburzył powierzchnię wody. Coś zaszumiało z tyłu. Gałęzie buków, złych buków szeleściły, choć nie było wiatru. Horyłka zaniepokoił się, rozejrzał po splątanym, nieprzyjemnym lesie.

Coś było tam, pod drzewami. Przemykało się w mroku, niewidzialne jak upiór, przebiegłe jak wilk i bezlitosne jak wołoski brukołak... To coś było w bukach albo pomiędzy nimi... Tkwiło w bezlistnych gałęziach wiekowych, starych drzew, czaiło się w mroku między potężnymi pniami głodne i spragnione. Wszystkie włosy na głowie Horyłki stanęły dęba. Cofał się tyłem, przerażony. Wiedział, że zrobił źle, że nie powinien oddalać się od obozu, ale teraz było już za późno. Zza pleców usłyszał brzęk stali. A wówczas zgarbił się, skulił, obiema rękoma tuląc do piersi bukłak, i odwrócił wolno...

— Pani! – zaszlochał, gdy wstrząsnął nim dreszcz. – P-p-p-p-p-a-n-n-n-i! Ja nie... Ja nic... To horyłka... To ona...

Posępna postać nie poruszyła się.

— Ja nie... Nie... – zaszlochał Horyłka.

Tumany mgły wzniosły się na chwilę nad potokiem, przesłoniły księżyc. W ciemności rozległ się krótki, urywany świst stali, a potem doliną wstrząsnął przerażający, piskliwy okrzyk Horyłki.

Czerwona, parująca krew trysnęła na kamienie, zmieszała się z wodą potoku...

## 5. O świcie

Zerwali się wszyscy jak na komendę. Pierwszy Białoskórski, po nim Iwazsko, a potem Kołtun. Spojrzeli w noc zalęknieni. Iwazsko wstał.

— Horyłka!

— Spił się, gorzałecznik! – syknął Kołtun. – Dam ja didowi...

— Ciiii! – szepnął Iwaszko. – Pilnuj infamisa.

Porwał czekan leżący obok ogniska i skoczył w stronę drzew. Wpadł pod pierwszy z buków i... zderzył się z czymś miękkim, ale mocnym. Siła uderzenia odrzuciła go w bok, aż przykleknął na żółtych liściach. Nawet nie zdążył się przerazić.

To Gintowt stał w cieniu drzew z obnażoną szablą w prawej i pistoletem w lewej ręce. Młody szlachcic patrzył w mrok, nasłuchiwał.

— Co się dzieje?

— Cicho – szepnął Gintowt. – Horyłka gorzałkę zabrał. Poszedł pić. Ja już wiedziałem, co się święci.

— Chryste pomyłuj! – Iwaszko przeżegnał się nabożnie. – Dytko go dopadł i zadusił... Hore nam! Hore!

— Gdzie Kołtun?

— Infamisa strzeże.

— Bierz czekan, chamie – syknął Gintowt. – Tyły mi osłaniaj. Idziemy!

Ruszyli w mrok. Na niebie rozwidniało się. Powoli wstawał dzień, blask księżyca zbladł, skurczył się. Zeszli w dolinę, pod gałęzie wiekowych buków, a Iwaszko przeżegnał się znowu, widząc przerażające, mroczne sylwetki drzew.

Gintowt szedł śmiało. Wstąpił w mgłę, ominął kamienie sterczące na brzegu strumienia. Przed nimi otworzyła się duża polanka skąpana w księżycowym świetle. Od razu spostrzegli ciemny kształt w chłopskiej świtce. Gintowt skoczył ku niemu, pochylił się i zadrzał.

Horyłka leżał na ziemi, pocięty, posiekany niemal na kawałki. Odrąbana prawa dłoń ścisnęła ciągle bukłak z gorzałką. Wytrzeszczone oczy patrzyły prosto w niebo, a na wargach lśniła rubinowa krew. Ciało było pokryte czerwoną, zastygającą posoką.

Iwaszko załkał, wypuścił czekan, padł na kolana. Gintowt rozwarł usta



z przerażenia. Rozejrzał się dokoła, bezmyślnie wodził szablą w powietrzu.

— Uchodźmy! – wyszeptał. – Iwaszko! – jęknął i wypchnął chłopka z polanki. – Do koni. Uchodźmy!

Rzucili się w stronę obozowiska. Mieli wrażenie, że za chwilę coś wynurzy się z mgły i skoczy im na plecy. Gałęzie chlastały ich po twarzach, potykali się na korzeniach i kamieniach. Dysząc, wyskoczyli z lasu, dopadli do ogniska. Gintowt odetchnął z ulgą, widząc bladego jak ściana Kołtuna i rozciągniętego na ziemi Białoskórskiego, który zdawał się wcale nie przejmować tym wszystkim.

— Konie siodłać! – jęknął. – Szybciej.

Chłopi rzucili się ku wierzchowcom. Gintowt otarł pot z czoła. A Białoskórski? Białoskórski zaniósł się długim kaszlem, splunął krwią i uśmiechnął złośliwie.

— Ojjoj – rzekł. – Zdaje się, że zmniejszyła się nasza kompanija. Pan Horyłka exitus. Co za strata! A któż będzie następny?

## 6. Panowie Rytarowscy

Trwał jasny dzień, gdy dojechali do Czarnej, leżącej na zbiegu dróg z Hoczwi i Przemyśla. Wieś lokowana przed niemalże stu laty na prawie niemieckim była ludna i gwarna. Wzdłuż traktu jak okiem sięgnąć ciągnęły się wielkie zagrody chłopskie z ciosanych na zrąb bali, struganych na krańcach w jaskółcze ogony. Były to wielkie i zadbane chyże, nakryte strzelistymi żółtymi strzechami, pobielane albo malowane w brązowe lub czarno-białe pasy. Stały tam zagrody ze słonecznikami przy płotach, z podsieniami, a niektóre nawet z ganeczkami upodobniającymi je do szlacheckich dworów. Tu i ówdzie sterczały wysokie drągi z kołami, na których wznosiły się ciemne bocianie gniazda. Cztery drewniane, czteroskrzydłe wiatraki i jeden niderlandzki, dający

mąkę czystą i białą jak śnieg, miały zboże na łące przed osadą. W dwóch kuźniach kuto stal i żelazo, w foluszu gręplowano wełnę, a w karczmach szynkowano od rana miody i piwo. We wsi były też liczne żydowskie kramy. Nad strzechami chałup wznosiły się wieże i dzwonnice dwóch cerkwi, kościoła, a także zdobiony zawijasami dach żydowskiej bożnicy. Cerkiew Świętego Dymitra była prosta, drewniana, nakryta prostym, dwuspadowym dachem – wyglądała niemal jak trzy zestawione szopy. Za to od tej drugiej – Świętego Cyryla – wprost nie można było oderwać oczu: milutka, obła i okrągłutka, z trzema dzwonicami krytymi gontem i złotą blachą na sygnaturkach, z przytulnymi podsieniami, gankiem i płotkiem, z malutkimi okienkami, w których błyszcząły witraże.

Po drugiej stronie wsi ciemniał omszały dach kościoła. Wysoką, obwiedzioną gontem dzwonicę zwieńczono wielkim, pozłacanym krzyżem. W górze kościół był smukły, strzelisty, na dole przysadzisty, zaopatrzony w zaciszne podsienia wsparte na pociemniałym belkowaniu, okryte płaszczem mchów i porostów.

Żydowska bożnica była znacznie niższa. Miała płaski dach oparty na drewnianych kolumnach i pilastrach, wielką sień i jeszcze większy ganek, na którym siadywali w skwarne dni starzy, pejsaci Żydzi, aby podumać, pokłócić się, poswarzyć, a czasem nawet potargać za brody. W Czarnej wszystko było urządzone tak, jak Pan Bóg przykazał. Chłopi zwykle spotykali się na targu, szlachta w karczmie, a Żydzi na ganku w bożnicy.

W osadzie było rojno i gwaro. Chłopi jechali na targowisko, prowadzili wielkie, tłuste krowy porośnięte skołtunioną brązową sierścią. Przekupnie rozkładali stragany i budy. Gintowt i chłopi musieli przebijać się przez rozwrzeszczany tłum, kłąć, odpychać kmieci i parobków.

Zatrzymali się na rynku, w ormiańskiej karczmie Ondraszkiewicza. Zostawili konie na podwórzu, a potem siedli w alkierzu. Gintowt zaraz kazał dać mocnego węgrzyna, a wcześniej siwuchy. To poprawiło

nastroje chłopków z Lutowisk. Kołtun przestał się trząść, Iwaszko nie był już blady; jedynie Białoskórski uśmiechał się zimno.

— Kto to... zrobił? – wykrztusił w końcu Kołtun.

— Dytko – warknął Iwaszko.

— Prędzej zwierz jaki – mruknął Gintowt. – Jedyna pociecha, że chyba nie ludzie infamisa. Ci by zaraz swego pana uwolnili.

— Co nam wypada czynić?

Gintowt nie odpowiedział. Siedział z głową opartą na dłoniach, zapatrzony w ścianę.

Nie zwracał na nic uwagi. Nawet się nie poruszył, gdy na podwórzu załomotały końskie kopyta, srogi głos okrzyknął pacholków, a potem kopnięte drzwi otwarły się gwałtownie.

Chłopi drgnęli, gdy zobaczyli, kto wkroczył do karczmy. Kiedy Iwaszko przyjrzał się uważniej niespodziewanym gościom, pożałował od razu, że tak beztrosko zgodził się jechać z panem Gintowtem do Przemyśla. Kołtun nic nie pomyślał. Policzył tylko w duchu odległość, jaka dzieliła go od najbliższego okna. Okno jednak było wąskie, a framugi zabite gwoździami. Właśnie po to, aby nie wywalano ich w czasie każdej kolejnej karczemnej zwady. Kołtun zatem zerknął pod stół – sprawdził, czy dałoby się znaleźć tam schronienie. Rezonu nie stracił jedynie Białoskórski – szturchnął łokciem w bok Gintowta i ruchem głowy ukazał mu niespodziewanych gości.

Ludzie, którzy szli ku nim, od razu zwracali uwagę postronnych. Na czele kroczył wysoki, chudy mąż w kabacie, kryzie zapiętej pod szyją i szkockim birecie na głowie. Kabat ongiś był piękny, bogato zdobiony i obszywany srebrnymi nićmi. Znać, że jego właściciel bawił się w niejednej karczmie, a przede wszystkim – iż z niejednego zamtuza wyrzucano go do rynsztoka. Strój zdobiły czerwonawe plamy po winie albo krwi, brzydkie smugi wosku ze świec, odbarwienia po błocie, wodzie i – strach pomyśleć po czym jeszcze. Dawniej biała kryza, zapięta

szczelnie pod szyją mężczyzny, postrzępiła się i zszarzała z brudu. Nie lepiej prezentowało się oblicze męża. Niegdyś dumne, arystokratyczne i pełne wigoru, dziś było nieco sfatygowane. Mężczyzna miał długi, garbaty nos, kaprawe oczka, a rzadkie wąsiki zwisały smętnie nad wargami, pod którymi brakowało co najmniej kilku zębów.

Za owym mężem szli dwaj podobni szlachcice w dostatnich, choć postrzępionych i powyciąganych, karmazynowych żupanach. Jeden z nich miał na łbie szyszak turbanowy z długą kitą, drugi wilczy kołpak ozdobiony trzęsieniem i pękiem czaplich piór. Przy boku nosili czarne szable, a oblicza mieli poznaczone bliznami, srogie i wąsate. Nietrudno było ich rozpoznać. Bracia Fabian i Achacy Rytarowscy spod Lwowa – znani wichrzyciele i swawolnicy. Dłonie trzymali na rękojeściach szabel. Z tyłu szedł ich pacholek z dwoma pistoletami.

— Ot, peregrynowalim, peregrynowalim i znaleźlim! – ucieszył się mężczyzna w cudzoziemskim stroju, widząc rozpartego na ławie Białoskórskiego. – Mówiłem, że na Przemyśl pojedą. Tymże właśnie traktem.

Obrzucił uważnym spojrzeniem Gintowta i dwóch chłopów.

— No, niech się zabierają! – syknął, a młody szlachcic poczuł od niego woń gorzałki. – Niech się wynoszą. My mieć sprawy do pana Białoskórskiego. Ważne sprawy, co nie mogą czekać. Allez vous!

— A kto ty waszmość jesteś? – zapytał Gintowt przez zaciśnięte zęby. – Wypadałoby się przedstawić.

— Jak to? – zdziwił się chudy. – Phoszę tak nie mówić do mnie i nie tytułować bhydko. Jakże to, nie zna mnie? Ja jestem Zenobi Fabian Eysymont-Ronikier, grabia na Ronisławicach. A wyście chociaż szlachcice? Ja w to wątpię. Ja w to bahdzo wątpię. Jakże masz czelność nazywać się szlachetnym, skoro o czynach twych szlachetnych nie słyszałem. Ja nie wierzę, abys był szlachcicem, musiałbym wcześniej tve nadanie szlachectwa zobaczyć. A skoro nadania nie masz, tedy musisz przed

szlachetniejszym ustąpić. Tedy wiedz, chłopcze, że ja – hrabia Ronikier, i urodzeni panowie Rytarowscy mamy sprawę do ichmości Białoskórskiego. Więc zniknij. Odjedź, by nam nie przeszkadzać!

— Te, hrabie, co masz w dupie grabie – zagadał bezceremonialnie starszy Rytarowski, niemający widać żadnego poszanowania dla jaśnie oświeconego Zenobiego Fabiana Eysymonta-Ronikiera, hrabiego na Ronisławicach, ani dla jego tytułów. – Kończ, waść, mowę, wstydu oszczędź. Do pałasza, co tam będziem z chacharami gadać! Mus infamisa odbić i nagrodę zagarnąć.

— Milcz, prostaku! – zachnął się hrabia. – Przecież negotionibus.

— Posłuchaj – zwrócił się do Gintowta, który wstał i wyszedł z za stołu. – Schwytałeś Białoskórskiego, to się chwali, ale ustąp godniejszym, coby nikt nie rzekł, żeś parweniusz! My sami zajmiemy się infamisem i odprowadzimy do Przemyśla. Pro fide, lege et rege.

— Pan Zenobi pro fide to uczyni. A my pro pecunia, bo my nie żadne grabie ani pludraki, ale wywołańcy i rokoszanie, a przy tym rycerze godni – zarechotał młodszy Rytarowski.

— Ot, co gadać – starszy z braci charknął i splunął. – Ja ci to, kawalerze, wszystko zwykłymi słowami objaśnię. Oddawaj ty nam Białoskórskiego, a jak nie oddasz, to po łbu weźmiesz szablą i kopniaka w rzyć ci takiego dołożę, że z tej karczmy przez komin wyfruniesz. My się już infamisem zajmiemy i zadbamy, coby nam po drodze nie skapiał.

— Oto prawe i słuszne słowa – potwierdził Zenobi Fabian Eysymont-Ronikier, hrabia na Ronisławicach. – Nie szukaj z nami burdy, kawalerze, bo zdrowie stracisz. A przy tym zachowaj się, jak przystało na twój mizerny stan.

— Obawiam się, że wielce zmartwię jaśnie oświeconego pana hrabiego – rzekł spokojnie Gintowt. – Współczuję panu grabiemu niezmiernie, gdyż, niestety, nie jesteśmy tu we Francycyji czy w habsburskich pałacach we Widniu. Jesteśmy w Rzeczypospolitej, gdzie

mieszkają szlachetkowie tacy jak ja, którzy nie znają dobrych ni pięknych manier. Gdzież im do salonów, gdzież im do Europy! Powiem więcej – prostacy owi nie dość, że nie uznają hrabiowskich tytułów, to w dodatku mają brzydki i szkaradny zwyczaj, zupełnie niegodny i niespotykany we Francycy czy w Italiej. Mianowicie okrutnie bijają po karczmach wszelakich pludraków, hrabiów, grabiów, kawalerów i inakszych galantów tudzież sodomitów.

— Co ja słyszę?!

— Okrutnie mi żal pana hrabiego. Bo za chwilę pan hrabia zostanie obity, obrażony i sponiewierany przez takiego parweniusza i prostaka jak ja. Wasza hrabiowska mość straci zęby, palce i łeb będzie miał rozbity, że nie wspomnę o obitej francowatej gębie waszmości!

Małe oczka Zenobiego Fabiana Eysymonta-Ronikiera stały się jeszcze mniejsze i bardzo, bardzo złe. Pan hrabia porwał swą kościstą ręką za rękoność hrabiowskiego rapiera, chcąc w słusznym gniewie ukarać szelmę i parweniusza. Niestety, nie zdążył. Zanim wyciągnął z pochwy długie ostrze, Gintowt ciął go z zamachu przez łeb, czoło, nos i pół hrabiowskiej gęby.

— Sacrebleu! – pisnął cienko Zenobi Fabian Eysymont-Ronikier i po hrabiowsku zwałił się w tył, na wznak. Potem poszło już szybko.

— Bij! Zabij! – huknął starszy Rytarowski. Bracia porwali za szable, skoczyli na młodzieńca, ich pacholek zniżył pistolety i wypalił z obu luf, ale Gintowt znowu był szybszy. Zanurkował pod krzywym ostrzem, przeskoczył nad przewracającą się ławą. Kule minęły go, świsnęły tuż obok Białoskórskiego. Jedna trafiła w ikonę Mikołaja Cudotwórcy wiszącą na ścianie za infamisem i zapaskudzoną przez muchy, a druga... Iwaszko miał mniej szczęścia. Zaciekawiony przedłużającą się ciszą wystawił łeb spod stołu i dostał prosto w bark; nawet nie jęknął, osunął się na posadzkę zalany krwią. W karczmie podniósł się tumult, zabrzmiały krzyki, wrzaski. Chłopi rzucili się do drzwi, a Ondraszkiwicz,

przywykły do zwad i pojedynków, przezornie schował się pod szynkwias.

Gintowt roztrącił Rytarowskich, skoczył ku pacholкови, który ciągle trzymał dymiące pistolety. Czeladnik rzucił je, porwał za szablę, lecz młody szlachcic przemknął tuż obok niego, w przelocie chlasnął go końcem batorówki w brzuch i po boku. Pacholek wrzasnął i zwał się na podłogę, wył i krzyczał, przytrzymując wypływające trzewia, a jego krew pociekła na białe, wyszorowane deski podłogi.

Rytarowscy skoczyli na Gintowta z dwóch stron. Starszy ciął płasko, z półobrotu w kiść, młodszy z zamachu, wręcz, prosto w łeb i szyję!

Gintowt sparował z brzękiem ostrze młodszego z braci, zawinął się w miejscu i cudem, niemal czartowską sztuczką, umknął spod szabli starszego. Unikając ostrza, schylił głowę, jego kołpak przechylił się i spod podwiniętego otoka na ramię młodzieńca wypadł długi, ciężki czarny warkocz...

Wyskakując przed siebie, Gintowt chlasnął w bok batorówką, rozwalił młodszemu Rytarowskiemu prawe ramię. Szlachcic nawet się nie skrzywił. Wrzasnął tylko i rzucił się w pogoń za młodzieńcem.

Starszy z braci – cięższy i hodowany na piwie – nie zdążył wstrzymać szabli. Chybiając Gintowta, przerąbał łańcuch drewnianego świecznika zwieszającego się nisko z sufitu. Decha z ogarkami świec spadła z łoskotem na podłogę, zadudniła na legarach. Bracia puścili się w pogoń za uciekającym. Młodzieniec jak błyskawica wskoczył na ławę, na stół, strącił z niego kufle i miski. A potem, padając na kolana, aby ujść przed ciosem młodszego Rytarowskiego, uderzył szybko jak żmija. Ostrze batorówki ominęło zwodem błyszczącą, poszczerbioną klingę i rozchlastało bok Fabiana. Szlachcic potknął się, wpadł na ławę, zwał się jak ścięty dąb, jęknął z bólu, powstrzymując obficie wypływającą krew.

Achacy skoczył ku Gintowtowi, rycząc z wściekłości przez zaciśnięte zęby. Starli się wśród poprzewracanych ław. Rąbali szerokimi zamachami szabel. Rytarowski ciął na odlew, Gintowt zripostował w

pierś, Achacy w kiść, a młody szlachcic odskoczył i wyprowadził podstępne cięcie krzyżem, od prawej w górę. Szable zadrżały, zabrzęczały. Karczmarz z za szynkwasu i kilku śmiałych chłopów wyglądających z za okien spoglądało na potyczkę panów.

Tnąc, uskakując i zastawiając się przed cięciami, Gintowt wywiódł Rytarowskiego na środek izby, ale przestał zadawać ciosy i zaczął się bronić. Achacy podwoił wysiłki, walił jakoby młotem w kowadło, naparł na młodzieńca, a wówczas...

Jednym szybkim ruchem Gintowt kopnął leżącą na ziemi ławę i podsunął ją pod nogi Rytarowskiemu. Szlachcic potknął się, zamachnął w powietrzu rękoma, a potem, gdy wróg naparł na niego z boku, padł na kolana, przeschorował po deskach do stołu. Chciał jeszcze się zerwać, ale było już za późno. Gintowt ciął go z tyłu, rozcinając kołpak, pióro, trzęsień i podgolony łeb... Rytarowski wrzasnął tylko i padł bez ducha na podłogę.

Gintowt zatrzymał się pośrodku izby, dysząc ciężko, mokry od potu. Kołpaczek zsunął się z jego głowy, odsłaniając kruczoczarne włosy związane w ciężki, długi warkocz, opadający poniżej pasa. W czasie walki rozplątały się i pękły guzy żupana, odkrywając łabędzią szyję i dwa gładkie, wznoszące się stromo pagórki, wcześniej skrępowane i ściśnięte pod warstwami materii. To właśnie one sprawiły, że pan Białoskórski nie uszedł z karczmy, nie próbował przebić się do drzwi ani rozplątać więzów, a tylko siedział na ławie, wpatrując się jak zaczarowany w parę uroczych drażniąt, z których jedynie drobna część wyrzała na światło dzienne, ale nawet ten mały kawałek krągłości pozwalał domyślać się, jak wyglądają w całości, gdy nie są skrępowane ciasno wykrojonym żupanem.

Dziewczyna dopiero po chwili uświadomiła sobie, że infamis patrzy na nią drapieżnym wzrokiem. Szybko zakryła wdzięki i skoczyła w stronę stołu, przy którym wcześniej siedzieli razem z chłopami. Białoskórski



pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Waćpanna – rzekł głosem, w którym przebijał czysty zachwyt – azaliż to jesteś demonem, diabelską sukkubą zesłaną, aby kusić do grzechu rycerzy polskich?

— Jestem diabolicą – roześmiała się panna Gintowt. – Wszelako obawiam się, że nie dane ci będzie posmakować moich wdzięków. Myślę, panie Białoskórski, że jedyna miłośnica, która na ciebie czeka, nie bardzo wyda ci się nadobna, bo jest wielce chuda i koścista. Ale za to sprawnie rąbie kosą.

— Foremny z waćpanny hajduczek, tfu, co mówię, czeladniczek z najprzedniejszej chorągwi! Nie myślisz, waćpanna, nadłożyć trochę drogi? Wielce rad powitałbym cię w mej kompanii.

Spojrzała na Białoskórskiego spod zmrużonych powiek i zważyła w rękę zakrwawioną szablę.

— Dziaduś mawiał, że co koń, to Turek, co chłop, to Mazurek, co czapka, to magierka, a najlepsza szabla zawsze węgierka – powiedziała, ocierając batorówkę o połę żupana młodszego Rytarowskiego. – Więc waszmość nie zbaczej z tematu, jeno godzinki odmawiaj, bo Przemyśl już blisko.

— A jak waćpannie na imię?

— Dla waści niechaj będę Eufrozyną.

— Piękne imię.

— Za ładne dla ciebie, panie Białoskórski.

— A więc, panno Eufrozyno, trzy tysiące.

— Co takiego?

— Trzy tysiące czerwonych za puszczenie mnie żywego. Płatne w gotowiznie. To więcej, niż daje za mój łeb starosta Krasicki.

— O nie, panie Białoskórski – wyszeptała Eufrozyna. – To za mało, o wiele za mało.

— Cztery?

— My, panie Białoskórski, mamy niewyrównane porachunki. O czym chyba waść zapomniałeś?

— Co takiego? O czym waćpanna mówisz?

— Jeszcze mnie sobie przypomnisz, panie Białoskórski. Mamy czas. A teraz siedź i milcz!

Ondraszkiwicz, dla którego pańska zwada w karczmie nie była niczym niezwykłym, skoczył do komory, aby zebrać pajęczyn, a potem przedsięwziął środki zwyczajne w takiej krotchwili. Białoskórski zobaczył przez otwarte okno, że do karczmy zmierzał już Żyd cyrulik z wielką torbą, pachółkowie poczęli wynosić pobitego hrabiego i pachółka, a dziewczki służebne przytargały cebry z wodą i poczęły szorować deski szmatami, aby zmyć krew. W izbie zapachniało mydlinami i ługiem. Panna Gintowt trąciła podkutym butem Kołtuna, który schylił się, aby obcinać sakiewki Rytarowskich.

— Ejże, chłopie! – rzekła. – Zapomnieliście się chyba! Toż nie godzi się takiego dobra rabować. Srogo skarałby was za to dziadunio. Konie siodłaj!

Kołtun pokiwał głową i popędził do stajni. W zwykłych okolicznościach nie byłby taki prędko, zwłaszcza że równie jak Białoskórski zdziwiony był zgoła diabelską przemianą Janusza w Eufrozynę. Jednak kiedy przypomniał sobie, jak chwacko dziewczyna rozprawiła się z Rytarowskimi, zgiął się w pas bez słowa.

— Dziadunio mawiał, że komu w drogę, temu czas. – Eufrozyna zbliżyła się do Białoskórskiego. – A że wasz czas, panie Białoskórski, się zbliża, to rzecz pewna. Już tam kat na was czeka, a i mieszczanie radzi by nowe igrzysko zobaczyć.

Białoskórski splunął siarczyście. Ale to w zasadzie było jedyne, co jeszcze mógł uczynić. Wciąż miał przed oczyma rozprawę z Rytarowskimi i tak naprawdę nie mógł uwierzyć, że ta mała szlachcianeczka tak szybko dała sobie radę z czterema roslymi

swawolnikami. Doprawdy, zapowiadała się ciekawa krotchwila.

## 7. Jacek nad Jackami

Janko muzykant wpadł do karczmy Jankiela, potknął się o próg, ledwie nie wyrzucił głową w szynkwias, ale uchwycił za krawędź grubej deski i wydyszał wprost w twarz Jankielowi: — Pan Dydyński przyjechał!

Żyd kolejny raz przeklął chwilę, w której infamis Białoskórski przekroczył drzwi jego karczmy. Przeklinał ją regularnie od czasu, gdy wieść o tym, iż w Lutowiskach pochwycono jednego z największych warchołów Ziemi Sanockiej, obiegła wszystkie okoliczne wioski i dwory. Od rana jego karczma przeżywała prawdziwe oblężenie. Gdyby jeszcze zawitali do niego w gościnę zwykli chłopkowie, chcący posłuchać opowieści Janka muzykanta, który nadymał się i pysznił, jakby to właśnie on sam jeden schwytał groźnego swawolnika, Żyd zacierałby ręce z uciechy, spodziewając się dużego zarobku. Niestety, do karczmy wpadali sami hultaje i zawalidrogi z gościńca, którzy wiedzieli o nagrodzie, jaką wyznaczył za Białoskórskiego starosta Jerzy Krasicki, i liczyli, że odbiją infamisa, a potem sami dostarczą go do Krasieczyna lub Przemyśla. Każdy z nich pokrzykiwał na biednego Żyda, pobrzękiwał szabelką, a gdy Jankiel wymigiwał się od odpowiedzi, spadały na niego połajanki i groźby, targano go za pejsy i brodę, grożono biciem, wylewano wino, nie płacono za trunki, przewracano stoły i ławy. Gdyby Jankiel wiedział, że taki obrót przybierze sprawa, nigdy nie wymyśliłby planu, aby pojmać Białoskórskiego, ani nie powiedziałałby o tym Kołtunowi. A tak miał teraz wielki kram. I prawie żadnego geszeftu!

Bladym świtem, jeszcze w nocy, wpadli do karczmy bracia Rytarowscy ze swym kompanem Ronikiem, mieniącym się samozwańczym hrabią z Ronisławic, leżących bodaj między Psimi Kiszkami a Berdyczowem. Przycisnąwszy Żyda i Janka, pognali na złamanie karku do Czarnej, choć

Jankiel łgał sprytnie, iż Białoskórskiego porwali nieznani szlachcice i wywieźli wprost do Baligrodu. Po Rytarowskich przyjechał stary kozak Dytko i jego trzech synowie – wszyscy szelmy i hultaje najmujący się szlachcie do zajazdów i egzekucji. W czasie ich odwiedzin Żyd stracił zęba i pół brody, a Janko miał podbite oko i naderwane uszy. Potem wpadł z krótką, lecz bynajmniej nie przyjacielską wizytą pan Policki ze swoimi ludźmi. Później byli jeszcze jacyś obszarpańcy, powiadający się towarzystwem z chorągwi kwarcianej starosty Jana Potockiego, choć w oczach Jankiela nie wyglądali nawet na obozowych ciurów. Gest i fantazję jednak mieli całkiem jak husarze – zażądali najlepszego jadła i napitków, palili z jedyne bandoletu, jaki mieli, omal nie spalili karczmy i, rzecz jasna, nie zapłacili za biesiadę. Po południu przyjechał wielki i gruby szlachcic z jednym okiem i drewnianą nogą, na szczęście nie rozbijał się i nie wybierał nigdzie, ale pił tego wraz z kompanami, krzyczał, zaczepiał chłopów i dziewczki, a od pieśni wywrzaskiwanych zapitymi, ochrypłymi głosami przez jego ludzi spuchły Jankielowi uszy.

Nic dziwnego zatem, że gdy Janko muzykant wykrzyczał nowinę o tym, kto przybył, Jankiel poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Żyd złapał się za brodę i pejsy i stał jako obraz nędzy i rozpaczy, dopóki drzwi do izby gościnnej nie otwały się szeroko i nie stanął w nich gość zapowiadany przez muzykanta.

Jacek Dydyński z pozoru nie wyglądał groźnie. Średniego wzrostu, śniady, szczupły, zwinny jak kot. Po wysokich, usztywnionych czerwonych cholewach safianowych butów znać było zamożnego pana. Dydyński odziany był w zielonkawą, szamerowaną żupan szyty z przedniego adamaszku, zapinany na skrzące się guzy z pętlcami. Na żupan zarzucił ferezję podbitą lamparcim futrem, z wielkim kołnierzem spływającym aż do połowy ramion. Na podgolony wysoko łeb wcisnął rysy kołpak ozdobiony czaplím piórem i trzęsieniem. Na prawym przedramieniu nosił lśniący karwasz szmelcowany na czarno, zdobiony

w liście i gwiazdki. Szlachcic przepasał się szerokim, ciężkim pasem kolczym, przy którym wisały pistolet, prochownica i szabla. Nie była to jednak zwykła, ciężka batorówka ani zygmontówka o krótkim, prostym jelcu, ale czarna szabla husarska, która dopiero wchodziła w modę i uzbrojenie. Jej jelec zakrzywiał się u jednego z końców w kabłąk, który osłaniał wierzch dłoni i dochodził prawie do kapturka, a kształtne wąsy opuszczały się na krzywą klingę. Oprawiona w czarną skórę i srebro szabla miała jeszcze paluch, to jest mały kabłąk przy jelcu na kciuk. Dzięki temu w rękach doświadczonego szermierza chodziła jak błyskawica – gdy pan Dydyński chciał podgolić zawalidrogę, uderzała z wielką siłą, a jeśli wyłuskiwał szablę z rąk hajduka czy pachotka, dzięki paluchowi błyskawicznie przechodził od zastawy do cięć z łokcia i nadgarstka.

Jacka Dydyńskiego, stolnikowica sanockiego, zwano w Ziemi Sanockiej Jackiem nad Jackami, nie znano bowiem lepszego odeń mistrza w szabli. Dydyński trudnił się zaś zawodem tyleż zacnym, co pożytecznym. Był bowiem zajezdnikiem, a profesja ta sprawiała, że szanowano go w całym powiecie.

Jacek nad Jackami był mistrzem w urządzaniu zajazdów. Jeśli któryś z panów braci zamierzał wyegzekwować zbrojnie wyrok sądowy, obronić się przed napaścią sąsiada lub zagarnąć cudze włości, wystarczyło, iż dał znać Dydyńskiemu, a pan Jacek szybko stawał na wezwanie ze zbrojną asystą. Dydyński był honorowy i nigdy nie łamał danego słowa, nigdy nie zdradził pracodawcy. Polegaj na Dydyńskim jak na Zawiszy – powiadano w karczmach w Sanoku. Dydyńskiego na was trzeba! – krzyczał w złości pieniacz, drąc w strzępy pozew, który właśnie przysłał mu krewny lub sąsiad-zawalidroga. Jeszcze was Dydyński nauczy! – zapowiadał zagonowy szlachetka rugowany z dóbr przez możnego magnata. Nic więc dziwnego, że Jankiel zadrżał na widok tak znamienitej osoby. Tymczasem Jacek nad Jackami podszedł do szynkwasu, po czym zaczął

wpatrywać się w Żyda zielonkawymi oczyma. Żyd co tchu napełnił najlepszy kufel biłgorajskim piwem. Dydyński ujął go, upił trochę, a potem odstawił.

— A czegoż to jaśnie wielmożny pan uważa? – zaczął Jankiel. – Czymże to ja, phosty Zid, mogę usłużyć waszej wielmożności?

— Chciałbym z tobą pogadać, Jankiel – uśmiechnął się Dydyński. – A jak myślisz, o czym mogą gawędzić Żyd i szlachcic? O arendzie? O pieniądzach? O pożyczce i lichwiarskich procentach? O gładkości dziewczek w Lutowiskach? Przyznaję, już sprawdziłem – są gładkie. Wybacz tedy, ale wybiorę inny temat. Dla przykładu, zacny Jankielu, czy był w twej karczmie ostatnio jakiś możny szlachcic? I czy zwał się może Białoskórski?

Żyd rozejrzał się dokoła, szukając wsparcia.

— Zieby ja wsińtko wiedział, to ja ho, ho, habinem by został. A tak ja tylko skhomna kahczma phowadzę. Nu, ja powiem, wsińtko powiem. Był tu jaśnie pan Białoskóhski. I on z innym ślachcicem odjechać. A ja nie wiedzieć, kto to być. Bo ja nie wściubiać nosa między dźwi. Bo mnie nic do sphaw wielikich panów. Bo ja tylko pieniądz bhać. Dobhy pieniądz. Byle talah, byle złoty czechwony, byle holendeński talah, byle shebhny ghosz, byle heński. A już sielągów obehźniętych nie biohę. Bo widzi pan ślachcić, jeden dobhy pieniądz hobi dhugi dobhy pieniądz. A jak są hazem dwa pieniądza, to się z nich hobi tzieci.

— Jeśli o złoto idzie – Dydyński położył na szynkwasio sakwę wielką jak snopek pszenicy – to, jak widzisz, kaleta ledwie nie pęknie. Czas jej ulżyć i do innej kabzy je przesypać.

— Ho, ho, ja to widzę – rzekł Jankiel ze smutkiem i aż łezka zakręciła mu się w oku. – Ale ja nic pohadzić nie mogę. Ja nic nie wiedzieć. I powiem więcej: ja nie chcieć nic wiedzieć.

— Trudno. – Dydyński nie wyglądał na zawiedzionego. – A może pamiętasz, kim był ów szlachcic, co odjechał z Białoskórskim?

— Młody panicz, ubogo odziany. Ja go nigdy nie widział na oczy.

Dydyński przymknął oczy. A potem uśmiechnął się wesoło, odstawił niedopite piwo i rzucił na szynkwias srebrnego grosza.

— Bywaj, Jankiel.

Szybko ruszył do drzwi. Szedł, brzęcząc ostrogami, postukując żelaznymi podkówkami butów o nieheblowane deski podłogi.

— Panie Dydyński!

Jacek zatrzymał się. Dobrze wiedział, kto go okrzyknął. Ledwie wszedł do karczmy, od razu wśród gości zauważył znajomą gębę. Z ławy pod ścianą wstał ogromny szlachcic w karmazynowym żupanie. Nie miał lewego oka – zasłaniał oczodół skórzaną opaską. Gdy szedł ku Dydyńskiemu, podłoga dudniła głucho pod jego ciężarem. Szlachcic nie miał prawej nogi – pod kolanem kończyła się drewnianym kulasem. Dla równowagi mężczyzna wspierał się na długim nadziaku. Gdy szedł, biesiadnicy w karczmie ustępowali mu z drogi. Wystarczyło spojrzeć na jego paskudną gębę ozdobioną szramami, na wąsiska i krótką czarną brodę, aby przekonać się, że nie był to pierwszy lepszy szlachetka z zaścianka. Jego kompani – wąsaci rębajłowie o podgolonych wysoko czuprynach, patrzyli spode łbów na Dydyńskiego. Ogromny mąż położył wielkie łapsko na ramieniu pana Jacka. Odwrócił go ku sobie powoli, ale stanowczo. Dydyński nie sięgnął jednak do szabli.

— Turcy mi oko wyłupili – rzekł jednonogi szlachcic – więc mało co widzę. Ale czy ty, panie Dydyński, jesteś ślepy? Czy mnie tak łatwo można przegapić, panie kochanku?

— Witajcie, panie Kulas.

— A dokąd to drogi prowadzą? Do zamtuza? Do karczmy? – zapytał pan Jakub Hulewicz, zwany w całej Ziemi Sanockiej Kulasem.

— Na pewno nam nie po drodze.

— Szkoda, panie kochanku, bo w tej służbie, w której przebywam, wysoko można zajść.

— Mniemam, że nawet zbyt wysoko. Na szafot albo na szubienicę!

— Mój pan, starosta zygwulski, zły jest na ciebie, panie Jacku – rzekł Kulas. – Żal go bierze i melankolia, żeś służby mu odmówił i do Korniaktów przystał, do jego wrogów zaciętych.

— Eques polonus sum. Wolny jestem i temu służę, komu mi się podoba!

— I żeś naszą kompanią wzgardził – ciągnął Kulas nieco głośniej. – A co my, śmierdzimy ci, panie Dydyński? A może nie smakuje ci nasz miód i piwo?

— Jak nie smakuje, to gardło rozerzniemy – zarechotał Pamiętowski, jeden z kompanów Kulasa, znany w całym województwie ruskim paliwoda, skazany na banicję za zajazd, zabójstwo dwóch szlachty i udział w rokoszu wojewody Zebrzydowskiego.

— Pan Dydyński już do pałaców przywykł – rzekł. – I do chędożenia dziewczek w bielutkiej pościeli. I jego obyczaje już pańskie, a nie nasze, proste, szlacheckie.

— Już mu franca na lica bije – zapiszczał cienko mały i chudy Pisarski, świdrując Dydyńskiego kaprawymi oczkami. – To od sodomiej z pludrakami.

Kulas uciszył i tego kompana jednym skinieniem ręki.

— Mam ja ci dwie sprawy do przekazania, panie bracie. Prima, pan starosta zygwulski prosił ci donieść, panie Dydyński, żebyś się mu na zamku ani na włości nie pokazywał. Bo jak cię zobaczy, to go znowu melankolija tknie. Melankolija straszna to jest przypadłość. A melankolijej starosty nic lepiej nie uleczy niż wieść o tym, iż pewien młody panek zwany Jackiem nad Jackami wziął szablą po łbie od pana Kulasa. A pan Kulas nie miał innego wyjścia, gdyż staroście zygwulskiemu służy, a co pan każe – sługa musi!

— To już wszystko?

— Czekażże, jeszcze nie skończyłem. Secundo, panie Dydyński, radzę



ci poniechać Białoskórskiego i owego młodzieniaszka, który się przy nim wieszka.

— Tego szaraczka, co z nim razem wyjechał z Lutowisk? A po cóż ci on, panie bracie?

— To już nie waści interes. Ja jeno dobrze radzę i po przyjacielsku napominam, cobyś wasza mość ostawił ich w spokoju.

— Obaczymy. Ale dzięki za dobrą radę.

— To już wszystko, com miał rzec.

— Zatem z Bogiem, panie bracie.

Kulas odwrócił się i podszedł do swoich. Z zamachu palnął w ucho Pisarskiego, który beczelnie zajął jego miejsce na ławie. Szlachetka padł na podłogę, przewrócił kufle i zarobił jeszcze kilka szturchańców i kułaków.

## 8. Kompania Dydyńskiego

Przed karczmą w Lutowiskach było pełno ludzi. Jarmark trwał w najlepsze, wokół kramów kręcili się ludzie, ryczało prowadzone na targ bydło, gęgały gęsi, kwiczały świny, a woźnice obrzucali przekleństwami chłopów, którzy niechętnie ustępowali im z drogi. Dydyński skierował się ku sągom z drewnem, przy których zgromadził się spory tłumek złożony z chłopów, Cyganów, Rusnaków i kilku Pogórzeń. Wszyscy pochylali się nad beczką, przy której trwała właśnie gra w cetno i lichy. Gruby, podstarzały Kozak o rumianej gębie, wygolonym łbie i oseledcu zakreconym wokół ucha rywalizował zawzięcie z chudym i szczupłym sabatem z za węgierskiej granicy.

— Każdy szczęściu dopomoże, każdy dzisiaj wygrać może! – zakrzyknął Kozak. – Zaczny mieszczaninie, co komu pisane, to go nie ominie! Rzucaj, łyczku, kości! Co obierasz?

Sabat rzucił z rozmachem kostki na beczkę. Rozległ się stukot, Kozak

zarechotał głośno, zawtórowali mu otaczający go chłopci.

— Łycho! Łycho! – zakrzyknął Kozak. – Dwie piątki!

— *Nie puskaj się w drogę, bracie, bo to będzie ku twojej stracie.*

*Sługać niemało ukradnie i sam się nie wrócisz snadnie!*

— zaśpiewał i zagarnął do czapy stos miedziaków. Sabat patrzył nań krzywo, wąsy zjeżyły mu się ze złości, ale Kozak niewiele sobie z tego robił. Rozejrzał się po tłumie i zamachał ręką do chłopów.

— Hej, kto jeszcze?! Kto jeszcze?! Dalejże, próbujcie szczęścia. Komu fortuna pisana?! A o czymże to ja mówił wcześniej? O wzroku białogłowskim! Znałem ja jedną panią, co pojrzawszy przez okno swego zamku wychodzące na dziedziniec, zoczyła rosnącego męża, bardzo pozornie ukształtowanego. Gdy odpuszczał wodę na ścianę onego zamku, przysła jej ochota posmakować tak urodnego i zacnego kształtu, owo z obawy, aby nie obrazić zwłoką swego zachcenia, zleciła mu przez pazią, aby się zszedł z nią w tajemnej alei parku, dokąd się udała. I tamże chędożyła się z nim tak dalece, że brzuch jej jakoby bęben urósł. Oto do czego posłużył wzrok u tej paniej! A kimże był ów mąż zacny? Ja to sam we własnej osobie!

— Szawiła! – syknął Dydyński.

Kozak chwycił kości, przewrócił beczkę kopniakiem pod nogi zaskoczonym chłopkom i w trzech susach dopadł Dydyńskiego.

— Jestem, jestem – wydyszał, ocierając pot z czoła. – Czego to waszej miłości potrzeba?

— Frant jesteś i szelma kuty na cztery nogi – rzekł Jacek nad Jackami. – Więc zrób sztuczkę z koniem. Muszę się dowiedzieć, dokąd pojechał Białoskórski. Kto jak kto, ale pacholek z karczmy wszystko nam wyśpiewa.

— Na jednej nodze!

Kozak skoczył w stronę konia Jacka Dydyńskiego. Sprytnie wsunął sakiewkę pod kulbakę, tak aby na czaprak wystawał tylko rzemień.

Dydyński przypatrywał się temu kątem oka. Widział, jak Kozak podprowadził konia do karczmy. Zakrzyknął na stajennego. Wnet przed budynek wybiegł niski chłopiec w futrzanej czapie. Szawiła oddał mu wodze konia, zlątał i odszedł na bok. Chłopiec wprowadził wierzchowca do środka.

Dydyński podszedł do koniowiązu. Przy korycie na bogato zdobionej husarskiej kulbace siedział starszy mężczyzna o twarzy ozdobionej bliznami i długich, posiwiałych wąsach. Ubrany był w dostatni sukienny żupan i delię. Przy jego litym pasie wisały dwa pistolety. Mężczyzna pochylał się nad trzymanym w ręku samopalem i polerował szmatką długą, smukłą lufę. Widać było, że czeladnik dba o broń, bowiem na samopale nie było najmniejszego śladu rdzy, a lufę i okucia łoża wypolerowano tak dokładnie, że lśniły jak lustro. Gdyby Dydyński pochylił się nad nimi, zobaczyłby swoje odbicie.

Broń, którą trzymał mężczyzna, była niezwykła. Długa na niecałe dwa łokcie, lekko rozszerzona u wylotu, miała dziwne zgrubienie i metalowy cylinder między łożem a lufą. To nie był arkebuz ani bandolet. To nie był lontowy petrynał, rusznica ani półmuszkiet. Tajemnicza broń nie wyglądała także na karabin, cieszynkę ani guldynkę, nijak nie można było porównać jej do hakownicy. Był to wytwór prawdziwego mistrza broni ognistej, jedyny taki egzemplarz w Ziemi Sanockiej, unikalna sześciostrażałowa rewolwera. Broń z zamkiem skałkowym i obrotowym bębniem mieszczącym sześć ładunków prochowych oraz kul.

— Mikłusz!

Sługa poderwał się w mgnieniu oka. Wyćwiczonym ruchem opuścił rewolwerę w dół. Widać było, że służył w wojsku.

— Służba!

— Idziemy.

Pachołek posłusznie ruszył za Dydyńskim. Dołączył do nich jeszcze Szawiła. Jacek szedł w stronę karczmy. Szybko przekroczył próg,

przeszedł przez długą sień, potem ostrożnie zajrzał do stanu. Szybko odnalazł wzrokiem swego konia – srokaty dzianet był już rozkulbaczony, a stajenny krzątał się koło niego.

Skinął na Mikłusza i Szawiłę. Wskoczyli do przegrody, dopadli pachółka.

— Tuś mi, złodzieju! – wysyczał Dydyński, bo nigdzie nie dostrzegął mieszka, który włożył pod kulbakę Szawiłła. – A gdzie sakiewka? Gdzie złoto?

Chłop zamarł, padł na kolana, skulił się, zmałał.

— Darujcie, panocku – zaskomlał. – Dyć ja nie winien! Ja oddam, wszystko oddam.

— Oddasz, ale parszywe życie – mruknął Szawiłła. – Mistrz małodobry prawdę z was wywlecze. Wiesz ty, chłopie, co za złodziejstwo robią?

— Rękę ucinają i piętno wypalają – rzucił Mikłusz.

— A jeśliś już kiedyś coś ukradł – dołożył Dydyński – to od razu szubienicę rychtują. Żałuj za grzechy, chamie, bo w tany ze śmiercią pójdziesz.

Chłop zaskomlał głośniej.

— Złoto oddaj!

Stajenny wyciągnął zza pazuchy chudy mieszek.

— Daruję cię zdrowiem, chamie – mruknął Dydyński – jeśli powiesz mi, co się tutaj wczoraj działo i dokąd pojechał pan Białoskórski.

— Powiem, powiem, panocku – skwapliwie zgodził się chłop. – Wczora w południe infamisa zdybali chłopie w naszym karczmie. Wzion obuchem w łeb i w pęta poszedł. Uny, Kołtun znaczy się, Iwaszko i jeszcze szlachcic młody, co się zgłosił, pojechały do Przemyśla z panem Białoskórskim, coby do starosty go odwieźć. Na Czarną poszły. Dziś pewnie już za Czarną są. A dalej na Ustrzyki mieli jechać i na Przemyśl.

Dydyński zamyślił się na chwilę.

— Masz szczęście, chamie – prychnął. – Nawet nie wiesz, jak wielkie.

Siodłaj konia! Mości panowie, w drogę!

## 9. Kto drogi prostuje, ten w... grobie nocuje

Zaraz za Czarną poszli galopem, nie dając nawet chwili wytchnienia wierzchowcom. Przed sobą mieli płaski, zalesiony grzbiet Żukowa, przypominający równy, usypany ludzkimi rękoma wał, który ciągnął się od Uherców aż po Dniestr. Wiosenne, ciepłe słońce co dzień wchodziło coraz wyżej, ale lasów u stóp wzgórz nie pokryła jeszcze zieleń. Odcinały się wyraźnymi szarymi i ciemnymi plamami od nagich, posępnych szczytów i wzniesień. Błoto tryskało spod końskich kopyt. Z pól spływały potoczki wody, zasilając kałuże przy drodze, przelewając się przez nie i płynąc w dół, dolinami gór, aż do Czarnego Potoku i Sanu.

Nie dojechali do Żukowa. Gdy dotarli do Żłobka i w oddali pojawił się czarny dach cerkiewki pod wezwaniem Narodzenia Maryi Panny, Eufrozyna wstrzymała konia.

— Nie jedziemy przez Ustrzyki – rzuciła. – Nawet baby na jarmarkach wiedzą, że w Lutowiskach złapali Białoskórskiego. W Ustrzykach siedzi Tarnawski, a w Teleśnicy panowie Rosińscy. Idziemy wilkowi prosto w paszczę.

— Pani wielmożna – zajęczał Kołtun – toż my cały dzień stracimy...

— Ominiemy Teleśnicę od zachodu. Pójdziemy na Ralskie i Chrewt, przeprawimy się przez San, potem pojedziemy przez góry i nawrócimy na Hoczew.

— Wy, pani, śmieliście – biadał chłop. – A w Ralskiem... Tam strach jechać, bo pod górami trwogi...

— Jakie trwogi?

— Tam od niepamiętnych czasów na traktach samotni ludzie giną. Czart mieszka w lasach pod Połoninami. Igrce odprawuje, a worożychy na bronie latają. A w Tworylnym i Hrywym ludzie borowi mieszkają,

dzicy i straszni. Kto by chciał tamtędy jechać, to nad nim sodomiję odprawiają, a nawet – głos Kołtuna zadrżał – oskopić mogą i gorsze jeszcze rzeczy uczynić!

— Jakie rzeczy? Gadajże po ludzku! – zainteresował się Białoskórski.

— W dupę żelazne ćwieki wsadzają – wyszeptał chłop i przeżegnał się.

— Nie pleć bzdur, chłopie. Jakie worożychy na bronach? Jakie czarty? Jakie sodomije? Gdzie żeś to słyszał?

Kołtun zbladł i przeżegnał się znowu.

— Jeśli się boisz, to hajda do Lutowisk! – mruknęła panna. – Mnie tchórzy nie potrzeba!

— Jakże to tak? – wybełkotał Kołtun. – Przecie to ja infamisa wzionem... Nagroda przepadnie.

Ichmościanka bez słowa skręciła w lewo, w pierwszą polną dróżkę. Jechali ścieżkami i polami wzdłuż Żukowa. Wąskie, na wpół zatarte szlaki wiodły ich na Sokołową Wolę, Rosolin i Paniszczów. Było już późne popołudnie, gdy ominęli od zachodu Ostre i dotarli do Polany. Osadę z dawien dawna zamieszkiwali Pogórzanie. Wzdłuż traktu rozrzucone były wielkie chyże, malowane na brązowe i czarne pasy ziemną mazią, która wydobywała się spod okolicznych gór. Ogromne strzechy widoczne były już z oddali. We wsi wznosił się mały drewniany kościółek, jeszcze mniejsza cerkiewka oraz mały, dwupłatowy wiatrak. Eufrozyna i Kołtun nie przyglądali się jednak osadzie położonej przy lesistych stokach Ostrego. Przemknęli przez Polanę, aż kury uciekały z gdakaniem spod kopyt koni, i popędzili w stronę Ralskiego – małej wioski, która leżała zaraz za doliną Czarnego Potoku; w miejscu, w którym San przelewał się przez skalne progi i porohy między dwoma łańcuchami gór – Połoniną i Otrytem. Otryt był zalesiony, łagodnie opadający ku rzece. Połonina Wetlińska wznosiła się nad nim – większa i bardziej stroma. Pochyłe zbocza pokryte bukowymi lasami ciągnęły się hen w górę, aż pod niebo,

zjeżone na krańcach zębami nielicznych skał, pokryte halami i spłowiałymi łąkami. Opuszczały się od nich majestatyczne i groźne grzędy ostrych grzbietów idących w dół, w stronę Dwernika, Krywego i Nasicznego.

Przed Ralskim San pienił się wściekle na głazach i kamiennych progach, a potem, gdy wydierał się spoza strzelistych zboczy Połoniny i Otrytu, płynął już spokojnie, zataczając niewielkie półkola wśród kamienistych łąk i płycizn.

Słońce schowało się za chmury, gdy zatrzymali się przy brodzie. Białoskórski rozglądał się niespokojnie, nie zważając na ból posiniałych nadgarstków wykręconych w tył rąk. Strasznie był ciekaw, kiedy z mrocznych bukowych lasów i tajemniczych jarów rozciągających się po północnej stronie gór wychyną biesy, o których wspominał Kołtun. Infamis uśmiechał się smutno. Jak zwykle jednak to nie biesy ani czarty okazały się najgorszym zagrożeniem dla niego.

— Kołtun – rzekła stanowczo Eufrozyna, gdy stanęli na mostku – znów się rozmyśliłam. Nie jedziemy do Hoczwi. Ruszymy na Terkę, Cisną i Baligród.

— Jakże to tak?! – zakrzyknął Kołtun. – Toż my do Przemyśla idziemy, nie na Węgry! Pani wielmożna, wolicie wy sabatów, beskidników i diabły od złociszy, co w grodzie czekają?!

— Babunia, co mnie chowała, powiadała, że kto drogi prostuje, ten w polu nocuje – mruknęła panna Gintowt. – Ale nie mamy innego wyjścia.

— A gdzie dziadunio?! – zarechotał Białoskórski. – Miałby jaką dobrą radę w tej opresji? A może ze strachu żyłka by mu pękła?

— A, do diabła z dziadkami i babkami! – zachnęła się Eufrozyna. Jednym szybkim ruchem wyciągnęła pistolet z olstra, podrzuciła, wymierzyła i strzeliła Kołtunowi prosto w łeb!

Konie zarżały na huk wystrzału. Impet odrzucił chłopca w tył. Kołtun spadł z kulbaki, wpadł między głazy, poleciał w kotłującą się wodę, w

wiry i odmęty. Panna odwróciła się w stronę Białoskórskiego. Infamis stał zaskoczony, ale choćby chciał, nie miał jak uciec. Nogi związane miał pod brzuchem końskim, a ręce z tyłu, za plecami. Musiałby chyba złapać wodze zębami.

Panna spojrzała w dół, czy woda nie wypłuła ciała Kołtuna. Schowała pistolet, splunęła z pogardą, a potem chwyciła cugle konia infamisa.

— Myślę, że waszmość miałeś dosyć tego chama.

— Mała strata, krótki żal – wycharczał Białoskórski. Jednak jego głos stracił zwykłą pewność siebie. Rozkaszał się, a zimny pot pociekł mu wzdłuż pleców. Ostatni raz spocił się ze strachu, gdy księżę wojewoda Ostrogski zdybał go u swej meretrycy. Chociaż nie, chyba naprawdę przeląkł się jakieś dziesięć lat temu, gdy chcieli rozsiekać go w Sądowej Wiszni za rozpędzenie sejmiku.

— Teraz pojedziemy sami – rzekła ochryple panna. – Pojedziemy, ale zgoła nie tam, gdzie chciałbyś trafić. Mówię ci, módl się, panie Białoskórski. Módl i żałuj za grzechy.

Ponagliła konia. Przejechali przez bród i ruszyli wąską dróżką wzdłuż lewego brzegu Sanu prosto na Hoczew.

Białoskórski pierwszy raz w życiu zastanowił się, czy nie zacząć może odmawiać zdrowasiek. Wstrzymał się jednak. Jeszcze było na to za wcześnie.

## 10. Wróżby Szawiły

— Byli tu, panie, niech skonam, jeśli łzę! – Ondraszkiwicz bił się w kaftan w okolicach serca. – Dwóch chłopów, pacholik młody i stary dytko siwowłosa, co krwią pluł od suchotów. Burdę mi w karczmie wszczęli, tacy synowie, z panami Rytarowskimi. Pachotka im zakatrupili, a potem pana grabie... No, jak mu tam było... Pana Symonta z Rokierów!

— A, pewnie hrabiego Eysymonta-Ronikiera – mruknął Dydyński.



— Jako żywo, tak właśnie na niego gadali. Rąbali się ze dwie kwatery, zwyciężył młody szlachcic i wraz odjechał. Chłopa, co z nim był i go w zwadzie postrzelili, ostawić kazał w karczmie, ale ledwieśmy mu ranę przewiązali, już uszedł, psi syn, i Żydowi nawet grosza za opiekę nie zostawił!

— A więc wyjechało ich tylko trzech? Młodzieniaszek Gintowt, Białoskórski i jeszcze jeden chłop?

— Jakież on tam młodzieniaszek – wyszeptał Ormianin. – Panie wielmożny, sodomija tu była. Jak się z panami Rytarowskimi bili, czapka mu spadła, a pod czapką warkocze i wianek były ukryte. Panna to w męskim stroju. Tfu, co mówię, panna! Diablica przez Złego zesłana na pokuszenie rodzaju ludzkiego! Wasza miłość, ona w karczmie sama jedna wszystkich Rytarowskich usiekła, spod szabli im uciekała, magiczne sztuczki wyprawiała. Czary w tym były musi jakie! Ja już myślał, czyby do Rzeszowa, do ojców dominikanów, nie dać znać, aby wybadali, czy ona nie z diabłem w zмовie. A jak nawet nie z diabłem, to z planetnikami. A jak nie z planetnikami, to już na pewno z Żydami lichwiarzami z Leska. A jak nawet nie z Żydami, to z Chaimem Kabalistą, co drugą karczmę tu obok postawił i interesy mi psuje, a i magią na pewno się para! Przypiec go, zaraz wyszłyby na jaw jego czartowskie sprawki!

— A Białoskórski? – przerwał mu Dydyński. – Zdrów i cały wyszedł ze zwady?

— Białoskórski nawet nie pisnął, bo związany na ławie leżał, jako nie przymierzając ten półgęsek, co tu na powale wisi.

— Dokąd pojechali?

— Na północ, pewnikiem do Przemyśla, bo tam sądy grodzkie i kat zawzięty okrutnie na swawolników. A pan starosta hultajom nie przepuszcza.

Dydyński rzucił karczmarzowi koronnego dziesiątaka. Odwrócił się do Szawiły i Mikłusza.

— Co o tym myślicie?

— Na Przemyśl ruszył – mruknął Mikłusz. – Dojdziem łyka w Ustrzykach, a jak nie tam, to za Krościenkiem, na trakcie.

Szawiła pokręcił głową.

— We wszystkich karczmach i w okolicznych wsiach gadają tylko o tym, jak jakaś panna poszczerbiła Rytarowskich i ubiła samego hrabiego Eysymonta, co to mu od gorzałki rozum się we łbie pomieszało. Żeby to był jakiś nieznany szaraczek, tedy by może i go poniechali, ale że to niewiasta... Kto jak kto, ale bracia Rosińscy i ich tatko nie przepuściliby okazji, aby skrzyżować z nią szable. Myślę zatem, że panna pojechała inną drogą.

— I jeszcze bardziej ryzykowała? W górach są beskidnicy i sabaci.

— Bez ryzyka nie ma łotryka.

— Jak powinniśmy jechać? Na Przemyśl? Na Ralskie?

— Na piwo! – huknął Mikłusz, stawiając na dębowym stole trzy cynowe kufle pełne pianistego trunku.

Wypili. Szawiła wyjął z mieszka dziwną, sześciokątną monetę z dziurką pośrodku. W blasku świec zabłysły na niej zawijasy i znaki. Kozak rzucił monetę na stół, postawił ją, zakręcił, aż zafurkotało, i zanucił: *Słyszałem od ludzi starych, że ta wódka okowita bardzo wadzi.*

*Niejednego ona człowieka z tego świata zgładzi!*

— Jak reszka, to na Przemyśl pojedziemy! – zakrzyknął. – A jak korol, to na Ralskie.

Nie bardzo wiadomo było, czym różniła się reszka od króla, bo na obydwu stronach monety były podobne znaczki. Jednak gdy moneta brzękła i upadła na stół, Szawiła uśmiechnął się od ucha do ucha i zakrzyknął: – Na Ralskie!

Mikłusz i Dydyński złapali za kufle.

— No to na Ralskie – zdecydował Dydyński i jednym tchem osuszył naczynie.

## 11. Białoskórski przerażony

Po rozstaniu z Kołtunem Eufrozyna nie spieszyła się. Był już prawie wieczór, a oni nie dojechali jeszcze do Hoczwi. Zatrzymali się na popas nad Sanem, na kamienistym pagórku w pobliżu rzeki. Szlachcianka zsiadła z konia, przecięła więzy na nogach Białoskórskiego, zepchnęła go z wierzchowca tak mocno, że infamis zwałił się na kamienie. Dziewczyna rozkulbaczyła konie i puściła je, by podjadły trochę wyschłej trawy, a sama chwyciła olstra z pistoletami, jakąś wypchaną sakwę i zeskoczyła po głazach na brzeg rzeki. Białoskórski widział, jak zaczerpnęła ręką wody, a potem... To, co stało się potem, sprawiło, że przeszły go ciarki. Panna Eufrozyna Gintowt zrzuciła żupanik, giezło i poczęła obmywać się w rzece.

Infamis patrzył. Spoglądał łakomym wzrokiem na jej krągłości, wspaniale uformowane góry i doliny, a nade wszystko to, czego nie widział z bliska, gdyż leżał zbyt daleko – wdzięczny gaiczek kryjący źródółko miłości gotowe napoić spragnionego konika...

Jasny szlag!

Nagle Białoskórski zamarł. Zobaczył kątem oka, że z juków rzuconych niedbale na kamienie kilka kroków dalej wystawała rękojeść jego szabli.

Infamis wstał z trudem. Powoli, ostrożnie przesuwiał się w prawo, wpatrzony w sylwetkę panny Gintowt tam, na dole. Jeszcze chwila, jeszcze moment...

Dotarł do szabli. Opadł przy niej i związanymi z tyłu rękoma chwycił rękojeść.

Nagle w płucach zarzęziło mu, zakrztusił się śliną i krwią, serce zabiło mu niespokojnie. Do wszystkich diabłów, brakowało tylko tego, aby zakasłał i zwrócił uwagę szlachcianki. Z wysiłkiem zdusił oddech, wyciągnął ostrze do połowy, oparł o nie więzy i począł przesuwając w górę

i w dół.

Zachrypiał, bo w płucach znów zarzęziło mu głośno. Przeklęte suchoty dopadły go przed ośmioma laty, na wyprawie na Wołoszczyznę. Zmagał się z nimi, udawał, że nie dzieje mu się nic wielkiego, ale i tak wiedział dobrze, że przez te przeklęte płuca przyjdzie mu kiedyś zatańcować ze śmiercią. Jednak jeszcze nie dziś, jeszcze nie teraz.

Niżej, na brzegu rzeki, Eufrozyna zamarła. Stała i nasłuchiwała. Czarne plamy zawirowały przed oczyma Białoskórskiego. Czekał z napięciem na każdy ruch panny Gintowt. Jednak... Jednak szlachcianka nie odwróciła się.

Więzy poluzowały się, osłabły!

Jeszcze chwila, jeszcze jedno mgnienie oka...

Eufrozyna wróciła do mycia, odrzuciła w tył długie, czarne, mokre włosy.

Więzy puściły. Białoskórski odskoczył w bok, porwał swoją szablę. Zwykle taką broń nazywano zygmontówkami, od imienia Jego Królewskiej Mości Zygmunta III, pan Maciej jednak, były rokoszanin, obrońca wolności i przywilejów, nie lubił monarchy, który przeniósł stolicę Rzeczypospolitej ze wspaniałego Krakowa do zaściankowej, mazowieckiej Warszawy. Dlatego zamiast zygmontówką nazywał swoją szablę rokoszanką.

W tej chwili nie miało to jednak wielkiego znaczenia. Pan Białoskórski stał, wpatrując się w Eufrozinę, która na brzegu Sanu ochlapyała się wodą. Infamis roztarł zeszywniałe dłonie, splunął, rozkaszał się, a potem cofnął. Odwrócił się, powoli wszedł między drzewa i... Krzyknął z przerażenia!

Eufrozyna stała przed nim!

Sama!

Z szablą!

W delii!

Nie była to już panna z zapyziałego zaścianka, która w męskim przebraniu zgłosiła się w Lutowiskach, aby zawieźć Białoskórskiego do starosty. Eufrozyna zmieniała się, spotężniała... Nie miała na sobie spłowiałego, przykrótkiego żupanika, ale karmazynową delię obszytą czarnym wilczurem, rysy kołpak, dostatni czerwony żupan przepasany wzorzystym pasem.

Panna krzyknęła ostrzegawczo i cięła. Białoskórski w ostatniej chwili sparował uderzenie. Było tak silne, że rzuciło go w tył. Nim zdołał unieść broń, Eufrozyna chlasnęła znowu; z zamachu odbiła ostrze Białoskórskiego w bok, pchnęła szlachcica na ziemię, poprawiła uderzeniem płazem i wybiła przeciwnikowi rokoszanek z dłoni. Szabla wyleciała łukiem, obróciła się w locie, zafurkotała i wbiła w pień wiekowego buka, zakołysała. Białoskórski chciał odskoczyć – nie zdążył. Dziewczyna była szybka jak żmija, okręciła się niby turecka tancerka, zamierzyła szablą, ale nie uderzyła ostrzem! Z całych sił walnęła Białoskórskiego w łeb płazem szabli. Infamis zachwiał się, chwycił Eufrozinę za kołnierz, a w tej samej chwili panna Gintowt z zamachem uderzyła go w pierś i poprawiła kopniakiem.

Białoskórski upadł na bok, zacharczał, splunął krwią. Szlachcianka przyskoczyła bliżej. Obojętnym ruchem kopnęła go w brzuch. Gdy infamis poderwał się, dostał w twarz, zwałił się na ziemię, przeturlał. Kolejny kopniak rzucił go dalej, po kamieniach. Białoskórski otrzymał następny cios płazem w łeb, wypluł dwa zęby, przewalił się na bok i wtedy niewiasta dokopała mu jeszcze w tułów, aż chrupnęły żebra. Infamis jęknął, zawył boleśnie.

Stała nad nimi dumna, blada, z gniewem płonącym w pięknych czarnych oczach.

— Pamiętasz mnie?! – syknęła jak harpia. – Pamiętasz, psi synu, wierszokleto za trzy grosze? Pamiętasz, jak zabrałeś mnie z domu, jak prawileś dusery? Nazywałeś wielką miłością?! A potem ostawiłeś jak

zwykłą przechodkę, jak parszywą meretrycę na gościńcu pod Lwowem.

Białoskórski zadygotał. Jezu Chryste! Tak... To była ona... Szlachecka córka, którą zbałamucił... Kiedy? I która to była? Do diaska, Białoskórski nigdy nie zaprzętał sobie tym głowy. W swoim życiu pozbawił wianka tyłu niewiast, że nie mógł się doliczyć, czy była to Sonka spod Halicza, panna Zofia z senatorskiego rodu, małżonka kasztelana albo wojewody, czy też zwykła nadobna mieszczańeczka z Sanoka?

— Wy... wybacz, waćpanna – skłamał przez poranione wargi. – Ja nie... chciałem. Ja cię naprawdę miłowałem... Ja byłem głu...

Dopadła do niego szybciej, nim zdołał skulić się między kamieniami. Dwa celne kopniaki i uderzenie płazem szabli pozbawiły Białoskórskiego tchu.

— Siedem lat, skurwysynu! Siedem lat czekałam na chwilę, gdy będę mogła zabrać cię tam, gdzie odpokutujesz za wszystkie swoje grzechy! Straciłam wszystko, sprzedałam nawet mą własną duszę, aby tylko odpłacić ci pięknym za nadobne.

Eufrozyna przyłożyła infamisowi sztych szabli do szyi, przycisnęła tak mocno, iż Białoskórski nie był w stanie nawet drgnąć.

— Musisz się jeszcze wiele nauczyć, panie Białoskórski. Pozwól, waść, że będę twoim preceptorem w czasie naszej krótkiej podróży. Oto pierwsza nauka. Tak właśnie wygląda strach. Posmakuj go, panie bracie, bo tam, dokąd się wybierasz, będzie go co niemiara.

— Dokąd jedziemy? – wychrypiał Białoskórski. – Do piekła?

— Pojedziesz teraz bez więzów. Jednak nie próbuj uciekać. Zrobisz krok w prawo albo w lewo, a połamię ci wszystkie kości. Umiem to zrobić tak, byś mógł poruszać się, jedynie pełzając, jak glista albo padalec, ale pozostał żywy. Bo zaprawdę, dowiozę cię żywego tam, gdzie zapłacisz za wszystkie swoje grzechy!

Białoskórski nie pomyślał nawet, że mógłby raz jeszcze spróbować ucieczki. Bał się, bał się tak jak jeszcze nigdy w życiu. A strach był

uczuciem prawie nieznanym jego duszy. Ha, doprawdy, niemiłe zdarzenie na sejmiku w Sądowej Wiszni stanowczo nie było najstraszniejszym momentem w życiu infamisa.

I jeszcze jedno intrygowało go niezmiernie. Dlaczego Eufrozyna nie nosiła krzyżyka? Czyżby zaprzedała duszę diabłu?

## 12. Kołtun

Wjechali na bród. Konie rżały, uderzały z łoskotem kopyt o mokre kamienie. Ich kwik był głośniejszy niż szum wody spadającej ze skalnych progów i rozbijającej się na pojedyncze bryzgi na skałach poniżej. Dydyński jechał pierwszy, za nim hajduk Mikłusz z rewolwerą wyjętą z olstra. Pochód zamykał Szawiłła. Rozglądali się czujnie na boki. W tym miejscu często zasadzali się na podróżnych beskidnicy i inne łotrostwo.

— Wasza miłość! – rzucił Szawiłła. – Człek jakiś jest na skałach!

Wstrzymali konie. Dydyński spojrział w dół, zmrużył oczy, starając się dostrzec wśród bryzgów wody ludzką sylwetkę.

— Gdzieś ty człowieka widział, chłopie? – rzekł Mikłusz. – Gorzałka na oczy ci padła?

— Tam jest, o, widzicie, gramoli się z wody. Żyw jest, a jam myślał, że to trup. Albo utopiec.

— Sprawdźmy to.

Dojechali do końca brodu, skręcili pod drzewa, zjechali na dół, omijając płytkie rozlewiska i sterty gałęzi. Wychynęli na kamienisty brzeg, jechali przez chwilę między wielkimi głazami i postrzępionymi skałami. Szawiłła wskazał kierunek. Rzeczywiście! Niebawem dostrzegli jakiś kształt ruszający się we wgłębieniu między dwiema płytami skalnymi. Podjechali bliżej i wówczas doszedł do nich cichy jęk. Na kamieniach szamotał się chłop w porwanej świtce. Miał rozwaloną głowę, z której sączyła się krew. Dygotał z zimna i próbował wstać. Nie

bardzo mu się to udawało – nogi ślizgały się na mokrej skale, ręce nie mogły znaleźć oparcia.

— Pomocy! – jęknął.

Dydyński skinął głową. Szawiła i Mikłusz zeskoczyli z koni, chwycili pod ramiona rannego, postawili na nogach, przyciągnęli do swego pana. Chłopek zajęczał głośno.

— Ktoś ty?

— Ja Kołtun, panocku... Kołtun z Lutowisk. Zabili prawie, w łeb strzelili...

— Kto? Kiedy?

Chłop szlochał, drżał z chłodu. Szawiła bez słowa wydobył z juków szarpie, przeżuł kawał podpłomyka i obejrzał ranę na głowie kmiotka. Była bolesna, ale powierzchowna. Do chłopca strzelono z bliska, bo skóra wokół zranienia spalona była od ziarenek prochu. Mikłusz przytrzymał Kołtuna, stary Kozak szybko przemył gorzałką szramę po kuli. Kołtun zawył, zatrząsł się, opadł z sił, zwiotczał i mało nie zemdłał. Szawiła szybko przewiązał mu łeb szarpiami, a Mikłusz podsunął bukłak z gorzałką. Chłop wypił trochę, zakasłał, splunął.

— Mów, jak było!

— Nie bijcie, panie, ja nie winien – zaszlochał Kołtun. – To się poczęło w Lutowiskach. Jankiel Żyd – oto wszystkiego złego prowodyr! On pierwszy dał po łbu obuchem jaśnie panu Białoskórskiemu. A potem kazał zawieźć go do starosty, bo nagrodę chciał zgarnąć. To i ja pojechałem – wybaczcie i nie bijcie – bom myślał, że jeszcze chłopcy po drodze ślachcica ubiją i szubienica dla nas będzie, a nie złoto. Nie bijcie! – rozdarł się. – Jam nic złego panu infamisowi nie uczynił.

— Gadajże po ludzku, chłopie! – syknął Dydyński. – I nie trzęś się jak osika. My nie ludzie Białoskórskiego.

— To wy nie z kompanii infamisa? – ucieszył się Kołtun. – Prawdę gadacie, szlachetny panie?



— Samą prawdę i tylko prawdę – rzekł Szawiła. – Patrzaj, chłopie, to jest pan Jacek Dydyński, o którym, chamska duszo, głowę dam, że musiałeś słyszeć.

Chłop złożył ręce jak do modlitwy. I jak przystało na czarną, chamską duszę, padł przed Dydyńskim na kolana.

— Pomiłujcie, panie najjaśniejszy! To ja powiem, jak było... Nikt nie chciał infamisa do starosty odwieźć. No to zgłosił się panicz Gintowt. Ale to wszystko i tak wina Jankiela! Tak pojechałem z panem. Potem przyszły na nas złe czasy. Na kunaku na Ostrym ktoś zabił chłopca Horyłkę. Tak i my uciekli do Czarnej. A tam w karczmie spotkali my szlachciców, którzy chcieli infamisa nam odebrać i samemu nagrodę zagarnąć. A to wszystko i tak wina Jankiela! Pan Gintowt pociął ich strasznie. A Iwaszkę postrzelili – da on Jankielowi, gdy do zdrowia wróci!

— A co potem?

— Potem, panie złoty, okazało się, że nie pan to Gintowt, ale panna, co w męskim odzieniu konno hasała. Alem zmilczał, nic nie mówił, bo straszna była i dumałem – coś źle powiem, to moja głowa spadnie. Tak my na Ustrzyki ruszyli, ale panna Gintowt, wilczyca przeklęta, kazała nawracać na Polanę. Przejechaliśmy wioszczynę i tu, o, na tym moście, tamój na środku, w łeb mi wypaliła. Oj, za to ja Jankielowi pejsy wytargam, że ha! A sama panna z Białoskórskim odjechała.

— Dokąd?

— Ja widział, ja widział, panocku, oni na Hoczew poszli, dróżką wzdłuż Sanu.

— Na Hoczew? – zdziwił się Dydyński. – Do diabła, źle będzie z nimi!

Zapadał zmrok, czarny wał błędnego Otrytu zarośniętego zdziczałymi bukowymi lasami odcinał się wyraźnie od płonącego szkarłatem nieba. Za nim wznosiła się Połonina, potężna, groźna, daleka i nieznana, bo w lasach na jej zboczach ani blisko samych szczytów nie mieszkał nikt, tylko gnieździło się ptactwo i dzika zwierzyna.

— Panie miłościwy – zaskomlał Kołtun – ta ślachcianka to jędra wcielona. Ona mnie zadusi, jeśli nie wrócę doma...

— Masz. – Dydyński rzucił mu dukata. – Dla ciebie to koniec przygód! Dymaj do swej wiochy i nie pokazuj się więcej.

Kołtun skłonił się w pas. Szawiła narzucił mu na ramiona starą derkę i poklepał po plecach. Chłop skrzywił się, gdy zabolał go łeb, pobiegł truchtem w stronę drogi. Dydyński zerknął za nim, a potem długo spoglądał na dalekie góry.

— Miłościwy panie – odważył się rzec Mikłusz – co w tej Hoczwi siedzi, żeście się zafrasowali? Dyjabeł?

— Obawiam się, Mikłusz, że sama pani śmierć!

### 13. Zwada w Hoczwi

W Hoczwi było gwarnie, tłoczno i ciasno. Pomimo porannej pory ulice zastawiały chłopskie wozy, szlacheckie kolasy i rydwany, między którymi spotkać można było czasem nawet brożka lub karocę. Uwagę zwracały gromady szlachty i czeladzi. Panowie bracia w żupanach, deliach, giermakach i bekieszach przechadzali się pod podsieniami domów, pili, rozprawiali i – rzecz zwyczajna – awanturowali się. Białokórski i Eufrozyna wpadli jak korek do butelki – ledwie przekroczyli opłotki wioski, nie byli w stanie zawrócić, pchani z tyłu przez tłumy. Musieli posuwać się wolno wśród rżenia koni, wrzasków, świstów biczów, nawoływania czeladzi i woźniców. W dodatku traktem z Cisnej pędzono do Jarosławia woły, wiedziono wozy z winem i suknem.

— Co tu się dzieje? – zastanawiała się Eufrozyna. – Jarmark? Sejmik?

Białokórski uśmiechnął się krzywo, a potem pochylił do jej pięknego uszka.

— Pogrzeb, mościa panno. Pana Sulatyckiego chowają, któregoś czekaniem własną ręką w karczmie w Lisku rozszczeplił.

— Rozszczepiłeś go? Nie może to być!

— Cała ta szlachta to klienci, przyjaciele, rękodajni i familianci pana Piotra Bala, podkomorzego sanockiego, którego sługą był Sulatycki. Jeśli mnie kto tu rozpozna, tedy do starosty żywcem nie dojadę!

— I dopiero teraz to mówisz?! O, do stu piorunów! Co teraz?

— Waszmościanki w tym głowa, bym żywo stąd wyszedł. Inaczej nagrodę pan podkomorzy zgarnie.

— Konie mamy zdrożone – zamyśliła się na chwilę. – Dobrze! Zajedziemy do karczmy, zadamy obroku i ruszamy, jak wypoczną.

Z trudem przedarli się w pobliże karczmy kazimierzowskiej, gdzie trakt z Polany krzyżował się z drogą wiodącą z Węgier na Lisko i Sanok. Szybko oddali konie pachołkom, zasiedli w kącie alkierza. Karczma była prawie pusta. Przy stołach siedziało kilku chłopów, widząc jednak dostojnych gości, Żyd wyrzucił ich precz, a potem płaszczył się w ukłonach przed szlachtą, zamiótł połą chałata stół, co tchu przyniósł piwnej polewki ze śmietaną. Eufrozyna siedziała milcząca, wsłuchana w gwar ludzkich głosów. Białoskórski z pozoru nie dawał po sobie niczego poznać – zajadał polewkę, nie zwracając uwagi na dziewczynę. Panna nie pokazywała strachu, ale infamis widział dobrze, że pod stołem jej palce coraz mocniej zaciskały się na rękojeści batorówki.

Znienacka drzwi otwały się na oścież. Do wnętrza weszło kilku panów braci w deliach, żupanach, w futrzanych czapach i kołpakach. Szlachcianka spuściła głowę, Białoskórski się nie poruszył. Ale jeśli oboje myśleli, że to jeno przypadkowe spotkanie, tedy się mylili. Spojrzenia nowo przybyłych od razu skierowały się w stronę jej towarzysza.

— To on – mruknął jeden z nich.

— To Białoskórski – potwierdził drugi.

— On sam.

— Jaśnie wielmożna pani dobrodziejko! – zagadał najstarszy z tamtych, o ogorzałej gębie, nosie czerwonym od pijaństwa i

wielgachnych wąsiskach, po czym skłonił się, zamiatając kurze łajna wilczą czapą. – Przyszliśmy do nóżek upaść i prosić, aby waszmość pani temu kawalerowi z nami iść pozwoliła. Sprawę mamy do ichmości, bo naszego kompana i krewnego tyrańsko obuszkiem rozszczerzył.

— Pan Białoskórski w mojej jest mocy – rzekła Eufrozyna. – I dalibóg, zanim waścine pretensje zaspokoi, trafi do lochu na zamku przemyskim. Macie do niego sprawę, tedy do starosty jedźcie, bo z moich rąk ani Bóg, ani diabeł go nie wyrwie!

Szlachcice zarechotali, słysząc tak rezolutne słowa w ustach młodej dziewczynki.

— Opuść nam imię Białoskórskiego, mościa panno – rzekł pojednawczo drugi z panów braci, młody, czarnowłosy i czarnooki. – To morderca, infamis, człek przeklęty. Nie będziemy się z nim certować. Tu, na klepisku, da głowę. Nie trzeba nam nawet kata.

Białoskórski nie podniósł wzroku. Zdawać by się mogło, że zajmowała go jedynie piwna polewka.

— Nie, waszmościowie – rzekła panna Gintowt. – Nie odpuszczę wam infamisa. A jeśli to nie po waszej myśli, tedy ichmościów na szabelki poproszę!

Szlachcice zarechotali, a potem ruszyli w stronę stołu.

— Z babą, proszę waszmościów, mamy się bić? – roześmiał się wąsaty.  
– Czy ja dobrze słyszę?

— Uważajcie, waszmościowie, bo nas koza pobodzie! – ryknął brodaty brzuchacz woniejący zastarzałym sadłem i czosnkiem.

— Ani kroku dalej! – zakrzyknęła Eufrozyna. – Cofnąć się!

Nie posłuchali.

Dziewczyna wyciągnęła dłoń spod stołu tak szybko, że zdążyli dostrzec tylko błysk wypolerowanej lufy. Wystrzał wstrząsnął niską powałą karczemnej izby, błysk spalanego prochu oślepił ich oczy. Dostali mocno siekańcami, szkłem i hufnalami. Dwóch z zawalidrogów zważyło

się we krwi, inni wrzasnęli, skłębili się, sieczeni po twarzach, piersiach, głowach i oczach żywym ogniem. A zanim zdążyli oprzytomnieć, jak wściekła wilczyca spuszczone z łańcucha spadła na nich Eufrozyna. Już w pierwszym starciu rozwalila łeb czarniawemu galantowi. Rosły szlachetka dostał w bok, potem w rękę i w gębę, tracąc jednego sumiastego węża. Pozostali pierzchli – skoczyli ku drzwiom, a ledwo pierwszy przeskoczył próg, poczęli wołać gromkim głosem: — Bywaj tu, bywaaaaaj!

— Białoskórski tu jest!

Panna Eufrozyna nie pobięła za nimi. Zatrzasnęła drzwi do sieni, zasunęła rygiel i rozejrzała się dokoła. Pierwszy raz... Pierwszy raz od wyruszenia z Lutowisk Białoskórski zobaczył w jej oczach strach i niepewność.

Dokoła karczmy rozbrzmiały wrzaski, krzyki, nawoływania. Od strony gościńca i z tyłu, od ogrodu, doszedł do nich tupot podkutych butów i brzęk stali. Zaraz we wrota załomotały topory i czekany, za błonami okiennymi zamajaczyły ludzkie sylwetki.

— Brać ich! W alkierzu siedzą!

— Drzwi! Rozwalcie toporami!

— Pod karczmę, bracia!

Ktoś strzelił przez okno, kula przemknęła ze świstem tuż obok nosa pana Białoskórskiego. Padł drugi strzał, trzeci, ramy wąskich okien rozleciały się pod ciosami kłonic, kiścieni i obuszków. Drzwi zatrzęsły się, zaskrzypiały, a potem z trzaskiem pierwszy topór przebił deski, czyniąc w nich wielką szczelinę, rozszczepił drewno, skruszył bretnale i zawiasy. Eufrozyna rozejrzała się jak wilczyca schwytana w sidła. Nagle jej wzrok padł na drabinę w kącie.

— Na strych, panie Białoskórski – warknęła. – Ruszaj, zanim obedną nas ze skóry!

Infamis nie czekał. Posłusznie wskoczył na drewniane szczeble,

pchnął pokrywę w powale, odrzucił i wlażł na strych. Eufrozyna poszła w jego ślady. W ostatniej chwili wciągnęli drabinę za sobą; w chwilę potem na dole rozbrzmiały klątwy i złorzeczenia, a kula z półhaka z gwizdem skruszyła brzeg otworu.

— Co teraz?

— Na dach, panie Białoskórski.

Co tchu rozerwali poszycie, wypełzli przez wąską dziurę na drewnianą strzechę. Eufrozyna rozejrzała się dokoła. Osaczono ich niby jaźwca w jamie. Karczma otoczona była przez czeladź i chłopów, rozsierzdzeni panowie bracia właśnie wpadli do wnętrza i przetrząsali izby. Ranni jęczeli pod płótem, płakali rozdzierającymi głosami.

— Naprzód! – krzyknęła, wskazując miejsce, gdzie słomiana strzecha kończyła się bardzo blisko krytego gontem dachu domostwa. – Na soboty! Uchodzimy! Zaraz!

Białoskórski chciał zaoponować, ale Eufrozyna skoczyła pierwsza, wylądowała na szczycie podsieni, krusząc pod obcasami gonty, wybijając dziurę w drewnianym dachu. Infamis omal nie zleciał na ziemię; soboty zatrzeszczały pod ich ciężarem, kule gwizdnęły im nad głową, na ziemię posypały się zmurszałe deszczułki.

— Na dach, mospanie!

Eufrozyna pierwsza wpadła na szczyt domostwa. Przesadziła jednym susem kalenicę, zjechała w dół na swym krągłym tyłeczku. Krzyknęła, kiedy wypadła poza krawędź spadzizny, a potem wylądowała w zapuszczonym ogrodzie, między chwastami i starą kapustą. Białoskórski zsunął się za nią, drąc żupan i hajdawery, stęknął, gdy opadł na miękką ziemię. Ale nie było już czasu. Panna Gintowt zerwała się do biegu jak łania. Szybko przesadzili przekrzywiony płót, pobiegli przez rozmokłe, błotniste zagony, wpadli w wąskie przejście pomiędzy dwiema chyzami.

Nie było stąd wyjścia. Na wprost pędziła na nich gromada pachotków i chłopów zbrojnych w kije, kopyście, kłonicie, widły oraz grabie. Z tyłu

załomotały konie czeladzi, huknęły dwa strzały.

Eufrozyna zatrzymała się zdyszana. Co robić, do kroćset? Co robić?!

— Uchodź! – krzyknął Białoskórski. – Ja ich zatrzymam! Przebijaj się!

A potem stał się cud. Nagle, zupełnie znienacka, za plecami pędzącej na nich chłopskiej gromady zadudniły kopyta. Trzech konnych wpadło w szary tłum, rozegnało go w mgnieniu oka, stratowało, rozpędziło, płazując chamów szablami, tłukąc nahajem i kolbą rusznicy. Chłopi rozpierchli się jak stadko dworskich gęsi, a konni – możny, młody szlachcic, Kozak i hajduk, dopadli do Eufrozyny i infamisa. Białoskórski zamarł. To był Dydyński. Stolnikowic sanocki, najlepszy rębajło w całym województwie ruskim.

— Na koń! – huknął szlachcic. – Na koń, życie ocalicie!

Kozak wiódł za sobą dwa podjezdki, myszate, okulbaczone wołoszyny. Białoskórski jednym susem skoczył na kulbakę. Zarzęziło mu w płucach, ale przewiesił się w pół przez terlicę, przekręcił, a jego stopa sama odnalazła strzemię.

Eufrozyna chwyciła za kulę i tylny łąk, podciągnęła się i jednym skokiem znalazła na grzbiecie wierzchowca. Dydyński zwrócił swego rumaka w stronę, z której przybył, i ukłuł konia ostrogami. Pognali za nim. Jak burza wpadli na zagracone podwórze, przeskoczyli przez płot, stratowali zagony. Sabaci podkomorzego siedzieli im na karkach, Białoskórskiemu zdało się, że czuje już na swoim karku gorący oddech siedmiogrodzkich sekieli.

Gdzieś z boku padł strzał z rusznicy. Wołoski podjezdek Eufrozyny zarżał, a potem zwałił się, wysuwając łeb do przodu!

Panna Gintowt nie dała się przywalić. Wyrzuciła nogi ze strzemion i przekoziółkowała, wpadła w błoto, w kałużę, w suche osty. Ale zerwała się w opłotkach z szablą w rękę. Dwaj pierwsi sabaci byli tuż-tuż. Krzyknęli tryumfalnie, widząc przed sobą pokrwawioną szlachciankę, i uderzyli wierzchowce ostrogami. Chwila jeszcze, jedno oka mgnienie.

Już, już zdawać by się mogło, że wpadną na nią z impetem...

Rumak Dydyńskiego przesadził martwego konia Eufrozyny szybciej niż błyskawica. Szlachcic wpadł na rozpędzonych sabatów, uniknął ciosu szablą i sam wyprowadził pierwsze cięcie, odbił zakrzywione ostrze węgierki i ciął z łokcia. Pierwszy z sabatów krzyknął; pochylił się w siodle z rozwaloną głową, wypuścił z rąk wodze; chwilę pędził jeszcze na koniu, a potem zwałił się w bok, druzgocąc resztki płotu, zamarł w pokrzywach i ostach, przy stertach polnych kamieni. Drugi ze sług odchylił się w tył, wypuścił szablę z ręki i zsunął się po zadzie, i spadł, a rozszalały koń powlókł jego ciało na strzemieniu po rozmokłym gościńcu.

Reszta ścigających wstrzymała wierzchowce, widząc, co stało się towarzyszom. Dydyński zgasił dwóch sabatów tak szybko, jak ministrant po mszy gasi tłące się świece. Ale Jacek nad Jackami nie atakował. Zatoczył koniem woltę, dopadł do Eufrozyny i wbił w nią drapieżne, zimne jak stal spojrzenie.

— Twoje życie za infamisa!

— Bierz go!

Jednym szybkim ruchem chwycił pannę wpół i przewiesił przez kulbakę. Zawrócił konia i pomknął skokiem.

## 14. Słowo wilczycy

— Twoje życie za infamisa. Czas dobić targu, mościa panno.

Szabelka świsnęła w jej rękę, zabłysła w wiosennym słońcu. Dydyński nawet się nie poruszył.

— Uratowałem cię przed sabatami – mruknął spokojnie. – Gdyby nie moja szabla, usługiwałabyś w piekle samemu Belzebubowi. I to na kolanach, jak poskromiona tygrysica ze zwierzyńca pana Zamoyskiego. Co, zdaje się, byłoby całkiem nie po twojej myśli!



Uśmiechnęła się i zwilżyła czerwone wargi językiem.

— Białoskórski jest mój – rzekł Jacek nad Jackami. – Nie zabierzesz go tam, dokąd zmierzasz. Przynajmniej jeszcze nie dzisiaj.

Zasyczała ze złości zupełnie niczym żmija.

— Jego dusza... należy do mnie... Jest moja... Tylko moja!

— Pewnie, że twoja. Ale jeszcze nie teraz. Ja zabieram infamisa i zatroszczę się o jego zdrowie.

— O zdrowie? U starosty? Sprzedasz go za dwa tysiące czerwonych!

— Moją szablę najmuje za dukaty – mruknął niechętnie. – Jednak nigdy nie sprzedałem za talary honoru i fantazji! Dlatego znikniesz stąd zaraz, natychmiast! I nie będziesz nas prześladować!

Milczała, jakby nie wiedząc, co zrobić. Dydyński postąpił ku niej, chwycił szablę gołą ręką, ścisnął, a potem odchylił w bok.

Krzyknęła, odskoczyła, wyrwała ostrze.

— Białoskórski porwał mnie z rodzinnego domu! – warknęła. – On sprawił, że straciłam wszystko, oddawałam się jak ladacznica dla kilku szelągów, za garniec gorzałki, że każdego dnia modliłam się, aby wpadł w moje ręce. Przez niego zaprzedałam duszę diabłu! A kiedy wrócił tutaj, śledziłam go od samej granicy, ubiłam chłopów, którzy przyłączyli się do nas, przerąbałam się przez zasadzki i wilcze sidła...

— Dostaniesz go, kiedy skona.

— To za mało!

— Uratowałem ci życie.

— Pies jebał taki żywot!

Szabla ichmościanki świsnęła w powietrzu. Uderzenie było szybkie jak błyskawica, zaskakujące jak skok lamparta i...

Z brzękiem stali Dydyński przyjął je na zastawę swojej szabli. A potem szybciej niż Eufrozyna zripostował, uderzył płazem w jej dłoń zaciśniętą na rękojeści i kapturku, wyłuskał broń z niewieściej ręki! Szabla panny Gintowt błysnęła w powietrzu, zafurkotała, uderzyła z brzękiem o

kamienie kilka stóp dalej. Panna spuściła głowę.

— Wygrałeś, panie Dydyński. Kiedyś... jeszcze się spotkamy!

— Jedź już!

Skinęła głowę, ruszyła do konia. Dydyński spoglądał za nią, dopóki nie podniosła szabli, wskoczyła na kulbakę i ruszyła rysią w stronę lasu. Gdy znikła za drzewami, odwrócił się i wszedł między wyschnięte, powalone buki.

Białoskórski schylał się na kolanach. Charczał i kaszłał, plując krwią.

Dydyński złapał go za ramię, pomógł wstać, popatrzył w oczy.

— W konie, panie bracie – wychrypiał infamis. – Do starosty długa mila. Nie zdążysz na wieczorną mszę. A zamtuz zamkną, zanim złoto od Krasickiego wydusisz!

— Skąd wiesz, że chcę cię wydać staroście?

— Jeśli uwalnia mnie pan Jacek nad Jackami, rębajło i zajezdnik, pierwsza szabla w Sanockiem, tedy nie czyni tego dla próżnej chwały. Fantazja fantazją, a żyć trzeba. I Żydom po gospodach płacić. Dziewkom dukaty rzucać, na przychylność możliwych zarabiać. Stroje kosztują, jedwabie, aksamity, akselbanty, adamaszki, perły, diamenty, guzy, turkusy, pasy, konie... Znam to, panie bracie.

— Po co tu wróciłeś, panie Białoskórski? Więcej kondemnat nad tobą wisi, niż masz włosów na łbie!

— Ja umieram – wycharczał infamis. – Chcę zdechnąć tu, u swoich, na Rusi. A co, wola mi, nie niewola. Polonus nobilis sum!

— Umierać można różnie. I wcale nie pod katowskim toporem!

— Przestań prawić mi kazania, panie bracie! Jedźmy do starosty i niechaj skończy się to wszystko.

— Wcale nie chcę zabrać cię do starosty!

— Jakże to? Komu ty służysz, panie Dydyński?

— Ojcom cystersom ze Szczyrzyca.

Infamis zarechotał, szczerząc żółte zęby.

— Waszmość kpisz sobie ze mnie! Klechom? Tedy pewnie zamiast złotem godzinkami i różańcami kabzę ci nabili!

— Jestem winny mnichom ze Szczyrzyca przysługę. Brat przeor prosił mnie, abym uwolnił cię od niebezpieczeństw i dał to. – Dydyński wyciągnął z sakiewki zapieczętowany list.

— Co to jest?

— Ojcowie cystersi wystarali się dla ciebie o glejt, dzięki któremu możesz dojechać bezpiecznie do klasztoru. A tam...

— Mam przywdziać habit? Oszalałeś, panie bracie? Imaginujecie sobie Białoskórskiego z tonsurą, klepiącego godzinki w refektarzu?! Chyba waszmość z wieży przemyskiej na łeb spadłeś!

— Ojciec opat chce dać wam choć chwilę spoczynku. Gdzie się schronisz, panie Białoskórski? U starosty Krasickiego? U Diabła Stadnickiego? A może do najjaśniejszego pana po glejt pojedziesz? Abyś tylko cało do Wisły dotarł! Jesteś, panie bracie, brygant, łotr, szelma i wywołaniec, a jakby tego było mało jeszcze, były rokoszanie, którego leda chłopiek kłonicą życia pozbawi. Znajdziesz w województwie jeden przyjazny dwór?

— Zdaje się, że nie mam wyboru.

— Masz. Jeśli listu nie przyjmiesz, za dwa dni zacznę na ciebie polowanie. A wtedy kto wie, może pokuszę się o nagrodę starosty Krasickiego.

Białoskórski milczał przez chwilę. A potem wyciągnął dygocącą rękę po list.

— Chcesz mnie, panie bracie, odprowadzić do Szczyrzyca?

— Wszystko mi jedno, co uczynisz. Ja już swoje wiem i co miałem przekazać, to rzekłem. Do ciebie, panie Białoskórski, należy wybór, czy osiądziesz w klasztorze, czy będziesz do końca swych dni jak wilk zaszczuty przez psy gończe. Wspomnę tylko, że w Szczyrzycu całkiem jest zacnie. Mało postów braciszkuje obserwują, a chłostę dają tylko za

sodomie i największe grzechy.

— Pojadę – wyszeptał Białoskórski. – Każ mi dać konia, panie bracie.

— Wybrałeś mądrze.

## 15. Wilczyca

Sieć opadła na nią, gdy tylko wjechała między stare buki. A razem z nią na kark i ramiona zeskoczyło z drzew dwóch hajduków. W jednej chwili zrzucili Eufrozyne z konia, przewrócili, przydusili do ziemi, rozrywając żupan, chwytając za włosy i ramiona. Walczyła jak ranna lwica, szarpała się, gryzła i wierzgała, wtedy inni skoczyli z zarośli na pomoc kompanom. Nie dali jej sięgnąć po szablę czy kindżał, a pistolety zostały w olstrach przy siodle.

Już po chwili podnieśli ją z ziemi, brudną, w poszarpanej sukni. Nie mogła się wyrwać. Nie mogła nawet się poruszyć. Napastnicy trzymali mocno.

Ogromny szlachcic w karmazynowym żupanie podszedł do dziewczyny. Utykał na prawą nogę. Chwycił pannę Gintowt za włosy i brutalnie odchylił jej głowę do tyłu.

— Pamiętasz mnie, diabelska kurwo! – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Pomnisz, co mi zrobiłaś w karczmie u Żyda Liptaka w Sanoku, w zwadzie, francowata przechodko!

— Chybiłam waszmości. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Gdybym cię trochę bardziej w lewo, mógłbyś teraz pilnować haremu u Tatarów, mości panie bracie. Albo nabożne pieśni śpiewać w chórze jako one kastraty z Italiej. Jednak opatrzność Boża nad tobą czuwała i ostawiła ci jedno jajco, choć i to tylko na pocieszenie. Bo nawet z obiema połówkami klejnotu nietęgi był z waszmości ogier.

Uderzył ją z całej siły w twarz. Głowa dziewczyny odskoczyła w bok, na policzku wykwitło czerwone znamię.

— Cóż za siła, panie bracie – wydyszała ze złością. – Szkoda, że w lędźwiach takowej nie macie. Powiadały mi murwy z Przemyśla, że rade by napoić waścinego konika, jeno że wasza buława tak krótka, że do źródelka dosięgnąć nie potrafi. Nie dziwota, że zdechł z pragnienia ogier waszmości.

Kulas uderzył z drugiej strony. Eufrozyna jęknęła. Znów chwycił ją za włosy, spojrzął z pogardą prosto w oczy, a potem walnął z całej siły w brzuch. Krzyknęła i zgięła się wpół, zajęczała w mocarnych ramionach hajduków.

— Do drzewa z nią!

Słudzy powlekli Eufrozinę w stronę starego dębu. Konopny sznur był już przygotowany, kołysał się w podmuchach wiatru. Ale jeszcze nie nadszedł czas egzekucji. Na razie hajducy zerwali z panny żupan, rozszarpali giezło do końca, odsłaniając kształtne plecy i nadobne piersi zwieńczone ciemnymi jagodami. I dopiero wtedy przywiązali ją do dębu mocnymi, grubymi rzemieniami.

Kulas sięgnął po długi bat, potrząsnął nim w powietrzu, zbliżył się do dziewczyny.

— A teraz, sikoreczko – rzekł wesoło – potańcujemy. Najpierw zapląsasz tutaj, ja zaś zagram ci tym oto kańczugiem. A gdy usłyszę jeden twój krzyk, pójdziesz pokołysać się na wietrze.

— Nie starczy ci sił, fajfusie!

Bicz świsnął w powietrzu, przeciął gładką skórę na plecach panny Eufrozyny. Dziewczyna skuliła się, szarpnęła w więzach, ale nie wydała nawet jęku.

Kulas uderzył po raz drugi. Chlasnął na krzyż, strząsając z bicza kropelki krwi.

Eufrozyna dyszała ciężko, jej twarz była oblepiona mchem; aby nie krzyczeć, gryzła korę drzewa.

— Tańcz, kurwo! – warknął Kulas przez poszczerbione, poczerńiałe

zęby.

— Waści się chce tańca, to może ze mną! – rzekł jakiś głos.

Nieopodal Kulasa, w wykrocie między korzeniami obalonych przez wiatr buków, stał Białoskórski z rokokoską zarzuconą na ramię. Zacharczał i splunął krwią na ziemię.

— Strach was obleciał, kozojebcy?! – wydyszał. – Boicie się starego suchotnika?! Dalejże, spieszno mi zagrać wam skocznie na mojej szabelce.

— Mikita! Chryćko, Matyjas! – zakomenderował Kulas. – Podziękujcie panu Białoskórskiemu za odwiedzin.

Wezwani hajducy bez zbędnych słów skoczyli ku infamisowi. Jeśli sądzili, że zarąbią go w pół pacierza, to mylili się bardzo. Infamis skoczył ku nim jak ryś, uniknął pierwszego ciosu ruchem tak szybkim, iż zdawać by się mogło, że w jednej chwili diabeł zasłonił go przed ich wzrokiem czapką niewidką. Jednym cięciem z łokcia pan Maciej rozwalił łeb pierwszemu, zbił cięcie drugiego, odskoczył i tnąc z półobrotu, rozchlastał mu szyję. Ostatni z wrogów złożył się do zastawy, ale było już za późno! Białoskórski skoczył nań, zbił szablę w bok jednym potężnym ciosem, a drugim uciszył na wieczność.

— Mości panowie! – ryknął Kulas, widząc, iż grono jego sług przerzedziło się znacznie. – Kończcie go! Natychmiast!

Białoskórski nie czekał. Sam skoczył na wprost zbrojnych, wpadł między pachotków i klientów pana Hulewicza. Bił jak błyskawica, unikał ciosów, odbijał uderzenia i ciągle pozostawał w biegu. Wrogowie cisnęli się nań ze wszystkich stron, uderzali z prawa, z lewa, z podlewu, krzyżem i w kiść, lecz on szukał wzrokiem tylko Kulasa.

Podniósł się wrzask i krzyki, gdy szabla pana Hulewicza poszybowała w górę, zafurkotała i zabłysła w słońcu. A potem zbrojni hajducy, czeladź i szlachetnie urodzeni panowie zamarli. Kulas stał odgięty w tył, dyszący ciężko. Za jego plecami czaił się Białoskórski, a ostrze sztyletu dotykało

obnażonej szyi pana Hulewicza.

— Wszyscy rzucić broń i dymać w las! – warknął infamis. – Liczę do trzech, a potem wasz pan zadławi się własną posoką.

Słudzy zamarli. Kulas z trudnością pokiwał głową.

— Do...brze gada – wycharczał. – Cof...nijcie się!

Hajdacy i służba rzucili szable i pistolety.

— Szybciej! – Białoskórski przycisnął sztylet do tłustej szyi pana Hulewicza. – Ruszać się, psie syny!

Zbrojna czeladź rozbiegła się jak stadko spłoszonych kuropatw. Białoskórski odczekał jeszcze chwilę, odjął sztylet od szyi przeciwnika, popchnął go i kopnął z całej siły w rzyć. Kulas wpadł między pokrzywy niby kula wystrzelona z arkebuza, przetoczył się po kamieniach, zerwał, wlepiając złe oczy w infamisa.

— Spotkamy się jeszcze, waszmość! – krzyknął. – Jeszcze wyrównamy rachunki!

— Na twoim miejscu, panie bracie – Białoskórski cofnął się do dębu, do którego przywiązana była panna Gintowt – myślałbym raczej o tym, jak dalece zawierzasz swym nogom. I czy potrafisz umykać jak zajac albo tatarski pohaniec z łupem. Jedno jest pewne: musisz prześcignąć i jednego, i drugiego, jeśli nie chcesz śpiewać w chórze jego mości biskupa przemyskiego.

— Co takiego?!

— Za chwilę uwolnię pannę z więzów – rzekł ponuro Białoskórski. – I głowę daję, że ja, umierający suchotnik, nie będę w stanie powstrzymać jej, aby nie podążyła twym tropem. Umykaj tedy, dobrze radzę!

Kulas krzyknął przerażony. A potem, podwijając poły żupana, puścił się biegiem przez krzaki i paprocie. Przebijał się przez chaszczę i gałęzie, wyrócił na głazie i potoczył w dół. Podniósł pokrwawiony. Biegł, kuśtykał co sił w nogach, byle dalej od panny Eufrozyny.

Białoskórski wyczekał, dopóki jego postać nie zniknie w lesie, i

dopiero wtedy przeciął więzy panny Gintowt. Półnaga dziewczyna zerwała się jak łania. Bez słowa w biegu chwyciła szablę i puściła się pędem za Kulasem.

Białokórski przysiadł na porzuconej kulbace. Zacharczał i splunął krwią. A potem, gdy daleko w lesie rozległ się przerażający, zwierzęcy skowyt, pociągnął łyk gorzałki z porzuconego bukłaka.

## 16. Do piekła

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Wtedy, w Hoczwi – wycharczał – stanęłaś w mojej obronie i uratowałaś mi życie. A ja nie lubię mieć długów.

— I pewnie myślisz, że ci odpuszczę?!

— Nic nie myślę.

— A to i dobrze, panie Białokórski, bo ja nie jestem Matką Boską i nie w mojej mocy udzielić ci przebaczenia.

— Ja wcale o to nie proszę.

— Skoro wróciłeś, tedy pora dokończyć naszej podróży. A przecież wiesz, gdzie chcę cię zawieźć...

— Tedy w drogę, mościa panno!

— Nie boisz się?

— Uciekłem już dwa razy z Przemyśla. A z Krasiczyna, od starosty, wykradł mnie raz pan Dydyński.

— Skąd wiesz, panie Białokórski, że pojedziemy do Przemyśla?

Infamis uśmiechnął się zimno.

— Ja, mościa panno, spaliłem za sobą wszystkie mosty. Pan Dydyński wystarał się o glejt dla mnie... Glejt do klasztoru w Szczyrzycu... Ale ja nie bardzo nadaję się na mnicha. Tedy jedźmy do piekła, bo wolę kotły czarta niż mniszą celę i klepanie godzinek.

— Rzekłeś, panie bracie. Zaprowadzę cię do miejsca, w którym



odpokutujesz wszystkie swoje grzechy.

— Zatem w drogę.

Uderzyli konie ostrogami, a potem wypadli na połoninę, na drogę wiodącą pod wiekowymi, poskręcanyimi bukami, prowadzącą wprost ku zalesionym stokom, łąkom i wyniosłym szczytom pobliskiego Bieszczadu.

## Mirosława Sędzikowska [1955]

Debiutowała w 1988 roku w „Fikcjach i Faktach”. W 1991 roku wydała książkę *Dom więdźmy ze wzgórza*, w 1996 powieść dla dzieci i młodzieży *Czarodziej mieszkał za rogiem*, a w 2002 roku powieść *Gandziolatki*.

Publikowała opowiadania w czasopismach: „Fantastyka” i „Nowa Fantastyka”, „Voyager”, „Fenix”.

W 1993 roku otrzymała Nagrodę imienia Natalii Gall.

Mirosława Sędzikowska

Sprawa rodzinna

Ania wbiegła do dziecięcego pokoju i zadyszana przykucnęła obok brata.

— Jaś, wstawaj!

— Ja umarłem – chmurnie odpowiedział pięciolatek. – Odejdź, bo poskarżę się Panu Bogu.

— Och, przestań! Nie czas na zabawy. – Ania była bliska łez. – Oni znowu zaczynają!

— Nie – zaprotestował Jaś. – Drugi raz w tym miesiącu? To święństwo! A może coś ci się pomyliło?

Ania potrząsnęła głową.

— Byłam u nich przed chwilą. – Machnęła ręką w kierunku pokoju rodziców. – Tam jest dziwnie. Jest tak dziwnie, jak ty wiesz. A mama powiedziała, że dzisiaj nareszcie odkryje siebie.

— O nie! – jęknął Jaś. – Tylko nie to!

Usiadł i energicznie wytarł nos wierzchem dłoni.

— Sytuacja może być naprawdę poważna – stwierdził.

— A widzisz! – z odzieniem triumfu sapnęła Ania. – Nic mi się nie pomyliło. Ty zawsze myślisz, że jestem głupia.

Jaś siedział zafrasowany w smudze późnego zimowego słońca.

— Rusz się, Jaś – niecierpliwie powiedziała Ania.

— Zdążymy, do zmroku jeszcze daleko. A teraz nie przeszkadzaj, bo muszę pomyśleć.

Dziewczynka umilkła pokornie. Cóż, natura nie jest sprawiedliwa. Ania, trzy lata starsza od brata, nie dorównywała mu ani urodą, ani inteligencją.

Smuga słońca na podłodze kurczyła się powoli, ale nieuchronnie. W pokoju poszarzało. Ania znowu poczuła przypływ strachu. Z gniewną pretensją pomyślała o rodzicach. Bo kto im kazał lecieć do gwiazd? A skoro już to zrobili, czy musieli wrócić tacy... tacy inni? Jaś wytłumaczył jej, że to nie ich wina. Po prostu są chorzy. A chyba nie można mieć

pretensji do nikogo o to, że jest chory. Nawet należy współczuć. Jaś powiedział, że jak będzie o tym myślała w ten sposób, to się lepiej poczuje, bo to pomaga. Ale nie pomogło.

— Może jednak powiedzielibyśmy komuś? – zaproponowała nieśmiało. – Ten doktor Kowalewski...

— Nie bądź głupia! – ostro przerwał Jaś. – Chcesz wywlekać sprawy rodzinne? Już i tak ludzie gadają. No, do roboty.

— Poszukamy kryjówki?

— Najpierw zabarykadujemy drzwi do ich pokoju. Nie wiem, co takiego mama w sobie odkryje, ale wolę tego nie oglądać. A jest jeszcze tata. Pomyśl o tym, Ania.

Dzieci zbiegły po schodach do holu. Chłopiec się rozejrzył.

— Najpierw ta skrzynia. Pchaj mocno, Ania. Nie masz dużo rozumu, ale na szczęście jesteś silna jak koń.

— Uff... Już dobrze?

— Gdybym ja był na twoim miejscu, to bardziej bym docisnął. Chyba nie chcesz, aby oni przez szparę mogli włożyć rękę czy cokolwiek włożyć. Chyba tego nie chcesz, co?

...

— A teraz worki z piaskiem. Te, które leżą w korytarzu, na wypadek pożaru. Ciągnij, Ania. Śmiało. Przecież nikt ci nie każe, abyś ładowała je sobie na plecy.

...

— Ja wiem, że są ciężkie. Ale już wkrótce będziesz zadowolona z tego, że są ciężkie. Ciągnij, Ania. I, na litość boską! Choć przez chwilę postaraj się nie wyglądać jak wystraszony królik! Jeśli myślisz, że jesteśmy jedynymi dziećmi na świecie, które mają kłopoty z rodzicami, jeśli tak myślisz, Ania, to się bardzo mylisz.

— Ale dlaczego oni nas atakują? – zadyszonym głosem spytała Ania.

— Nie wiemy, czy nas atakują. Chcą nas dopaść, a to jeszcze o niczym

nie świadczy. Inna rzecz, że wolimy tego nie sprawdzać.

— Jaś, już ciemno! Włącz światło.

— Przecież i tak zgaśnie.

— Ale włącz. Tak się boję.

Żółte światło lampy zalało pokój. Ania zasapana, z potarganymi włosami, ciągnęła ostatni worek piasku.

— Dziurka od klucza jest jeszcze wolna. Może byś zajrzał, Jaś?

— O nie! Nie chcę patrzeć, jak się zmieniają. To źle działa na moje nerwy. Jeszcze stół. Chodź, pomogę ci.

— Doktor Kowalewski coś podejrzewa. Wypytywał mnie.

— Świnia! Dzieci nie wolno wypytywać. Zwłaszcza kiedy chodzi o ich rodziców. Powiedz mu to na drugi raz, Ania.

— Jak będzie drugi raz. Ojej! Tak się boję! Aaaaa...!

— Czego wrzeszczysz?

— Bo zgasło światło.

— Zawsze gaśnie. To znaczy, że się zaczęło.

— Dlaczego tak cicho?

...

...

— I już nie jest cicho. Zadowolona...? Mówiłem ci, żebyś bardziej przycisnęła skrzynię. Chyba ci to mówiłem, co?

— Czy to jest dobra barykada, Jaś?

— Zaraz się przekonamy.

...

...

— Nie jest dobra.

— Ja stąd uciekam!

— Nie możesz tego zrobić! Jesteśmy za mali na uciekanie z domu.

— Jaś, spadł pierwszy worek piasku.

— Nie ściskaj mnie tak, bo się uduszę.

— Jaś, spadł drugi worek piasku.

— Nie próbuj wchodzić na moje plecy. Z pewnością ci się to nie uda.

— Jaś, spadł trzeci worek piasku.

— Jeszcze się nie poddamy! Obmyśliłem kryjówkę... Ale cicho.

Słyszysz to co ja?

— Cały czas słyszę!

— Nie, nie to. Z ulicy. Walenie w drzwi. Zamknęłaś na łańcuch?

— Nie.

— Ech, głupia!

— Ktoś wszedł!

W mroku rozległ się głos wielu pospiesznych kroków. Światło latarek omiotło dwoje dzieci i rozsypującą się barykadę.

— Rodzice są niedysponowani! – wrzasnął Jaś. – Może panowie przyjdą w innym terminie?

— Niedysponowani! Coś takiego! Doktorze Kowalewski, niech pan weźmie dzieci do karetki! – zawołał ktoś, kto chował się za oślepiająco białym krążkiem światła.

— Aaa...!

— Co się stało, doktorze?

— Ten mały mnie ukąsił.

— Zabrać stąd dzieciaki!

— Skandal, żeby tak się wdzierać do cudzego mieszkania! To wbrew konstytucji! Możecie być pewni, że złożę interpelację w sejmie...! – Jaś miotał się pod pachą rosłego policjanta.

— Co takiego? Au...! Nie kop mnie, ty mała kretynko!

— Doktorze, przepraszam, że nalegam, ale jeśli zajmie się pan dziećmi, my może będziemy mogli zająć się akcją.

— Tak... Oczywiście... Przecież ja...

Anię i Jasia wyniesiono z domu i załadowano do karetki.

— Spokojnie, dzieciaki, tylko spokojnie – mówił nerwowo doktor

Kowalewski i ocierał sobie pot z czoła.

Przez okno samochodu Jaś zobaczył kordon żołnierzy i dalej grupkę gapiów.

— Brakuje jeszcze czołgów i lotnictwa – powiedział z goryczą. – I to wszystko z powodu czegoś, co w zasadzie jest tylko przykrym incydentem rodzinnym.

— Chłopcze, o czym ty mówisz? – jęknął doktor Kowalewski. – Ja wiem, że to dla was okropne, ale, o mój Boże, wasi rodzice w tej chwili... Oni już są mało ludzcy... Przeistoczyli się, tak, to jest właściwe słowo. Przestali być ludźmi.

— Innym też to się zdarza, może nie, co? – zawołał Jaś przez łzy. – Ale poza tym nasi rodzice są dość mili.

Doktor Kowalewski patrzył na chłopca i nieprzytomnie mrugał oczyma.

— Dziecko, ty nie rozumiesz – miauknął. – Oni się przeistoczyli!

— Dokładnie ósmy raz od czasu, kiedy wrócili z kosmosu – powiedział chłodno Jaś i wytarł łzy wierzchem dłoni. – Osiem razy na siedem miesięcy to wcale nie jest tak dużo.

— W końcu to tylko nasza sprawa – pisnęła Ania.

— Biedne, biedne dzieci – szepnął doktor Kowalewski. – To straszne widzieć, jak rodzice, tacy dobrzy i porządni ludzie, przeistaczają się w... w...

— W potwory, niech się pan nie krępuje!

Tymczasem akcja służb bezpieczeństwa sięgnęła apogeum. Dach domu rozleciał się i dwa obłe kształty wystrzeliły w niebo.

— Mamo! Tato! – ryknęła płaczem Ania. – Jaś! Ci dranie przepłoszyli nam rodziców!

— Właśnie, ty specu od podpytywania małych dziewczynek – syknął Jaś. – Jesteś teraz zadowolony?

— Boże, Boże! – jęczał doktor Kowalewski, u którego wyraźnie



uwidoczniły się objawy szoku nerwowego. – Nie martwcie się, dzieci, może to i lepiej. Zabierzemy was w takie miłe miejsce, gdzie są huśtawki i karuzela, i bardzo dobre panie...

Dzieci zaszlochały rozpaczliwie. W tym momencie chłopięca buzia zajrzała w okno karetki i doktor Kowalewski nareszcie miał okazję powiedzieć coś sensownego.

— Jazda do domu, smarkaczu, bo ojciec ci tyłek spierze! – wrzasnął doktor Kowalewski.

— O! – zawołał łobuziak. – Z moich starych to prawdziwe potwory, ale jeszcze sobie z nimi radzę. Cześć!

## Jan Atmański [1977]

Jest to pierwsza publikacja pod tym pseudonimem. Wcześniejsze teksty autora (wiersze, opowiadania i teksty publicystyczne oraz krytyczne) ukazywały się między innymi w magazynach internetowych, „Feniksie” i „Nowej Fantastyce”.

Obecnie najwięcej z fantastyką ma do czynienia jako fan i współorganizator konwentów, pisanie traktuje jako dodatkowe hobby.

Jan Atmański

Czas życia

Jeszcze tydzień czy dwa temu nie opowiedziałbym wam tej historii. Milczałbym jak krab zatrzaśnięty w słoiku po dżemie. Tak bardzo się bałem. Mówią, iż strach ma to do siebie, że albo daje ci takiego kopa w dupę, że lecisz do przodu niczym gepard na prochach, albo paraliżuje twoje myśli jak zastrzyk z botoksu w korę mózgową.

Mnie zwykle paraliżował.

Jednak wczoraj rano uznałem, że dalsza ucieczka nie ma sensu. Przekroczyłem granicę strachu. Wiem, że i tak wcześniej czy później mnie dopadną – przynajmniej umrę na stojąco, a nie czołgając się przed nimi na brzuchu. Dlatego zdecydowałem się do was dosiąść – chociaż, wybaczenie, wyglądamie na bandę lepszych oszołomów. A może właśnie dlatego?

Poza tym miałem dość żarcia korzonków i larw, które nie uciekały zbyt szybko – całe życie byłem pracownikiem umysłowym i mimo że jestem ekspertem w survivalu biurowym, w lesie czuję się zagubiony jak pedofil w domu starców.

Słucham...? Dlaczego...? Chłopie, zrozum, mnie się nie spieszy – od miesięcy nie miałem okazji z nikim porozmawiać. Muszę to wszystko z siebie wyrzucić. Co? Odwal się, jak ci się nie podoba, to spadaj. Nie to jest tematem mojej historii...

Nigdy nie wierzyłem w teorie spiskowe. Myślę, że nie wierzy w nie większość ludzi, którym zdarzyło się pracować na specjalistycznych czy kierowniczych stanowiskach w dużej firmie. Grupa kilkuset osób, które od lat współpracują ze sobą? Razem, zgodnie i w tajemnicy? Zapomnijcie. To jedna wielka bzdura. Zaraz znalazłby się ktoś, kto napisałby o tym książkę, pochwalił się świeżo poznanej panience lub koleśowi. No i ta polityka wewnętrzna. Taki spisek byłby jak korporacja, myślałem sobie, góra nie wiedziałaby, co robi dół, dół kłąłby, że góra myśli tylko o swoim tyłku. Całość przypominałaby średniowieczną Europę: bandy skłóconych ze sobą awanturników, tylko teoretycznie kierowanych przez jakichś

seniorów, z których co drugi uważa się za papieża.



Pracowałem w dużym banku. Zajmowałem się analizami biznesowymi: liczyłem coś, co nazywamy „wartością klienta”.

Chodzi o to, że klient, który daje bankowi zarobić pięć złotych miesięcznie przez kilka lat, jest cenniejszy od tego, który przyniesie jednorazowo pięćdziesiąt złotych zysku.

Potem moje analizy trafiały do koleśków od marketingu, a ci główkowali, jak zwiększyć wartość klientów. Co może robić marketingowiec? Albo zadbać o to, by z takiego klienta wydobyć jak największy zysk, albo zatroszczyć się, żeby ten nie rezygnował. Nazywają to zwiększaniem czasu życia klienta, ale tak naprawdę chodzi o to, aby ludzie jak najdłużej korzystali z usług tego banku.

W pewnym momencie odkryłem, że stoimy przed ścianą. Więcej nie zarobimy – wymagałoby to podniesienia cen, a wtedy konkurencja okazałaby się tańsza i klienci odeszliby szybciej. A podnoszenie jakości nic nie da – i tak dłużej z nami nie będą, bo już teraz odchodzą, tylko w sposób naturalny, rozumiecie: umierają ze starości, w wypadkach czy na skutek chorób.

Dotarliśmy do ostatecznej granicy marketingu. Tak przynajmniej myślałem.

Ale kiedyś wpadłem na pozornie głupi pomysł. Czy da się przewidzieć śmierć klienta? Nie tylko tę spowodowaną starością, ale i na przykład chorobą. I czy można taki moment odwlec?

Głupota? Niekoniecznie, były nawet jakieś badania na ten temat. Najbardziej znane to chyba to, w którym udowodnili, że ludzie potrafią przesunąć datę swojej śmierci, jeśli przyniesie to korzyści podatkowe...

Nie, nie im. Ich rodzinom, baranie! Nawet jakąś nagrodę za wyniki dostali.

Wykorzystałem sieci neuronowe. Wrzuciłem dane do systemu analitycznego. Demograficzne, psychograficzne, informacje o zachowaniu, dane z GUS-u, ZUS-u, zużycie energii – cokolwiek znalazłem. OK, nie wszystko było zdobyte całkiem legalnie, ale każda duża firma tak robi.

Wynik mnie zaskoczył. Okazało się, że z dużym prawdopodobieństwem jestem w stanie przewidzieć nawet zgony spowodowane wypadkami samochodowymi. Odłot! Rozumiecie, taki koleś często przed wypadkiem dużo pracował, był zmęczony, popełniał drobne błędy – na przykład źle logował się na swoje konto w banku, dostawał mandat za przejeżdżanie na czerwonym świetle... Takie tam drobiazgi.

Nie poszedłem z tym do zarządu – na to było za wcześnie. Na razie miałem jakieś tam dane i żadnego pomysłu na ich wykorzystanie.

Włączyłem funkcje samouczące – chodziło o to, że program przewidywał prawdopodobieństwo zgonu, a potem dostawał informacje, na ile jest skuteczny. Miał dążyć do maksymalizacji wartości klienta – szukać tych, którzy będą żyli długo i szczęśliwie, przynosząc nam jak najwięcej korzyści.

Zapomniałem o sprawie. Było akurat zamknięcie roku. Budżety, ankiety, raporty – dużo gównianej roboty. Miałem tyle spraw na głowie, że przestałem zajmować się robionym na boku projekcikiem.

Wróciłem do niego po kilku miesiącach.

Ten sukinsyn uczył się lepiej, niż mogłem przewidzieć. W jakiś sposób podpiął się do kolejnych zewnętrznych baz i zaczął wykorzystywać nawet takie informacje jak choćby prognozy pogody.

Dodatkowo chyba coś skopałem. Program zaczął szukać metod poprawiania wyników pojedynczych rekordów. Zamiast znajdować tych

o największej szansie na długie, szczęśliwe życie – tworzył ich.

Jak to działało? Jeśli rosła szansa, że klient się przemęcza i wpadnie pod samochód, to... program wrzucał go na listę osób, którym biuro podróży oferowało super wycieczkę last minute – i gość po urlopie wracał wypoczęty jak młody czyżyk. Gdy trafił się pracoholik-meteoropata – przed zmianą pogody system wpinał się do sieci zarządzającej budynkiem i wyłączał prąd w biurze, żeby facet musiał wcześniej wyjść. W tym czasie automat dzwonił do domu – podając się za kolegę z pracy – tak by wracający wcześniej mąż nie zastał żony z kochankiem.

Pomysłów miał masę. Każdy dopasowany do konkretnego przypadku.

Średnia życia naszego klienta wzrosła o ponad pięć procent! To dobre kilka lat życia... A system radził sobie coraz lepiej.

Kariera stała przede mną otworem. Właśnie zarobiłem dla firmy grube miliony – nie mówiąc już o możliwości wykorzystania tego w reklamie. Pomyślcie, czy nie chcielibyście korzystać z usług banku, który zapewni wam dodatkowe parę lat życia?

Przygotowałem kilkusłajdową prezentację dla swojego dyrektora i wysłałem mu ją mailem. Był pod wrażeniem: obiecał pokazać to samemu prezesowi.

Czułem się władcą świata. Jak jakiś leming w norweskich fiordach. No, wiecie, taki, który wie, że może skoczyć, gdzie zechce.

Nawet kupiłem żonie bukiet kwiatów, gdy wracałem do domu. Śmiała się, że pewnie mam kochankę.

Nie przeczuwałem, iż nadchodzi katastrofa.

W środku nocy obudziło mnie pukanie do drzwi. Otworzyłem jak jakiś głupek, bez zastanawiania się, że o tej porze raczej nie przychodzą ludzie mający uczciwe zamiary. Może zmyliło mnie to, że grzecznie zapukali?

Do środka wpadło trzech zamaskowanych kolesiów, w rękach trzymali strzelby czy inne pistolety. Nie znam się, może to były i karabiny

albo muszkiety. To nieważne szczegóły. Mieli broń i wyglądali groźnie. Jasne?

Nie broniłem się, bo i jak? Wążący dziewięćdziesiąt kilogramów, niski czterdziestoparolatek przeciwko młodemu osiłkom, którym testosteron tryskałby przez uszy, gdyby nie przyciasne kominiarki?!

Zaprowadzili mnie do zaparkowanego pod domem samochodu. Gdy odjeżdżaliśmy, zobaczyłem jeszcze, że kolejna banda tych skurwieli prowadzi gdzieś żonę. Moją żonę. Potem na oczy założyli mi opaskę.

Nie wiem, ile jechaliśmy. Nawet nie wiem, o której godzinie mnie zabrali.

Gdy zdjęli mi opaskę, staliśmy na jakimś odludziu. Ciemno, pełno drzew i kurewsko nieprzyjemnie. Po mojej lewej stronie ktoś siedział, odwróciłem się w jego kierunku. Zobaczyłem ruch i w oczy zaświeciła mi latarka czołowa. Bałem się odwrócić, więc patrzyłem na niego spod przymrużonych powiek. Widziałem tylko zarys postaci.

Po kilku długich sekundach wciągnął głośno powietrze i powiedział dziwnym głosem (potem zrozumiałem, że używał jakiegoś gadżetu mającego uniemożliwić identyfikację głosu): „Witam serdecznie i dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać”.

Odparłem coś w stylu, że nie dali mi wyboru i chyba mnie z kimś pomylili.

„Nie, nie pomyliliśmy pana, panie Marku”, odparł. „Chcielibyśmy, by zaprzestał pan swoich eksperymentów”.

Myśli kotłowały mi się w głowie jak stado pszczoł na haju. Kim on jest? Kogo reprezentuje? Firmy ubezpieczeniowe? Koncerny farmaceutyczne? A może przedsiębiorców pogrzebowych? Kiedyś czytałem takie opowiadanie w piśmie fantastycznym. A może w książce? Nieistotne.

Facet z czołówką kontynuował: „Nie będziemy pana trzymać zbyt długo. Chcieliśmy pokazać nasze możliwości i poprosić o przemyślenie



sprawy. Nie chcemy pana zastępować – wolimy wykorzystać pańską wiedzę dla naszych potrzeb”.

Chyba musieli mi coś dać, bo nie pamiętam, jak wróciłem do domu. Ocknąłem się w swoim łóżku. Obok spała Hela.

Hela to moja żona. Już wam chyba o tym mówiłem.

Nawet pomyślałem, że wszystko mi się tylko przyśniło, ale na szafce obok łóżka leżała mała latarka czołowa i karteczka: „Na pamiątkę spotkania. Zobaczymy się wkrótce”.

Bałem się, ale nie byłem przerażony. Jeszcze nie. Postanowiłem pogadać ze swoim szefem, bo, wiecie, uznałem, że musiał z kimś na ten temat rozmawiać. Z kimś na zewnątrz, kto uznał, że mój projekt zagraża jego interesom. A gdy poznamy wroga, to bank – jeden z największych w Polsce, znajdzie środki, by mnie ochronić.

Nie zdążyłem dotrzeć do firmy, gdy zadzwoniła komórka. Szef miał dla mnie wiadomość: był pożar w serwerowni, systemy leżały i informatycy próbują odzyskać dane. Miałem wolne.

Pożar? W serwerowni? A gdzie gaśnice? Powinny po pierwszym obłoczku dymu wpuścić niepalny gaz do środka i zgasić płomienie – tak nam to opisywał strażak na szkoleniu BHP. Może uznałbym to za zbieg okoliczności, ale szef zadzwonił osobiście – zwykle taką robotę zwała na asystentkę. No i byłby to pierwszy taki przypadek, kiedy z własnej woli dał mi dzień wolnego. Postanowiłem wrócić do domu i przemyśleć sprawę na spokojnie.

Miałem wrażenie, że w autobusie śledził mnie starszy facet, a potem, gdy wysiadł, zastąpiła go wyglądająca na uczennicę panienka. Pod domem stał samochód z kimś w środku.

Nie wiedziałem, czy to przypadek.

Opowiedziałem o wszystkim Heli. Nie pamiętała żadnej nocnej wizyty i doszła do wniosku, że jestem przepracowany. Uważała, że jestem zbyt spięty i wolne dobrze mi zrobi.

A najlepiej zrobi mi masaż.

Spojrzałem na nią zaskoczony – zachowywała się jak nie ona. Hela robiąca mi masaż? Po dwudziestu latach małżeństwa?

Pewność uzyskałem pół godziny później.

To nie była moja żona. Ona nigdy nie krzyczała i nie drapała po plecach, gdy się kochaliśmy. Nigdy też nie powiedziała, że byłem wspaniały. Nie dlatego, że nie jestem – to skromna babka była, wychowana według tradycyjnych wartości. Kobiecie nie wypadało cieszyć się seksem. A rozmowy na takie tematy? Nie ma mowy.

Postanowiłem uciec. Kiedy wyszła do łazienki, wziąłem ciuchy i poszedłem do kuchni spokojnie się ubrać. Zakładałem buty, gdy stanęła w drzwiach. Wyglądała jak demon zemsty.

„Gdzie się wybierasz, kochanie?” – spytała zimnym, nie swoim głosem. „Nie rób głupstw”, dodała.

Nie mówiąc nic, wstałem i ruszyłem w kierunku kuchennych drzwi. Złapała mnie za ramię. Poczułem, jakby ktoś wsunął mi bark w imadło. Krzyknąłem z bólu.

Szarpnęła tak mocno, że przeleciałem przez całą kuchnię.

„Nigdzie nie pójdziesz, zostaniesz w domu i podejmiesz męską decyzję”, wysyczała i skoczyła na mnie.

Złapałem pierwszą rzecz, którą miałem pod ręką, i uderzyłem. Nie celowałem – to był głupi odruch. Nóż do obierania ziemniaków trafił prosto w oko. Zaiskrzyło, zadymiło... i padła na podłogę. Rękę miałem całą odrętwiałą, jak po kopnięciu prądem.

Rozumiecie? Ci dranie zastąpili moją Helę androidem. Przeklętym robotem. Moja ukochana żona prawdopodobnie była martwa jak pieprzone ptaki dodo.

Podszedłem do leżącego na podłodze potwora. Jego nogi lekko podrygiwały.

Chyba przekroczyłem granicę zdziwienia, bo pamiętam, że nawet nie

byłem jakoś specjalnie zszokowany. Czułem się jak na prochach.

Obok dymiącego oczodołu coś połyskiwało metalicznie. Pochyliłem się ostrożnie. Spod zdartej ze skroni skóry wystawała tabliczka znamionowa. Zdążyłem przeczytać tylko: „Zakłady Państwowe w Ostrowcu”, gdy dym przysłonił wszystko. Po chwili pojawił się płomień. Wylałem na kadłub kilka szklanek wody, ale ogień był coraz większy.

Nie wiem, może jest tak, jak mówisz, i to jakiś wbudowany moduł autodestrukcji. A może zwykła awaria. Przestań mi przerywać – zobacz, reszta słucha i nie przeszkadza, a ty? Co chwilę się wtrącasz... Sam się wal. Na czym skończyłem...? Aha, na androidzie.



Gaszenie nic nie dało. Wybiegłem tylnym wyjściem, a potem przez ogród sąsiadów. Chyba miałem szczęście, bo nikt mnie nie zatrzymał. Gdy byłem dwie ulice dalej, usłyszałem syreny i wskoczyłem w bramę, ale to była tylko straż pożarna jadąca w kierunku mojego domu.

Chodziłem po mieście, zastanawiając się, co robić. Pójście na policję odpadało – miałem przecucie, że moi prześladowcy zabezpieczyli się przed takim rozwiązaniem.

Media, mówisz? Tak, też mi to przyszło do głowy. Oczywiście, sprawa nie była prosta. Przekonanie dziennikarza, że nie jestem świrem... To było wyzwanie.

Dzwonienie do redakcji nie miało sensu – zawsze łatwiej przekonać kogoś osobiście. Przynajmniej nie trzaśnie słuchawką. Ale którą gazetę wybrać? Uznałem, że najlepszy będzie jakiś tabloid. Tam puszcza wszystko, nawet gdy nie będą pewni, czy to prawda – byleby ładnie brzmiało i tytuł przyciągał czytelników. Najlepiej jakaś wychodząca codziennie gazeta, wtedy moi prześladowcy będą mieli mniej czasu, by

wstrzymać druk materiału. No i redakcja powinna być w Warszawie, bym łatwo do nich dojechał.

Problem stanowiło to, że nie czytałem takich gazet i żaden tytuł nie przychodził mi do głowy. Na szczęście obok był dość duży kiosk – wiecie, taki, gdzie gazety są powystawiane na ścianach i można je swobodnie podczytywać.

Spokojnie przeglądałem prasę, by wybrać właściwy tytuł, gdy za moimi plecami stanął sprzedawca. Aż podskoczyłem, kiedy usłyszałem: „Nie sądzi pan, że ta ucieczka nie ma sensu?”. Czy te skurwiele miały agentów nawet w kioskach? Oczywiście rznąłem głupa, jak pies, który udaje, że to nie on zesrał się na środek twojego ulubionego dywanu. Odpowiedziałem, że musiał mnie z kimś pomylić, ale drań nie dał się przekonać: „Nie zachowujmy się jak dzieci. Jesteśmy w stanie zaferować panu dobre warunki współpracy”.

Spojrzałem mu w oczy i zauważyłem w ich głębi delikatny, czerwony poblask. Kolejny pierdolony android. Odepchnąłem go i ruszyłem w kierunku drzwi, usłyszałem jeszcze tylko, że mam czas do końca dnia. Potem sięgną po inne środki.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy jest szansa, że Hela żyje i czeka gdzieś na ratunek. Uznałem, że nawet jeśli tak jest, to sam jej nie pomogę. Postanowiłem uciec za granicę. Najlepiej samolotem – w ten sposób najszybciej znalazłbym się daleko od nich.

Wsiadłem do autobusu na lotnisko. Siedzenie obok mnie zajął jakiś nauczyciel matematyki i całą drogę sprawdzał prace domowe. Zerknąłem mu raz czy dwa przez ramię. O cholera, albo on nie potrafił uczyć, albo pracował w szkole dla debili. Jego uczniowie nie potrafili nawet policzyć procentów?! Wysiadł kilka przystanków dalej, ale spomiędzy zeszytów wypadła mu zgięta na pół kartka. Podniosłem ją i ruszyłem za nauczycielem, by ją oddać, kiedy w środku zauważyłem swoje zdjęcie. Rozłożyłem papier. Pod moją twarzą widniało: „Marek

Nowik”, a jeszcze niżej: „obserwować”. Pod spodem ktoś umieścił dopisek: „Panie Marku, nie wszyscy z nas zgadzają się z decyzjami dotyczącymi Pana. Niech Pan ucieka, ale nie samolotem. Kontrolujemy lotniska”.

Ośłupiałem jak krowa, która nagle wylądowała w stadzie buhajów.

Jeśli nie samolot, to co? Akurat byłem przy Dworcu Centralnym, postanowiłem pojechać pociągiem nad morze; miałem tam ciotkę.

Nie dotarłem na miejsce.

Bez problemu kupiłem bilety i wsiadłem do pociągu. To był nocny pośpiech, jednak w środku tygodnia nie miałem kłopotów ze znalezieniem wolnego przedziału. Usiadłem spokojnie i sam nie wiem kiedy usnąłem. W pewnym momencie coś mnie obudziło. Otworzywszy oczy, zobaczyłem pochylonego nade mną konduktora. W rękę trzymał strzykawkę.

Gdy zobaczył, że otwieram oczy, zamarł jak chomik na środku autostrady. Nie dałem mu czasu do namysłu. Podbiłem mu rękę, pchnąłem z całej siły. Zerwałem się z siedzenia, ale złapał mnie za koszulę. Chwilę szamotaliśmy się po całym przedziale, zanim udało mi się wyrwać. Wybiegłem na korytarz, gdy nagle za plecami usłyszałem jęk, tak głośny, że zagłuszył nawet stukot pociągu. Obejrzałem się. W drzwiach przedziału leżał konduktor. Z szyi sterczała mu strzykawka – musiał ją sobie wbić, gdy się szamotaliśmy. Podeszedłem bliżej. Chyba nie oddychał. Kucnąłem i dotknąłem jego ramienia, niestety, w tym momencie z przedziału obok wyjrzała jakaś stara baba. Spojrzała na mnie, na konduktora, znów na mnie. Chyba zauważyła strzykawkę, bo zaczęła wrzeszczeć, że zamordowałem człowieka. Powalona histeryczka.

Szarpnąłem za hamulec bezpieczeństwa i uciekłem przez okno. W przedziale została moja kurtka i drobiazgi kupione na dworcu, a dodatkowo, wychodząc przez okno, zgubiłem portfel. Było ciemno i nie dałem rady go odszukać – straciłem wszystko, co miałem.

Nad ranem dotarłem do jakiejś wioski. Małej, ale przynajmniej była tam poczta. Pamiętałem, że kiedyś dało się z nich dzwonić na koszt odbiorcy. Postanowiłem spróbować znaleźć kontakt do kumpla z liceum, o którym wiedziałem, że pracuje na policji. Może on mi będzie mógł pomóc?

Wszedłem do środka. Za ladą siedziała jakaś utleniona lafirynda. Na mój widok otworzyła szeroko oczy i usta – wyglądała jak nadmuchana przez dzieci żaba – i sięgnęła szybko pod ladę. Bogu dzięki za jej długie na kilka centymetrów paznokcie, wyciągając broń, zawadziła jednym z nich o krawędź szafki. Pistolet poszybował wysoko i upadł mi pod stopami.

Kopnąłem go jak tylko mogłem najmocniej i wybiegłem na zewnątrz.

Od tego momentu uciekałem. Nie wiedziałem już, kto jest kim. Nawet moja ciotka mogła chcieć mnie zabić.

Życie w lesie nie jest łatwe, ale były wakacje. Czasem ukradłem coś do jedzenia turystom, innym razem zebrałem z pola jakieś warzywa. Spałem w takiej jednej ambonie dla myśliwych. Dało się przeżyć. Jednak gdy zaczęło robić się zimno...



Oni są wszędzie. Kto? Nie, jakie UFO, jacy masoni? Urzędnicy! Jeszcze tego nie zrozumieliście? W sumie nic dziwnego – mnie też zajęło to parę dni.

Wszystko ułożyło się w całość dopiero wtedy, gdy przypomniałem sobie, że bank jest w dużej mierze kontrolowany przez nich. Nie, nie bezpośrednio. Oficjalnie bank był prywatny, ale tak się jakoś złożyło, że większość udziałów w nim miały ich spółki.

Oni byli wszędzie. Kioski, poczta, kolej, ba, nawet linie lotnicze i

szkoły... to miejsca kontrolowane przez nich. Nie mówiąc o wojsku, policji czy straży granicznej.

Nic dziwnego, że wszędzie natykałem się na osoby – czy te powalone terminatory – które próbowały mnie zabić lub zastraszyć. Ten nauczyciel, który mnie ostrzegł, musiał być jakimś odszczepieńcem – jedynym pierdolonym sprawiedliwym w ich organizacji.

Kim oni są? A kto najwięcej straciłby na przedłużeniu życia statystycznego Polaka? Na jego emeryturze, opiece medycznej, bezpłatnych przejazdach? Kto musiałby zadbać o więcej miejsc pracy dla młodych – dotąd przychodzących na stanowiska tych, którzy ginęli w wypadkach, czy też wykończonych przez zawały?

Skarb państwa, moi drodzy, skarb państwa. Polski nie stać na taki wzrost kosztów i oni, ci, którzy naprawdę rządzą państwem, postanowili się mnie pozbyć.

Zrozumiałem wszystko. Kiepską służbę zdrowia i edukację, próby kontroli każdego aspektu naszego życia, stres na każdym kroku... czy wreszcie próby zniszczenia mojego projektu.

Och, oczywiście nie wszyscy im służą – w banku pracowałem trzy lata, nie wiedząc, że istnieją. Przypuszczam, że część osób zastępują androidami, innym proponują współpracę. Tylko tyle, by zachować kontrolę.

Nie wierzysz? Mówisz, że bredzę, że nie mam dowodów?! Stary, a ty gdzie pracujesz? W ZUS-ie, mówisz?! Cwaniaczek, widzieliście go?

Jak to, nie ma to nic do rzeczy?

Ej! Oczy, jego oczy! Zabierzcie mu ten nóż!...

## Tomasz Kołodziejczak [1967]

Debiutował w 1985 roku opowiadaniem *Kukielki* („Przegląd Techniczny”).

Wydał powieści: *Wybierz swoją śmierć*, *Krew i Kamień*, *Kolory sztandarów*, *Schwytany w światła*, tomy opowiadań: *Wrócę do ciebie, kacie*, *Przygody rycerza Darlana*, grę „Rzeźbiarze Pierścieni”.

Pięciokrotnie nominowany do Nagrody imienia Janusza Zajdla, otrzymał ją w roku 1996 za powieść *Kolory sztandarów*.

Trzykrotny laureat nagrody Śląkfa (za działalność wydawniczą i fanowską).

Jego powieści i opowiadania były tłumaczone na język czeski, litewski, rosyjski.

Autor opowiadań, scenariuszy komiksowych, recenzji i felietonów, redaktor pism „Voyager” i „Magia i Miecz”, prowadził programy o kulturze popularnej w telewizji i radiu.

Obecnie jest wydawcą komiksów dla dzieci i dorosłych w wydawnictwie Egmont Polska.



Tomasz Kołodziejczak

Piękna i graf

## 1.

Na soggotha najlepszy jest miedziany hak. Długi i wąski, taki, żeby wszedł w głąb ciała, przebił jednocześnie oba serca i mózg. Koniecznie poświęcony, żeby soggoth nie mógł się obronić. Najlepiej „Made in Poland”. Tam na wschodzie, za wielką rzeką, robią najlepsze haki. Wszystko tam robią najlepsze.

Geograf przywłókł soggotha wczesnym południem, gdy większość ludzi pracowała w polu. Stał na skrzyżowaniu dróg w środku wsi, między gospodą a wieżą świetlnego telegrafu. Magicznym słowem docisnął swego więźnia do ziemi i gromkim głosem wywołał policjanta Jana Macieszczaka. Stwór wił się i jęczał, błagał o litość, obiecywał zdradę swych dotychczasowych panów, wierną służbę królowi i hojne nagrody, ale chłopci z Karbuzowa wiedzieli swoje. Ktoś poleciał po sołtysa, żeby wydał prawomocny wyrok. Inny po rzeźnika, bo ten trzymał w domu dobry miedziany hak. Jeszcze ktoś po dzieciaki – żeby wszystko obejrzały sobie dokładnie. Na przyszłość. Ku nauce i przestrodze.

Przyszła też i Kręczelewska, matka Jakuba, by popatrzeć na swego syna, który zmienił się w potwora. Poznała go, a jakże, po włosach i bliźnie na policzku po przebytej w dzieciństwie ospie. I chyba tylko po tym, bo twarz chłopaka zdążyła się już przekształcić w straszliwą maskę. Kobieta zaczęła płakać, coś chyba krzyczała do syna. Nawet zwrócił na nią uwagę, spojrzał w jej stronę, powąchał, rozdymając nozdrza, przewiercił jedynym szklistoczarnym okiem. Zasyczał, wywinął wargi, odślaniając kły jadowe. Tego nie wytrzymała. Ze szlochem rzuciła się w stronę soggotha i gdyby nie powstrzymały jej silne ręce mężczyzn, pewnie i przypadłaby do niego, chcąc przytulić i pogłodzić. A wtedy by ją zabił. W porę przyjaciółki wyprowadziły kobietę z kręgu, kreśląc całą

czas na piersiach znaki krzyża, szczęśliwe, że to nie ich dzieci przeszły na służbę barlogów.

Geograf nie zwracał uwagi na to zamieszanie i czekał cierpliwie. Wcześniej złamał soggothowi nogi, żeby nie uciekł, i potrzaskał palce u wszystkich rąk, żeby nie mógł złożyć dłońmi żadnych zaklęć. Zaciągnął też niewidzialny arkan na jego głowie, do krwi wpijający się w czaszkę i miażdżący policzki.

Geograf ubrany był na zielono – kameleoni mundur, jakiego na co dzień używali polscy komandosi, przykrył elfim płaszczem. Na szyi nosił mały amulet, zawieszony na mithrylowym łańcuszku. W olstrze na prawym udzie mężczyzny tkwił szybkostrzelny peem, przy prawym boku kołysała się zdobiona bursztynem pochwa miecza. Twarz miał młodą, bez zarostu, wręcz dziecięcą. A jednak zmarszczki w kącikach ust, czujne spojrzenie, subtelne wzory elfich tatuaży ochronnych na policzkach sprawiały, że nikt z odrobiną oleju w głowie nie wzięłby tego mężczyzny za nieopierzonego młodzieńca.

— Witaj, panie. – Chłopi rozstąpili się, przepuszczając sołtysa. – Widzę, że przyprowadziłeś nam zgubę.

— Witaj, Jerzy. Dobrze trafiłem? – geograf mówił cicho i spokojnie, ale gdzieś na dnie każdego wypowiedzanego słowa słyhać było napięcie i wysiłek. Wszak cały czas kontrolował magię soggotha, neutralizował jej siłę.

— Tak, to nasz chłopak, matka go poznała. Straszna, straszna sprawa. Nie wiemy, kiedy przeszedł na ich stronę, nie wiemy, od kiedy jest przekształcony.

— Kiedy ostatni raz ktoś od was z nim gadał?

— Ze dwa dni temu normalnie chodził po wsi, zboże zbierał. W imię Ojca i Syna, normalnie nam po wsi chodził... – sołtys powtórzył przerażony, jakby teraz dopiero do niego dotarło, w jakim niebezpieczeństwie znalazł się on sam i cała osada. Kiedy się przeżegnał,

soggoth jęknął cicho i szarpnął się. Geograf spojrzał na niego, zacisnął wirtualny arkan, tak że niewidzialne pęto na dobre przecięło oko soggotha. Bryznęła lepka maź, a potwór padł na ziemię nieprzytomny. Jego cztery ręce spazmatycznie drżały, pazurzaste stopy darły stary asfalt.

— Przyłapałem go w czasie rytuałów. Chyba zabił kogoś, bo miał ciało. Nikt wam nie zginął we wsi?

— Nie, nie ostatnio. Może porwał kogoś z Zagranicza, przecież oni swoich też mordują.

— Możliwe, możliwe... – zamyślił się. – No dobra, czasu szkoda. Macie narzędzia?

— A jakże, mamy, panie – odpowiedział sołtys, stropił się, zamilkł. Po chwili cichszym, niepewnym głosem dodał: – Ale nie możemy go teraz zabić, panie. Dostaliśmy rozkaz z garnizonu. Wszystkie złapane soggothy trzeba tam żywcem dostarczyć. To może go tylko nakłujesz?

Sołtys ostatnie słowa wypowiadał zupełnie już cicho, stropiony spojrzeniem geografa. Rozkaz to rozkaz. Wojsko trzyma komendę na pograniczu, pilnuje dróg, podsyła żywność na przednówek i lekarzy dwa razy do roku. Więc jasne było, że polecenie trzeba spełnić. Tylko czemu to on osobiście miał o tym informować tego straszego, uzbrojonego, władającego potężną magią człowieka? Człowieka, który prowadząc swobodną rozmowę, cały czas siłą umysłu kontroluje soggotha – bestię, wyrodka, sługę czarnych jegrów. Człowieka – o czym sołtys doskonale wiedział – niespecjalnie lubiącego kontakty z regularną armią. I z wzajemnością.

— Panie – kontynuował sołtys – ja już musiałem wydać polecenia.

Odruchowo zerknął w górę, za plecy geografa. Mężczyzna też spojrzał za siebie. Na wieży sygnalizacyjnej właśnie zapłonęło małe ognisko i wioskowy policjant rozpoczął nadawanie komunikatu.

— Jeśli patrol jest w naszym powiecie, to będą tu jeszcze dzisiaj. Panie,

do tego czasu musisz nam utrzymać soggiotha, sami nie damy rady.

## 2.

Mały konwój dotarł do stacji Korniejewo tuż po wschodzie słońca. Ledwie purpurowy blask rozświetlił okolicę, a już zaktywizowały się dzienne systemy obronne bazy. Pierwsze obudziły się szpaki, cały ich rój sfrunął z okolicznych drzew, zakołował nad głowami konnych i pomknął ku stacji. Kilka minut później orszak minął stojące po obu stronach drogi menhiry. Pośród głązy pierwszy wjechał dowódca żołnierzy, elf w stopniu rotmistrza. W jego śnieżnobiałych włosach zatańczył blask nanokadabr – to brama przeskanowała przybysza i otworzyła się. Potem przejechali przez nią dwaj kawalerzyści, zaprzęg ciągnący wóz z miedzianą, przypominającą trumnę skrzynią, dalej kolejni czterej żołnierze. Na końcu bramę przekroczył piechur, ubrany na zielono mężczyzna. Kiedy znalazł się między menhirami poczuł mrowienie na dłoniach i policzkach. Delikatne, niemal pieszczotliwe, niczym muśnięcie kociej sierści.

Odruchowo wyszeptał ochronne zaklęcie, jakby chciał sprawić, by menhiry na pewno właściwie go zeskanowały. Zbyt często dotykał złych istot i ich ślady na pewno pozostały w jego aurze.

Wkrótce zobaczyli pierwsze linie bunkrów i lufy cekaemów, a na ich powitanie z zamaskowanej przydrożnej strażnicy wyszło trzech żołnierzy. Luźno stanęli na środku drogi i poczekali, aż konwój podjedzie bliżej. Ich dowódca zasalutował niedbale rotmistrzowi, ten odpowiedział równie nieregulaminowym gestem.

— Cześć, Henryk – powiedział elf, zsuwając się z siodła. – Dobrze widzieć cię znowu!

— Witaj, Gardanie! – Dowódca straży uśmiechnął się szeroko. – I ja się cieszę, że przyjechałeś!

Uścisnęli sobie dłonie, pokleпали po ramionach, wymienili kilka uwag

o twardych siodłach, o tegorocznej pogodzie i o żarciu w dalekich stanicach (a o wszystkich tych sprawach mieli wspólną opinię, której nie chcieliby słuchać wojskowi rymarze, meteoronomi i intendenci). Potem nieco ściszyli głosy, Henryk zadał kilka krótkich pytań, elf odpowiedział, raz tylko odwracając się w stronę mosiężnej skrzyni i zielonego piechura. Pokiwali głowami, pomruczeli coś jeszcze, znów uścisnęli dłonie. Gardan wspiął się na siodło i orszak ruszył w dalszą drogę.

Wkrótce dotarli na centralny plac stacyjny Korniejewo. Kwadratowy, wyłożony brukiem dziedziniec otaczały niskie betonowe budynki. Zachodnią ścianę tworzył front modernromańskiego kościoła, jak przed tysiącleciem zbudowanego tak, by mógł pełnić funkcje i sakralne, i obronne. W małe okna domów wprawiono gęste siatki mające chronić przed złowadami, a całe ściany pieczołowicie wysprajowano w zabezpieczające motywy. Na dachach usytuowano stanowiska ogniowe, mogące pokryć przedpole stacyjny, ale też ostrzeliwać się w czasie ataku z powietrza. Precyzyjnie ustalone wymiary budynków i placu, kąty nachylenia ścian i wielkość okien dobrano zgodnie z wszelkimi zasadami sztuki wojennego feng shui, tak by tworzyły optymalny czakram defensywny. Według tychże zasad loch zbudowano w północnym budynku i tam właśnie skierował się wóz z miedzianą trumną i przewożonym w środku soggothem. Ochronę transportu przejęli już miejscowi żołnierze, więc Gardan wydał krótkie rozkazy swoim ludziom i rozpuścił ich na kwatery. Sam skierował konia ku stojącemu nieruchomo na środku placu geografowi.

— No i popatrz, udało się. Soggoth nie wyrwał się z więzów, nikt nas nie napadł, puszcza nas nie pożarła. Niepotrzebnie się obawiałeś.

— Czemu go tu sprowadziłeś, Gardan? On już zakłóca menhipole. Osłabia was. Trzeba go było zabić od razu. Nie czujesz tego? – Geograf machnął ręką, jakby chciał zerwać niewidzialną zasłonę. Przez moment ślad jego dłoni zawisł w powietrzu ciemnozieloną smugą, dała się

wyczuć delikatna, ale nieprzyjemna woń.

Koń elfa parsknął, nerwowo przestąpił z nogi na nogę, podkowy mocno uderzyły o bruk.

— Ciii, ciii. – Gardan uspokajająco poklepał wierzchowca po szyi. Pochylił się ku mężczyźnie. – Tak, czuć to nawet tu.

— Więc po co?

— Takie mamy rozkazy, już ci mówiłem. Mam dostarczyć do twierdzy każdego schwytanego przekształconego człowieka. Jegra, soggotha, wandalą. Każdego. I nic więcej ode mnie nie usłyszysz. Idź, odbierz swoją nagrodę i wracaj do lasu, geografie. Tam jest twoje miejsce.

— Odbiorę, kiedy będę chciał, i odejdę, jeśli będę miał taką ochotę.

Elf nic już na to nie powiedział. Dwukrotnie objechał koniem stojącego w bezruchu człowieka, po czym skierował się do dowództwa garnizonu.

Geograf jeszcze chwilę stał na placu, nie przejmując się zaciekawionymi spojrzeniami mijających go ludzi. Teraz musiał odebrać nagrodę i wynająć kwaterę.

Wciąż zdawało mu się, że wdycha mdłą, nieprzyjemną woń zakłóconej aury. W jednym z najlepiej chronionych i najbezpieczniejszych miejsc na zachód od Odry wciąż wyczuwał smród barlogów i ich sług. Tak silny, że nie mógł pochodzić od jednego soggotha.



### 3.

Podobno świat się zmienia, wszystko płynie, a entropia pożera rzeczywistość. Jednak są miejsca i byty, które wyłamują się z tych reguł.

Bez wątpienia należy do nich stary Urlich Schroeder. Ilekroć Kajetan odwiedzał Korniejewo, stary Bawar zawsze siedział w tym samym fotelu, przy tym samym stole, w tym samym kącie kantyny, być może nawet nad tym samym kuflem piwa. Urlich był kompletnie łysy, a skórę jego twarzy i czaszki znaczyły ślady dawnych przygód – szramy, blizny po przypaleniach, zneutralizowane bojowe tatuaże. Urlich dawno temu, jako podrostek, walczył w Grenzschutzu, bawarskiej partyzantce, która dość długo – jeszcze kilka lat po inwazji – stawiała opór barlogom. W końcu najeźdźcy spacyfikowali cały kraj, wytłukli lub zagarnęli w jegry niedobitki partyzantów. Na wschód przedarły się pojedyncze osoby, przynosząc dużo cennych informacji i chęć do dalszej walki. Urlich służył potem w polskim zwiadzie. Kiedy skończył służbę, nie chciał przenieść się do Warszawy. Został na granicy, tak blisko rodzinnego kraju, jak to tylko było możliwe. Tkwił przy tym swoim stole niczym kamień na granicy dwóch pól – oblepiony błotem, zarośnięty trawą, ale twardo i jednoznacznie wytyczający granicę między dwiema dziedzinami. Od kamienia różniło go to tylko, że bardzo lubił mówić. Posługiwał się płynną polszczyzną, bez śladu obcego akcentu.

— Chcesz tu dłużej zostać, Kajetan?

— Nie, tak naprawdę wędrowałem do Gorzowa. Muszę zdać relację z mojej ostatniej podróży, przekazać dane. Przez przypadek natknąłem się na tego soggotha, no a skoro go upolowałem, to należy mi się nagroda? Odsapnę dzień, dwa i ruszam dalej.

— Przydałbyś się tutaj, do obrony.

— Wiesz dobrze, że mam co innego do zrobienia.

Zamilkli, przez chwilę delektując się gorzkim smakiem piwa. Siedzieli w kącie sali, Kajetan lekko wychylił swoje krzesło, plecami oparł się o betonową ścianę, wyciągnął nogi. Spod półprzymkniętych powiek obserwował innych gości kantyny: żołnierzy, mieszkańców okolicznych osad, kupców, inżynierów geomancyjnych. Wojskowych wydawało się być więcej niż ostatnio, a cywilów – mniej. To zaś oznaczało, że szerzy się niepokój, że wieśniacy boją się podróżować, a armia szykuje do walki. Kajetan postanowił się tym nie przejmować, o tak, ten wieczór relaksu należał mu się po wielotygodniowej tułaczce po ziemiach, których nie ma na żadnych mapach, po przedzieraniu się przez umagicznione zaodrzańskie lasy, po walce z soggothem i wreszcie – konieczności wspólnej podróży z Gardanem, aroganckim elfem. Kajetan się luzował.

Urlich przeciwnie, siedział przygarbiony nad stołem, ściskając kufel swymi wielkimi łapami, tak że naczynie ledwo było widać spomiędzy palców. Wydawało się, że w każdej chwili gotów jest się sprężyć, poderwać, wyciągnąć z pochwy miecz i ruszyć do boju. W czym nie przeszkodziłby mu fakt, że zamiast nóg miał dwa kikuty odcięte powyżej kolan.

— Co u ojca? – spytał Urlich, kiedy najwyraźniej uznał, że milczenie trwało już dostatecznie długo.

— Prędzej ciebie mógłbym o to zapytać. Chodziłem poza Horyzontem, żadnej łączności. Jak dojdę do Gorzowa, to się z nim skontaktuję. Kiedy ruszałem, jego chorągwie szły na wschód.

— Tam się uspokoiło, na szczęście. Finowie dobrze się spisali.

— A tu? – Kajetan pokręcił głową, omiatając wzrokiem kantynę, a w rzeczywistości gestem tym oznaczając w ten sposób i samo Korniejewo, i wszystkie okoliczne ziemie. – Co tu się tak naprawdę dzieje?

— Ruch, duży ruch, mamy więcej wojska, sporo elfów się pojawiło. Łowcy potworów poszli w puszcze, były duże obławy. Mają do tego specjalną formację teraz. Przysłali też sporo obeliksów, słyszałem, że

stawiają menhiry równolegle w kilku powiatach. No i chwytają potwory. Zakazali zabijać, tylko łapią i wysyłają na wschód. Tu na miejscu też trzymają kilka. Jest ruch.

— Jęgrzy podchodzą blisko?

— Nie, to raczej w Polsce się zaczęło. Wraz z marcem przyszły znaki. Pierwsza burza wiosenna nad Warszawą trwała równo trzynaście godzin, a w tęczy, która potem się pojawiła, podobno brakowało czerwonego koloru. Różnie ten znak interpretowano. Jedni mówili, że to zapowiedź końca wojny i przelewu krwi. Inni zaś odwrotnie, przepowiadali, że to wróży klęskę, bo wszak czerwony kolor występuje i na polskiej fladze, i w godle. Inny znak przyszedł z północy, wiosenny sztorm wyrzucił na gdyński brzeg gigantycznego kaszalota, w którego brzuchu znaleziono wrak okrętu podwodnego „ORP Orzeł”. Wiesz, zaginionego w boju ponad sto lat wcześniej. – Urlich zawahał się na chwilę. – To była wojna z Niemcami. Potem, oczywiście, holowizyjni eksperci udowadniali, że nie ma w tym nic dziwnego, że stwory tej wielkości rodzą się teraz w głębinach oceanu i że nic już nie blokuje im drogi do Zatoki Bałtyckiej. Kiedy taki kaszalot zbliży się za blisko do którejś z naszych pływających fortec, może się nieźle natękać otaczającą ją ochronną patiosferę. Zazwyczaj wtedy po prostu atakuje porty wroga, ale czasem rozpoczyna mistyczne poszukiwania. No i tym razem odnalazł „ORP Orzeł” i dusze pięćdziesięciu czterech marynarzy. Ale... eksperci gadają swoje, a ludzie i tak twierdzą, że odszukanie statku-legendy musi coś oznaczać.

— A armia przyznała rację plotkom, a nie ekspertyzom, i wzmacnia granice.

— Ano właśnie. Tylko się boję, że to czarnych sprowokuje. Obeliksi jeszcze dostatecznie nie zabezpieczyli okolicy. To wciąż nie jest nasze terytorium. Jeśli barlogi uderzą dużą siłą, to wedrą się do marchii i podejną pod samo Korniejewo.

— Nigdy się ich nie bałeś, Urlich. Przez lata tłukłeś ich bez chwili wahania.

— Bo przez lata nie miałem nic do stracenia. Zabrali mój hajmat, moich bliskich, wszystko. Przemienili w czarną otchłań, w mrok.

— A teraz?

— A teraz? Teraz... – Urlich zawahał się. – Uświadomiłem to sobie ostatnio. Mam nowy dom. Mam nowych bliskich. Innych niż tamci... tamtych nic nie zastąpi... ale są, istnieją... żyję wśród nich, choć – jak pewnie wiesz – większość tutejszych się mnie trochę boi. Tak jak i ciebie. Nie martwię się o swoje życie, ale nie chcę drugi raz patrzeć na zagładę hajmatu. Nie chcę. – Jednym haustem dopił piwo. Pochylił się i zaczął dopinać protezy do kikutów nóg. – Chodź, pokażesz mi, co ciekawego znalazłeś w obcych krajach.

— Wiesz, że nie mogę.

Urlich chwilę mocował się z opornymi paskami, wpinał kable protez w tkwiące w boku ud gniazda czipowe. Zasapał się przy tym nieco.

— Szajse! Muszę w końcu wymienić ten sprzęt.

— Narzekasz na niego za każdym razem, gdy się widzimy. I nie wymieniasz.

— Bo się z nim, jak by to powiedzieć?... zżyłem. Ufff... No dobra, chodźmy.

— Wiesz, że nie mogę pokazywać ci żadnych zebranych za Horyzontem materiałów.

Urlich podniósł się z krzesła. I dawniej był wysoki, ale protezy dodały mu dwadzieścia centymetrów. Kiedy się wyprostował, przestrzeń nagle zrobiła się wypełniona i zajęta – niczym zagracony pułkami strych. Przygiął kolana, kilka razy przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą, sprawdzając kontrolę nad protezami. W milczeniu ruszył w stronę drzwi. Szerokie, czteropalczaste stopy przypominały łapy drapieżnego ptaka, choć pazury były schowane. Wypolerowane i lśniące, ciężko uderzały o

podłogę. Ostatnie dziesięć lat swej służby Urlich spędził w lesie już z tymi protezami i zabił nimi wielu przeciwników.

Kajetan ruszył za Bawarem. Kiedy wyszli z kantyny, ogarnął ich przyjemny chłód lipcowego wieczoru. W stancy panował spory ruch. Na centralny plac wjeżdżały wojskowe pojazdy, przemykali przez niego jeźdźcy na koniach, spacerowało wielu pieszych.

— Gdzie nocujesz?

— Jak zwykle, w kwaterze wojskowej.

— No to chodźmy. – Urlich ruszył szybkim krokiem.

— Urlich, wiesz, że nie mogę udostępnić ci żadnych zebranych danych.

Olbrzym zatrzymał się, odwrócił do Kajetana.

— Nie musisz mi niczego udostępnić. Opowiesz mi, po prostu mi opowiesz. Jak tam teraz jest? Bo byłeś też w Niemczech, prawda?

Kajetan już miał odpowiedzieć, gdy nagle zobaczył coś, co wstrzymało jego słowa. Z bocznej uliczki na plac wyszedł mały oddział. Czterech roślących elfów otaczała drobna postać. Żołnierze ubrani byli według rytu, którego Kajetan jeszcze nigdy nie widział. Mieli hełmy z białego metalu, szczelnie okrywające głowy, śnieżnobiałe mundury i rękawice, płaszcze, spod których wystawały czarne pochwy mieczy. Na plecach nieśli tarcze, również jaskrawobiałe, a na nich – zamiast rodowych znaków – umieszczony był czarny Run Gromu, najsilniejszy antymagiczny znak obronny, jaki znał Kajetan. Używano go w czasie bitew z barlogami, jedynie w krótkich chwilach, gdy trzeba było posłużyć się największymi mocami, bo utrzymanie tego runu i korzystanie z niego wyczerpywało siły największych wojowników. Ci tutaj zaś nieśli go po prostu na swoich tarczach niczym zwykły znak herbowy.

Pomiędzy żołnierzami szła jeszcze dziwniejsza postać. Wydawała się przy nich drobna i krucha, delikatna niczym dziecko ze szkła. Elfka o półprzymkniętych oczach, wąskich ustach, delikatnych, niemal

przezroczystych nozdrzach, długich siwych włosach opadających na kark. Też ubrana była w biały mundur o żeńskim kroju, na dłoniach miała rękawiczki z mithrylowej koronki, sięgająca bioder peleryna ochraniała jej plecy. I na tej pelerynie wyhaftowano Run Gromu, tyle że kilkakrotnie większy niż na tarczach rycerzy. Kobieta czuła jego ciężar, szła lekko przygarbiona, stawiała stopy ostrożnie, jakby obawiała się, że trafi na jakąś podziemną pułapkę zapadającą się pod jej ciężarem – a bardziej nawet – pod ciężarem dźwiganego na plecach znaku.

Mijani przechodnie rozstępowali się na widok białej grupy, tak ludzie, jak i elfy, ci drudzy pochylali jeszcze głowy w wyrazie szacunku, w którym Kajetan dostrzegł też coś, co początkowo wydawało mu się niemożliwe – lęk.

Kajetan i Urlich również ustąpili z drogi, a wtedy na moment elfka podniosła głowę i otworzyła szerzej oczy. Spojrzała na Kajetana, najpierw na jego pierś, powoli przeniosła wzrok wyżej, na twarz. Miała białobłękitne tęczęwki, niczym rozpalone lipcowe niebo, a źrenice duże i smolście czarne.

Kajetan położył dłoń na wiszącym na szyi Kluczu, który ściągnął nań uwagę dziwnej elfki. A potem bezwiednie, wciąż patrząc jej w oczy, pochylił głowę w geście szacunku. Trwało to może dwie sekundy, wreszcie pochód minął ich, elfka odwróciła wzrok, znów wbiła spojrzenie w ziemię.

— Idą do lochów – przerwał milczenie Urlich. – Będzie pracować, a to znaczy, że dziś w nocy wielu ludziom w Korniejewie przyśnią się koszmary.

— Kim ona jest?

— Nie wiesz? Nie dziwię się. Znam elfy od sześćdziesięciu lat, a też nie miałem pojęcia o istnieniu takich. Ona jest katem. Torturuje potwory i wydobywa z nich informacje.

#### 4.

Cały następny dzień zszedł Kajetanowi na załatwianiu formalności związanych z odbiorem nagrody i porządkowaniu przywiezionych z wyprawy znalezisk. Kilka co delikatniejszych artefaktów musiał porządnie zabezpieczyć przed destrukcyjnym działaniem bojowych nanokadabr krążących wokół stancy. Pochodziły z pozahoryzontalnych krain i nie wiadomo było, jak się zachowają w tej rzeczywistości. Amulety, małe rzeźby, zwoje ksiąg spisanych w obcych językach, parę malowanych miniatur – właśnie z takich ułamków i świadectw służby geograficzne próbowały złożyć obraz światów za Horyzontem. Ale nie tylko. Kajetan zrzucił na mocniejszy komputer i zbackupował zapisy kamer, aparatury meteorologicznej, sond biologicznych i chemicznych, wreszcie najważniejszych: krokomierzy i dzipiesów. Superkomputery w Warszawie dostaną nową porcję danych i spróbują je wtłoczyć w już istniejącą matrycę wciąż się zmieniającej geografii strefy przyhoryzontalnej – wielkiego terytorium pomiędzy Odrą a rzeką, która kiedyś była Łabą. Ziemi, na której trzydzieści lat wcześniej rozegrało się ostatnie wielkie starcie między barlogami i elfio-ludzką armią, a która dziś stanowiła granicę między władztwem czarnych a Królestwem Polskim. Bariere zmienną geografii, wrót prowadzących do nowych światów, pułapek uginających przestrzeń i czas. Świata poza Horyzontem – niedającego się badać z orbity ani z powietrza. Eksploracją tej przestrzeni zajmowali się geografowie podróżnicy, tacy jak Kajetan.

Po odpaleniu komputerów mógł spokojnie zająć się innymi znaleziskami. Próbkę roślin i nasion porozdzielał do hermetycznych pojemników. Zeskanował ręczne zapiski i zgrał dźwięki z dyktafonu, na który udało mu się nagrać kilka próbek mowy, odgłosy przyrody, a także i własne komentarze.

Po południu zajął się przeglądem broni i doładował w końcu kartę kredytową nagrodą za soggotha. Sprawdził też, że w ciągu najbliższego tygodnia do Gorzowa nie rusza żaden kupiecki konwój, z którym mógłby się zabrać, a z wojskiem nie chciał podróżować. Musiał zatem pożyczyć konia, ale z tym nie było żadnego problemu. Z wojskowych stajni bez przeszkód wybrał sześciolatniego, smukłego wielkopolaka. Siwka, co rzadko się spotyka. Ciekawskiego i nader łasego – jak obwieścił koniuszy – na cukier. Po prawdzie wierzchowca oddawał niechętnie, gdyż ostatnio wokół Korniejewa trwał duży ruch, więc konie potrzebne były dla zwiadowców i gońców, ale glejty, którymi dysponował Kajetan, nie pozostawiały wątpliwości. Geograf pracował dla samego hetmana koronnego i miał prawo korzystać z nieograniczonej pomocy armii i służb cywilnych Królestwa.

Wieczorem jeszcze raz sprawdził wszystkie pakunki i wziął długą kąpiel (czekały go cztery dni w siodle). Potem, popijając piwo, obejrzał skróty kilku serwisów informacyjnych, z których najświeższy pochodził sprzed dwóch tygodni. Nastawił budzik na czwartą rano i poszedł spać.

Tak jak planował, obudził się przed świtem. Ale ze snu wyrwał go nie terkoczący dźwięk budzika, a mocny, rytmiczny sygnał wojskowej trąbki sygnałowej. Garnizon Korniejewo został zaatakowany.



Kajetan wybiegł z budynku, jeszcze dopinając pas z mieczem i kaburą peemu. Nie musiał zgłaszać gotowości bojowej w dowództwie fortu – ważniejsza była ochrona znaleźsk – chciał się zorientować, co się dzieje.

Niebo było ciemne, chmury przesłaniały księżyc i gwiazdy. W ten mrok, niczym w czarny kozuch przykrywający stanicę i otaczający ją las, wbijały się teraz snopy jaskrawego światła z rozmieszczonych na



wieżach reflektorów. Szperacze przeszukiwały niebo, kładły się niżej, by oświetlić teren wokół fortu, a czasem i sam fort. W kolumnach magicznego białego światła wypalały się co chwila różnobarwne iskierki nanokadabr, a na granicy między blaskiem i ciemnością plotły się błyski wyładowań. Wewnątrz kolumn gęstniały też niewyraźne początkowo kształty bojowych świetlików, które co chwila wystrzeliwały w ciemność, szukając celu.

Trąbki wciąż grały pobudkę, ale szybko ich dźwięki zmieniły się, skomplikowały, połączyły w melodię. To trębacze zapletli ochronną muzykę, stawiając wokół fortu kolejne bariery obronne.

Komputery zaczęły włączać światła w niektórych budynkach osady, a wygaszać w innych, tak by rozświetlone okna tworzyły silne magiczne znaki, widoczne z daleka i już z dużej odległości blokujące drogę napastnikom.

W oddali zaterkotały pierwsze karabiny. Grzmotnęły granatniki.

Kajetan chwilę jeszcze postął na progu domu, zbierając te wszystkie sygnały i automatycznie wyszeptując mantry bojowe. Znów podniósł wzrok na niebo. Tak, było czarne, lecz na północnym zachodzie panował zdecydowanie gęstszy mrok. Chmura czarnego atramentu, obejmująca niemal jedną trzecią nieboskłonu, płynęła powoli ku Korniejewu, znacząc ślad marszu wojska barlogów.

Zerkając co chwila na chmurę, ruszył szybkim krokiem w stronę budynku dowództwa. Tam w skarbcu przechowywano jego znaleziska i tam właśnie musiał się stawić, by móc je ochraniać. Po drodze minął wiele osób, najczęściej biegnących i uzbrojonych. Byli wśród nich i żołnierze podążający na swoje miejsca zbiórki, i cywile, na czas ataku przyporządkowywani do różnego rodzaju służb pomocniczych. Kiedy wyszedł na główny plac, usłyszał jeszcze stukot podkutych kopyt i zobaczył tył kłusującego ku bramie głównej półszwadronu ułanów. Kałkany, okrągłe tarcze, które nosili na plecach, i proporczyki wieńczące

ich lance lśniły pomarańczowo.

Z dachu dowództwa podnosił się właśnie helikopter, przez plac przebiegał kolejny oddział żołnierzy i jechała karetka.

Palba stawała się coraz intensywniejsza, zlewając w jednostajny, miarowy terkot, przerywany czasem wybuchem granatów lub armatnich pocisków.

Trębacze umilkli, wypełniwszy swe zadanie – utworzyli wokół fortu oktawową barierę defensywną. Teraz odezwał się kościelny dzwon, miarowym biciem wtłaczając w nią moc.

Gwałtowny błysk przeciął niebo – to pierwszy z reflektorów trafił w czarną chmurę. Zakotłowało się, atramentowy kozuch ugiął się, rozstąpił. Sięgnął go kolejny świetlny promień, z którego wystrzelił także rój bojowych świetlików, zajadle atakujących i pożerających pole siły wroga. Magiczna chmura miała wszak dawać ochronę i moc idącym pod nią jegrskim oddziałom. Jeśli zostanie zniszczona bądź osłabiona, łatwiej będzie walczyć z agresorami. Dlatego kolejne reflektory wbijały się w nią, przecinały, wysyłały bojowe świetliki o różnych wzorach i mocy. Ale i chmura płodziła swoich obrońców – płaskie, nietoperzowe kształty planetników ciemniejszych jeszcze niż czerń, która ich zrodziła. Rzucały się na świetliki, wchłaniały je, czasem ginęły przy tym przepalane w nicość. Inne spływały z nieba ku walczącym żołnierzom, a następne kierowały się ku fortowi, po drodze formując się, zmieniając, przyjmując coraz wyraźniejsze i różnorodne formy. Tłukła w nie artyleria naziemna i magiczne światło szperaczy, wreszcie w polu walki pojawił się i helikopter z jarzącą się na burcie biało-czerwoną szachownicą.

Kajetan dotarł wreszcie do bunkra kwatery głównej. Od razu widać było, że jest to najważniejszy obiekt w całej stancy. Komendanturę otaczał roślinny strażopłot, gęsty, czarnozielony i śmiertelny dla intruzów, z jednym tylko przejściem, pilnowanym teraz przez czwórkę strażników. Kilku innych, podzielonych na dwuosobowe patrole,

nieustająco krążyło wokół ogrodzenia. Na dachu dowództwa stały wielofazowe szperacze różnej wielkości. Non stop przeczesywały niebo, tworząc nad kwaterą ochronny strop ze światła i wirujących świetlików. Pomiedzy nimi przemykały też ciemne sylwetki bojowych ptaków. Przy rozstawionych w rogach kwatery głównej działkach krzątali się artylerzyści.

Kajetan stanął przed strzegącymi bramy żołnierzami.

— Oto mój znak – dotknął zawieszzonego na szyi Klucza. Dowódca warty chyba był nowy w Korniejewie, bo nie rozpoznał Kajetana. Zgodnie z procedurą uaktywnił swój strażniczy pierścień i przeskanował sylwetkę przybysza. Geograf cierpliwie czekał, aż skaner zbierze jego indywidualną aurę. Pierścień zaśnił na zielono.

— Dostęp uprawniony – potwierdził strażnik, cofając się pół kroku i dając Kajetanowi przejście.

Gałęzie rozstąpiły się, otwierając bramę, i Kajetan ruszył w stronę dowództwa garnizonu Korniejewo. Próbował znów spojrzeć na niebo, ale ściany budynku z jednej, a strażopłot z drugiej strony zasłaniały widok. Tylko z wciąż gęstniejącego huku eksplozji można było się domyślić, że atak nie słabnie i zbliża się do stancy.

Nagle mężczyzna zatrzymał się. Poczł ból. Lekki, pełgający, niemal na granicy wycucia. Przez chwilę myślał, że to barlogom udało się przełamać bariery ochronne fortu i zaatakować obrońców. Ten pierwszy ślad bólu byłby wtedy tylko zapowiedzią cierpienia, jakie miałyby za chwilę spaść na ludzi i elfy, zmuszając ofiary do wycia, szarpania własnych ciał, szaleństwa i samobójstwa.

Tak właśnie stałoby się, gdyby czarna chmura przedarła się nad osadę i opadła na ziemię w postaci atramentowej, zimnej rosy. Gdyby zrzucony przez nią deszcz złowadów wymył powietrze z ochronnych nanokadabr, tak jak zwykły deszcz zabiera ze sobą roślinne pyłki. Gdyby mroczne krople przepaliły ludzką skórę, a ich aura – ludzkie umysły. Wtedy

Korniejewo by padło, a ci obrońcy, którzy przeżyli, zostaliby zamienieni w niewolników.

Na szczęście ćmiący ból, który poczuł Kajetan, nie był pierwszym sygnałem klęski. Nie. Jego źródło mieściło się wewnątrz Korniejewa, blisko miejsca, w którym znajdował się mężczyzna. Obok komendantury stał mniejszy obiekt, bunkier niemal całkowicie zagrzebany w ziemi. Kajetan wiedział, że to specjalny budynek, magicznie wygłuszony, którego ściany stanowiły skomplikowaną konstrukcję z betonu, stali, mithrilu i drewna głogu. Bunkier wykorzystywany był do przechowywania szczególnie cennych artefaktów, zawierania najmocniejszych umów i prowadzenia najtajniejszych narad. A teraz pomimo metrów betonu i mikrometrów metalu elfów sączyła się zeń magia. I cierpienie – ćmiące niczym ból zęba, ale rozlewające się po całym organizmie.

Wejścia do bunkra pilnowali kolejni strażnicy, tym razem dwóch elfów z dziwnej, biało umundurowanej formacji, którą widział w ciągu dnia. Zagrodzili Kajetanowi drogę, lecz niemal natychmiast zorientowali się, kim jest. Pochylili głowy z szacunkiem. Odwzajemnił ukłon i wąskimi betonowymi schodkami zszedł do drzwi bunkra. Otworzył je, mamrocząc mantry uśmierzające, nie przewidział jednak siły uderzenia. Zabolało mocniej, a w nozdrza wdarł się gnilny smród. Kajetan poczuł gwałtowny, adrenalinowy impuls. Tam w środku było coś złego, bardzo złego i na dodatek obdarzonego potężną mocą. Bardzo, bardzo groźnego.

I wtedy wyczuł coś jeszcze, ledwie ślad pięknego zapachu, trop woni niosącej radość i szczęście.

Szybko wszedł do środka, zatrzasnął drzwi, stanął przed kolejnymi, a potem jeszcze przed następnymi. Przedarcie się przez śluzy zajęło mu sporo czasu, ale rozumiał, dlaczego zbudowano ich aż tyle. Miały chronić tych w bunkrze przed światem zewnętrznym. I świat zewnętrzny przed tym, co czasem w tym bunkrze przechowywano. Tak jak teraz.

Ruszył wąskim, słabo oświetlonym korytarzem. Na jego ścianach dostrzegł ochronne płaskorzeźby i graffiti, kilka krucyfiksów, a po chwili zorientował się, że każdy jego krok śledzi umieszczona pod sufitem kamera.

Korytarz opadał, za kolejnymi drzwiami przekształcał się w wąską galeryjkę otaczającą dużą halę, wypełniającą zapewne większą część bunkra. Podłoga sali znajdowała się jakieś osiem metrów niżej, a strop – tuż nad głową Kajetana.

Wciąż szepcząc ochronne mantry – bez nich pewnie już by wył z bólu – zatrzymał się na krawędzi galeryjki i oparł o ochronny płot z metalowych prętów pomalowanych w biało-czerwone pasy. Spojrzał w dół.

Najpierw zobaczył stwora. Czarny kształt miotał się w niewidzialnej klatce stojącej w samym centrum bunkra. Ściany więzienia były przezroczyste, uformowane z magii i eteru. Czasem tylko, gdy potwór uderzył w nie szczególnie mocno, wydawało się, że można dostrzec w powietrzu równe pętle biało-czerwonego drutu otaczającego potwora niczym gigantyczna cewka. Na górze i na dole odchodziły od niej dwa kable, zbiegające się w pudle urządzenia już jak najbardziej widzialnego – szafy pełnej pulsujących świateł, wskaźników, eteralnych komutatorów i bezpieczników. To był silnik generujący moc do niewidzialnej cewki wytwarzającej magiczne pole i więżącej potwora.

Wyglądał niczym żywy, poruszający się kłęb żył i tętnic, odtwarzający pokrój ludzkiego ciała i sylwetki, ale nie wypełniony mięsem. Tylko w miejscu oczu pulsowały grona światłoczułych soczewek, a zbudowane z linii i rurek ręce były dziwnie długie. Potwór giął się, zwijał, uderzał w ściany cewki eteralnej, wciąż się przekształcając, zmieniając proporcje, siejąc wokół czarnymi i srebrnymi fagami zarazy, bólu i straty. Z potężnego ciała odarła go eteralna maszyna więzienna, ale mocy nikt i nic nie mogło mu zabrać – co najwyżej uwięzić razem z nim. Lecz część z

impulsów wyciekała z klatki, były tak silne i żywotne, że przesączały się nawet poza granicę bunkra.

Uwięziony stwór nie był przekształconym człowiekiem – jegrem, wandalą czy wampirem. Nie, to był graf, sługa barlogów, który przybył na Ziemię z tamtego, czarnego świata.

„Wyobraź sobie myśli i odczucia człowieka – powiedział kiedyś Kajetanowi jego przybrany ojciec – który torturuje dziecko i któremu to sprawia radość. Wiem, że to dla ciebie trudne... Ale pomyśl, bo przecież sobie czegoś takiego nie sposób wyobrazić, tak, pomyśl o człowieku, który zadaje ból bezbronnej istocie i czerpie z tego przyjemność. O tej obrzydliwej, okrutnej chwili, w której zaspokajają swoje wynaturzone pragnienia. Graf tak myśli zawsze, to obrzydlistwo non stop wypełnia jego jaźń i jest rozsiewane na umysły ludzi. Od tego można oszaleć. Dlatego nigdy – powtarzam, nigdy! – nie zbliżaj się do grafa bez przygotowania, bez wsparcia, bez zaufanej osoby”.

Przepraszam cię, ojczu, ale muszę to zrobić teraz!

Naprzeciwko klatki z grafem na wąskim i chyba niezbyt wygodnym krześle siedziała elfka, ta sama, którą Kajetan widział wcześniej z eskortą. Biały płaszcz zarzuciła na ramiona, nogi skrzyżowała po turecku, dłonie wsparła o kolana. Wpatrywała się w potwora, czasem podrywała ramiona, kreśliła w powietrzu dziwne znaki. Kajetan dopiero po chwili zorientował się, że wygląda to tak, jakby elfka głaskała, przytulała i pieściła grafa. Stwór musiał odbierać te gesty, paliły go chyba niczym święcona woda, bo szarpał się, walił w ściany klatki, pluł fagami.

Kobieta powiedziała coś do potwora. Kajetan wytężył słuch, lecz nie zdołał zrozumieć ani słowa. Za to graf usłyszał na pewno – zaczął się więc, przekształcać, raz po raz emitować fale bólu i pragnienie straszliwego zaspokojenia. Wyglądał groźnie i obrzydliwie jednocześnie, ale najgorsze myśli słał wprost w umysły patrzących nań ludzi.

Kajetan wyjął z kieszeni bloczek samoprzylepnych zaklęć. Oderwał

jedną żółtą karteczkę, przykleił sobie do piersi. Natłok płynącego od grafa zgiełku i bólu zmalął.

Teraz Kajetan usłyszał wyraźnie, co elfka mówi do potwora. Jak opowiada o swojej miłości. Jak czule szepcze do niego. Jak żali się nad nim i mu współczuje.

— Mów, mów – powtarza. – Już nie będziesz cierpiał. Mów, mów, kochany.

Nagle przerywa. Podnosi głowę, przesuwa wzrok po ścianach bunkra, galeryjce, wreszcie natrafia na Kajetana. Przez chwilę patrzy wprost na niego, ale jej spojrzenie biegnie gdzieś dalej, poza ścianę bunkra, poza Korniejewo, poza czas i przestrzeń. W oczach, błękitnych jak lipcowe niebo, ma łzy. I miłość.

Kajetan znów czuje ból i obrzydzenie. Wycofuje się z tego dziwnego i straszego miejsca, powoli, tyłem, krok po kroku. Już nie widzi kobiety, już ma za plecami chłód drzwi, już biegnie wąskim korytarzem.

Nie wie, o co tu chodzi, nie rozumie, co się dzieje...

Ta białowłosa elfka kocha grafa. Kocha wroga. Kocha potwora.

## 5.

Atak odparto przed świtem, a jeszcze w czasie bitwy do Korniejewa zaczął wlewać się tłum przybyszów. Byli wśród nich uchodźcy z okolicznych osad, całe rodziny z wozami, bydłem i dobytkiem, które kierowano do prowizorycznego miasteczka namiotowego przy wschodnich rubieżach stancy. Schodzili się też myśliwi i zwiadowcy, czy to chcący skryć się w bazie na czas zawieruchy, czy przynoszący nowe wieści, czy wzmacniający formacje obronne. Wracały też z lasu patrole straży granicznej i mniejsze oddziały, do niedawna stacjonujące w bazach polowych na zachód od Korniejewa. Co prawda do lasu natychmiast ruszały świeże czujki, ale w stancy zrobiło się tłoczno i gwarno. Pod jasnym, błękitnym, oczyszczonym z nocnego koszmaru niebie od czasu do czasu przepływały stada bojowych ptaków.

Ale najważniejszy transport przyszedł ze wschodu. Jeszcze przed ósmą rano do granicznych rogatek dotarł pierwszy wehikuł geomancyjny, a za nim niemal trzydzieści potężnych ciągników parowych, wiozących menhiry i moduły trylitowe. Kolumnę prowadziły i zamykały wozy piechoty. Po bokach kłusowało kilkunastu dragonów.

Dawno w Korniejewie nie widziano tak potężnego ładunku menhirów. Dowództwo preferowało raczej taktykę powolnego dostarczania kilku sztuk, obawiając się, że wielkie przerzuty zostaną zauważone przez barlogów. I słusznie, jak się właśnie okazało. Nocny atak czarnego zagonu miał zapewne na celu nie zdobycie samego Korniejewa, a przełamanie struktur obronnych utrzymywanych przez ten węzeł, wdarcie się na terytorium Polski i zniszczenie menhirów jeszcze w drodze. Próba wyjaśnienia, skąd barlogi wiedziały o transporcie, przyprawiała pewnie teraz o ból głowy najwyższe szarże w kontrwywiadzie.



Ale, na szczęście, atak został powstrzymany i megality dotarły na miejsce. Ciągniki wjechały do Korniejewa, zajmując wszystkie główne ulice i plac centralny. Zaroiło się wokół od żołnierzy, służb pomocniczych i inżynierów wojsk geomancyjnych, zwanych obeliksami.

Szykowała się więc gigantyczna operacja budowlana. W ciągu kilkunastu dni ochraniani przez żołnierzy geomanci spróbują postawić menhiry i trylity na nowej rubieży obronnej. W ten sposób utrwala polską władzę na ziemi odbitej w ciągu ostatnich miesięcy walk i zabezpieczą te tereny przed magią czarnych. Na tak odzyskanym obszarze powstaną nowe stacje wojskowe i zostaną posadzone dęby graniczne wzmacniające magię megalitów. Potem rozpocznie się osadnictwo.

Od kilkunastu lat to ludzie i elfy byli w ofensywie, wrywając barlogom coraz to nowe obszary. Strategiczne plany – według wiedzy Kajetana – zakładały, że w ciągu kolejnej dekady polskie władztwo w pełni wróci na linię Odry.

Kajetan obejrzał sobie wchodzące do stancy wojsko, zamienił kilka zdań ze znajomym obeliksem, spakował się i już konno podjechał do otoczonego strażopłotem sztabu. Tym razem strażnicy rozpoznali go od razu, przytrzymali wierzchowca, gdy zsiadał, wpuścili do środka.

Nie wyczuł żadnej wrogiej magii. Może graf odpoczywał po nocnej aktywności, może jego moce osłabły w blasku słońca, a może wtedy był tak silny, bo czuł zbliżających się sojuszników. Za to nozdrza Kajetana połaskotała owa słodka, miła woń, którą poczuł w nocy. Biała elfka musiała być gdzieś blisko.

Odmeldował się, wypełnił stosowne dokumenty i pobrał z magazynu dwa małe, hermetyczne pojemniki zawierające najcenniejsze znaleziska z ostatniej wyprawy – skroplone aury kilku napotkanych poza Horyzontem zdarzeń i istot. Z tych substancji magowie w Warszawie będą w stanie wycisnąć wiedzę tak o samych stworzeniach, jak i o

naturze świata, do którego trafił Kajetan. Podobnie biolodzy potrafią wydobyć DNA z kilku komórek zwierzęcia i odczytać informacje o jego kształcie, zachowaniach i ewolucyjnej przeszłości.

Kajetan umieścił oba termosy w specjalnej sakwie, którą potem starannie przytroczył do pleców. Mógł ruszać w drogę, ale chciał jeszcze wpaść do baru i pożegnać się z Urlichem.

Wyszedł z budynku sztabu, zmrużył od słońca oczy i raz jeszcze spojrzął na bunkier, w którym przetrzymywano grafa. W tym właśnie momencie drzwi budynku otworzyły się i stanął w nich wysoki, umundurowany elf w szarży rotmistrza. I on dostrzegł człowieka. Od razu ruszył w jego stronę.

— Witaj, geografie! – powiedział, gdy stali już niemal twarzą w twarz.

— Witaj, Gardanie – odparł Kajetan, tonem głosu dając do zrozumienia, że nie w smak mu ta rozmowa.

— Więc wyjeżdżasz?

— Za chwilę.

— Widziałeś, co działo się w nocy. Jesteś tutaj, geografie, masz moc. Wesprzyj nas.

— Wiesz, że już nie służę.

— Mam mało ludzi, pomóż mi.

— O co ci chodzi?

— Jutro pani Anna Naa'Maar będzie wracać do Polski. Tu robi się zbyt niebezpiecznie. Poczekaj, zabierz się z jej konwojem.

— Nie mogę czekać.

— Czemu?

— Bo tu jest zbyt niebezpiecznie, sam powiedziałeś. Nie mogę ryzykować, że moje trofea przepadną. Wiesz to doskonale.

Elf nie odpowiedział od razu, patrzył na Kajetana. Wiatr rozwiewał jego długie, jasne włosy, w wąskich elfich oczach lśniły pomarańczowe tęczówki. Gładką, dziewczęco delikatną skórę twarzy znaczyła długa

blizna przecinająca prawy policzek.

— Kiedyś byłeś inny.

— Kiedyś służyłem w armii. Musiałbym zostać. Teraz służę hetmanowi koronnemu. Zostając, złamałbym jego rozkazy. Przecież to wiesz.

— Tak – powiedział elf po kolejnej chwili wahania. – Wiem.

— Więc po co... – zaczął Kajetan, ale Gardan mu przerwał: — Bo trzeba ją chronić, bo każdy miecz może być potrzebny, bo jesteś człowiekiem.

— A ona? Kim ona jest?

Przez twarz Gardana przemknął cień uśmiechu.

— A więc nie wiesz? Ty, geograf, podróżujący po światach poza Horyzontem. Ty, syn przyjaciela elfów, ty, posiadacz Klucza Przejścia?

— Tak, ja, zmęczony tą rozmową człowiek... Nie wiem. I pewnie się nie dowiem, bo muszę już iść, a ty nie odpowiadasz na moje pytania, tylko głędzisz.

Elf nie dał się sprowokować. Znów się uśmiechnął.

— Ona jest katem – odrzekł spokojnie. – Chcesz usłyszeć więcej?

I opowiedział, choć Kajetan nie wszystko zrozumiał. Anna Naa'Maar należała do szczególnej kasty w społeczeństwie elfów – Zakonu Łabędzia. Jej zadaniem było wchodzić w umysły istot ze świata barlogów i ich sług. Rozumieć je, współczuć, wybaczać. Kochać je, a tą miłością zadawać ból i wydobywać informacje.

Barlogi, grafy, jegrzy są źli. Nie dlatego, że wyznają inne wartości, religię czy porządek społeczny niż ludzie i elfy. Nie dlatego, że chcą podbić Ziemię, tak jak podbili już wiele innych światów, i że na zdobytych terenach narzucają swą okrutną władzę. Są źli w sposób elementarny, karmią się strachem i bólem, czerpią siłę i rozkosz z cierpienia innych istot.

Schwytani – oczekują ze strony swych strażników walki, zemsty,

poniżenia, fizycznego bólu. Tymczasem Łabędzie kochają ich. Wybaczają. Żałują. Przenoszą na drugi kraniec etyki, odwracają znaki na osi emocji.

Graf czerpałby satysfakcję z zadawania bólu małemu dziecku. Ale jeszcze większą z obserwowania cierpienia matki tego dziecka zmuszonej do patrzenia na okrutny rytuał. Dla niej ta rozkosz wydaje się obrzydliwa, niepojęta, ona cierpi, płacze. Graf triumfuje.

Lecz oto pojawia się Łabędź. Biały, czysty, rozmodlony. Przychodzi do grafa bez nienawiści i pogardy, nie zamyka umysłu przed jego zapachem i emocjami. Błogosławi go, zasklepia jego gniew, pieści umysł. Daje dobre sny, piękno, miłość. I w ten sposób zadaje straszliwy ból, miazdzy, poraża. Jest katem i psychologiem, spowiednikiem i inkwizytorem, matką Teresą z Kalkuty i Torquemadą. Białym Łabędziem.

Kajetan nie przerywał Gardanowi, milczał też, gdy elf skończył opowieść i wyraźnie czekał na komentarz.

— Rozumiesz teraz...

— Rozumiem. Ty też z nią nie jedziesz. Będzie ją eskortować tylko oddziałek jej osobistych strażników i ludzie. Dlatego chcesz, żebym ich wzmocnił.

— Tak.

— Czemu nie użyjecie helikoptera?

— Żaden helikopter nie uniesie skrzyni z grafem. Czarni nie mogą oderwać się od ziemi. Nie wiesz o tym?

— Wiem, to daje nam przewagę w tej cholernej wojnie. Ale myślałem, że mądrale w Warszawie rozgryźli już ten temat podczas mojej nieobecności.

— Nie rozgryźli.

Znów chwila ciszy. Nagle elf drgnął, odwrócił się. Drzwi bunkra ponownie się otworzyły i w progu stanęła elfka w białej szacie, Anna Naa'Maar z Zakonu Łabędzia. Zobaczyła mężczyzn, uśmiechnęła się i ruszyła w ich stronę.

— Boicie się jej – szybko szepnął Kajetan. – Prawda? Nawet wy, elfy. Szanujecie ją, uznajecie jej kunszt, ale się jej boicie.

Elfka była coraz bliżej. Dopiero dziś, w pełnym świetle dnia i z bliska, Kajetan mógł zobaczyć, jak jest smukła i piękna. Miała delikatne rysy twarzy, wąski nos, pełne usta i błyszczące oczy. Bosa, ubrana jedynie w białą suknię sięgającą kolan, mocno wciętą w pasie, z odsłoniętymi ramionami. Jasne włosy splecione w kilkanaście warkoczyków opadały jej na ramiona i plecy, osłaniając spiczaste uszy. Wyglądała jak kilkunastoletnia dziewczyna, ale zapewne miała więcej niż sto ziemskich lat.

— Nie wiecie, czy istota, która zadaje ból, może być dobra? – szeptał dalej Kajetan, wpatrzony w zbliżającą się postać. Miał nadzieję, że elfka nie odczyta słów z ruchów jego warg. A może właśnie chciał, by je odszyfrowała.

— Nie wiemy, czy dobra istota może kochać potwory.

— I czy taka istota sama nie staje się potworem. Prawda?

Elf opuścił głowę i nie odpowiedział. Może dlatego, że Anna Naa'Maar stanęła już przy nich.

— Przepraszam, że musiałeś na mnie czekać, Gardanie – powiedziała.

Kajetan drgnął. Słowa elfki wpłynęły do jego umysłu, była w nich i niepewność, i prośba o przebaczenie, i obietnica zadośćuczynienia.

— Nic się nie stało, spotkałem starego znajomego. Nawet próbowałem go namówić, żeby nie wyjeżdżał z Korniejewa dzisiaj, tylko dołączył do ciebie, pani, jutro.

— I udało ci się?

— Niestety nie. To Kajetan Horwath, geograf w służbie hetmańskiej. – Elf zrobił krok do tyłu, jakby zapraszając ich do zbliżenia się i podania sobie rąk. Ale ani człowiek, ani elfka nie ruszyli się z miejsca.

— Zapewne ma swoje powody. Byłeś żołnierzem, Kajetanie? – spytała Anna Naa'Maar, a on poczuł się jak uczeń na przesłuchaniu w sprawie

jakiegoś szkolnego wykroczenia. Bał się i denerwował, lecz jednocześnie chciał odpowiadać długimi zdaniami, dodać coś od siebie, zrzucić winę na innych. I pragnął, by pytano go dalej.

— Tak, oglądałem straszne rzeczy.

— Dziś w nocy widziałeś mnie w trakcie pracy. I grafa. Tamte rzeczy były straszniejsze?

— Niektóre tak. A niektóre piękniejsze.

— Wędrowałeś po krainach po obu stronach Horyzontu?

— Tak, badam je i opisuję, dlatego jestem geografem.

— Ale szukasz czegoś innego, prawda? – Teraz spojrzała mu prosto w oczy. Znów poczuł uderzenie gorąca. Potem Anna Naa'Maar przeniosła wzrok niżej, a Kajetan odruchowo przykrył prawą dłońią wiszącą na szyi Klucz Przejścia.

— Tak, wciąż szukam.

— Zatem życzę ci powodzenia. Jeśli nie możesz na mnie poczekać, to ruszaj w drogę, ale... – zawiesiła głos, jakby się nad czymś zastanawiając albo szukając w pamięci potrzebnych faktów. – Ale myślę, że to nie jest nasze ostatnie spotkanie.

Uśmiechnęła się. Na chwilę z jej oczu i twarzy zniknęła powaga, zaduma istoty niosącej mroczne tajemnice. W tym uśmiechu była pewność, że to, co ma nastąpić, będzie dobre i przyjemne. Taką ją wtedy zapamiętał Kajetan. Elfkę o twarzy szczęśliwej nastolatki, której bali się nawet jej współbracia.

## 6.

Aktualnie na odcinku Zielona Góra – Jomsborg Odra płynęła korytem biegnącym kilkadziesiąt kilometrów na zachód od starorzecza. Wielka wojna zmieniła geografę środkowej Europy. Atlantyk zatopił Danię i północne Niemcy, wypiętrzyły się nowe góry, wyschły stare rzeki. Stanica Korniejewo znajdowała się w okolicy dawnego niemieckiego Zechina. Najbliższą większą cywilną osadą, niemal pięćdziesiąt kilometrów na wschód, był gródek w Witnicy, strzeżony, tak jak osiemset lat temu, przez zakon templariuszy. Dwie trzecie tej drogi biegło przez lasy i ugory, tereny zamieszkałe z rzadką, a stanowiące bezpośrednie zaplecze strefy frontowej. Prawdziwa Polska zaczynała się za twierdzą Gorzów, jednym z najważniejszych węzłów obronnych zachodnich Kresów. W drugą stronę dzikie tereny ciągnęły się aż do Łaby, wyznaczającej granicę państwa barlogów.

Od blisko trzydziestu lat panował tu względny spokój, choć ludzie i elfy systematycznie przesuwali swe władztwo na zachód, a wojenne zagony czarnych wbijały się czasem w głąb kraju, kilkakrotnie nawet na przedpola Gorzowa.

Szeroki trakt początkowo wiódł przez liściastą puszcę i Kajetan bardzo lubił ten fragment trasy. Chyba najbardziej w maju, kiedy las budził się do życia. Rosły tu jarzębiny, kwitnące wtedy biało-żółtymi kwiatami dającymi silny migdałowy zapach, brunatne kasztanowce, jasnoszare kaliny, trafiały się klony i lipy.

W regularnych odstępach nad traktem piętrzyły się potężne dęby, posadzone przed laty dla wzmocnienia aury. Otoczone płotami z kutego mosiądzu, z kapliczkami przymocowanymi do pni, z mosiężnymi runami wbitymi w korę, miały blokować czarnych geomantów, a w razie potrzeby dawać moc polskiemu wojsku. I najwyraźniej wiele dębów

wypełniło swe zadanie w przeszłości, bo wzdłuż drogi stały też wypalone kikuty starych drzew, trafiały się i pnie skamieniałe, zamienione w bursztyn, metal lub kość. Zwykle obok rosły już nowe, młode drzewka, posadzone przez obeliksów i przez nich dogładane.

Ale wędrowiec mógł natknąć się na jeszcze inne miejsca, wypalone ludzką lub elfią ręką. Betonowe czapy, często wysprajowane ochronnymi graffiti, przykrywały korzenie drzew, które nie wytrzymały presji barlogów i przemieniły się w ich sługi. Wzmacniały magię czarnych, przekształcały geografię okolicy, atakowały podróżnych. Drzewa takie wypalano do korzeni ogniem i magią, księża je egzorcyzmowali, geomanci odprawiali elfie rytuały. Potem oddziały saperów i myśliwych wchodziły w las – ludzie z terkoczącymi licznikami, elfy z pierścieniami mocy – w poszukiwaniu skażonych żołądździ, zwierząt, które mogły je zjeść, i siewek czarnych dębów.

Przez cały dzień Kajetan spotkał jedynie dwa małe konwoje zdążające do Korniejewa. W pierwszym jechało paru kupców prowadzących załadowane wozy i objuczone konie. Wybierali się nie tylko do samej bazy, ale też do wsi i osad leżących na zachód od niej, tak więc informacje o ostatnim szturmie czarnych mocno ich zaniepokoiły. Rzecz jasna, nie zrezygnowali z dalszej podróży. Najlepsze zyski osiąga się wszak wtedy, gdy jest niebezpiecznie.

Kilka godzin później wyminął Kajetana oddział szaserów. Ci nie zwolnili nawet, to geograf musiał im ustąpić drogi, zresztą zgodnie z panującymi na trakcie zasadami. Wojsko przodem!

Teraz jednak nic ciekawego nie działo się na szlaku. Lipcowe słońce przyjemnie grzało twarz, w gałęziach drzew trwał ptasi harmider, gdzieś niedaleko cierpliwie pracowały dwa dzięcioły. Tak, Kajetan lubił ten fragment drogi, bo dopiero to właśnie miejsce, a nie Korniejewo, wydawało mu się zawsze pierwszym kawałkiem wolnego, bezpiecznego świata. Do stancy wracał po tygodniach pobytu na rubieżach, po



penetracjach krain za Horyzontem, po walkach, które musiał stoczyć. Bez wątplenia mógł tam odpocząć i czuć się bezpieczny, nawet jeśli zdarzały się takie sytuacje jak wczorajszej nocy. Jednak Korniejewo było bazą wojskową, rozrastającą się już wprawdzie w cywilną osadę, ale wciąż żyjącą w bojowym reżimie, estetyce i celu. Śmierdziało tam smarem pancernych wozów, końskim łajnem i magią czarnych. Dopiero tutaj zostawiał to wszystko za sobą. Wierzchowiec szedł powoli, drzewa szumiały, czasem przez trakt przebiegł szarak albo poderwał się ptak.

W regularnych odstępach na poboczu stały zbite z drewna zadaszenia, stoły i ławy, często z wkopanymi w ziemię pompami. Obok wielu z nich znajdowały się puste place zryte kołami i gąsienicami zatrzymujących się tu pojazdów. Mniej więcej co dziesięć kilometrów parking był jeszcze większy, a jego zabudowę uzupełniały cysterny na wodę oraz składziki węgla i drewna dla parowych ciągników, które często woziły na tej trasie zaopatrzenie.

Na krótkich odcinkach droga wyłożona była betonowymi płytami. Wtedy łagodny chód konia zamieniał się w pospieszny stukot kopyt, jakby zwierzę chciało jak najszybciej znów znaleźć się na miękkiej ścieżce.

Tak, dopiero na tym szlaku Kajetan czuł prawdziwie, że właśnie kończy kolejną wyprawę, że znów jest bezpieczny, że wraca do miejsca, które było jego domem od ponad dwudziestu lat, do Warszawy.



Przysypiał w siodle, więc nie zwrócił uwagi na pierwszy impuls z azymuletu. Drugi, mocniejszy sygnał – jakby dotknął nadgarstkiem czegoś bardzo ciepłego – obudził Kajetana w pełni. Odruchowo poprawił sakwy na końskich bokach, zlustrował broń. Nie spodziewał się tu

żadnego zagrożenia, ale nawyki z długich tygodni przebywania w mniej bezpiecznych miejscach wciąż działały.

Kilka minut później po przejechaniu łagodnego zakrętu zobaczył ludzi krzątających się na poboczu drogi. I oni spostrzegli Kajetana, przerwali pracę, dwóch wyszło na szlak, przerzuciwszy broń z pleców. Trzeci został, cofając się nawet w głąb lasu, by zająć lepszą pozycję strzelecką. Zachowywali się spokojnie. Nieraz spotykali na szlaku wędrowców, czuli się tu bezpiecznie, ale woleli przestrzegać regulaminu.

Kajetan podjechał bliżej. Teraz dostrzegł obok drogi betonowy sześcian wymalowany znakami ochronnego graffiti. Konstrukcja była nowa – zdeptana i zryta kołami koparek ziemia wokół betonowego klocka nie porosła jeszcze trawą i krzakami, farba na jego powierzchni lśniła świeżością. Drewno, z którego zbudowano stojącą obok niewielką kapliczkę z mało raczej udanym Jezusem frasobliwym, jeszcze nie poczerniało.

Wcześniej w tym miejscu, o ile dobrze pamiętał Kajetan, stał dąb geomancyjny. Najwyraźniej potężne drzewo, które przetrwało wielkie bitwy sprzed kilkadziesiąt lat, w końcu uległo jakiemuś zagonowi jegrów albo fali magii płynącej wraz z takim atakiem.

— Stój! – jeden z żołnierzy potwierdził komendę, podnosząc ramię, lecz w jego głosie i postawie nie dało się wyczuć napięcia. Na pewno zdążyli już przeskanować Kajetana i sprawdzić jego aurę. No, ale procedura to procedura i musieli ją przeprowadzić.

— Zsiądź z konia i okaż dokumenty – powiedział drugi, młody, jasnowłosy podporucznik w polowym mundurze z dystynkcjami służb geomancyjnych. Na piersi dyndała mu upstrzona farbą przezroczysta maska używana w czasie sprajowania.

— Witam! – uśmiechnął się Kajetan, zeskoczył z wierzchowca, z kieszeni kurtki wyjął plastikową kartę identyfikacyjną. Żołnierz wyciągnął rękę, teraz dopiero zorientował się, że wciąż ma założone

upaćkane farbą rękawice. Mruknął coś pod nosem, najpewniej niegrzeczną uwagę wobec samego siebie, ściągnął je, podał koledze i odebrał od Kajetana ajdi. Przesunął plastikową kartę nad prawym nadgarstkiem, w zasadzie nad czujnikiem wszytym w rękaw munduru. Przeczytał wyświetlający się na tymże rękawie krótki komunikat potwierdzający tożsamość Kajetana. Spojrzał na wędrowca uważnie, jakby szukając w jego oczach potwierdzenia, że to, co zobaczył, jest prawdą. Miał oto przed sobą niewiele od siebie starszego cywila, którego karta oznaczona była jednak najwyższymi priorytetami dostępu, a status umożliwiał przejęcie komendy i wydawanie rozkazów nie tylko jemu, podporucznikowi wojsk geomancyjnych, ale i dowódcy podporucznika, jak również dowódcy dowódcy. A i pewnie nie na nim kończyła się ta drabina zależności. Ten człowiek pracował bezpośrednio dla hetmana wielkiego koronnego.

Podporucznik postanowił jednak nie dać po sobie poznać, jakie wrażenie zrobił na nim ajdi Kajetana.

— W porządku – powiedział spokojnym głosem, oddając kartę. – Dziękuję.

— Dużo wędrowców? – spytał Kajetan.

— Nie, jest pan pierwszy od wczoraj – odparł dowódca patrolu. – To znaczy w stronę Polski, bo na Korniejewo szło kilka kolumn. No ale te pan pewnie widział.

— Obozujecie na parkingu?

— Tak, z kilometr stąd...

— Będzie wam przeszkadzać, jeśli do was dołączę? I tak zamierzałem się zatrzymać w ciągu godziny, a w kilku zawsze bezpieczniej.

Podporucznik zawahał się, nie był pewien, czy chce mieć tuż obok siebie tak dziwną osobę. Ale, rzecz jasna, nie mógł się nie zgodzić, pytanie Kajetana było tylko kurtuazyjne. Na szlaku wszyscy mogli korzystać z miejsc parkingowych, a ci, którzy wędrowali w prawdziwie

sekretnych misjach, i tak nie zatrzymywali się w takich miejscach.

— Oczywiście – odpowiedział więc, a po chwili dodał: – Możemy nawet tam jechać razem, robotę na dziś w zasadzie skończyliśmy.

Odwrócił się w stronę pobocza i krzyknął: — Janek, zbieramy się!

W krzakach zaszurało, zaszeleściło i na drogę, dopinając kaburę, wyszedł ostatni z geomantów. Ten też miał całe dłonie w farbie.

— No i dobrze, bo zgłodniałem jak diabli – powiedział, nie przejmując się najwyraźniej obecnością obcego.

Żołnierze przez kilka minut pakowali sprzęt. Podporucznik, który, jak się okazało, miał na imię Michał, zdemontował stojący obok betonowego sześcianu miernik aury. Urządzenie wysokie na półtora metra, kształtem przypominało dziewiętnastowieczny aparat fotograficzny, tyle że z dokręconą na czubku małą anteną satelitarną. Po złożeniu teleskopowych nóg i sferycznej czaszy dawało się zapakować do niewielkiego plecaka.

Ów Janek, także w stopniu podporucznika, wytargał z krzaków sporą skrzynkę i zaczął wkładać do niej puszki sprayów i szablony runów. Magiczne znaki musiały być malowane idealnie według wzorców. Nawet drobna pomyłka – złe postawienie kropki czy zawijasa – mogło wypaczyć znak elfów i wygenerować czar o niespodziewanych, czasem wręcz przeciwnych pierwotnemu celowi konsekwencjach.

Trzeci z żołnierzy, Piotr, był podchorążym Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie na wakacyjnych praktykach. Jemu więc przypadła w udziale najgorsza część pracy – posprzątanie po kolegach oraz dźwiganie wielkiego plecaka, którego zawartości Kajetanowi nie udało się poznać. No, a kiedy dotarli do obozowiska, to on właśnie wziął się za przyrządzanie posiłku. Zmierzchało.

Było na tyle ciepło, że żołnierze patrolu nie rozstawiali namiotów – spali w śpiworach pod jedną z drewnianych wiat parkingu, najsolidniej zbudowaną, ze świeżymi śladami łatania i naprawiania. Parking nie był

duży, składał się ledwie z trzech takich drewnianych półbudynków.

Stała tu niedawno zbudowana komórka mająca pełnić funkcję łazienki, a w krzakach pobłyskiwała sławojka, pomalowana przez jakiegoś dowcipnisia na wściekle pomarańczowy kolor. Pomiedzy wiatami, również pod niewielkim zadaszeniem, zmontowano solidne palenisko, stół i ławy. Tuż obok znajdowała się mała żółta skrzynka z końcówką sieciową. Kabel biegł pod ziemią aż do samego Korniejewa, specjalnym oprzędem osłonięty przed wpływem i wody, i magii.

Kajetan zajął się koniem. Zdjął i odstawił na bok kulbakę. Ściągnął mokrą derkę, rozłożył ją na trawie, żeby wyschła. Poklepał konia po szyi. Z mantelzaka wyjął kostkę cukru i dał siwkowi, który skwapliwie skorzystał z poczęstunku. Teraz Kajetan uważnie sprawdził kopyta wierzchowca. Na szczęście wszystko było w porządku. Przeprowadził konia do poidła, jeszcze raz poklepał po karku.

Teraz mógł się zająć sobą. Zrzucił koszulę, buty i spodnie, po czym napełnił wodą wiadro. Zatargał ciężki cebrzyk do niby-łazienki – budki z sosnowych bali, tak ciasnej, że wewnątrz nie dało się rozłożyć rąk. Na szczęście ktoś rozumny zbudował ją na kamiennej podmurówce, więc w środku nie było błota. Ba, na małej półeczce leżała nawet na wpół zużyta kostka szarego mydła. Kajetan zdjął bokserki, opłukał twarz i ramiona, po czym chlusnął na siebie całą zawartość wiadra.

— Cholera jasna! – przeklął swoje zamiłowanie do higieny, gdy lodowata woda spłynęła po plecach i nogach. Szybko wciągnął spodenki. Parskając i otrząsając się jak pies po długiej kąpeli, podszedł do ognia.

Trzej młodzi żołnierze już tam siedzieli, wpatrzeni niby to w płomień, a tak naprawdę w ustawiony nad nimi kociołek, z którego smakowicie parowała pomidorowa zupa.

— Nigdy nie widziałem takich bojowych tatuaży – powiedział Jan, nie odrywając wzroku od ognia.

— A dużo ich widziałeś? – spytał spokojnie Kajetan.

— Jestem malarzem geomantą. Uczę się wzorów. Masz na sobie potężne znaki – żołnierz uznał, że i on może przejść z Kajetanem na „ty”.  
– Pracujesz bezpośrednio dla hetmana. Jesteś magiem? Elfocześnie? Czy walczyłeś na wschodzie?

— Jestem geografem.

— A nie mówiłem! – powaga zniknęła z głosu Jana, wyraźnie triumfował nad kolegami. – Dawajcie po dyszce! No, panowie, szybciuteńko, po dziesiątaczku!

— Był pan za Horyzontem? – dowódca oddziału, Michał, nie zdecydował się na spoufalenie.

— Trzydzieści siedem razy – powiedział Kajetan. A po chwili milczenia dodał: – A w zasadzie trzydzieści osiem. Ale od razu uprzedzam, nie usłyszycie ode mnie niczego więcej.

— A w tych sakwach masz... – Janek nie ustępował.

— To, co myślisz. I jeszcze więcej. Ale nie bądź wścibski i nie dotykaj. A nawet się nie zbliżaj do moich bagaży. Chyba że chcesz zostać sparaliżowany na następne czterdzieści osiem godzin, a później stanąć do karnego raportu.

Michał uśmiechnął się, a Jan przez chwilę taktycznie pomilczał, a potem pogonił podchorążego.

— No, młody, nalewaj już tę pyszną zupkę, bo mi w brzuchu tak burczy, że słyszy mnie chyba sam król barlogów w Monachium.

Jedli w milczeniu i szybko, jakby bojąc się, że zabraknie dokładki. Żołnierze poczęstowali Kajetana chlebem, on odwdzieczył się dobrą, mocną kawą z termosu. Wraz z nadejściem zmroku zrobiło się chłodniej, więc przysunęli się bliżej ognia. Co dziesięć minut jeden z geomantów wstawał i ruszał na krótki obchód, by sprawdzić pieczęcie na totemach ochronnych otaczających parking. Kajetan docenił to. Pozornie wyluzowani, młodzi żołnierze nie zaniedbywali obowiązków. Nie była to czujność na pokaz, Kajetan zbyt wiele czasu spędził w wojskowych

obozowiskach, na zwiadowczych wyprawach i samodzielnych podróżach, by nie dostrzec pozornie drobnych, ale istotnych oznak potwierdzających wyszkolenie i dyscyplinę. Sposób, w jaki usiedli przy ogniu, trzymali broń, bez słów i ponagleń ruszali na kolejne patrole, dobrze świadczył o ich wyszkoleniu i zgraniu, nawet jeśli jeden z nich był tylko praktykantem na treningu.

— A wy co tu porabiacie? Front daleko, czarni tu nie dochodzą. – Gdy Jan ruszył na obchód, Kajetan przysunął się bliżej Michała.

— Był wypadek, trzy miesiące temu. Właśnie ten dąb, przy którego sarkofagu nas pan spotkał. Czarna infekcja. Barlogi udoskonalają złowady. Zaatakowali na północ od Korniejewa. Jęgrzy zostali odparci, jednak kilka bojowych rojów przedarło się przez granicę. Większość wydziobały nasze ptaki, rzecz jasna. No ale niektóre dopadły drzew. Widział pan kiedyś te ich kleszcze? Małe, czarne, latają rojami po kilka tysięcy sztuk. Potrafią kodować coraz bardziej złożone zaklęcia. Niszczą i menhiry, i drzewa.

— Ten teren jest stabilny? Szlak na Korniejewo nie zmienił się, odkąd tu bywam.

— To wymaga ciągłego umacniania, sadzenia nowych drzew. Na pewno słyszał pan, że w Polsce działy się dziwne rzeczy. No! – Zamilkł na chwilę, zbierając słowa. – Więc te robale dotarły aż tutaj, przeżarły drzewo, wypaczyły je i dodały tak potężnej mocy, że droga zaczęła się zapadać. Nasi interweniowali od razu, lecz dębu już nie zdołali uratować. Wypaliliśmy je do korzeni, a ze stu ludzi szukało w okolicy czarnych żołądździ i siewek. Znaleźliśmy też kilka skażonych lisów. Potworny widok. – Michał aż się wzdrygnął na to wspomnienie. – Nie mieliśmy ze sobą elfów, więc roboty było sporo. Potem zaplombowaliśmy skażone miejsce betonem. No i dyżurujemy tu regularnie. Odnawiamy wypalone runy na plombie, bo tam ziemia ciągle promieniuje czarną magią i farba płowieje. A przy okazji patrolujemy ze dwadzieścia kilometrów drogi. Niby nic się

tu nie dzieje, ale roboty sporo.

— Czemu was tak mało? To długi odcinek dla małego patrolu.

— Ha! – Michał dał Kajetanowi do zrozumienia, że docenia jego troskę. Zaraz jednak spoważniał. – Bo wojna idzie, tak myślę. Więc całe wojsko poszło na obsadzenie kresowych stanic albo cofnięto je na granicę Polski.

— I dlatego po drogach łążą patrole poruczników i chorążych – dodał Janek, który właśnie wrócił z obchodu i stanął za plecami rozmówców. – Znaki były w Polsce, pewnie to już wiesz. Wielka inżynieria geomancyjna zaczyna się na Kresach, to także pewnie zauważyłeś. No i barlogi się burzą. Bo jak już postawimy te wszystkie menhiry, to stracą kawał terenu. Myślę, że na to nie pozwolą. Zbierali siły przez tyle lat, hodowali jęgrów i nowe złowady. I pewnie ich się tu jeszcze więcej znalazło z zaświatów. Mówię wam, ruszą na nas jeszcze w tym roku! Ale najbliższy miesiąc minie nam spokojnie! Możemy się założyć, ja zawsze wygrywam!

Nieco później, gdy Kajetan kładł się spać, słowa młodego podoficera wciąż dźwięczały mu w uszach. To samo mówili ludzie w Korniejewie. To samo wyczytywał z twarzy elfów. Wojna. Nadchodzi wojna. Kiedy usnął, nie dręczyły go żadne koszmary.

Obudził się w środku nocy. Usiadł na pościeli, zlustrował wzrokiem otoczenie. Konie posapywały cicho, z oddali dobiegało pohukiwanie sowy. Ciemny kształt – pewnie nietoperz – przemknął nisko nad obozowiskiem. Kajetan chwilę szukał wzrokiem strażnika, w końcu dostrzegł cień przesuwający się na granicy lasu, ale nie potrafiłby powiedzieć, który z młodych żołnierzy trzymał właśnie wartę. Spojrzał na zegarek – wpół do trzeciej. Środek nocy. Trzeba spać, bo jutro kolejny męczący dzień. Trzeba spać.

Poprawił pościel, zwinął służący za poduszkę koc. Położył się, wsuwając pod niego prawe ramię. Zawsze zasypiał z ręką pod głową, co kończyło się czasem przykrym odrętwieniem i chwilowym bezwładem.



Kajetan usnął ponownie bez większych problemów.

Tym razem dopadły go koszmary, a obudziło dobiegające z daleka wołanie o pomoc Anny Naa'Maar.

## 7.

Kiedy pędził przez las, wciąż słyszał w głowie jej głos. Jakby senne wezwanie zostawiło w jego mózgu znacznik wskazujący właściwą drogę. Nie znał szczegółów, nie widział wyraźnych pejzaży, nie potrafił ostro odróżnić otrzymanej wizji od swoich wyobrażeń. Jednak to nie rozum go teraz prowadził, a instynkt, niczym laserowy wskaźnik wyznaczający trasę i cel. Wciąż słyszał krzyki ze snu – ostrzegawcze zawołania ludzi, bojowe zaklęcia elfów, wrzask atakujących jegrów i jęk ich wierzchowców, niczym kamień trący o szkło. Widział obrazy, zastygłe w bezruchu zdjęcia, półsekundowe fragmenty ruchu, poszatkiwane pikselozą i wynaturzone płynnymi odkształceniami. Sceny walki, śmierci ludzi i elfów. Rozpad jegrów.

Widział też, jak miedziana skrzynia zrywa przykuwające ją do wozu pęta, unosi się w powietrzu, pokrywa się pęknięciami, rozpryskuje.

Jak wynurza się z niej ciemny kształt.

A potem śmierć, śmierć, śmierć, padają kolejni ludzie i elfy z Zakonu Łabędzia zasłaniający swą panią, śmierć, śmierć, śmierć. Z lasu wyjeżdżają wciąż nowi jegrzy.

Ucieczka, pęd, gałęzie drzew łamiące się na ochronnym polu otaczającym Annę Naa'Maar i jej wierzchowca. Cień za plecami. Czary gubiące, zamazywanie drogi, pęd, wciąż pęd.

Anna Naa'Maar uciekała przed pościgiem, rozpaczliwie wysyłając całemu światu mentalne SOS. Drogę do Korniejewa miała odciętą. Musiała zagłębić się w las. Liczyć, że ktoś ją tu wesprze.

A tu był tylko on i trzech młodych chłopców, którzy w walce z jegrami nie mieli najmniejszych szans.

Pędził więc na spotkanie, a wewnętrzny radar mówił, że jest coraz bliżej. I jednocześnie – że barlogi przełamały granicę Polski. Kajetan,

geograf, tropiciel szlaków, czuł, że świat wokół niego płynie, że wymiary pęcznieją i zapadają się, że lokalne horyzonty zdarzeń odcinają przestrzeń, a spięcie magii elfów i barlogów tworzy nową geografie pogranicza. Ziemia przy tym nie dygotała, drzewa się nie waliły, nie pękały kamienie. Wszystko działo się płynnie, bez punktów nieciągłości, w milczeniu.

Tylko moc mentalnej nici rozpiętej przez Annę Naa'Maar sprawiała, że wciąż znajdowali się w tym samym obszarze przestrzeni i że mieli szansę się spotkać. I nie byli tu sami.

Ciemność nocy ustępowała już świtowi, ale nawet tego nie zauważył. Nie wiedział, gdzie jest, nie obmyślał trasy. Jakby pędził środkiem zielonego wiru liści, rury ozebrowanej wygiętymi pniami. Szlak giął się, umykał na boki. Czasem w jego środku wyrastało groźnie drzewo, które zmuszało wierzchowca do gwałtownych manewrów, a jeźdźca do osłonięcia ramieniem twarzy przed poharataniem o roztrącane gałęzie. Czasem zdawało się, że leśny tunel zaraz się skończy, urwie gwałtownie, ale nie – gdy byli już blisko krawędzi, rura wydłużała się, rosła, kierując ku niewidocznemu celowi. Kajetan, prowadzony głosem Anny Naa'Maar, budował ten szlak przez puszcze przekształcaną teraz płuwami wrogich mocy.

Kajetan próbował wezwać pomoc przez radio, uaktywnił też azymulet, śląc w przestrzeń memy SOS. Na próżno.

A potem liściasty wir zwolnił, drzewa zaczęły się prostować i na powrót wypadli w normalną przestrzeń. Zmęczony wierzchowiec już zwalniał, charczał w biegu, piana płynęła po jego bokach. Potknął się raz i drugi. Zbyt nisko skoczył nad przewróconym drzewem, tak że suche gałęzie porysowały jego bok. Lecz biegł dalej, posłuszny jeźdźcowi i mocy szkolenia, które przed laty przyjął od elfów i ludzi.

Byli już niedaleko. Tuż-tuż.

## 8.

Kajetan zeskoczył z konia i stanął na skraju lasu. Przed sobą miał łąkę pokrytą wysoką trawą, gdzieniegdzie kępami krzewów. Linia drzew grodziła ją ostro, bez żadnego płynnego przejścia, co mogło świadczyć, że nie sama natura wykroiła z puszczy ten równinny kawałek ziemi. Trawiasty pas ciągnął się w obie strony po linię horyzontu, jego środkiem płynęła Komarka, rzeczka na tyle płytka i wąska, że nikt na niej nie budował mostów. Od miejsca, w którym stał Kajetan, było do niej może ze sto kroków. Trzy razy tyle dzieliło przeciwny brzeg rzeki od granicy lasu po drugiej stronie.

Stamtąd właśnie szedł ten impuls magii i smród jegrów. Już wkrótce wyjaśniło się dlaczego.

Oto ściana lasu po drugiej stronie rzeki rozwarła się na chwilę, niczym wrota wypuszczające z domu gości. Jeden po drugim wypadły z niej trzy białe wierzchowce. Konie były zmęczone długim biegiem, ale gdy wreszcie zobaczyły przed sobą wolną przestrzeń, wykrzeswały resztki sił i wyraźnie przyspieszyły.

Grupę prowadziła Anna Naa'Maar, nisko pochylona w siodle, z rozwianymi włosami, krwawym śladem na policzku. Z tyłu, wyraźnie ją osłaniając, galopowało dwóch elfów z przybocznej straży. I oni byli zmordowani, a jeden trzymał wodze tylko prawą ręką, lewą – najwyraźniej zranioną – przyciskając do boku. Nie oglądali się za siebie, ale nad ich głowami sunął sokół-zwiadowca, który co chwila zataczał kręgi i głośnym krzykiem meldował elfom swoje obserwacje.

Nim jeźdźcy przebyli połowę drogi dzielącą ich od rzeki, las otworzył się ponownie. Ruch był wyraźniejszy, ostrzejszy, jakby drzewa z ulgą rozchyłały gałęzie, by wypuścić coś, co sprawiało im ból. Jegrów.

Na łąkę wyskoczył najpierw jeden, potem trzech naraz, potem jeszcze

czwórka. Chwilę później kolejnych trzech. Czarne wierzchowce o pajęczych nogach bardziej skakały, niż biegły, w nierównym rytmie, niczym wielkie insekty. Wyciągnęły do przodu bezokie łby, węchem szukając tropu uciekinierów. Skórne kołnierze na ich szyjach naciągnęły się, odsłaniając zębate pyski o czterech ruchomych szczękach.

Jegrzy siedzieli w siodłach prosto i sztywno, jakby nierówny pęd koni nie robił na nich najmniejszego wrażenia. Ich czarne peleryny furkotały niczym ptasie skrzydła, symbiotyczne robaki tkwiące w oczodołach lśniły purpurowym blaskiem, niektórzy śpiewali. Wokół każdego jeźdźca unosiła się chmura czarnych fagów.

Wypadli na otwartą przestrzeń, dostrzegli zbiegów i natychmiast sięgnęli po broń. Mroźny krzyk przeszedł przez łąkę.

Na ten rozkaz ciemne fagi zgęstniały, zwały się, tworząc czarne ptaki podobne do łabędzi. Te, jeszcze nie w pełni uformowane, pomknęły na spotkanie sokoła elfów.

Kilku jegrów zwolniło bieg swych wierzchowców, sięgnęło do sajdaków po krótkie łuki. Załadowali je błyskawicznie i z każdego trysnął rój pierzastych strzał.

Ale elfy już chwilę wcześniej pojęły, że nie umkną pościgowi. Gdy tylko przejechały przez strumień, wstrzymały zmęczone wierzchowce i zawróciły. Dwaj żołnierze stanęli z przodu, osłaniając Annę Naa'Maar. Błysnęły srebrem wyciągane z pochew miecze. Elfka, nieco cofnięta, nie dobyła broni. Skuliła się w siodle, przeżegnała, złożyła dłonie i rozpoczęła modlitwę. I czary.

Ze strumienia w mgnieniu oka podniosła się wodna tafla, przezroczysta osłona oddzielająca dwa brzegi rzeki. Wydawała się niezwykle cienka, wyraźnie widać przez nią było szturmujących jegrów, ale wstrzymała wszystkie czarne strzały, które w nią trafiły. Wchodząc w nią, topiły się, rozpuszczały i ciemnymi smugami spływały w dół, do rzeki. Także jeden z czarnych niby-łabędzi nie zdołał poderwać się w

górze. Uderzył w zaporę i bezgłośnie się w niej rozpłynął.

W nozdrza obserwującego to wszystko Kajetana uderzyła fala smrodu – pośmiertnego krzyku ptaka.

Trzy pozostałe łabędzie już zwały się z sokołem, walcząc o to, kto zdoła narzucić swą magię ponad polem walki.

Nie było na co czekać. Kajetan sięgnął po markebuz. Przeładował właściwy pocisk, wyszeptał słowa zaklęć, przyłożył broń do ramienia i nacisnął spust. Rozległo się ciche „puch!” i z lufy wystrzeliła garść czerwonych, czarnych i białych farfocli, tak jakby karabin był karnawałową zabawką do strzelania konfetti. Ale nie był. Zaklęcie formujące zaczęło zbierać farfocle w jeden kształt, wydłużony, aerodynamiczny, długodzioby. Kajetan nie czekał, aż ptak uformuje się w pełni, załadował drugi nabój i strzelił ponownie.

Odłożył markebuz i sięgnął po sztucer. Kiedy brał na cel pierwszego jegra, dwa bojowe bociany już dotarły nad pole walki, wspierając sokoła elfów.

Kajetan strzelał raz za razem, starając się wykorzystać to, że wierzchowce jegrów zwalniały nieco, podchodząc do wody, by wyrównać rytm biegu przed skokiem przez przeszkodę. Trafiał często, ale większość pocisków rozpływała się na polach ochronnych jegrów, znacząc tylko miejsca wyładowań tęczowymi smugami, niczym benzyna rozlana w kałuży. Wreszcie udało się umieścić pocisk celnie, dokładnie w wizurze lśniącej blaskiem symbiotycznego robaka. Trafiony w oko jegra zaskowyczał, jego wierzchowiec także zacharczał, potem ciała jeźdźca i konia rozprysnęły się na milion małych kropel, a Kajetan poczuł smród śmierci.

Nie próżnowały i elfy. Wiedząc, że mają za plecami sojusznika, śmiało natarły na wyjeżdżających z rzeczki jegrów. Zadźwięczały miecze. Nad plecami elfów uniosły się siwe zjawy przodków, wyciągając ku jegrskim głowom mocarne ramiona.

Anna Naa'Maar wciąż tkwiła w siodle niemal nieruchomo, plotła swą magię, stawiając na rzece coraz to nowe zapory, blokując ruch jegrów, tak by jej towarzysze nie musieli się ścierać ze wszystkimi naraz przeciwnikami.

Pod mieczem elfa padł kolejny jegr, ale pozostali już przedarli się przez rzekę. Chcieli objechać elfów, otoczyć ich. Zakotłowało się, strażnicy próbowali osłaniać Annę Naa'Maar, ale w końcu i ona sama dobyła broni.

Strzelanie w ten wirujący kłęb ciał – jegrów, elfów, koni, duchów – mogło przynieść więcej szkody niż pożytku. Kajetan odrzucił sztucer. Lewą ręką sięgnął po peem, prawą po miecz. Z bojowym krzykiem runął ku walczącym.

Jeden z jegrów oderwał się od bitewnego kłębowiska, skoczył ku Kajetanowi. Czarny wierzchowiec zakwiczał, z jego pyska wytrysnął trujący dym, który zabiłby lub przynajmniej sparaliżował zwykłego człowieka. Ale Kajetan nie był zwykłym człowiekiem. Poczł tylko lekkie szczypanie oczu i mdły zapach wdzierającego się do płuc gazu. Spokojnie poczekał na nadjeżdżającego jegra, poderwał w górę peem, wycelował i palnął prosto w łeb wierzchowca. Pociski rozprysnęły się na magicznym czapraku konia, ale ogłuszyły go wystarczająco, by zarwał krok i zmienił tempo. Jegr machnął mieczem, ale bez szans na trafienie. Kajetan zrobił unik i sam chlasnął czarnego jeźdźca w ramię, po czym odskoczył w bok, by nie przygniotło go padające cielsko.

Skowyt, czarne krople, smród.

Kajetan natychmiast poderwał się, szukając kolejnego celu. Ale celu nie było.

Skażoną ziemię pokrywały czarne, smołowate plamy. Wierzchowce elfów stały obok siebie, a Anna Naa'Maar podtrzymywała swego towarzysza, najwyraźniej rannego. Trzeci elf podjeżdżał właśnie do strumienia, uważnie obserwując las po przeciwnej stronie, wypatrując

tam kolejnych napastników.

Sokół kołował nad ich głowami, wykrzykując swój triumf, a dwa bojowe bociany, doskonały wyrób fabryki broni w Radomiu, właśnie rozpływały się w powietrzu po wykonaniu zadania.

— Szybko! – powiedział Kajetan, wsuwając miecz do pochwy. – Musimy ukryć się w lesie. Drzewa są dobre. To polski las.



## 9.

Wydawało się, że nocny zmrok zapada szybciej, niż powinien. Słońce osunęło się już nisko, pod korony drzew, cienie wydłużyły, liście ściemniały. Pojawiła się mgła, początkowo płynąca przy powierzchni ziemi, szybko jednak podnosząca się i wpełzająca między pnie. Konie elfów przyjmowały to wszystko spokojnie, ale sokół nerwowo krążył nad jeźdźcami, nie oddalając się zbyt od nich, jakby bał się sam zapuszczać w ciemność lasu. On, władca otwartych przestrzeni, szybownik i wojownik, musiał przemykać między rozcapierzonymi konarami i krążącymi wirami mokrej mgły.

Może to były złudzenia, może nie działo się nic dziwnego, a tylko zmęczenie i przeżyte niebezpieczeństwa sprawiały, że wędrowcy czuli niepokój. Jednak wcześniejszy zmrok i cień na puszczy mogły też oznaczać coś naprawdę groźnego – przełamanie polskich linii obronnych i napłynięcie nad te tereny frontu czarnej magii przygotowującej nadejście barlogów i ich sług.

Najgorsze zaś było to, że Kajetan tak naprawdę nie wiedział, gdzie się aktualnie znajdują. Bezskutecznie próbował odszukać jakieś znajome elementy terenu. Czasem wstrzymywał konia, by określić dokładnie położenie. Próbował dostroić eteralne kompasy do linii wodnych cieków, ale azymulet nie dawał żadnych odczytów. Tym bardziej rosła w nim obawa, że barlogi ruszyły z poważnym kontrnatarciem, struktura terenu istotnie się zaburzyła, a szlaki, kierunki świata i znaki topograficzne zostały pomieszane.

Pomimo to wciąż podążali na wschód, a przynajmniej tak im się wydawało.

Za Kajetanem jechały dwa konie, niemal bok w bok. Na jednym pólleżał ranny w pierś elf. Tuż po potyczce, gdy Anna Naa'Maar

opatrywała jego rany, drugi elf przebudował kulbakę towarzysza do pozycji transportowej. Z dala można by ją teraz wziąć za skrzydła pegaza odgięte do tyłu łagodnym łukiem. Ranny mógł leżeć bez obawy, że spadnie na ziemię, nawet gdy uśnie albo straci przytomność. Elf był w złym stanie, gorączkował, majaczył. Miecz jegra przebił go na wylot, zatruwając ciało i sącząc w umysł trąd słabości. Anna Naa'Maar cały czas jechała obok. Wlewała mu w usta wodę, zmieniała opatrunki, próbowała wywabić złe fagi. Ale – jak sama powiedziała – tu potrzebny był dobry lekarz egzorcysta, który potrafiłby oczyścić i ranę, i myśli wojownika.

Straż tylną tworzył drugi elf. Na szczęście draśnięcia twarzy i ramienia nie okazały się zbyt groźne. Tyle że był zmęczony długą ucieczką, walką i złą aurą opadającą na świat. Co jakiś czas i on wymrukiwał ciche mantry, w których Kajetan rozpoznał kilka modlitw służących zamazywaniu śladów i utrudniających tropienie. Oczywiście Kajetan znał je w prostszej, przystosowanej dla ludzi wersji.

Wszystko wydarzyło się wczoraj. Anna Naa'Maar, jej ochrona z Zakonu Łabędzia i oddział żołnierzy ruszyli w drogę jeszcze tego samego dnia co Kajetan, tyle że wieczorem. Prowadzili wóz ciągnięty przez cztery woły, wiozący dużą miedzianą skrzynię. A w niej – grafa. Osłabionego wielodniowym więzieniem i przesłuchaniami, spętanego czarami elfki, ogłuszonego siłą miedzi. Kontrwywiad chciał go mieć w Warszawie. Konwój nie minął jeszcze pierwszego parkingu, gdy nastąpił atak czarnych. Błyskawiczny i niespodziewany. Równocześnie Korniejewo powiadomiło ich o szturmie i nakazało przyspieszyć marsz, potem łączność się urwała. No a później pojawił się oddział jegrów liczący kilkudziesięciu jeźdźców. Elfy i ludzie podjęli walkę, być może nawet udałoby im się odeprzeć atak, gdyby nie to, że graf zerwał pętające go więzy i wyrwał się ze swego więzienia. Zaczęła się rzeź. Wielu elfów i ludzi umarło, aby Anna Naa'Maar mogła przebić się przez linie wroga i umknąć do puszczy.

Uciekinierzy stracili łączność, wkrótce okazało się, że ich tropem podąża pościg. Na słane przez elfy wezwania o pomoc Korniejewo nie reagowało. Zapewne zajęte było swoją walką, o ile w ogóle wciąż jeszcze się broniło. Dwa, trzy razy namierzyli się wzajemnie z jakimiś polskimi granicznymi patrolami, równie zagubionymi, co oni sami, ale łączność szybko gasła. A to znaczyło, że las się zmieniał, że barlogi zaatakowały punkty geomancyjne i przejmowały kontrolę nad przestrzenią.

Na szczęście jedno z tych wezwań usłyszał Kajetan. I zdążył z pomocą.

Tyle zdołał się dowiedzieć z krótkiej rozmowy od wojownika Łabędzi. Anna Naa'Maar milczała, jeśli nie liczyć mantr medycznych i prób nawiązania łączności.

Kajetan spojrział na zegarek. Była druga w nocy, niebo czarne, a mgła i las skracały widoczność tak, że nawet przy delikatnym świetle latarki nie było widać dalej niż na kilka kroków. Mocne światło bali się włączyć.

Wstrzymał konia, poczekał, aż Anna Naa'Maar podjedzie bliżej.

— Pani, zatrzymajmy się tutaj na odpoczynek. Konie i my musimy odetchnąć, rannemu to się przyda, a drogi i tak szukamy teraz po omacku.

— Czy to dobre miejsce? – spytała cicho.

— Nie wiem, ale też nie wyczuwam żadnego zagrożenia. Tu jest wgłębienie terenu, spróbujmy się w nim ukryć, może nawet trochę rozgrzać.

— Mogą nas ścigać.

— Zapewne. Ale przecież prędzej czy później i tak będziemy musieli odpocząć. Lepiej, gdy to my wtedy będziemy wyspani, a nie oni. – Uśmiechnął się.

— To ty jesteś podróżnikiem, więc powinnam ciebie słuchać, prawda?

— A jeśli już nas nie będą tropić? Zdaje się, że osiągnęli to, czego chcieli. Odbili grafa.

Na twarzy elfki pojawił się smutny uśmiech, jakby na wspomnienie

czegoś miłego i tragicznego zarazem.

— Tak, straciłam go. Wiesz, że już za nim tęsknię?

— Za kim? – nie za bardzo zrozumiał.

— Za grafem. Jego imię w waszym języku brzmi Kolor.

— Bardzo ładne, takie, powiedziałbym... plastyczne. A jaki to kolor? Czarny? Krwawy? Trupi?

— Po prostu Kolor. I nie żartuj z niego. Jest zły. Bardzo zły. I wiesz, czego się boję?

— No?

— Że on też tęskni za mną.



Po wilgotnej i czarnej nocy nadszedł ciepły poranek. Swoje małe obozowisko zlikwidowali jeszcze przed wschodem słońca. Ranny elf – Omar – wciąż nie odzyskał przytomności, choć gorączka nieco zelżała. Kajetan i drugi elf – ten z kolei nazywał się Domicjan – ostrożnie zapakowali go w ochronne siodło, po czym oddziałek ruszył w dalszą drogę. Kajetan nadal nie potrafił ustalić pozycji, ale wstające słońce jasno wskazywało kierunek podróży – wschód.

Anna Naa'Maar nadal wydawała mu się tajemnicza i odległa, nawet jak na elfkę. Jednocześnie czuł, że ten dystans się skraca. Warunki, w jakich wspólnie podróżowali, nie sprzyjały eleganckim formom. Jasny strój miała pognieciony i pobrudzony. We włosy zaplątały się sosnowe igły. Małą rację śniadaniową pałaszowała pospiesznie, z wyraźnym apetytem i bez cienia szlacheckiej dystynkcji.

Mógł wreszcie spokojnie przyjrzeć się jej twarzy, delikatnej, o charakterystycznym dla elfów kształcie migdała, ale o nietypowo łagodnym łuku brody, nie tak ostro zaznaczonych kościach policzkowych

i dużych oczach oprawionych grubymi brwiami. Staranna do niedawna fryzura poległa w walce z wiatrem, gałęziami drzew i spaniem na poduszce z ramienia. Trefione włosy opadały na twarz i plecy w dużym nieładzie. Musiało ją to irytować, bo kilkakrotnie próbowała doprowadzić je do porządku, zaplatając w kok, który rozpadał się równie szybko, jak powstawał. Czoło i policzki elfki znaczyło kilka zadrapań.

O tak, mniej baczny obserwator nie miałby problemu z zobaczeniem w niej młodej, pięknej dziewczyny o egzotycznej urodzie i nieco dziwnym, jak na podróżowanie po lesie, stroju. Lecz Kajetan potrafił dostrzec te drobne szczegóły, które sprawiały, że wciąż nie czuł się przy niej swobodnie. Poruszała się z elegancją i wdziękiem, ale jednocześnie z uwagą i czujnością. Jakby każdy ruch, krok, pochylenie ciała było znakiem wypowiedzianym w niemych języku, coś znaczyło i określało. Może – budowało ochronne limesy. Może – wzmacniało rezonanse aury leczące rannego. Może – sygnalizowało postronnym obserwatorom: mam moc, jestem silna, uważaj na mnie. W sposobie, w jaki składała zdania, zastygała spojrzeniem na jakimś zupełnie nieciekawym elemencie terenu, milkła niespodziewanie, można było dostrzec czujność, lęk i – Kajetan uznał, że to najodpowiedniejsze słowo – tęsknotę.

W pewnym momencie przyspieszyła swojego konia i podjechała do Kajetana.

— A może powinniśmy tam poczekać? – spytała. – Z Gorzowa pewnie już idzie odsiecz, może samo Korniejewo przyśle kogoś po nas?

— Możemy tak zrobić. Zatrzymać się choćby i tutaj. Tylko... – Kajetan zawahał się, choć w zasadzie już podjął decyzję.

— Tylko co?

— To chyba nie jest dobry pomysł. Nie mamy gwarancji, że wasze wczorajsze SOS do kogokolwiek dotarło. Nie wiemy, czy Korniejewo nie padło. Może być tak, że Gorzów wcale jeszcze nie wie o ataku.

— To niemożliwe, musieli odebrać sygnały.

— Źle się wyraziłem. Jasne, że jeśli wokół Korniejewa trwają walki, to nasi mają te dane. Ale mogą nie mieć pojęcia, że twój, pani, konwój stamtąd wyruszył. I że został rozbity, i że ty jesteś w niebezpieczeństwie. Na dodatek ja naprawdę nie wiem, gdzie jesteśmy. Daj Bóg, że nie wpadliśmy w kocioł zahoryzontalny, bo wtedy w ogóle nie mają szans nas namierzyć.

— Więc?

— Więc maszerujemy na wschód. Będziemy bliżej naszych, a dalej od czarnych. Może kogoś spotkamy. Może ktoś nas namierzy. Oczywiście, o ile wschód ciągle jeszcze jest na wschodzie.

— Nie rozumiem.

— Na granicach horyzontów zdarzeń tworzą się iluzje, fatamorgany. Przecież to przestrzeń ściera się ze sobą, załamuje, dzieli. Widziałem już kawałki polskiej puszczy, gdzie równocześnie wschodzą trzy słońca.

— Więc może jednak poczekajmy?

— To w żaden sposób nie poprawi naszej sytuacji. Być może nic strasznego się nie stało i słońeczko nadal wschodzi tam gdzie trzeba, a my jedziemy w dobrą stronę.

— Rozumiem. Zrobimy, jak mówisz. – Zwolniła, czekając, aż dogoni ją koń wiozący Omara. Kajetan odprowadził ją wzrokiem. Spojrzał na Domicjana.

Elf siedział w siodle w milczeniu, chyba niespecjalnie przysłuchując się rozmowie. Jego całą uwagę pochłaniała obserwacja sokoła. Ptak znów wzbił się w powietrze, choć nadal nie chciał wznieść się ponad drzewa. Jednak i to ożywienie ulubieńca sprawiło Domicjanowi wyraźną przyjemność. Rycerz Zakonu Łabędzia w ogóle odzywał się mało. Wykonywał polecenia elfki, sam brał się za różne prace i non stop każdym ruchem dawał do zrozumienia całemu światu, że jeśli ktoś lub coś zechce zrobić krzywdę Annie Naa'Maar, to najpierw będzie musiało

zabić jego. Na szczęście sosnowy las wokół nie wydawał się groźny.



Tego przedpołudnia z Anną Naa'Maar rozmawiali jeszcze kilka razy.

— Jak to możliwe, że wcześniej cię nigdy nie spotkałem?

— Bo mnie tu nie było, to chyba proste.

— Ale ja nigdy nawet nie słyszałem o Zakonie Łabędzia! A dużo wiem o elfach. W ogóle dużo wiem.

— Nie przejmuj się, nie jesteś jedynym zaskoczonym. Nas po prostu jest bardzo mało. Na Ziemię przybyło tylko trzech mistrzów, w Polsce ja jestem pierwsza.

Tylko trzech. No tak, to wiele tłumaczyło. Zapewne tacy jak ona pracowali przy najtajniejszych projektach. Brali udział w przesłuchiwaniu najważniejszych jeńców, kto wie, może i samych barlogów. Czemu zatem wysłali ją w tak niebezpieczne miejsce? Czemu pozwolili, by osobiście transportowała grafa? Czyżby był tak potężny, a informacje od niego tak istotne? To tylko potwierdzało wszystko, co mówił Urlich i młodzi, spotkani na szlaku żołnierze. Nadchodziła nowa wojna.

— Od dawna jesteś na Ziemi?

— Dwa lata. Dwa lata, trzy miesiące i czternaście dni.

— Świetnie mówisz po polsku, bez żadnego akcentu.

— Zaczęłam się przygotowywać dużo wcześniej.

Odwróciła głowę, popatrzyła przed siebie.

— Tęsknisz?

— Za miejscem? Nie.

— To za czym?

— Czy któryś elf kiedykolwiek odpowiedział ci na takie pytanie?

— Na trzeźwo nie. – Uśmiechnął się.

— Czy któryś elf kiedykolwiek upił się w twoim towarzystwie?

— Też nie, rzecz jasna. I na tym chyba polega wasz problem. Czasem powinniście się upić. Tak po chamsku, po prostu. No ale to nie po elfiemu...

— Nie po elficku – poprawiła go. – Ty powinienesz podszkolić swój polski.

— Wiesz, wychowałem się na wsi.

W odpowiedzi kiwnęła głową i znów na niego spojrzała.

— Wiem. Jesteś sławny, wiesz?

— Wiem.

Konie stąpały cicho i spokojnie. Pod kopytami miały miękkie mech, wokół brązowe pnie wysokich sosen. Ten las posadził niegdyś człowiek, bo drzewa stały w regularnych odstępach, wysokie, co najmniej sześćdziesięcioletnie. Nie było tu większych chaszczy, a młode sosnowe siewki nie miały szans w konkurencji ze swymi rodzicielami, których korony skutecznie odcinały dostęp słonecznego światła. Idealny las do podróży. Aż za idealny, zauważył wcześniej Kajetan.

— No i jak ci się tu u nas podoba?

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Skoro pytam.

— No to wyobraź sobie, że nagle ktoś zakłada ci na oczy ciemne okulary, w uszy wpycha watę, na dłonie każe założyć rękawiczki. I że zapada właśnie mrok, który wygasza naturalne kolory, i że tuż obok stoi gigantyczny dworzec kolejowy z jego kakofonią trzasków, wizgów i zgrzytów. Tak właśnie czuję się na Ziemi. Straciłam barwy, zapachy i dźwięki. Żyję w ciemnej piwnicy, a w mieszkaniu nade mną ktoś zbudował tartak.

— Nie mam więcej pytań.

— Żartowałam. Nie jest tak strasznie.



— A coś ci się tutaj podoba?

— Kilka obrazów. Rzeźby ze starożytnej Grecji. Pisanki.

— Czytałaś coś?

— Platona, Kanta i Biblię. No i kodeksy karne, oczywiście. Aha, czytałam też „Władcę Pierścieni”.

Anna Naa’Maar roześmiała się, po raz pierwszy w jego obecności. Wiele ładnych kobiet nigdy nie powinno się śmiać, bo w jednej chwili tracą cały swój urok. Elfka z Zakonu Łabędzia do nich nie należała.

— No i?

— Bajki, oczywiście. Nic wspólnego z prawdą. Ale wszyscy uznajemy, że zrobiła nam naprawdę dobry pijar. Bez tej książki trudniej by wam było zaakceptować naszą obecność.

— Tylko mi nie mów, że Tolkien był waszym agentem wpływu.

— Tego nigdy nie powie ci żaden elf.

— Czyli był?! Zawsze wiedziałem...

Teraz pośmiali się trochę razem.

— Wiesz – powiedział Kajetan – nie mogłem zrozumieć w tej książce jednej rzeczy. Dlaczego elfy nigdy nie próbowały leczyć orków? Przecież to byli ich współbracia. Przekształceni, okaleczeni, zniewoleni, ale jednak potomkowie elfów. Mogli choćby zrobić jakiś eksperyment, na przykład wychowywać młode orki odebrane rodzicom. Po prostu badać, czy i jak można je przywrócić dobru?

— A można?

— Nie wiem. Być może nie. Ba, raczej na pewno nie. Ale należało spróbować. Podjąć ten eksperyment. A gdyby się udało?! Jakie to stwarza perspektywy! Wychowujesz dobrych orków, dajesz im nadzieję, wysyłasz z powrotem do dzikich pobratymców, by szerzyli dobrą nowinę, zakładali sekty, szykowali spisek, podważali morale, głosili klęskę Saurona. Jak to ci się... – Kajetan zamilkł, bo zobaczył, że Anna Naa’Maar znów spoważniała. Przypominała teraz tę groźną i szaloną

elfkę, którą spotkał w Korniejewie, w czarnym lochu, stojącą naprzeciw potwora.

— To właśnie twoje zadanie... Prawda? – powiedział po chwili. – Ty ich przekształcasz. Zadajesz im ból, bo formujesz w nich inne uczucia. Cierpią, bo chcesz przeprowadzić ich na jasną stronę. Prawda? Ty to robisz?

— Nie – odpowiedziała spokojnie. – Ja ich nigdzie nie przeprowadzam. Ja po prostu zadaję im ból.

## 10.

Pierwszy usłyszał je Domicjan. Chwilę potem ożył azymulet Kajetana, a Anna Naa'Maar gwałtownie wyprostowała się w siodle. Wirniki helikopterów miały powietrze, zaszumiał poruszony podmuchem las.

— Idą ze wschodu! Czyli trzymamy dobry kierunek! – Kajetan zatrzymał konia, zawrócił. Domicjan już uruchamiał komunikator. Umieszczony w łąku siodła głośniczek zatrzeszczał.

— Tu Łabędź! Tu Łabędź! SOS! Potrzebujemy pomocy. Pilne. Najwyższy priorytet! Tu Łabędź! Tu Łabędź! SOS! Potrzebujemy pomocy. Pilne. Najwyższy priorytet! – powtórzył, ale nie udało mu się złapać sygnału.

Wciąż nie widzieli helikopterów, lecz wydawało się, że cały czas się zbliżają, tyle że lecą w pewnej odległości, na północ od grupy wędrowców.

— Tu Łabędź! Tu Łabędź! SOS! Potrzebujemy pomocy. Pilne! – powtarzał Domicjan raz za razem, cały czas manipulując sensorami. W odpowiedzi słyszał tylko szum.

— Co się dzieje? – spytała elfka. – Czemu nas nie słyszą?

— Zapewne nie prowadzą nasłuchu albo są przeładowani informacjami z innych źródeł.

— Tu Łabędź! Tu Łabędź! SOS!

Teraz byli blisko. Właśnie ich mijali, dwa, może trzy kilometry na północ.

— Tu Łabędź! SOS!

— Chyba że jesteśmy w strefie zahoryzontalnej. Wtedy mogą być i sto kilometrów stąd, choć nam się wydaje, że lecą tuż koło nas. Fatamorgana.

Domicjan przestał nawoływać przez radio. Cicho tłumaczył coś siedzącemu na jego przedramieniu sokołowi. Ptak zastygł niby

starożytna rzeźba, nawet nie mrugał. Wreszcie Domicjan wyrzucił ramię w górę, wykrzyczał jeszcze jeden rozkaz, którego Kajetan nie zrozumiał, i ptak pomknął ku wierzchołkom drzew. Jednocześnie Domicjan skulił się w siodle, zapadł, pochylił głowę, ukrył twarz w dłoniach. Anna Naa'Maar od razu podjechała, by go podtrzymać. Teraz część duszy elfa była w ptaku i przełamywała strach sokoła przed odłączeniem się od swego pana. To ona miała pokierować jego lotem.

Helikoptery oddalały się.

Czy sokół może je dogonić? – przemknęło przez głowę Kajetana. W realnej przestrzeni – zapewne nie. Ale też nie takie było zadanie ptaka. Miał przebić magiczne bariery oddzielające wędrowców od helikopterów, stworzyć eteralny tunel, którym potem pomkną zwykłe elektromagnetyczne fale.

Czekali w bezruchu. Tak właśnie Kajetan zapamiętał tę scenę, jak kolorową trójwymiarową fotografię. Brązowe pnie sosen, tarantowaty koń dźwigający rannego Omara, skulony Domicjan i tuląca go do siebie Anna Naa'Maar w przybrudzonej już bieli. Zielone, iglaste korony drzew i prześwitujący pomiędzy nimi błękit nieba.

Minęło dziesięć sekund, a może minuta, a może kwadrans.

— Szósta Dywizja Desantowa, major Uchalski! Powtórz komunikat! – z głośnika dobiegł zagłuszony trzaskami, ale wyraźny głos. – Powtórz komunikat!

— Dobrze was słyszeć – powiedziała spokojnie Anna Naa'Maar. – Zakon Łabędzia, misja ściśle tajna. Przesyłam kody. Musicie nas stąd zabrać.

Wyciągnęła miecz z pochwy, przesunęła palcami po jelcu.

— Mam rozkazy! Na zachodzie ruszył front. Nie mogę się rozpraszać. Wezwę dla was pomoc!

— Proszę jeszcze raz odsłuchać sygnał – powiedziała elfka. – Musimy być natychmiast ewakuowani. Cztery osoby i konie. Mamy też rannego.

Major Uchalski nie odpowiedział od razu. Pewnie dekodował sygnaturę elfów i zastanawiał się, co powinien zrobić. Ale w końcu zdekodował i się zastanowił.

— Rozumiem, pani. Odłączam jedną maszynę od klucza. Dogodne miejsce do lądowania jest jakieś trzy kilometry na północny zachód od was. Musicie się trochę cofnąć. Przełączam was do nich.

— Dziękuję, panie majorze – powiedziała elfka.

Niemal w tym samym momencie Domicjan drgnął, a z nieba spadł szary kształt. Sokół wylądował na ramieniu elfa, lekko dziobnął go w ucho. Rycerz wyprostował się, otworzył oczy. Jeszcze przez chwilę były czarne jak oczy ptaka.

— No – rzucił Kajetan – chyba wreszcie szczęście się do nas uśmiechnęło.

Pomylił się.



Helikopterem, który odłączył się od klucza, dowodził kapitan Czaba Varga. Mówił po polsku dobrze, ale ze śladami obcego akcentu. W polskiej armii służyło wielu emigrantów – lub ich dzieci – z krajów zniszczonych bądź zajętych przez barlogów. Węgry, najeżdżane to przez koczowników ze wschodu, to przez regularne czarne wojsko z zachodu, broniły się dzielnie. Trzydzieści lat temu, w czasie ofensywy barlogów nazwanej potem Marszem Kadłubów, wydawało się jednak, że nic nie uratuje kraju. Do Polski dotarło wielu uchodźców. Większość z nich wróciła potem do cudownie obronionej ojczyzny, jednak niektórzy zdomowili się w Polsce i z nią związali dalszy los. Kapitan Varga mógł być dzieckiem takich emigrantów. A może po prostu przyjechał do Warszawy na szkolenie wojskowe i zdecydował się tu zostać. Uznał

zapewne, że szybciej i skuteczniej pomści rzeź Budapesztu z czasów Marszu Kadłubów, gdy będzie latał na polskich śmigłowcach, a nie tłukł wojska czarnych na karpackim pogórzu.

Królestwa Polski i Węgier utrzymywały ścisłe relacje dyplomatyczne i wojskowe. Obecnie wraz z Królestwem Czech i Moraw, Księstwem Rusi Kijowskiej i Unią Ugrofińsko-Bałtycką stanowiły trzon wolnego świata kontynentalnej Europy. Na zachodzie trwał niewzruszenie „lotniskowiec Brytania”, wciąż rządzony przez ludzkich królów. dzielnie broniła się Andaluzyja i Wolne Miasto Amsterdam. Reszta kontynentu należała do barlogów lub była zniszczona na skutek wojen. Na części tych ziem władały lokalne parlamenty lub władcy, niektóre ściśle współpracowały z aliantami, ale większość pogrążona była w chaosie, także geograficznym.

— Jesteśmy nad miejscem lądowania. To spora polana – zameldował kapitan Varga.

— Jak daleko?

— W linii prostej cztery kilometry trzysta metrów od was. Macie namierniki?

— Azymulet standardowy.

— Wysyłam sygnał naprowadzający. Potwierdźcie.

Chwilę potem Kajetan poczuł pulsowanie bransolety i zrozumiał, że jadą nieco zbyt na północ i że jeśli utrzymają tę trasę, to miną miejsce lądowania helikoptera.

— Potwierdzam łączność, koryguję trasę. – Odwrócił się do elfki i wskazał, że powinni nieco skrócić. Kiwnęła głową na znak, że rozumie.

— Sprawnie władasz magią, geografie – powiedziała z wyraźnym uznaniem. – Oczywiście, powinnam się tego spodziewać, ale jednak mnie zaskoczyłeś.

— Mam nadzieję, że nie ostatni raz, pani. – Kajetan skłonił się w podziękę za komplement, nieco przesadnie, mocniej, niżby to nakazywała

zwykła grzeczność. – Zapewne nie spotkałaś wcześniej człowieka, który by był w stanie korzystać z azymuletu?

— Na pewno nie w sprzęgu bezpośrednim.

— Ja potrafię. To nie znaczy, pani, że mogę sobie pozwolić na nonszalancję przy korzystaniu z magii. I dlatego, jeśli pozwolisz, zajmę się prowadzeniem was do helikoptera.

— Pozwalam, geografie. – Teraz ona skłoniła się nisko.

Kajetan nie mógł wiedzieć, o czym myśli ta kobieta i jakie sprawy rozważa w swym umyśle, tocząc jednocześnie grzeczną konwersację, lecz fakt, że już wkrótce otrzymają pomoc, wyraźnie ją rozluźnił. A przynajmniej takie wrażenie sprawiała.

On natomiast powinien się skoncentrować. Płynący z azymuletu wprost do jego mózgu sygnał naprowadzający pozwalał mu bezbłędnie kierować konwojem w stronę helikoptera, ale i wymuszał skupienie.

Znów odezwał się kapitan Varga.

— Spuszczam zwiadowcę i zaraz siadamy.

— Mamy rannego i cztery konie, pamiętacie o tym?

— Możemy zabrać ludzi i sprzęt. Konie muszą zostać.

— Kapitanie Varga, czy na pewno takie rozkazy pan otrzymał?

Chwila ciszy.

— Nie mam miejsca. Jestem załadowany bronią i amunicją.

— Kapitanie Varga, więc wyładuje pan wszystko. I niech pan już zacznie to robić.

Znów cisza, a potem ciche: „Bazd meg”.

— Rozumiem. Lądujemy i robimy miejsce dla koni. Najwyżej nasi chłopcy w fortach nie dostaną amunicji. Ale co tam, konie będą przewiezione.

— Kapitanie Varga, jeśli usłyszę jeszcze jeden komentarz tego rodzaju, złożę na pana raport.

Tym razem „bazd meg!” było głośniejsze i zostało powtórzone

trzykrotnie.

— Przyjąłem. Będę gotowy na wasze przyjęcie.

— Dziękuję, kapitanie. Dotrzemy do was za jakieś dwadzieścia minut.

— Już nie mogę się doczekać.

Kajetan uśmiechnął się. Musiał przywołać pilota do porządku, ale jednocześnie go rozumiał. Kapitan Varga nie był chyba zbyt zadowolony z tego, że nie weźmie udziału w akcji bojowej na linii frontu, tylko będzie musiał transportować do Gorzowa nieznanym sobie osobnikom. Major Uchalski na pewno nie poinformował go, z kim będzie miał do czynienia. Prerogatywy Anny Naa'Maar były zbyt wysokiego poziomu, by mógł o nich powiadomić swojego podwładnego. Po prostu wydał rozkaz odłączenia od konwoju i zabrania na pokład pasażerów. Czy kapitanowi Vardze mogło się to wydawać ważniejsze niż dostarczenie amunicji walczącym oddziałom na zachodzie? Jasne, że nie.

Do celu mieli już mniej niż trzy kilometry. Musieli nieco skrócić, by ominąć niezbyt głęboki, acz stromy wykrot. Azymulet od razu zasygnalizował zboczenie ze szlaku i wewnętrzny kompas w głowie Kajetana odchylił się, wzbudzając uczucie lekkiego niepokoju, a jednocześnie wskazując właściwą trasę.

— Siedzimy – zameldował kapitan Varga – i czekamy.

— Jesteśmy już niedaleko. Droga bez przeszkód.

Kajetan pogładził szyję wierzchowca.

— Chcieli, żebyśmy cię tu zostawili, bracie. Kawaleria powietrzna, w śmigło kopana. No, już niedługo sobie odpoczniesz.

— Kajetan... – usłyszał zza pleców głos Anny Naa'Maar. Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. Perspektywa szybkiego powrotu do domu i ją musiała wprowadzić w dobry humor.

— Słucham, pani? – Odwrócił się i w jednej chwili uśmiech znikł z jego twarzy. Anna Naa'Maar patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, jej wargi drżały.



— Co się stało? – Ruszył w kierunku elfki. Jednocześnie usłyszał jęk rannego Omara i pierwsze słowa ochronnej mantry wykrzykiwanej przez Domicjana. A potem i on poczuł ostrzegawczy impuls bransolety. Czarni.

— Wróg blisko! – natychmiast wznowił łączność z helikopterem.

— Przyjąłem! Walczycie?!

— Nie. Bądźcie gotowi!

Domicjan zajął miejsce elfki przy boku rannego Omara. Anna Naa'Maar odrzuciła na plecy okrywający ją płaszcz. Sięgnęła po miecz.

— Prowadź, geografie.

Ruszyli galopem.

Pierwsze strzały usłyszeli chwilę później. Terkotały pistolety maszynowe, waliły też działa śmigłowca. Teraz Kajetan nie potrzebował już magicznego nasłuchu. Mógł prowadzić galopujące wierzchowce prosto ku helikopterowi.

— Są tu! – zacharczał głośnik. – Zabezpieczamy teren!

— Potrzebujemy dwóch minut!

— Czekamy!

Nagle Anna Naa'Maar krzyknęła: — Startujcie! Natychmiast startujcie! Pęd. Pnie drzew. Nisko zwieszony gałęzie. Smród czarnych.

— Nie podchodzą. Czekamy!

— Startujcie!

— To mój helikopter, pani, i dostałem rozkazy. Mam was stąd zabrać. I zabiorę.

— Kapitanie, nic nie rozumiesz, startuj natychmiast!

— Menj a picsaba! Czekamy! – krzyknął kapitan Varga, a potem usłyszeli jeszcze tylko: – O Boże!

Chwilę później puszcza wstrząsnęła eksplozja. Potem druga.

Kajetan wyhamował konia, obok zatrzymały się wierzchowce elfów. W oddali, pomiędzy drzewami, dostrzegli kulę ognia, w niebo buchnął

dym. Drzewa drżały poruszone wybuchem. Ptaki krzyczały, obwieszczając lasowi i jego mieszkańcom, że stało się coś strasznego i że nadchodzi ogień.

Konie nerwowo potrząsały głowami, kręciły się w miejscu, ledwie poddając się uspokajającym głosom elfów. Kajetan próbował nawiązać łączność, ale z komunikatora dobiegał jedynie jednostajny szum.

Potem usłyszeli jeszcze dwa strzały, ludzki krzyk pełen przerażenia i bólu. A potem zapadła cisza.

## 11.

Błądzili już od dwóch dni. Zmęczeni i niewyspani uciekali przed pogonią, o której wiedzieli tyle tylko, że na pewno jest. Ścigała ich mdła woń czarnych. Czasami ledwie ją wyczuwali, chwilami zaś uderzała w nozdrza ostrym smrodem. Wtedy próbowali poderwać zmęczone konie do szybszego biegu, a Domicjan zaczynał pleść czary fałszujące tropy i plączące drogi. Zazwyczaj wtedy udawało im się zgubić prześladowców na kilka godzin, ale czary maskujące nosły swój koszt – dodatkową dezorientację, zaburzenie kierunków, niemożność oznaczania ścieżek, którymi już szli. Na dodatek zaczęli się kłócić już podczas pierwszego postoju.

— Oni czekali na nas! – Kajetan, pokrzykując na elfy, krążył wokół małego obozowiska niczym oszalała planetoida wokół Słońca. Domicjan i Anna Naa'Maar zmieniali właśnie opatrunek Omarowi. – Wylądowali, żeby nas uratować, czekali na nas, a my ich zostawiliśmy w niebezpieczeństwie!

— Oni zginęli! Wszyscy! – spokojnie odpowiedział Domicjan, jednocześnie oczyszczając ranę swego towarzysza.

— Nie wiesz tego! Skąd masz taką pewność?!

Anna podniosła się znad ciała, podeszła do Kajetana, lecz on nawet nie zwolnił. Minął elfkę i kontynuował swój obchód. Obserwowała go w milczeniu. Poczekała, aż zrobi pełną pętlę, po czym stanęła na jego drodze. Patrzyła mu prosto w oczy. Teraz się zatrzymał.

— Myślisz, że zostawiliśmy pilotów, bo są ludźmi, prawda? Uważasz, że uznaliśmy nasze życie za ważniejsze od ich życia? I nie chcieliśmy ryzykować? Przyznaj, tak uważasz.

— Nie... Tak... – zawahał się. – Nie chcę tak myśleć, ale nie odrzucam całkowicie tego poglądu. Dopuszczam taką możliwość. To właśnie mnie

wścieka.

— To posłuchaj mnie uważnie. Gdyby oni jeszcze żyli, gdyby żyli, być może powinniśmy spróbować im pomóc. Usłyszałeś wyraźnie: „Być może”. Nic o mnie nie wiesz. Nie znasz mojej misji. Nie rozumiesz, jaką cenę zapłacono, abym mogła znaleźć się w twoim świecie. Nie masz pojęcia, jakie umiejętności posiadam i jaką wiedzę dysponuję. I jak wiele od tego zależy. Więc, być może, nawet gdyby oni żyli, powinniśmy uciekać. Nie dlatego, że jestem elfem, tylko dlatego, że jestem tu bardzo, ale to bardzo potrzebna. Że żyję, by ratować twój świat. Nie muszę ci tego wszystkiego tłumaczyć, lecz chcę. Chcę, żebyś zrozumiał. Oni nie mieli żadnych szans, zginęli wszyscy. A my umarlibyśmy razem z nimi.

— Skąd masz tę pewność? – Kajetan próbował jeszcze walczyć na argumenty, choć tak naprawdę wiedział już, że nie udowodni swoich racji. Nie wytrzymał jej spojrzenia, uciekł ze wzrokiem. Domicjan już się podniósł, stał teraz, uważnie obserwując rozmowę swej pani i człowieka. Wyglądał jak ktoś, kto z troską obserwuje kłótnię bliskich przyjaciół i nie zależy mu na tym, żeby któryś z nich wygrał, tylko żeby się porozumieli. Kajetan jednak nie miał wątpliwości, że gdyby tylko wykonał wobec elfki jeden wrogi gest, Domicjan rzuci się na niego bez chwili wahania.

— Bo to był on, graf – powiedziała Anna Naa’Maar powoli. – Tropi mnie i będzie to robił, dopóki mnie nie zabije.

— Czemu? Dlaczego, zamiast uciec do swoich, wszedł na niebezpieczną ziemię? Podobno to ważna figura. Rozpoczęli wojnę, by go odbić. A on idzie za tobą na wschód. Czemu, elfko?

— Bo go kocham, rozumiesz?

— Nie. Nie rozumiem.

— Moja miłość wypala jego ciało i zabija.

— Dalej nie rozumiem.

— Albo tylko to udajesz. Dobrze więc, wytłumaczę ci to, geografie, najprościej jak umiem. Jeden, ostatni raz. A potem zajmiemy się wspólnie

tym, co konieczne, żebyśmy to wszystko przetrwali. Czy tak?

— Tak.

— Więc posłuchaj. Barlogi i grafy to nasi wrogowie. Walczymy z nimi w wielu planach, także w naszym ojczystym świecie. To wojna. Ale niech cię nie zmyli nauka, jaką wyciągasz z podręczników historii. Oni są wrogami nie dlatego, że pragną twojej ziemi, twoich bogactw czy wiedzy. Nie dlatego z nimi walczymy, że wyznają inną religię albo mają inne obyczaje lub inne gusta. Nie mówimy, że są źli, bo lubią inne niż my kolory, mają inne rytuały, światopogląd, prawo czy nawet porządek etyczny. Nie, geografie, oni po prostu są źli. Nie da się z nimi negocjować, nie można ich obłaskawić i nic nie pomoże wysłanie do nich misjonarzy – zawiesiła głos, popatrzyła na wiszący na szyi Kajetana Klucz Przejścia. – Ale ty przecież wiesz to wszystko, prawda?

— Kim był ten, którego przesłuchiwałaś? – w odpowiedzi sam zadał pytanie.

— To graf. Istota z ich świata, a nie przekształcony człowiek. Ważny graf. Wódz. Żeby wydobyć od niego informacje, musiałam zadać mu ból. Nie ból fizyczny, a cierpienie kompatybilne z jego sposobem postrzegania rzeczywistości. Więc – pokochałam go. Litowałam się nad nim i radowałam na jego widok. Mentalnie pieściłam i kołłam. Graf rejestrował moje uczucia. Wyżerały mu trzewia, degradowały umysł. I dopóki będę żyć i go kochać, on będzie cierpieć, naznaczony, wyklęty przez swych panów i sługi. Więc mnie zapamiętał. Musi mnie zabić i na pewno chce zemsty.

Zamilkła, wciąż opanowana, jakby cała ta opowieść nie wywołała żadnych emocji.

— Ufasz mi? – zapytała po chwili. – Wierzysz, że nie opuściliśmy lotników tylko dlatego, że my jesteśmy elfami?

— Tak. – Kajetan już się uspokoił. – Ufam.

— No to pakujmy się i w drogę! – w końcu odezwał się Domicjan. –

Mam też dobrą wiadomość. Omar się obudził.

## 12.

Obóz rozbili już w ciemnościach, kiedy natrafili na małe źródło. Jakiś czas szli jego biegiem, aż znaleźli polanę, od strony rzeki porośniętą bardzo gęstymi krzakami. Uznali, że dostaną w ten sposób osłonę przynajmniej z jednego kierunku. Kajetan oporządził konie na tyle starannie, na ile było to możliwe w tych warunkach. W tym czasie Domicjan i Anna Naa'Maar obeszli teren wokół obozowiska w promieniu mniej więcej stu metrów. Szukali jakichś groźnych obiektów, śladów złej magii, ale też i sami rozwiesili na gałęziach drzew kilka amuletów i magicznych potykaczy. Od północnego wschodu byli względnie bezpieczni, osłaniały ich krzaki i asekurowała rzeczka, z której przekroczeniem miałby problemy graf. Jednak z pozostałych kierunków nie mogli liczyć na żadną ochronę.

Nie odważyli się więc rozpalić ogniska, na szczęście nie było chłodno. Mieli tylko jedno naczynie – termoaktywny kubek Kajetana. Pili kolejno. Po nabraniu wody wrzucali do niego kostkę odżywczą, a Domicjan podgrzewał kubek w dłoniach delikatnym muśnięciem magii. Gęsty bulion ładnie pachniał, nieźle smakował i – co najważniejsze – pozwalał zaspokoić głód.

— Od jutra musimy zmniejszyć racje – powiedział Kajetan po uważnym przejrzaniu zapasów. – Dobrze by było zapolować.

— Powinniśmy wzbudzać jak najmniej zamieszania w lesie.

— Nie wiem, jak długa droga jeszcze przed nami. Moje zapasy mogą nam się przydać w naprawdę trudnym momencie.

— A ta rzeka? – spytał Domicjan. – Nie rozpoznajesz jej?

— Właśnie zamierzałem ją zbadać. Pójdiesz ze mną?

— Chcę przygotować posłanie dla Omara.

— Ja pójdę. – Anna Naa'Maar podniosła się z ziemi. – Ty widziałeś

mnie przy pracy, teraz ja chcę zobaczyć ciebie, geografie.

— To nic ciekawego. Będę pił surową wodę i mamrotał mantry.

— A zwierciadło wodne?

— Tak, może rzeka pokaże mi prawdziwy układ gwiazd na niebie nad nami. Ale ten rytuał nie uda się, jeśli mnie rozproszysz.

— Nie rozproszę. – Uśmiechnęła się. – Zapomnisz o mojej obecności, geografie.

— No, skoro tak... – powiedział Kajetan bez szczególnego przekonania, że ktokolwiek byłby w stanie zapomnieć o stojącej za plecami elfce. Ze swoich bagaży wyjął dzipiesowy zestaw – wahadełko z jarzębinowego drzewa zawieszona na srebrnym łańcuszku; małe kryształowe lustro, które chciał przeobrazić w wodne zwierciadło do obserwowania prawdziwego położenia gwiazd; trzy bursztynowe rezonatory; nakładkę na azymulet ze skóry wędrownych gęsi oraz mały licznik cieków wodnych, zwany potocznie różdżką.

— Naprawdę nie masz pojęcia, gdzie jesteśmy? – spytał Domicjan.

— Znałem tu kiedyś każdą piędź ziemi, ale użyli magii geograficznej. Lokalnie zmienili teren, zniszczyli stare znaki. Mój dzipies milczy. Nasze satelity nie zrobiły jeszcze nowych map tego terytorium. Najpewniej ten las w ogóle nie leży w ich horyzoncie zdarzeń. – Na chwilę przerwał przygotowania, podniósł wzrok na elfa. – Więc nie wiem.

Skończył pakowanie, starannie podopinał sakwy.

— Chodźmy, pani. – Wskazał elfce kierunek.

— Bądźcie ostrożni – usłyszeli jeszcze za plecami głos Domicjana.

— Dzięki za radę – mruknął Kajetan. – Właśnie zamierzałem zacząć wrzeszczeć. Albo kapać się w rzece na golasa.

— Nie przepadasz za nim? – w głosie elfki pobrzmiwało raczej rozbawienie niż troska.

— Nie mam powodu, żeby go nie lubić.

— Ale w ogóle nie przepadasz za elfami.



— Uratowaliście nas. Uratowaliście Polskę. Europę. Ziemię.

— Tylko że nie całą... I nie wszystkich... O to ci chodzi?

Kajetan nie odpowiedział, bo doszli właśnie do brzegu szerokiej na jakiś metr leśnej rzeki. Płynęła leniwie, czarna jak smoła, czasem tylko iskrzyły się w niej odbite gwiazdy, których blask zdołał się przedrzeć przez korony drzew. Coś plusnęło, zarechotały żaby. Kajetan zabił na twarzy zbyt natrętnego komara.

— Jak możesz ich kochać? – Odwrócił się. – Jeśli są tak źli, jak możesz to robić? Przebaczać im?

— Jesteś katolikiem, prawda? – zawiesiła pytanie.

— Powiedzmy, że tak – odparł.

— To tak jak ja. Nasza religia to nakazuje. Przebaczać. Miłować. Jezus też przebaczył grzesznikom.

— Ale czy przebaczył szatanowi?

Anna Naa'Maar przeżegnała się tylko, nie podjęła rozmowy.

## 13.

Ruszyli o świcie.

Omar, któremu szybko wracały siły, okazał się jeszcze mniej towarzyski od współplemieńców. W milczeniu kołysał się w swoim siodle-kołysce, czasem kreśląc na piersi zamaszysty znak krzyża. Tylko jego usta poruszały się bezgłośnie. Może klepał mantry lecznicze, a może odmawiał modlitwy za poległych braci zakonnych.

Elfy wszystko robiły porządnie. Kiedy ustanowiły królestwo w Polsce, szybko przyjęły chrzest i zostały lepszymi katolikami niżli niejeden rodak wymachujący biało-żółtymi chorągwiami i wywieszający w oknach święte obrazki.

Elfy poszczą w piątki, chowają po katolicku elfie dzieci i odbywają pielgrzymki do Częstochowy. Wiedzą, kiedy była bitwa pod Grunwaldem, kto to Traugutt i co oznacza data 18 listopada.

Elfy nie piją za dużo, raczej się nie awanturują, bardzo rzadko popełniają przestępstwa, są uprzejme, grzeczne i wykształcone. Porządni obywatele. To tak jakby zaczerpnąć wszystkich ludzi galaktycznym durszlakiem i pozwolić wyciec przez dziury wszelkim mętom, złodziejom, mężom bijącym żony (i odwrotnie), piratom drogowym, gnojkom wymazującym flamastry na siedzeniach autobusów, ćmulom tępo niezainteresowanym światem. I tym podobnym niby *homo sapiens* płci obojga. Nie oznacza to, że żaden zły elf nie spłynie z kosmicznego sitka, ale będzie ich niewiele i nieszczęśliwie paskudnych.

Można powiedzieć, że elfy to tacy lepsi ludzie: trochę, zazwyczaj, statystycznie. Podstarzali harcerze, przy czym określenie „podstarzali” należy rozumieć: w wieku średnio stu pięćdziesięciu lat.

Niektórzy mistycy uważali, że były aniołami, które przybrały postać popkulturowych ikon, żeby zostać przyjęte przez zlaicyzowane

społeczeństwa Zachodu. Inni, bardziej ekumeniczni osobnicy, że chodziło o tolerancję i uniwersalizm. Elfa mogą wszak zaakceptować wyznawcy różnych religii i przedstawiciele kultur całego świata, a chrześcijańskiego anioła niekoniecznie. Przecież na Ziemi więcej ludzi czytało Tolkiena niż Biblię.

Rzecz jasna, byli też i tacy, którzy mieli w tej kwestii pogląd całkowicie przeciwny – elfy to demony, sługi szatana, które pod pozorem pomocy chcą przejąć władzę nad światem. Z kolei dla socjalistycznych narodowców niedopuszczalne było przywrócenie w Polsce monarchii, i to przez obcą rasę. „Polska dla Polaków!” – darli się na demonstracjach. „Precz z elfami!” A za symbol wzięli sobie zikonizowane twarze Lenina, Hitlera i Che Guevary, nad którymi unosiło się oko Saurona.

Pojawiały się też sekty i organizacje pozostające pod wpływem barlogów. Wyznawcy. Renegaci. Zdrajcy. Terrorysty. Agenci wpływu. Czasem – autentyczni wysłannicy czarnych.

Przybrany ojciec Kajetana zajmował się rozpracowywaniem takich grup i ich eliminacją. Tam, daleko, w Warszawie.

Tu trwa inna walka. Wojna o geografę. Magia wojenna próbuje stabilizować przestrzeń na granicy z dawnymi Niemcami. Kotwicz ją – menhirami, kamiennymi kręgami, trylitami. Świętymi dębami zakorzenia geografę w ziemi, nie pozwala jej drgnąć. Dolmenami poległych bohaterów nasąca pogranicze mocą. Wydziera zdrową przestrzeń barlogom, odzyskuje Polskę i to, co zostało z Europy, kawałek po kawałku. Ale nie zawsze to się udaje i wtedy ścieżki się gubią, rzeki zmieniają bieg, a gwiazdozbiory tworzą fatamorgany.

Ale geograf jest od tego, by znajdować właściwe szlaki.

Ledwie minęło południe, gdy Kajetan pomiędzy drzewami dostrzegł to, czego szukał od kilku dni. Kotwicę topograficzną – dwanaście kamiennych bloków wysokich na dwa metry, ustawionych wzdłuż nieistniejącej ścieżki, wymalowanych w biało-czerwone znaki i z

mosiężnymi tabliczkami znamionowymi.

Mały orszak zatrzymał się, a Kajetan, wciąż czując pulsowanie azymuletu, powiedział: – Wydostaliśmy się z pętli geomancyjnej! Ten alignement wskazuje drogę na wschód. Musimy tylko przez niego przejechać.

Domicjan i Anna Naa'Maar nawet się nie uśmiechnęli, a Omar, tym razem na głos, zaczął odmawiać różaniec.

## 14.

Leśny trakt łagodnym łukiem wspinał się na niewysokie wzniesienie. Prowadził na wschód, nieco tylko odbijając ku południu. Był wystarczająco szeroki, by dwa konie mogły jechać obok siebie, a ich jeźdźcy zbyt często nie musieli schylać głów pod niskimi gałęziami.

Kajetan spojrział na kompas, podniósł rękę z azymuletem, uważnie przyglądał się lasowi. W końcu zsiadł z konia i ukląkł. Dłońmi zaczął odgarniać suche liście i igły leżące na ścieżce. Wreszcie podniósł szczyptę brązowej ziemi. Obejrzał ją dokładnie, powąchał. Z uśmiechem odwrócił się ku elfom: — To leśny szlak z Kozodojnic. Wieśniacy wożą nim torf... – A ponieważ z twarzy swych towarzyszy nie wyczytał oznak pełnego zrozumienia, dodał szybko: – Torf. Do ogrzewania domów zimą. Od torfowiska jest ze wsi kilkanaście kilometrów. Nie wiem dokładnie, w którym punkcie wyszliśmy, ale przed wieczorem dotrzemy do wioski, to pewne. A stamtąd będzie już blisko do Gorzowa.

Domicjan spróbował złapać łączność radiową, ale z głośnika dobiegał tylko szum i trzaski.

— Mamy za słaby nadajnik, baterie ledwo zipią – powiedział zrezygnowany po kilku minutach.

— Na dodatek jesteśmy w dolinie pomiędzy wzgórzami – dodał Kajetan. – Nie wyładuj baterii. Droga się wznosi, może ze szczytu będzie łatwiej?

Jednak szlak omijał wzgórze, szedł po krawędzi stoku. To było raczej logiczne, zważywszy, że jeździły nim ciągnięte przez ludzi lub woły wózki załadowane torfem. Wieśniacy woleli nadłożyć trochę drogi, niżli wdrapywać się pod górę.

Kajetan zwolnił, poczekał, aż minie go koń Omara, i zrównał się z Anną Naa'Maar.

— Może zatrzymajmy się tu na kilka minut. Ty, pani, zostaniesz z końmi i Omarem, a ja z Domicjanem wdrapiemy się na czubek. – Wskazał ręką las po prawej stronie ścieżki. – Może stamtąd złapiemy łączność?

Elfka odwróciła się, pytająco spojrzała na swojego ochroniarza.

— Konie nie wejdą pod tę górę – powiedział Omar po chwili namysłu i obserwacji zbocza. – A nam zajmie to najwyżej parę minut. Gdybyśmy wezwali pomoc, helikoptery z Gorzowa będą tu za pół godziny. Warto zaryzykować.

— Dobrze, tylko zeskanujcie najpierw teren.

— Jesteśmy już w Polsce – powiedział Kajetan. – On na pewno zrezygnował. Nie dostanie tu żadnego magicznego wsparcia...

— Zeskanujcie teren, zanim odejdziecie – przerwała mu Anna Naa'Maar.

— Dobrze, dobrze... – mruknął mężczyzna. Jego azymulet nie zgłaszał żadnego zagrożenia, ba, wskazywał nawet, że w pobliżu znajduje się jakieś źródło wspierającej siły. – Nie zatrzymujmy się tutaj, podjedźmy jeszcze kawałek – powiedział, ale nawet nie musiał niczego tłumaczyć elfom, bo oto zobaczyli małe rozwidlenie leśnego traktu. Druga ścieżka, niemal prostopadła do pierwszej, prowadziła w dół zbocza, na zachód. Zaś na rosnącym obok rozwidlenia drzewie powieszono małą drewnianą kapliczkę z umieszczonym wewnątrz, a wystruganym najwyraźniej przez domorośłego ludowego artystę świątkiem. Kapliczka wisiała na wysokości metra, drewno poczerniało i popękało. Ślad farby ocalał jedynie na twarzy Chrystusa stojącego w jej środku z szeroko rozwartymi ramionami. Ręce nie były równej długości, oczy i usta namalowano nieproporcjonalnie duże, a wystająca spod szaty lewa stopa już się ułamała. Ale jednonogi i wielkooki Jezus wciąż musiał cieszyć się u wieśniaków wielką atencją – w kapliczce leżał bukiet leśnych kwiatów przyniesiony nie dawniej niż kilka dni temu. Pod drzewem wkopano w ziemię kilka kamieni, teraz upstrzonych stearynowymi plamami. Dwa

kroki obok stała ławka, równie stara i powykrzywiana co sama kapliczka.

Zatrzymali się na rozstaju. Anna Naa'Maar i Domicjan zsiadli z koni, przyklękli i przeżegnali się.

— To nie może być przypadek – uśmiechnęła się elfka. – Tu możemy zostać. Idźcie i wracajcie szybko.

— W porządku. – Kajetan przeprowadził konia nieco dalej, gdzie na poboczu ścieżki rosła gęsta zielona trawa. Poklepał go po głowie, przejechał dłonią wzdłuż szyi. Przywiązał wodze do pnia młodej brzozy, tak żeby wierzchowiec mógł wykorzystać wolne chwile na poskubanie świeżych kąsków. Przepiął kaburę peemu z olstra przy siodle do pasa, w rękę wziął bukłak z wodą.

— Gotowy? – Odwrócił się w stronę Domicjana.

Właśnie w tym momencie poczuł smród grafa, tak intensywny, jakiego nie było nawet przy zniszczonym helikopterze kapitana Vargi. A potem wydarzyło się wiele rzeczy naraz.

Anna Naa'Maar krzyknęła ostrzegawczo, a w jej głosie był i strach, i radość z długo oczekiwanego spotkania. Domicjan gardłowym głosem wyrzucił z siebie serię bojowych zaklęć w elfim języku. Z jego ramienia wystartował sokół, już w locie zmieniający się w czerwonokrwisty piorun. Omar poderwał się na swoim siedzisku, sięgając po broń i wykrzykując obronne mantry. Drewniana kapliczka i stojący w jej wnętrzu Chrystus rozjarzyły się pomarańczowym blaskiem trawiącego drewno od środka żaru i rozpadły na proch.

Spomiędzy drzew na drogę, którą właśnie przejechali, wypełził graf, od razu rozwijając swą bojową formę.

Wyglądał niczym olbrzymi, tłusty człowiek, na którym ktoś rozpiął sieć o regularnych kwadratowych okach. Jej sine żyły wpijały się w miękkie ciało, które pulsowało, wybrzuszało się, czasem otwierając mięsiste gardziele, w innych miejscach wystrzeliwując cuchnącą ropę. Grube, porośnięte futrem nogi otaczała mgła fagów, formujących się już

w zębate pyski i w pająkkształtnych enpisowych wojowników. Wielopalczaste dłonie kreśliły w powietrzu znaki kondensujące moc. Graf nie miał szyi, głowa wyrastała bezpośrednio z barków. Była niemal idealnie kulista, jak odwrócone akwarium, i tak jak ono przezroczysta. W środku tej czaszki pływały zgęstki wielu oczu, mózg, gonady i wszczepy nanokadabrowe. Graf nie miał ust, energię życiową czerpał z esencji zabijanych istot, a wchłaniał ją czterema skrzydłopodobnymi bateriami. Teraz rozwinął je ledwie w połowie, dygotały za jego plecami, mieniając się barwnymi wzorami – te znaki i rytm pracy skrzydeł wytwarzały fale mocy, kierujące formowaniem bojowych enpisów i siejące fagami trwogi.

Graf miał dwa i pół metra wzrostu. Cuchnął. Jego okrzyk bojowy był jak zwielokrotniony tysiąckroć trzask łamanej gałęzi.

Zaatakował. Skoczył ku elfom w kuli sinego blasku chroniącej przed strzałami i magią. Za nim zaczęły płonąć drzewa, przed nim formowały się bojowe enpisy. Przyjmowały kształty murenopodobnych ryb o podwójnych paszczach, wielkich pająków plujących zatrutymi nićmi, kul podobnych do kłębków wełny złożonych z żył, mięśni i zębów. To był potężny graf, potrafiący ze swych fagów formować naraz różnych pomocników. Ale najgroźniejszy atak przypuścił na umysły swych przeciwników.

Kajetan najpierw poczuł znużenie i senność, a potem otępienie zniechęcające do wszelkiego działania, poddające ciało wyrokowi losu. Gdzieś w głębi jego umysłu rozjarzyły się wspomnienia złych uczynków, które popełnił, zaznanych klęsk, poniesionych start. Złe myśli pęczniały, rozlewały się na cały umysł, paraliżowały. Nagle znów wróciła ta chwila, gdy zobaczył martwą siostrę, gdy zrozumiał, że jej nie upilnował, że sam wydał w ręce wroga.

„Zabiłeś ją” – szeptał jego umysł. „Sprowadziłeś jej mordercę. To ty jesteś winien. Jesteś zły. Zły, zły, zły...”

Zapewne gdyby Kajetan sam stanął naprzeciw grafa, uległby. Jego



ochronne zaklęcia zostałyby ostatecznie przełamane, a umysł poddał się destrukcji. Tu jednak graf musiał walczyć z wieloma przeciwnikami, skierować ostrza swej mocy ku innym celom. Atak zelżał i ta chwila wystarczyła, by Kajetan odzyskał władzę nad sobą. A może pomogła też iskra, która zapłonęła na moment w jego myślach. W tym błysku było wspomnienie matki, szorstki, ale przyjacielski uścisk dłoni przybranego ojca, kilka nut preludium e-moll Chopina, blask witraży warszawskiej katedry elfów, błękit oczu Anny Naa'Maar.

„To nie ty ją zabiłeś, geografie. Ona wcale nie zginęła i może w końcu ją znajdziesz” – mówił inny głos. „Jesteś dobry!”

Kajetan otrząsnął się. Jednym spojrzeniem ogarnął pole walki. Zobaczył, jak Domicjan tnie mieczem enpisy grafa. Z ostrza broni elfa unosiły się bojowe zmory przyjmujące kształty wielorękich centaurów. Natychmiast po uformowaniu rzucały się na enpisy, zwierzały z nimi w niszczącym uścisku, zamieniały w kłęb wirującej mgły, która po zneutralizowaniu wrogiej mocy rozwiewała się bez śladu.

Walczył też Omar, wychylony ze swego siodła, starał się osłaniać prawy bok Domicjana. Sam generował mniej mocy, ale skutecznie powstrzymywał te enpisy wroga, które przedarły się przez zaporę. Lewego boku swego pana strzegł sokół, miotający się niczym czerwona błyskawica, uderzający wroga, odskakujący tak szybko, że jego kształty rozmywały się, albo nawet rozdzielały. Chwilami wyglądało to tak, jakby walczyło kilka ptaków.

Sama Anna Naa'Maar stała za plecami swoich obrońców. Wzniosła miecz i wykrzykując słowa mantr bojowych, krzesła z jego ostrza magicznych pomocników.

Naprzeciw, ukryty za mgłą nanokadabr i ciałami swych sług, stał graf. I on tłoczył w przestrzeń magię, a jego opięte siną siecią żył ciało pulsowało rytmicznie. Kilkakrotnie bojowe zmory elfów docierały do niego, raniły, ale graf zdawał się tym nie przejmować. Opędzał się tylko

od nich jak od natrętnych owadów. Jego dłonie nie roztrzaskiwały ich ani nie odrzucały na boki, tylko rozpraszały niby obłoczki dymu.

Tylko czasem, gdy spojrzeniu Anny Naa'Maar udawało się przedrzeć przez zasłony, które postawił, gdy musnęła go wzrokiem niczym promieniem latarki – wtedy dygotał nagle, wtedy otwierały się spazmatycznie gardziele na jego skórze, wtedy mętniał płyn w czaszce, a gonady rozpalały się mdłym blaskiem.

To wszystko zobaczyłby Kajetan, gdyby miał czas na spokojne oglądanie bitwy. Nie miał.

Zeskoczył z konia, wyszarpując jednocześnie swój peem i miecz. W dwóch skokach znalazł się na linii walki. Władował serią w najbliższego enpisa, ciął przez zębaty pysk drugiego, jednocześnie czarami bojowymi próbując utkać wokół siebie sieć ochronną. Zaczepił ją o pień przydrożnego buka, z drugiej strony o pole obronne Omara, napiął mentalnie, sprawdził rezonans. Teraz mógł nie obawiać się pomniejszych tworów grafa. Skupił się zatem na największych, tłukąc do nich krótkimi seriami, tnąc mieczem, pętając tą bojową magią, którą jako człowiek był w stanie wygenerować.

Zaskoczył grafa. Sługa barlogów zwinął swój atak, odstąpił pola, a w powstałą lukę natychmiast wskoczył Domicjan. Elf ciął potężnego enpisa, znów ruszył do przodu tak, że brzeg jego magicznej tarczy naparł na pole nanokadabr grafa. Zaiskrzyło, wyładowania mocy były tak potężne, że wiele okolicznych drzew zważyło się, w jednej chwili spróchniałych i zgniłych od środka. Ostrze świsnęło tuż przed głową grafa, kolejny cios przeorał jego ramię, rozcinając oko sieci. Kajetan skoczył z drugiej strony, waląc bez przerwy z peemu w osłabione miejsce. Graf zaskowyczał, cofnął się, machnął rękami, jakby rozpaczliwie próbował się ochronić przed kulami. Domicjan postanowił go dobić. Runął w pustą przestrzeń, z której graf wycofał swoje nanokadabry, wziął potężny zamach, by rozłupać czaszkę przeciwnika.

Popełnił błąd.

Graf bowiem sprężył się, a jego baterie mocy przyspieszyły rytm drgań i zmiany kolorów. Wyciągnął ramiona, z których wyrosły nagle blade ostrza. Potężne wyładowanie przeszło przestrzeń, uderzając Domicjana prosto w twarz. Elf zachwiał się, oślepnął na chwilę. W tym momencie graf skoczył w jego stronę i jednym ciosem przebił na wylot.

Domicjan nawet nie jęknął. Zadygotał tylko, a potem opadł na pierś wroga niczym opuszczona pacynka. Graf warknął tryumfalnie, potężnym uściskiem ramion zmiażdżył elfa.

Anna Naa'Maar krzyknęła z bólu. W tym samym momencie sokół znów zmaterializował się w swej zwykłej ptasiej postaci, by od razu jak kawał martwego mięsa spaść na ziemię. Bojowe zmary Domicjana zniknęły.

Graf, wraz ze swoimi enpissami, skoczył ku elfce. Potężnym uderzeniem odtrącił próbującego zastąpić mu drogę Omara. Nie sprawdził nawet, czy go zabił, czy tylko ogłuszył. Tak jak kwiat obraca się do słońca w poszukiwaniu energii życia, tak on wycelował w swoje źródło blasku po to – by je zgasić.

Anna Naa'Maar rozpostarła przed sobą ochronne bariery. I choć była potężną elfką, władającą wielką magią i szkoloną do pętania potworów – nie dałaby rady. Przeciwnika napędzał ból, nieznanne cierpienie, przerażające światło opłukujące jego jaźń z siły. Ta elfka, biała i gorejąca, słała ku niemu falę magii, z jaką się wcześniej nie zetknął. Musiał ją zabić. Zmiażdżyć. Poniżyć.

Czaszka grafa rozbłysła, żyły oplatające ciało nabrały barwy krwi. Skrzydła baterii rozłożyły się maksymalnie, pulsując barwami śmierci, jedzenia i kopulacji. Graf przedarł się przez ochronne bariery, chwycił przedramię Anny Naa'Maar, powstrzymał przed kreśleniem ochronnych znaków.

Znów zawarczał peem Kajetana, ale kule rozpływały się na

nanokadabrowej zbroi. Stwór trzymał już elfkę za obie ręce. Pochylił się ku niej, przysuwając swą czaszkę do jej twarzy. Światłoczułe zgęstki we wnętrzu ułożyły się w rytualne wzory, gonady pulsowały, skrzydła to otwierały się, to zamykały.

Kajetan przestał strzelać. Próbował pchnąć grafa mieczem, ale ten jednym gestem mocy szarpnął ciałem mężczyzny, cisnął go na ziemię, zmiażdżył piersi, pozbawił oddechu. Kajetan znów poczuł w sobie obecność obcego umysłu, jego gnijący gniew i głód zadawania śmierci. Potem pojawiła się jeszcze chwila czegoś na kształt zaciekawienia, gdy graf odkrył wiszący na szyi Kajetana Klucz Przejścia. Ale nie było to zadziwienie odnalezieniem czegoś interesującego, a raczej wściekłość, że tak długo trwało poszukiwanie tego cennego przedmiotu, i satysfakcja z działań, które za jego pomocą będzie można podjąć.

Przez mgnienie Kajetan odebrał te wszystkie uczucia, a raczej ślady echa prawdziwych, acz niepojętych dla człowieka emocji potwora. Zrozumiał, że umiera, że ogarnia go ciemność, lecz że tak naprawdę jego śmierć i krzywda jest niczym wobec tego, co zaraz spotka tu Annę Naa'Maar. Spróbował wierzgnąć, poderwać się, odzyskać władzę. Bez miecza, peemu, choćby kamienia skoczył jeszcze ku grafowi, rozcapierzając palce, wykrzykując jakieś fragmenty bojowych zaklęć.

Kolejny cios znów powalił go na ziemię. Upadł skulony w kłębek, niczym kot topiony w zbyt ciasnym worku. I gdy już myślał, że umiera, usłyszał: — Kocham cię! Kocham cię i wybaczam ci to, co robisz!

Graf wrzasnął, a Kajetan otworzył oczy.

Stwór trzymał jeszcze elfkę, przygięty, niemal kładąc ją na ziemi, rozpinając barwne skrzydła. Wydawała się w jego rękach drobna i bezbronna, a jednak patrzyła wprost na skierowane na nią światłoczułe zgęstki pływające we wnętrzu czaszki.

— Kocham cię – powtórzyła i graf zaczął się rozpadać. Pożerał go od wewnątrz ogień, biały blask, rozkładający się czasem na tęczowe barwy,

czysty i jasny. Trawił ciało i skrzydła, przemykał po zewnętrznych żyłach, wpełzł do przezroczystej czaszki.

Graf zaskomlał jeszcze, ale inaczej niż poprzednio. Cicho. Miętko. I zniknął pożarty przez światło.

Tam gdzie jeszcze przed chwilą się znajdował, ziemia zmieniła się w czarny pył. Anna Naa'Maar klęczała nad tym pyłem, zanurzała w nim ręce, rozcierała go na twarzy.

I płakała, płakała, płakała...

## 15.

Śmigło helikoptera miało powietrze, poruszając okoliczne drzewa i zagłuszając pokrzykiwania uwijających się wokół ludzi. Ciało Domicjana już załadowano na pokład, teraz wnoszono do środka nosze z rannym Omarem. Życiu elfa nic nie groziło, ale czekała go długa rekonwalescencja.

Obok maszyny stały dwie metalowe, pomalowane w maskujące barwy skrzynie zabezpieczone przed otwarciem potężnymi szyframi. Kajetan zdołał zmieścić w nich wszystkie artefakty i rejestratory, które wcześniej wiózł do Gorzowa.

— Na pewno nie polecisz z nami, geografie? – spytała Anna Naa’Maar. Mówiła cicho, a jednak jej słów nie zdołał zagłuszyć szum wirników. – Powinieneś odpocząć.

— Nic mi nie jest. Muszę tam wrócić.

Podszedł do nich dowódca śmigłowca.

— Zaraz startujemy. Czas na pokład, pani.

— Jeszcze minuta, kapitanie.

— Pani, pospieszmy się. Wprawdzie sprawdziliśmy teren, ale skoro graf tu doszedł, to i inne...

— Kapitanie, proszę o jedną minutę.

— Tak, pani. – Pilot zasalutował. Już miał odejść, ale zawahał się. Wyciągnął rękę do Kajetana: – Powodzenia. Moja załoga... Powodzenia.

— Dziękuję, kapitanie – odpowiedział Kajetan. – Zaopiekuj się moim bagażem, proszę.

— Zostanie dostarczony zgodnie z instrukcją – pilot wymawiał słowa starannie, dając do zrozumienia, że jeśli tylko nie nastąpi koniec świata, on osobiście dotarga przesyłkę Kajetana tam gdzie trzeba. I to nie dlatego, że otrzymał takie rozkazy.

Pilot odszedł. Do helikoptera załadowano już bagaże, teraz z lasu wychodzili ostatni żołnierze osłony. Swój sprzęt spakowali też magochemicy oczyszczający teren skażony przez grafa i jego śmierć.

— Kajetan... – zaczęła Anna Naa'Maar, ale przerwał jej.

— Ty naprawdę kochałaś grafa. Wiesz, że ja cały czas, pomimo wszystkich znaków, myślałem, że to tylko gra, magia, metafora? Tymczasem ty go kochałaś i zabiłaś miłością. Nie zniósł twojego uczucia, wyprążyło jego czarną duszę, czy tak? To dlatego nawet elfy boją się ciebie.

Odstąpiła krok. Skrzyżowała ręce na piersiach, chwytając dłońmi ramiona.

— Tak. Dlatego. Dziękuję za wszystko. – Cofnęła się, ale Kajetan ruszył za nią.

— I dlatego nie zabiłaś go, kiedy wyrwał się z klatki. Oczywiście, był wtedy blisko swoich, na nieustabilizowanym magicznie terenie, miał więcej siły i w ogóle nie wiadomo, czy dałabyś radę. Ale ty nawet nie spróbowałaś go zniszczyć.

— Miałam rozkaz dostarczenia go do Polski żywcem.

— Owszem, miałaś. Ale nie zabiłaś go wtedy, bo go kochałaś, czy tak? A to kosztowało życie kolejnych elfów i ludzi...

Nie odpowiedziała. Odwróciła się i ruszyła w stronę helikoptera. Kajetan patrzył, jak wzbudzone wirnikami powietrze rozwiewa jej włosy, szarpie zabrudzoną, białą niegdyś szatę. Pochyliła się, podbiegł do niej jeden z żołnierzy, podał ramię, pomógł wspiąć się na pokład.

Spojrzała na Kajetana i po chwili podniosła dłoń w pożegnalnym geście. Odpowiedział tym samym. Uśmiechnął się nawet, ale pewnie tego już nie zobaczyła.

Helikopter zakołysał się, a potem poderwał w niebo, znów wzburzając wierzchołki okolicznych drzew.

Kajetan poprawił paski plecaka, sprawdził ułożenie miecza i igłowca,

przeżegnał się. Czekąca go powrotna wędrówka na zachód. Mniej więcej trzydzieści kilometrów lasem, który być może został zainfekowany wrogą magią, a już na pewno poplątał dawne ścieżki. Co prawda załoga ratunkowego śmigłowca przyniosła dobre wieści – Korniejewo się obroniło i polska rubież obronna nie pękła – ale po ostatnich bitwach bez wątpienia po tym pustkowiu kręciły się jakieś niedobitki czarnych. Trudno.

Kajetan miał sprawę do załatwienia. Musiał odszukać zniszczony helikopter kapitana Vargi i pochować jego załogę. Żołnierzy, którzy zginęli, bo chcieli mu pomóc.

Zerknął na azymulet, jeszcze raz się przeżegnał i ruszył w drogę.

Las za jego plecami powoli się uspokajał.

Wysoko nad drzewami szybował czarny sokół, czasem przemieniający się w krwistoczerwony znak. A może się tak tylko Kajetanowi zdawało.



Zapowiedź

